

SZCZURZY
SZŁAK

PIOTR
GAJDZIŃSKI

Mroczna przeszłość dramatycznie splata się z teraźniejszością

PIOTR
GAJDZIŃSKI

SZCZURZY

SZLAK



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska*

© by Piotr Gajdziński

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2946-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

*Wszystkim, którzy zwyciężyli raka
lub toczą z nim zażartą walkę.
Jesteście mocarzami!*

Spis treści

Osoby

Miejsca

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Podziękowania

Osoby

BOHATEROWIE WSPÓŁCZEŚNI

Rafał Terlecki – dziennikarz ogólnopolskiej stacji telewizyjnej, były mieszkaniec Wolsztyna, łatwo ulegający burbonowi i wyuzdanym kobietom.

Bartek Nowicki – przyjaciel Terleckiego od czasów wspólnej nauki w liceum, człowiek przenikliwy i racjonalny, choć z niewiadomych przyczyn pijący whisky wyłącznie z colą.

Henryk Howański – nauczyciel w wolsztyńskim liceum, który pragnie wyświecić okupacyjne i powojenne losy swojego dziadka Bolesława.

Dawid Lewandowski – nauczyciel historii, znawca okupacyjnych losów Wolsztyna i wielbiciel francuskiej literatury, który nigdy nie pił calvadosu.

Zdzisław Skibniewski – biznesmen, który dla pieniędzy jest w stanie wejść w każdy alians.

Zenon Olszański – emerytowany naczelnik Wydziału Kryminalnego Policji w Wolsztynie.

Grzegorz – oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Krzysztof Balcer – właściciel warsztatu samochodowego, entuzjasta tortu Kachlickiego i drożdżówek.

Anastazja – nastoletnia córka Rafała Terleckiego.

Ewa Drągowska – bezpruderyjna pracownica banku, wielbicielka pończoch i czerwonych szpilek, matka Anastazji.

Olga Morąg – dziennikarka ogólnopolskiej telewizji, przy której nawet Ewa Drągowska wydaje się być mniszką.

Mariusz Hallmann – wydawca ogólnopolskiej telewizji, który czasem (rzadko) jest zmuszony opiekować się swoimi wnukami.

Ryszard Jaworski – człowiek, który w obliczu śmiertelnej choroby wyznał prawdę skrywaną przez kilka dziesięcioleci nawet przed żoną.

Wiesław Muszyński – właściciel dużej agencji detektywistycznej.

Borsuk – były żołnierz GROM.

Witold Krzywiński – pełen dobrych chęci, ale spętany politycznymi układami inspektor policji.

BOHATEROWIE Z PRZESZŁOŚCI

Bolesław Howański – pracownik wolsztyńskiej drukarni Schneidera, którego talenty wprowadziły w osłupienie nawet hitlerowców, dziadek Henryka.

Ernst Becker – pułkownik Sicherheitsdienst des Reichsführers SS.

Erich Becker – bauer z Widzimia Starego, ojciec Ernsta.

Oskar Hoffmann – major Abwehry, któremu biust kelnerki kojarzy się z katedrą w Kolonii.

Alexander Müller – odznaczony przez Hitlera Krzyżem Żelaznym kapitan niemieckich wojsk pancernych.

Alfons Balcer – parobek w gospodarstwie Ericha Beckera.

Kurt Wagner – komendant posterunku w Wolsztynie i smakosz bimbru od Piszczuna.

hrabina Anna Daum – właścicielka dóbr chorzemińskich.

Gertruda Geisler – córka chorzemińskiego Bürgermeistra, przeciwniczka wojny, później działaczka wschodnioniemieckiej partii komunistycznej.

Arthur Sikora – ksiądz z wolsztyńskiej parafii z rodzinnymi koneksjami w Watykanie.

Ernst Kaltenbrunner – w latach 1943–1945 szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Juan Perón – attaché wojskowy Argentyny w Rzymie i Berlinie, wielbiciel Niemiec i Hitlera, prezydent Argentyny.

Miejsca

Wolsztyn – miasto w zachodniej Wielkopolsce, rozpostarte między dwoma jeziorami. Ze swoim zamiłowaniem do porządku i czystości niepokojąco upodabnia się do miasteczek bawarskiej i tyrolskiej prowincji i jak one skrywa wiele – także ponurych – tajemnic. Przed wybuchem drugiej wojny światowej niemiecka mniejszość stanowiła ponad osiem procent ludności Wolsztyna.

Widzim Stary – wieś oddalona od Wolsztyna o pięć kilometrów. Kiedyś należała do byłego króla Niderlandów, podczas okupacji, po wywiezieniu polskich chłopów, zamieszкана przede wszystkim przez Niemców.

Chorzemin – wieś położona w bezpośrednim sąsiedztwie Wolsztyna, z pięknym, ale popadającym w ruinę pałacem. Przed wojną i podczas okupacji zamieszкана przede wszystkim przez Niemców i właściwie ukształtowana przez niemiecką rodzinę Daumów. (wcześniej Chorzemin należał do zakonu cystersów).

Stumm – wieś w austriackim Tyrolu z dwiema włoskimi restauracjami (w tym z jedną naprawdę dobrą) i kilkoma serwującymi miejscowe dania, kortami tenisowymi oraz basenem. Śliczna. Zarówno Widzimowi Staremu, jak i Chorzeminowi nadal wiele do niej brakuje.

Warszawa, Poznań, Berlin i Wiedeń – miasta, w których każda przeżyta chwila jest darem niebios.

Florencja – miasto zapierające dech w piersiach o każdej porze roku, dnia i nocy.

Rozdział 1

WOLSZTYN, 26 WRZEŚNIA 2019

Od jego ostatniej bytności przed rokiem nic się tutaj nie zmieniło. Wzrok Rafała Terleckiego, dziennikarza ogólnopolskiej prywatnej telewizji, powędrował w kierunku ławki stojącej po prawej stronie najbliższej ołtarza. Tabliczka z nazwiskiem hrabiny Mycielskiej była na swoim miejscu.

Kaplica Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo w Wolsztynie, rodzinnym mieście Terleckiego, była pusta, więc spojrzął na zegarek. Było pięć po siedemnastej, spóźnił się zaledwie kilka minut, zbyt mało, aby człowiek, który poprosił go o pomoc, mógł zrezygnować ze spotkania.

Usiadł w ławce przy bocznym ołtarzu i rozluźnił mięśnie. Miał za sobą blisko czterysta kilometrów przejechanych z Warszawy Autostradą Wolności i czuł znużenie. Potarł oczy, a potem mocno zacisnął powieki.

Henryk Howański zadzwonił do niego pięć dni temu, w niedzielne popołudnie. Rafał wracał właśnie z kortów Warszawianki do swojego apartamentu przy ulicy Grzybowskiej. Pewnie zignorowałby połączenie pochodzące z nieznanego numeru, gdyby nie euforyczny nastrój po wygranym meczu z Grzegorzem Wyrzykowskim. Pierwszym wygranym meczu w dwuletnich już zmaganiach z szefem marketingu ING Banku.

Telefoniczna rozmowa trwała blisko kwadrans i zainteresowała go na tyle, że obawiając się zerwania

połączenia, zatrzymał samochód przed wjazdem na podziemny parking. Teraz, siedząc w kościelnej ławce i czekając na Howańskiego, zastanawiał się, czy to nie był jakiś żart. A może został tu ściągnięty celowo, przez któregoś z ludzi Zdzisława Skibniewskiego? Rok temu jego telewizyjny reportaż o byłym współpracowniku komunistycznej Służby Bezpieczeństwa popsuł interesy wielu wolsztyńskim biznesmenom i wstrząsnął lokalnymi układami. Wiedział, że wielu go za to nie kocha.

Nagle za plecami usłyszał skrzypnięcie drzwi i ciche kroki, a później ciężki oddech. Szybko odwrócił głowę. Obok jego ławki przechodziła starsza zakonnica i uśmiechała się do niego dobrotliwie. Stawiała ostrożnie kroki i lekko utykała. Z trudem przyklęka przed ołtarzem, szybko się przeżegnała i weszła do zakrystii. Odprężył się. O osiemnastej w kaplicy miała się rozpocząć msza, więc zakonnica przyszła zapewne przygotować kościół przed przybyciem księdza i wiernych.

Patrzył w kierunku otwartych drzwi zakrystii, gdy poczuł dotknięcie na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie. Siedział za nim mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna w marynarce, białej koszuli i granatowym krawacie; więcej niż staranny, niemal wyjściowy strój. Terleckiego zaskoczyły jednak całkowicie siwe włosy i ogromny, także siwy, wąs mężczyzny. W szklach jego okularów w srebrnych oprawkach odbijało się światło lampki palącej się na bocznym ołtarzu. Mężczyzna lekko pochylił się w jego kierunku i przedstawił jako Henryk Howański. Szeptem poprosił, aby Rafał Terlecki przesiadł się z nim do tylnych ławek.

– Mamy dużo czasu, na mszę o osiemnastej przychodzi niewiele osób. Zwłaszcza w piątki. Będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Dziennikarz nie był tego pewien. Gdy usiedli za wejściem wiodącym, jak się domyślał, bezpośrednio do domu pomocy społecznej prowadzonego przez siostry miłosierdzia, zapytał, dlaczego spotykają się w kościele. Howański oświadczył, że dla niego to ważne miejsce.

– Mam wrażenie, że właśnie w kościele wszystko się zaczęło. Nie w tym, ale to miejsce działa na mnie kojąco i pozwala mi się skupić – wyszeptał.

– Co właściwie się zaczęło? Niech mi pan wszystko dokładnie opowie.

Howański spojrział na ołtarz, a później ukrył twarz w dłoniach. Terleckiemu zdawało się, że jego rozmówca modli się, ale on chyba tylko zbierał myśli. Trwało to kilkadziesiąt sekund i dziennikarz zaczął się niecierpliwić.

Od początku miejsce spotkania wydawało mu się dziwne, ale liczył, że w kaplicy mają się tylko poznać, a później pójdą porozmawiać w pobliskim parku lub w którejś z wolsztyńskich restauracji. Howański jakby czytał jego myśli.

– Boję się wychodzić z kościoła. Gdy ostatnio wyszedłem, zginął człowiek. Człowiek... Chyba powinienem powiedzieć kuzyn. Tak, chyba kuzyn.

– Niech mi pan wszystko opowie.

Mężczyzna znowu się zamyślił. Tym razem wpatrywał się w ławkę. Terlecki zaczął się denerwować. Miał za sobą tydzień intensywnej pracy nad reportażem obrazującym kolejne finansowe machinacje władz, których celem było przepompowywanie państwowych pieniędzy do prywatnych, rzecz jasna, prawicowych fundacji, i czuł się zmęczony. Marzył o mocnym, naprawdę mocnym drinku i wygodnym łóżku w hotelu Leśna, gdzie wynajął pokój.

– To było w Stummie, w Austrii. Pewnie pan nie zna. To niewielka miejscowość położona niedaleko Mayrhofen, między Salzburgiem i Innsbruckiem. Jest tam kościół, stoi na niewielkim wzniesieniu w centrum miasteczka. Tak kiedyś budowano kościoły, miały górować nad okolicą. Tam się z nim spotkałem...

– Z nim? Ma pan na myśli swojego kuzyna?

– Tak. Przedstawił się jako Hans. Twierdził, że jesteście kuzynami. W tym sensie, że mieliśmy jednego dziadka. Nic o tym nie wiedziałem. Widzi pan, nie znałem swojego dziadka, przez całe życie byłem przekonany, że zginął w czasie wojny, a tu takie coś. Chwilę o tym rozmawialiśmy. Mówił trochę po polsku, ale ja dobrze znam niemiecki. A potem zaprosił mnie na piwo do miejscowego gasthausu, wie pan, takiej austriackiej restauracji. Stała, to znaczy na pewno stoi nadal, dokładnie naprzeciw kościoła.

Hans szedł przodem, Howański został trochę z tyłu, bo zainteresowały go wykonane z metalu nagrobki na przykościelnym cmentarzu, które w Polsce widuje się tylko na najstarszych nekropoliach.

– Nagle usłyszałem ryk silnika i pisk opon, a potem głucho uderzenie. Koszmarny dźwięk. Coś mnie tknęło, zbiegłem po schodach. To było siedem betonowych schodów, zapamiętałem to bardzo dokładnie. Dziwne, prawda? Dziwne, że w takich momentach człowiekowi pozostają w głowie takie nic nieznaczące szczegóły. Hans leżał oparty o mur, taki betonowy ze śladami szalunku, więc pewnie wykonany całkiem niedawno. Od razu wiedziałem, że to koniec, że umiera. Dziwne, ale to się wie. Ale gdy do niego podbiegłem, jeszcze żył...

Z kieszeni spodni Howański wyciągnął kraciastą, starannie złożoną chustkę i przetrął oczy. Terlecki spojrział na wejście do

kaplicy, ale na razie nikt się jeszcze nie pojawił. Zastanawiał się, czy siostra zakonna, która niedawno weszła do zakrystii, mogła słyszeć ich rozmowę.

– To był pański kuzyn?

– Tak się przedstawił. Nie znałem go wcześniej. To skomplikowana sprawa. Sięga lat czterdziestych i wojny. Trudno mi o tym mówić.



Szesnaście miesięcy wcześniej, w marcu dwa tysiące osiemnastego roku, Henryk Howański dostał list wysłany z Wiednia i podpisany przez Hansa Schulza. Nadawca twierdził, że zna losy jego dziadka, Bolesława Howańskiego, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku został aresztowany przez Niemców za podrabianie dokumentów i później słuch o nim zaginął. Rodzina była przekonana, że został wywieziony do Niemiec, być może trafił do jakiegoś obozu koncentracyjnego albo po prostu go rozstrzelano. Dziwne było tylko to, że nigdy nie dostali żadnej informacji na temat jego śmierci, chociaż z reguły władze Trzeciej Rzeszy zawiadamiały rodzinę o śmierci najbliższych. Po wojnie, mimo wielu starań żony Bolesława, mimo listów słanych do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża nie udało się trafić na żaden ślad. Ojciec Henryka doszedł w końcu do wniosku, że najpewniej Bolesław Howański został zamordowany w wolsztyńskim areszcie, a jego ciało zakopano gdzieś w pobliskich lasach. Starsi mieszkańcy Wolsztyna twierdzili, że takie przypadki się zdarzały, ale nikt nie potrafił podać żadnych konkretnych.

– Kiedy po studiach wróciłem do Wolsztyna, próbowałem dogrzebać się prawdy. Korespondowałem z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem, z niemieckimi fundacjami, które w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pomagały Polakom poznać losy ich zamordowanych krewnych, pisałem do centralnego archiwum w Bonn, odwiedziłem ambasady NRD i RFN. Nic. Szukałem też tutaj, na miejscu. Niestety, nie udało mi się trafić na żaden ślad. Z czasem to zarzuciłem, uznałem, że nie uda się odtworzyć losów Bolesława. Milionom rodzin w całej Europie nigdy nie udało się poznać okoliczności śmierci ich bliskich podczas drugiej wojny światowej. Aż nagle przyszedł ten list.

Chciał pojechać natychmiast, ale stan zdrowia jego ojca się pogorszył. Dużo z nim wtedy rozmawiał, próbował wydobyć z umierającego staruszka jakieś nowe informacje, ale bez skutku. Dwa miesiące po pogrzebie, na początku kwietnia dwa tysiące dziewiętnastego roku, w końcu wsiadł do samochodu i pojechał do Stummu.

– Ale niewiele się dowiedziałem. Tylko tyle, że dziadek wcale nie zginął. Porwali go z aresztu i zniknął. Porywaczami byli Niemcy, którzy zadekowali się w podwolsztyńskim Chorzeminie. Na początku czterdziestego czwartego roku przyjechał po niego specjalny oddział SS i zabrał go do Berlina. Trzymali go w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy pod okiem samego Ernsta Kaltenbrunnera. Po wojnie wyjechał do Australii, ale po kilku latach wrócił i zamieszkał w miejscowości Stumm w Tyrolu. Hans twierdził, że dobrze mu się wiodło.

– Podczas rozmowy telefonicznej powiedział pan jednak, że po wojnie dziadek musiał się ukrywać. Dlaczego?

Do kościoła zaczęli wchodzić ludzie. Jakies dwie staruszki usiadły przed nimi i zatopiły się w modlitwie, ale jedna z nich

odwróciła się i spojrzała na nich karcącym wzrokiem. Howański przeżegnał się i wstał, dając znać Terleckiemu, aby wyszli na zewnątrz.

Ruszyli w kierunku parku. Gdy przechodzili obok dawnego ośrodka zdrowia – teraz mieściło się tam katolickie przedszkole – Rafał Terlecki spojrzał w okna na drugim piętrze. Przed laty znajdował się tam gabinet dentystyczny, którego panicznie się bał i unikał jak ognia. Howański podążył za jego wzrokiem.

– Też pan chodził do doktor Bremborowicz? Przeżywałem tam katusze, a niedawno dowiedziałem się, że ona uczyła się swojego fachu w lesie.

– W lesie?

– Tak, w oddziale partyzanckim Armii Krajowej. Trafiła do niego jako młoda dziewczyna. Została sanitariuszką, a później dowódca polecił jej zająć się zębami partyzantów. I tak została dentystką. Mam nadzieję, że później skończyła jednak studia stomatologiczne, choć cierpienia, jakie mi zadawała, na to nie wskazują.

Gdy przeszli obok dawnego pałacu Mycielskich, dziennikarz zapytał, czy podczas wojny jego dziadek był związany z podziemiem, ale Howański zaprzeczył. Opowiadał, że przed wojną Bolesław ukończył gimnazjum i choć marzył o podjęciu studiów w Poznaniu, to sytuacja finansowa rodziny na to nie pozwoliła. Znalazł pracę w miejscowej drukarni, zresztą należącej do Niemca Helmuta Schneidera. Gdy wybuchła wojna, był już kierownikiem.

– Schneider go lubił, ale chyba przede wszystkim cenił jego fachowe umiejętności i zmysł organizacyjny. To go uchroniło przed prześladowaniami ze strony policji czy gestapo.

– To dlaczego w czterdziestym trzecim roku został aresztowany? I dlaczego, jak twierdził Hans, siedział w centrali

hitlerowskiego systemu bezpieczeństwa?

Rozdział 2

WIDZIM STARY, 3 PAŹDZIERNIKA 1943

Erichowi Beckerowi, siedemdziesięcioletniemu bauerowi z Widzimia Starego, koniak nie bardzo smakował. Wolał bimbier pędzony przez sąsiada, Stanisława Piszczuna, z którym znali się od dzieciństwa i nawet teraz, mimo wojny, pozostawali w dobrych stosunkach. Wieczorami Becker często zachodził do Piszczuna wraz z Elisem Weberem, którego gospodarstwo graniczyło z ziemią Polaka od zachodu, i raczyli się tym bimbrem, grając w karty. Piszczun swoją małą gorzelnię ukrył starannie w ziemiance wykopanej wczesną wiosną czterdziestego roku w stodole pod zmyślnie odsuwanymi snopkami słomy. Raz ich nawet podczas takiej libacji nakryli policjanci z wolsztyńskiej Kriminalpolizei, ale wiedząc, kim jest Erich – a właściwie jaką funkcję pełni w Berlinie jego syn – natychmiast się wycofali.

Francuski koniak, który syn przywiózł ojcu prosto z Berlina, Erichowi Beckerowi nie smakował, za to parkujący na podwórzu mercedes bardzo przypadł mu do gustu. Obejrzał go wyjątkowo dokładnie, z nabożeństwem dotykając kierownicy i szczególnie dużo uwagi poświęcając silnikowi. Cieszył się na jutrzejszy wspólny wyjazd do kościoła, ale dzisiaj – mimo namów syna – nie zdecydował się na choćby krótką przejażdżkę. Miał dużo pracy, chciał szybko oporządzić krowy, aby wieczorem ze spokojną już głową usiąść z synem i posłuchać jego opowieści z Berlina.

– Jesteś jakiś nieswój. Coś idzie nie tak? – zapytał, wychylając kieliszek.

Ernst spojrział na niego ponurym wzrokiem i zaczął rozdrapywać niewielką krostę na szyi tuż pod lewym uchem. Gospodarz dobrze znał ten gest, bo dobrze znał swojego syna. Kochał go, ale od jakiegoś czasu zastanawiał się, czy jest z niego dumny. Owszem, chłopak zrobił wielką karierę, pełnił znaczącą funkcję w Sicherheitsdienst des Reichsführers SS, ale Erich nie podzielał jego poglądów. Nie uważał, aby Hitler miał rację, a na podstawie własnych doświadczeń wiedział, że wojna jest najgorszym rozwiązaniem. Brał udział w wielkiej wojnie, uczestniczył w bitwie nad Sommą i wiedział, że wojna to tylko śmierć. Poza tym wychował się wśród Polaków, znał ich wielu i wielu podziwiał, z niektórymi się nawet przyjaźnił. W końcu trzydziestego ósmego roku pojechał na zebranie NSDAP w Wolsztynie. Wysłuchał mowy Marii Krüger, przewodniczącej miejscowego koła nazistowskiej partii, a później nadawanego przez radio przemówienia Adolfa Hitlera i wyszedł stamtąd zniesmaczony. Nie, nie uważał, aby wojna rozwiązywała jakieś problemy, wiedział, że zwykłym ludziom nie przynosi żadnych korzyści. Przynosi tylko cierpienie, śmierć i łzy.

W oczach syna Erich dostrzegał smutek, a może nawet strach lub niepewność. Nie było w nich radości i ani krztyny zapału, które widział jeszcze rok temu, podczas poprzedniego pobytu syna w domu.

Pułkownik Służby Bezpieczeństwa Ernst Becker jednym haustem opróżnił kieliszek i gwałtownie wstał od kuchennego stołu, niemal przewracając krzesło. Nerwowo krążył po kuchni, uderzając pięścią w udo. Kolejny objaw zdenerwowania.

– Wszystko idzie nie tak, wszystko. Zaczynamy przegrywać. Wiem, nie zaczynaj od nowa – zwrócił się do ojca, patrząc na

niego karcącym wzrokiem. – Wiem, że mówiłeś to już w trzydziestym dziewiątym, a ja nie chciałem słuchać. Teraz widzę, że miałeś rację. – Usiadł na krześle i chwycił butelkę, aby rozlać następną kolejkę, ale ojciec powstrzymał go łagodnym ruchem ręki.

– Wybacz, synu, doceniam, że przywiozłeś ten koniak, ale wolę swojski bimber. Napijesz się?

– Od Piszczuna? Co z Władkiem?

Władek, syn sąsiada, został zmobilizowany na początku sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego i walczył nad Bzurą w szeregach Armii Poznań, a później słuch po nim zaginął. Stary Piszczun wciąż wierzył, że syn żyje, że może siedzi w jakimś stalagu lub udało mu się przedostać na Zachód. W młodości chłopcy spędzali razem dużo czasu.

– Nie znalazłem go. Nie ma go w żadnym stalagu. Albo zginął, albo gdzieś z nami walczy.

Gospodarz spojrzał na niego spod krzaczastych brwi. Nie podobało mu się to „z nami”, ale wołał teraz nie poruszać tego tematu. Nie chciał znowu się kłócić, nie pierwszego dnia pobytu syna w domu. Gdy rozlał bimber, Ernst ostrożnie przechylił szklankę. Pił małymi łykami, a później otarł usta wierzchem dłoni i ugryzł kiszzonego ogórka.

– Trochę tego z Władkiem wypiliśmy. Podkradał staremu i szliśmy do tego małego brzozowego lasku, żeby nikt nas nie zobaczył.

– My ze Stanisławem wiedzieliśmy. Tylko matkom nic nie mówiliśmy. Ale i one pewnie wiedziały, bo po powrocie śmierdzieliście jak gorzelnia.

Zamilkli.

Erich postawił czajnik na piecyku. Miał ochotę na herbatę, którą syn też przywiózł z Berlina. Gdy dorzucał drewna, aby rozniecić tłący się w palenisku ogień, Ernst zaczął mówić. Najpierw o Stalingradzie i wielkiej klęsce marszałka von Paulusa, potem o wyparciu Niemców z północnej Afryki, wreszcie o Łuku Kurskim, o nasilającym się oporze na terenach okupowanych i udanym zamachu czeskich komandosów na jego niedawnego szefa, Reinharda Heydricha. Erich zauważył, że synowi trzęsą się ręce.

– To początek końca, ojczy. I nie, nie wierz, że wkrótce będziemy mieli „cudowną broń”, która rozwiąże wszystkie problemy. To mrzonki Hitlera i durniów z jego najbliższego otoczenia. Kiedyś będziemy ją mieli, ale nie w tej wojnie – stwierdził Ernst i opróżnił szklanę.


– A Niemcy? Co z Niemcami? Co z nami będzie po wojnie?

– My uważamy, że Niemiec nie będzie. Gdy wyjdą na jaw zbrodnie, których się dopuściliśmy i cały czas się dopuszczamy, nikt nas nie obroni, nikt nie będzie chciał nas bronić. Nie będzie Niemiec. Zmiotą nas z powierzchni ziemi, wypalą gorącym żelazem. Ale niemiecki naród przetrwa, wszystkich nas przecież nie wymordują. A później powrócą lepsze czasy. I Niemcy powrócą!

Pułkownik Sicherheitsdienst des Reichsführers SS Ernst Becker niezgrabnie uniósł się z krzesła i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

– Powrócą. Zdławiona przez Sowietów Europa zrozumie, że Niemcy są jej niezbędne – powiedział i wyszedł.

Erich spędził w kuchni jeszcze niemal godzinę. Sam, tylko w towarzystwie butelki bimbru od Stanisława Piszczuna. Cały ten czas poświęcił rozmyślaniom nad słowami syna.



Trzy dni później Ernst niespodziewanie oznajmił, że chętnie pomoże ojcu przy krowach. Przez godzinę zgodnie wyrzucali z obory gnój, aż spoceni postanowili zrobić sobie krótką przerwę. Usiedli za budynkami, mając przed sobą pole i mający w oddali brzozowy las.

Młody Becker wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Oddychał ciężko.

– Odwykłem – stwierdził, z trudem łapiąc powietrze.

Erich chciał powiedzieć, że praca przy biurku nie sprzyja tężyźnie fizycznej, ale milczał. Właściwie nie wiedział, czym dokładnie syn zajmuje się w Berlinie. Chciał wierzyć, że pracą za biurkiem. Zapalili.

– Jak spotkanie?

Dwa dni temu Ernst pojechał do Wolsztyna, aby zobaczyć się z dwoma kolegami, którzy przyjechali na urlopy. Jeden z nich służył w Abwehrze, drugi, pochodzący z pobliskich Wroniaw Alexander Müller, brał udział w bitwie na Łuku Kurskim, za co został odznaczony Krzyżem Żelaznym przez samego Adolfa Hitlera. Erich wiedział, że spotkali się w kasynie oficerskim przy Königstrasse.

Ernst milczał. Patrzył na pole, które uprawiał jego ojciec, wcześniej dziadek, a jeszcze wcześniej pradziadek. Sam też wylał tu trochę potu. I bał się, że ten jego pot i pot całej jego rodziny przez kilka pokoleń wsiąkał w tę ziemię nadaremno.

Ojciec powtórzył pytanie, ale on, pułkownik Służby Bezpieczeństwa, nie potrafił odpowiedzieć. Czuł się równie bezradny jak wtedy, gdy z gwoździem wbitym w stopę podczas zabawy dokuśtykał do stodoły, gdzie ojciec właśnie przerzucał

siano. Kiedy to było? Miał wówczas siedem lub osiem lat, więc trzydzieści trzy albo trzydzieści cztery lata temu. Matki nie było akurat w domu, ale ojciec wyciągnął gwóźdź i opatrzył mu ranę, a potem zaprzągnął konia do bryczki i zawiózł do lekarza.

– Źle. Oni są tego samego zdania co my. Przegrywamy.

– My? Kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

– Nie pytaj, i tak nie odpowiem. Doszliśmy do wniosku, że ta wojna jest już dla Niemiec przegrana, że nic już tej klęski nie jest w stanie zatrzymać. Na pewno jeszcze potrwa, bo Hitler i jego totumfaccy szybko ze swoich chorych idei nie zrezygnują, ale w końcu przegramy. A wtedy...

Stary Becker wyrzucił niedopałek w stertę gnoju i uniósł się z pnia wiekowej lipy, którą ścięli miesiąc temu. Jutro miało przyjść kilku wyrostków ze Starej Dąbrowy, aby ją pociąć i ułożyć w pryzmę.

– Skończmy robotę. Potem porozmawiamy.

Godzinę później znowu zasiedli w kuchni, ale ponieważ cały czas kręciła się tam matka Ernsta i z pomocą młodej Polki z sąsiedniej wsi szykowała placki na niedzielne przyjęcie, wzięli butelkę bimbru i usiedli na ławce przed domem. Ernst zrelacjonował ojcu to, co usłyszał od swoich przyjaciół – znali się od wczesnego dzieciństwa, razem chodzili do szkoły powszechnej i później do Höhere Knabenschule, szkoły dla chłopców – w wolsztyńskim kasynie oficerskim.

– Zostaw to wszystko i uciekaj. Od Hitlera, od Niemiec i od Niemców. To przeklęty naród. Jesteś jeszcze młody, masz czterdzieści jeden lat. Możesz zacząć życie od nowa.

– Rozmawialiśmy o tym. Ale co z wami?

Erich Becker machnął ręką. Chciał powiedzieć, że ma już siedemdziesiąt lat, a jego żona przekroczyła sześćdziesiątkę, że

są chłopami, a chłopci zawsze będą potrzebni, bo ludzie muszą jeść, a ktoś im to jedzenie musi wyprodukować, że są tu od dziesięcioleci i Polacy nie dadzą ich skrzywdzić. Nagle jednak przyszła mu do głowy pewna myśl i zamilkł. Wypił łyk bimbru i zapalił papierosa.

– W wolsztyńskim areszcie siedzi Polak, kierownik w drukarni Schneidera. Podobno jest genialnym fałszerzem. Podrabiał marki, kartki żywnościowe, dokumenty. Sypnął go sąsiad, Polak, ale te jego fałszywki są tak dobre, że nic mu nie potrafią udowodnić. Nawet w Poznaniu nie umieją ich rozpoznać, więc wszystko, co u niego znaleźli, wysłali do ekspertyzy do Berlina. On wam robi hiszpańskie paszporty i ukryjecie się za Pirenejami. Albo i gdzieś dalej, przecież świat nie kończy się na Europie.

Rozdział 3

WOLSZTYN, 26 WRZEŚNIA 2019

Przeszli obok dawnego pałacu Mycielskich, minęli niewielki skate park i skręcili w lewo, w kierunku Rynku. Kilkaset metrów stąd, za ścianą wielkich dębów i buków porośniętych zielonymi pnączami, rozciągało się „diabelskie uroczyisko”, gdzie sto lat temu ksiądz Franciszek rozpoczął swój niecny proceder mordowania kobiet. Ze ścieżki, którą teraz kroczyli, dąb z wizerunkami Meduzy i Fauna był niewidoczny.

Aby przerwać krępującą ciszę, dziennikarz zapytał Henryka Howańskiego, dlaczego tak zaangażował się w poszukiwanie dziadka. Mężczyzna chwilę milczał, a później zaczął tłumaczyć, że po prostu zafascynowała go jego historia. W końcu jednak przyznał, że niektórzy spośród starszych mieszkańców Wolsztyna szeptali, że w czasie okupacji Bolesław Howański wysługiwał się Niemcom, podpisał volkslistę. Ktoś twierdził nawet, że widywał go w czarnym gestapowskim mundurze. I właśnie to miało być przyczyną tego, że nigdy już nie wrócił do rodzinnej miejscowości.

– Mnie to bezpośrednio nie dotyczyło, bo gdy na początku lat osiemdziesiątych wróciłem do Wolsztyna po studiach, niewielu już nawiązywało do czasów wojny. Ale matka opowiadała mi, że ojciec przez wiele lat doświadczał różnych szykan. Był dobrym inżynierem, utalentowanym i zaangażowanym, pracował w fabryce mebli, zgłosił kilka wniosków racjonalizatorskich, ale długo nie awansował, odmówili mu nawet przyjęcia do PZPR. To

ostatnie na dobre mu zresztą wyszło. – Uśmiechnął się. – Chciałem go, całą naszą rodzinę, oczyścić z tych podejrzeń. Wie pan, człowiek chce być dumny ze swoich przodków. W takich małych społecznościach, gdzie wszyscy się znają, wszyscy wszystko o sobie wiedzą, jest to szczególnie ważne. Ale teraz już sam nie wiem, dokąd mnie te poszukiwania zawiodły.

Gdy usiedli w Café de Paris, Terlecki zamówił dwie kawy i po kawałku bezowego tortu. Pochłaniali go w milczeniu, a dziennikarz zaczął rozmyślać o ostatnich słowach mężczyzny. Losy Bolesława Howańskiego były rzeczywiście niecodzienne: praca w niemieckiej drukarni, aresztowanie, wywózka do Berlina i areszt w RSHA, wyjazd do Australii, powrót do Wiednia. I opowieść Hansa zapewnającego, że do ostatnich dni swojego życia Bolesław musiał się ukrywać.

Jeśli oczywiście założyć, że Hans Schulz mówił prawdę.

– Dowiedział się pan czegoś o swoim austriackim kuzynie? Zweryfikował pan jego słowa? Wie pan, kim był, czym się zajmował?

– Był historykiem sztuki. Specjalizował się w mistrzach holenderskich, pracował w Kunsthistorisches Museum, tym przy Maria-Theresien-Platz, jeśli zna pan Wiedeń. Blisko austriackiego parlamentu. Po powrocie ze Stummu sprawdziłem jego profil na Facebooku, trochę poszukałem w internecie. Miał na koncie kilka książek, między innymi o Rembrandcie i van Dycku. Nie były to popularne pozycje, raczej książki akademickie, ale z tego, co się zorientowałem, miały dobre recenzje. Zresztą wykładał też na Uniwersytecie Wiedeńskim, występował na konferencjach naukowych w Europie i Stanach Zjednoczonych.

To nie wskazywało, że Hans Schulz mógł być oszustem. Na razie, bo oczywiście wśród historyków sztuki i nauczycieli

akademickich oszuści i kuglarze także się zdarzają. I to wcale nie tak rzadko. Tylko na czym miałyby polegać jego oszustwo? Henryk Howański był nauczycielem chemii w wolsztyńskim Liceum Ogólnokształcącym. Nie wyglądał na krezusa.

Po powrocie ze Stummu Henryk długo zastanawiał się nad wiarygodnością słów Hansa, ale nie znalazł żadnych powodów, aby w nie wątpić. Rozmyślał nad wznowieniem poszukiwań dziadka, ale nie bardzo wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Oczywiście przeszukał internet, teraz miał trochę więcej informacji, ale niestety nie znalazł niczego, co mogłoby stanowić punkt zaczepienia.

Sytuacja zmieniła się miesiąc temu. Przymuszony przez żonę, zaczął wreszcie remontować dawne mieszkanie rodziców w kamienicy przy ulicy Roberta Kocha. Chcieli sprzedać trzypokojowe lokum na drugim piętrze, a po spieniężeniu również ich obecnego mieszkania przy ulicy Juliusza Słowackiego kupić spłachetek ziemi gdzieś pod Wolsztynem i wybudować mały domek.

– Część podstawowych prac remontowych postanowiłem wykonać sam, wolsztyńscy fachowcy strasznie się cenią, a nauczycielskie zarobki... Sam pan wie. Tym razem moje skąpstwo wyszło mi na dobre. Kiedy wyburzałem w kuchni stary kafłowy piec, nieużywany zapewne od początku lat siedemdziesiątych, znalazłem w nim metalową kasetkę. Starą, mam wrażenie jeszcze przedwojenną, niezwykle solidną. Była dobrze ukryta z boku paleniska i zasłonięta cegłami. Jak mówiłem, ojciec był dobrym inżynierem...

– To pański ojciec ją tam ukrył?

– Jestem tego pewien. To właściwie nie była kasetka, raczej przenośny sejf z dobrym zamkiem.

Udało się go wydobyć, ale nie dało się otworzyć, w każdym razie nie dostępnymi Howańskiemu narzędziami.

– Szukaliśmy klucza, ale bez rezultatu. Młotek i przecinak, czyli po poznańsku...

– Majsel. Pamiętam.

– Właśnie. Majsel też nie dał rady. Ale którejś bezsennej nocy przypomniałem sobie, że babcia Józefa, żona Bolesława, miała zwyczaj chowania cennych rzeczy w puszkach z cukrem, ryżem, kawą czy mąką. Klucz był w cukrze.

Roześmiali się. Obaj mieli takie babcie.

– Znalazł pan rodzinny skarb?

– Dla mnie najcenniejszy. Ale żona była rozczarowana. Liczyła, że w sejfie będą dolary, wyemitowane jeszcze przed wojną akcje Coca-Coli, złoto i biżuteria... Kobiety są praktyczniejsze od nas, żona umyśliła sobie, że ten wymarzony dom postawimy za niespodziewanie odkryty skarb, a mieszkania będziemy wynajmować, trzepiąc wielką kasę i podróżując po świecie – w tonie jego głosu Terlecki słyszał nieskrywaną ironię. – Tymczasem w sejfie były tylko listy od dziadka.

Howański zaśmiewał się, opowiadając, jak o drugiej w nocy w kuchni wysypywali na gazety mąkę, ryż i cukier, z jakim drzeniem rąk otwierali przedwojenny sejf i jak rozczarowaną minę miała jego żona, urzędniczka miejscowego starostwa, gdy okazało się, że zamiast złota, dolarów, papierów wartościowych i biżuterii znaleźli listy.

Nagle Howański spoważniał.

– Dowiedziałem się z nich o losach dziadka Bolesława więcej niż od Hansa i oczywiście znacznie więcej niż od ojca. Zapewne

mój kuzyn chciałby je przeczytać, ale już tego nie robi. Niestety, listy wszystkiego nie wyjaśniają.

– Mógłbym je przeczytać?

– Oczywiście. Mam ze sobą i oryginały, i kserokopie. Niech pan obejrzy oryginały i weźmie kopie. Proszę wybaczyć, ale oryginałów nie chciałbym już wypuszczać z rąk.

Listy były zapakowane w koperty, starannie, po wielkopolsku, rozcięte u góry, najpewniej specjalnym nożem. Pierwszy został wysłany z Perth w Australii w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, pięć lat po zakończeniu wojny. Terlecki wyobraził sobie, że jeśli rzeczywiście była to pierwsza wiadomość od Bolesława Howańskiego, jego żona i syn musieli przeżyć szok. Przez lata byli przekonani, że Bolesław nie żyje, że zginął gdzieś w hitlerowskich kazamatach, a tymczasem nagle przychodzi ten list, dowód, że człowiek, którego w myślach i pamięci dawno już pochowali, żyje sobie spokojnie w gorącej Australii.

Terleckiego kusiło, aby od razu zacząć czytać, ale postanowił odłożyć to na później. Kolejna epistoła, jak wynikało ze stempla pocztowego, została wysłana siedem lat później z Southampton w Anglii. Terlecki nie znał Wielkiej Brytanii, nigdy tam nie był, ale wiedział, że to miasto jest jednym z największych brytyjskich miast portowych. Być może Bolesław Howański właśnie tam przyплыł z Australii, po drodze napisał list i zaraz po zejściu z pokładu jakiegoś liniowca wysłał go do Polski.

Spojrzał na stemple pocztowe na kolejnych kopertach – łącznie było ich dziesięć – z których wynikało, że resztę swojego życia Bolesław Howański spędził w Europie. Ale musiał być niezłym podróżnikiem, bo po Southampton jego listy miały stemple pocztowe z Paryża, Lizbony, Rzymu, Bonn, Madrytu, Londynu, Brukseli, Aten, Dublina i Berna.

Terleckiego to zaskoczyło.

– Zwrócił pan uwagę, że żaden nie został nadany z Wiednia, w sąsiedztwie którego, według słów Hansa Schulza, pański, czy raczej wasz dziadek, mieszkał od początku lat pięćdziesiątych?

– Właśnie... – Howański wstał, zabierając dawno już opróżnione filizanki. – Wezmę jeszcze po kawie.

Dziennikarz sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął paczkę marlboro. W ostatnim czasie udało mu się ograniczyć liczbę wypalanych papierosów, ale w chwilach takich jak ta nie potrafił się powstrzymać. Był przekonany, że nikotyna pozwala mu się lepiej skoncentrować.

Jego wzrok powędrował w lewo i zatrzymał się na szyldzie sklepu. Kiedyś, w latach osiemdziesiątych, w tym miejscu mieściła się kawiarnia Pół Czarnej, kultowa dla niego i wielu ludzi z jego pokolenia. Pamiętał, że często tu kiedyś zaglądał, ale przede wszystkim pamiętał, że węgry spędzały tu jego dawne szkolne koleżanki: Maria i Renata. Z zakamarków pamięci wygrzebał jakąś imprezę, gdy jego mocno już pijany przyjaciel Bartek wypił wodę z wazonika stojącego na stoliku.

– Zachodził pan do Pół Czarnej w licealnych czasach? Niech pan się przyzna, profesorze.

– Panie redaktorze, nie przystoi, naprawdę nie przystoi pytać o to nauczyciela naszej szacownej Alma Mater. Dlatego mając na względzie powagę mojego urzędu, sparafrazuję tylko słowa kanclerza Bismarcka: Kto za młodu nie chodził do Pół Czarnej, ten na starość będzie skurwielem.

– Skurwysynem. Skurwysynem, nie skurwielem. Choć podobno Otto Bismarck nigdy przypisywanych mu słów nie wypowiedział.

Henryk Howański zebrał leżące na stoliku listy, zapakował do swojej torby, a Terleckiemu podał białą tekturową teczkę z kopiami. Nim dziennikarz wziął ją do ręki, zapytał, czy chemik wie, dlaczego listy wysyłane do rodziny po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku były adresowane nie do żony, Józefy Howańskiej, ale do syna.

– W sześćdziesiątym ósmym roku, chyba w kwietniu, babcia Józefa zginęła. Ojciec opowiadał, że przechodziła przez ulicę Poznańską i potrącił ją samochód. Żuk, pamięta pan z pewnością, taki dostawczak. Sprawca wypadku uciekł, nigdy go nie odnaleziono.

Rafałowi Terleckiemu przemknęła myśl, że w otoczeniu tego człowieka zdarzyło się wyjątkowo wiele wypadków samochodowych.

Rozdział 4

WOLSZTYN, 26 WRZEŚNIA 2019

Rafał Terlecki dotarł do hotelu Leśna, położonego na drugim brzegu Jeziora Wolsztyńskiego, o dwudziestej trzydzięci. Chciał jeszcze pójść nad wodę, aby spojrzeć na panoramę miasta, ale zmienił zdanie, usprawiedliwiając się zapadającym już zmrokiem. Postanowił, że popatrzy na Wolsztyn podczas porannego joggingu.

Zamierzał od razu wskoczyć do łóżka i poczytać, ale nagle poczuł dojmujący głód. Rano zjadł śniadanie, a później tylko hot doga na stacji benzynowej, więc zszedł do hotelowej restauracji, biorąc ze sobą teczkę z listami Bolesława Howańskiego.

Wybór dań nie był oszałamiający. Zamówił tatarą i podwójną whisky z lodem, a później sięgnął po smartfona i zagłębił się w internecie. Chciał jeszcze przejrzeć pocztę i informacje opublikowane na największych portalach. Akurat kończył, gdy zadzwonił Bartek Nowicki, przyjaciel z liceum, który przed rokiem znacznie przyczynił się do wyświetlenia sprawy Zdzisława Skibniewskiego.

- Mówi się, że jesteś w Wolsztynie.
- Podpiąłeś się do miejskiego monitoringu?
- Nie, ale pracuję nad tym. Żona przejeżdżała obok Rynku i zobaczyła cię w Café de Paris. Rozmawiałeś z chemikiem z liceum. Zachodzę w głowę, o czym mogłeś gaworzyć z nauczycielem chemii, bo na pewno nie o chemii. Nie jestem

pewien, ale wydaje mi się, że w liceum nie znałeś nawet wzoru na dwutlenek siarki.

Bartek przesadzał, ale wcale nie tak bardzo. Rozmawiali jeszcze kilka minut, jak zawsze wspominając licealne czasy – im dalej od matury, tym robili to częściej – a później umówili się na następny dzień.

Kelnerka przyniosła jedzenie i alkohol, więc Rafał wyciszył telefon i sięgnął po kartonową teczkę z kopiami listów Bolesława Howańskiego. Dopiero teraz zauważył, że są starannie ułożone, zgodnie z datami wysłania, a do każdego jest podpięta kopia koperty. Sprawdził to raz jeszcze i z uznaniem pokiwał głową. Miał wiele podziwu dla ludzi, którzy umieli utrzymać porządek w dokumentach, bo jemu nigdy się to nie udawało.

Wziął do ręki pierwszy list, gdy jakaś myśl zaświtała mu w głowie. Już wcześniej go to uderzyło, ale akurat zaczęli się zbierać i gdzieś mu to umknęło. Teraz wziął przygotowaną wcześniej kartkę i zapisał:

Skąd Bolesław Howański wiedział, że jego żona zginęła w wypadku samochodowym w sześćdziesiątym ósmym?

A wiedział, skoro list z następnego roku był już zaadresowany do syna. Czyżby to była jednak obustronna komunikacja? Nauczyciel o tym nie wspomniał. W takim razie dokąd, nie znając miejsca pobytu Bolesława, rodzina wysyłała listy? Narysował na kartce duży znak zapytania.

Sięgnął po list wysłany z Australii, z Perth w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Od razu zauważył, że był napisany starannym pismem, zdziwiło go tylko, że zajmował niespełna połowę kartki. Mało jak na informację o „zmartwychwstaniu”. Przez wszystkie te lata Józefa Howańska mogła oczywiście wierzyć, że jej mąż żyje, ale w głębi

duszy musiała brać pod uwagę, że jednak zginął. W końcu liczbę ofiar wojennego kataklizmu szacowano na sześćdziesiąt milionów ludzkich istnień.

Najdroższa Józio!

Mam nadzieję, że ten list do Ciebie dotrze. Słyszałem, że nie wszystkie docierają, bo wiele zatrzymują władze, ale pokładam nadzieję w Bogu. Tak, żyję. Rozumiem, że list (jeśli dotarł) jest dla Ciebie szokiem, ale uwierz mi, że nie mogłem napisać wcześniej. Nie mogłem – dla Twojego i swojego dobra. Przeżyłem wojnę, a mam nadzieję, a może nawet jakąś wewnętrzną pewność, że Ciebie też Bóg wyniósł z niej całą i zdrową. Jak nasz Kazik? Bardzo za nim tęsknię i oczywiście za Tobą też. Wkrótce, za kilka miesięcy, napiszę więcej. Proszę Cię tylko, abyś nikomu o tym liście nie mówiła, nawet Kazikowi. Obawiam się, że gdyby się dowiedział, że jego ojciec żyje, mógłby o tym rozpowiadać, a na razie to bardzo niewskazane. Ty też, zaklinam Cię i błagam na kolanach, nikomu nic o tym nie mów, nawet rodzicom. To by nam wszystkim bardzo zaszkodziło. Na koniec mam do Ciebie jeszcze jedną prośbę. Nie wierz w to, co o mnie mówią. To NIEPRAWDA. Napiszę do Ciebie wkrótce.

Twój Bolciu

Jak na okoliczności list wydał się Rafałowi Terleckiemu bardzo zdawkowy. Próbował sobie wyobrazić reakcję Józefy Howańskiej na tę wiadomość. Pierwszą z pewnością musiała być nieopisana radość, że jej mąż żyje, ale później musiała się zastanawiać, dlaczego jest tak tajemniczy. Wprawdzie to, że nie wrócił do kraju, nie było niczym nadzwyczajnym, wiele osób, których zakończenie wojny zastało na Zachodzie, w obawie przed komunistycznym reżimem nie wróciło wówczas do Polski. Ale już prośba, aby utrzymać w tajemnicy informację, że

Bolesław przeżył wojnę – zwłaszcza przed rodzicami i synem – była co najmniej zastanawiająca. Najpewniej Howański nie chciał, aby wiadomość o tym, że przeżył wojnę, dotarła do komunistycznych władz. A to już było niezrozumiałe. Mieszkał w końcu na Zachodzie, gdzie władza Urzędu Bezpieczeństwa nie sięgała. Był tylko jeden wyjątek i dotyczył osób, które miały na sumieniu aktywną współpracę z hitlerowcami. A konkretnie – zbrodnie. Takie osoby bez żadnych oporów oddawano pod polską jurysdykcję. *Nie wierz w to, co o mnie mówią. To NIEPRAWDA* – przeczytał jeszcze raz.

– No i w końcu mieszkał w Australii, a później w Austrii – powiedział na głos dziennikarz, ściągając na siebie uwagę kelnera. Był jedynym gościem restauracji i dwie siedzące za barem kobiety spojrzały na niego ze zdziwieniem. Kiwnął przepaszająco ręką i wrócił do swoich myśli. Nagle przyszło mu do głowy, że wysiłki profesora, aby wyświetlić losy dziadka, mogą się okazać tragiczne w skutkach.

Kilka lat temu Rafał Terlecki przeczytał książkę brytyjskiego historyka i pisarza – w tej chwili nie pamiętał ani jego nazwiska, ani tytułu książki – o ściganiu po wojnie hitlerowskich zbrodniarzy. Praca była świetnie udokumentowana i zapamiętał, że po wojnie wielu zbrodniarzy ukrywało się w Austrii. Zaskoczyło go zresztą wówczas, że tylu z nich było obywatelami tego kraju: Ernst Kaltenbrunner, Adolf Eichmann, Otto Skorzeny, Arthur Seyss-Inquart...

Wypił trochę whisky i jego organizm zaczął domagać się nikotyny, ale zdusił w sobie to pragnienie i wziął do ręki kolejną kartkę. List był datowany na listopad tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Pismo było równie staranne i Terlecki nie miał wątpliwości, że zostało skreślone tą samą ręką. Przyjrzał się uważnie, ale nie zauważył żadnych różnic,

choć światło w restauracji było kiepskie. Zanotował, aby sprawdzić u grafologa, czy listy wyszły spod tej samej ręki.

Najdroższa Józio!

Wydaje się, że dzień naszego spotkania zbliża się szybkimi krokami. Jestem już w Europie, bliżej Was. Czytam, co dzieje się w Polsce, i wierzę, że zmiany będą głębokie, skończy się sowiecka dominacja, a my znowu będziemy mogli być razem. Chciałbym, abyście przyjechali tu do mnie, bo miejsce, w którym teraz żyję (na razie celowo nie podaję nazwy, uwierz mi, nie mogę), stwarza wiele wspaniałych możliwości. Żyje się tu lepiej, niż kiedykolwiek żyło się w Polsce i chyba kiedykolwiek żyć się będzie. Mam dobrą pracę, zarabiam dużo, więcej niż w drukarni Schneidera, choć i wtedy nie mieliśmy przecież powodów do narzekań (mam na myśli przed wojną). Włożyłem w kopertę dwadzieścia dolarów, czy dotarły? Sprzedaj te dolary, na pewno uda ci się znaleźć jakiegoś kupca. Chciałbym, abyś za uzyskane w ten sposób pieniądze kupiła coś Kazikowi (co tam potrzebuje), ale też koniecznie coś dla siebie, jako prezent od swojego męża. Nie widzieliśmy się już tak długo! Strasznie mi za Tobą tęskno, wiedz, że cały czas Cię miłuję i bardzo mi Was brakuje. Może nasza udręka ma się ku końcowi? Może to koniec Sowietów i ich panowania nad Polską? Piszą tu, że Gomułka siedział za Stalina w więzieniu, więc pewnie będzie chciał im odplacić pięknym za nadobne. W lipcu w miejscowej prasie dużo było o robotniczych rozruchach w Poznaniu. Mam nadzieję, że w Wolsztynie (jakże tęsknię za naszymi wyprawami na plażę na Kaffenbergu) nic się nie działo, że jesteś w dobrym zdrowiu i taka piękna, jak pamiętam. A Kazik? Ma już przecież jedenaście lat! To głupi wiek (pamiętam po sobie) więc pilnuj go bardzo uważnie i goń do nauki. To źle, że wychowuje się bez męskiej ręki (czy aby?), ale wierzę, że ten czas już mija, że niebawem na powrót będziemy razem.

Twój Bolciu

Rafał Terlecki wstał od stolika, wzbudzając czujność kelnerek cicho rozmawiających za bufetem, i podszedł do wiszącego na ścianie kinkietu. Potrzebował lepszego światła. Jego niewprawne oko nie dostrzegło żadnych różnic między pismem autora obu listów. Przyjrzał się kopii, ale nie potrafił wyciągnąć żadnych wniosków.



Poranny jogging wprowadził go w dobry nastrój. Ścieżka prowadząca nad brzegiem jeziora, a później przez las nie była na szczęście wyasfaltowana, co stanowiło miłą odmianę od jego warszawskiej trasy biegowej. Dotarł na Ruchocki Młyn i wrócił tą samą drogą. Zrobił kilka ćwiczeń rozciągających, a później wziął długi prysznic i zjadł śniadanie. Chciał zadzwonić do profesora Howańskiego, aby zapytać, czy jego babcia i ojciec wysyłali listy do Bolesława, ale uświadomił sobie, że o tej porze nauczyciel jest zapewne w szkole i męczy swoich uczniów kartkówkami lub chemicznymi doświadczeniami. Wrócił do pokoju i sięgnął po papierową teczkę.

Przeczytanie wszystkich listów Bolesława Howańskiego zajęło mu niewiele czasu. Większość była na trzy czwarte kartki, tylko dwa okazały się nieco dłuższe, ale żaden nie zajmował więcej niż dwie stroniczki. Ostatni list dzieliło od pierwszego blisko pół wieku, ale Rafał nie dostrzegał między nimi żadnych istotnych różnic. W każdym nadawca zapewniał o swojej miłości i tęsknocie za rodziną, w każdym pisał, że dobrze mu się powodzi, w żadnym nie tłumaczył, co się z nim stało po aresztowaniu przez Niemców. Tylko raz, jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, wspomniał

o przyjeździe żony i syna na Zachód. Gdy żyła jeszcze Józefa Howańska, wyjazdy na Zachód były właściwie dla obywatela Peerelu nieosiągalne, ale już w latach siedemdziesiątych nie było to trudne, a od końca kolejnej dekady każdy Polak trzymał swój paszport w domu.

Po co w takim razie pisał te listy? I dlaczego rodzina tak starannie je ukrywała? – zastanawiał się Terlecki.

Jeszcze raz rozłożył kartki, porównując pismo. Żadnych anomalii. Wypisał daty wysłania listów, próbując doszukać się jakiejś prawidłowości, ale niczego nie dostrzegł.

Przed trzynastą pojechał do Prowansji. Bartek Nowicki już czekał.

– Dobrze cię widzieć.

– Ciebie jeszcze lepiej. Przyjechałeś do Wolsztyna służbowo czy całkiem prywatnie? Znam kilka piękniejszych miast do spędzania wolnego czasu...

– Ja też. Ale niewiele takich, w których dzieje się tyle dziwnych rzeczy – stwierdził Rafał i opowiedział przyjacielowi o prośbie Howańskiego, ich wczorajszej rozmowie oraz o tym, co wyczytał w listach jego dziadka.

Bartek, który miał znacznie większą wiedzę o drugiej wojnie światowej, był zaskoczony.

– W więzieniu RSHA trzymano tylko najważniejszych, tych, którzy stanowili największe zagrożenie dla Trzeciej Rzeszy, mogli jakoś wpłynąć na losy wojny. Ten Howański z pewnością do nich nie należał, coś bym na ten temat wiedział. Partyzantka w tym regionie jak na wszystkich terenach włączonych do Rzeszy była mikra, w każdym razie nie taka, aby musiał się nią interesować Kaltenbrunner.

– Tak, to dziwne. Ale mnie bardziej zastanawia, dlaczego stary Howański przez resztę życia się ukrywał. Owszem, niektórzy zbrodniarze wojenni stawali przed sądem jeszcze zupełnie niedawno, ale musieli mieć naprawdę wiele na sumieniu. Klaus Barbie, zwany katem Lyonu, został skazany na początku lat osiemdziesiątych, bo udowodniono mu odpowiedzialność za wywózkę do obozów koncentracyjnych siedmiu i pół tysiąca francuskich Żydów, śmierć ponad czterech tysięcy trzystu, torturowanie czternastu tysięcy. Ale Bolesław Howański?

Skończyli lunch kilka minut po czternastej. Terlecki musiał się spieszyć, chciał jeszcze raz porozmawiać z nauczycielem chemii, a ten kończył pracę po czternastej trzydzieści.

– Dam znać. Może spotkamy się podczas weekendu na małą wódkę i pomożesz mi w rozwiązaniu tej zagadki?

– Umarłego pytają. Wygląda na to, że to jedna z tych spraw, której *bez wodki nie rozbieriesz*. I to dużej, na małą szkoda czasu.



Profesor Henryk Howański jednak nie pomógł.

Gdy uczniowie wyszli z gabinetu chemicznego, nadzwyczaj sprawnie, bo była to już ich ostatnia lekcja, zaprosił Terleckiego do środka. O tej porze w pokoju nauczycielskim było jeszcze tłoczno, a on najwyraźniej chciał zachować dyskrecję. Ale jego odpowiedzi były rozczarowujące. Nauczyciel stwierdził, że nic mu nie wiadomo o tym, aby jego babcia, a później ojciec wysyłał listy do Bolesława.

– Ojciec cały czas mnie okłamywał, nawet wtedy, gdy już umierał. Zawsze twierdził, że Bolesław nie żyje. Nie umiem

sobie tego wytłumaczyć. – Nauczyciel chodził wzdłuż tablicy, bezradnie rozkładając ręce.

Terlecki zapytał, czy zastanawiał się, dlaczego jego dziadek całe życie się ukrywał. Nauczyciel podszedł do okna i patrząc na rozciągające się w dole boisko, długo milczał. W końcu się odwrócił i spojrzał na dziennikarza.

– Mam dwie teorie, pozytywną i negatywną. Bolesław po prostu oszukiwał swoją rodzinę. Podczas wojny jakoś wywinął się od śmierci, nie chciał wracać do komunistycznej Polski, urządził się na Zachodzie, było mu tam wygodnie. Po co miał wracać do tego syfu, zapyziałej, zawładniętej przez komunistów Polski, skoro otworzyła się przed nim możliwość życia na Zachodzie? To teoria pozytywna. Dlaczego w takim razie pisał listy do swojej żony, przysyłał jej pieniądze, początkowo może niewielkie, ale z czasem już znaczące? Wygodniej byłoby się przecież nie ujawniać. Na to nie umiem odpowiedzieć. Może miał jakieś poczucie odpowiedzialności, przyzwoitości? To niewykluczone.

– Tylko, proszę wybaczyć szczerść, mało prawdopodobne. Może na początku, w latach pięćdziesiątych, założmy optymistycznie, że jeszcze w sześćdziesiątych. Ale doskonale pan wie, że takie uczucia z czasem stygną, a później wygasają. A on to ciągnął przez niemal pół wieku! – stwierdził Terlecki.

– Ma pan rację. Zwłaszcza że w Wiedniu związał się z kobietą, miał córkę, potem wnuka Hansa. Ma pan rację...

– A druga teoria? Ta negatywna?

Howański skulił się w sobie, opuścił ramiona. Usiadł ciężko za wyłożonym białymi płytkami stołem, zdjął okulary i skrył twarz w dłoniach.

– Myślę, że to oczywiste. Bolesław Howański, ojciec mojego ojca, dopuścił się podczas wojny jakichś straszliwych rzeczy

i chciał uniknąć odpowiedzialności. Za takie rzeczy...

– Za zbrodnie. Powiedzmy to sobie jasno i wyraźnie: za zbrodnie.

– Tak, w Peerelu za udział w hitlerowskich zbrodniach karano śmiercią, a w najlepszym wypadku długoletnim więzieniem. Dla komunistów zwycięstwo nad faszyzmem było źródłem legitymizacji ich władzy, więc akurat w tym musieli być konsekwentni. I byli.

Zapadła cisza. Nauczyciel w końcu założył okulary i ciężko wstał z krzesła. Zaczął porządkować biurko i Terlecki zauważył, że robi to z jakąś kompulsywną starannością.

– Ta druga teoria wydaje mi się dzisiaj bardziej prawdopodobna. A panu?

Howański nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi, więc Terlecki ruszył za nim. Wyszli z klasy, nauczyciel włożył klucz do zamka.

– Tak, mnie też. Choć chcę wierzyć, że obaj się mylimy. Ale mimo to chciałbym tę sprawę wyjaśnić. Nie potrafię z tą tajemnicą żyć – powiedział i ruszył korytarzem w kierunku pokoju nauczycielskiego.

Rozdział 5

WOLSZTYN, 4 PAŹDZIERNIKA 1943

Następnego dnia Ernst Becker wstał wczesnie, włożył przywieziony z Berlina ciemny garnitur oraz kapelusz, który zostawił podczas poprzedniej bytności w rodzinnym domu, i wsiadł do samochodu, nie zjadłszy nawet śniadania. Zapowiedział, że wróci przed wieczorem.

Zwolnił, dopiero gdy minął Adamowo. Wrócił pamięcią do wczorajszej rozmowy z ojcem. W Berlinie o tym nie pomyślał, ale teraz uświadomił sobie, że gdy zniknie, rozpocznie się wielkie śledztwo, które obejmie również jego rodziców. Będzie brutalne, działania Gestapo zawsze są brutalne. Wczoraj ojciec powiedział, że nie powinien się o niego i matkę martwić, ale stary bauer niewiele wiedział. Nie znał metod, którymi posługiwali się funkcjonariusze Gestapo. A nie miał wątpliwości, że Gestapo także zostanie włączone do wyjaśnienia tej sprawy. Zbyt dużo wiedział o rywalizacji niemieckich służb specjalnych, aby karmić się złudzeniami.

Czy mógł narażać rodziców na coś takiego?

Minął Berzynę i dojeżdżał już do przejazdu kolejowego, gdy rogatki zaczęły opadać. Zatrzymał mercedesa i wysiadł, aby zapalić papierosa. Deszcz lekko siąpił, ale nie zwracał na to uwagi. Przed nim stało kilka furmanek i powożący nimi chłopci zerkali na niego z trwogą. Nie zwracał na nich uwagi.

A co jeśli zostanie? Cóż, za jakiś czas, może jeszcze nie za rok, ale najdalej za dwa lata armia Stalina dotrze do granic Rzeszy.

Nie miał wątpliwości, że się przed nimi zatrzyma. Kleszcze się zacisną, bo w końcu, po rozgromieniu sił niemieckich w północnej Afryce, alianci zaatakują Niemców na kontynencie. Zdaniem większości jego berlińskich przyjaciół stanie się to na południu Europy – od miesiąca Amerykanie i Anglicy byli już przecież na południu Włoch – ale Becker nie wykluczał, że główne uderzenie nastąpi od północy, z Anglii, która była niczym ropiejący wrzód, a rosnąca pomoc Amerykanów powodowała, że ten wrzód może w końcu pęknąć i rozlać się na kontynent.

Pułkownik Becker znał raporty spływające do Kaltenbrunnera z różnych ministerstw. Ton wielu z nich był alarmistyczny. Niemiecka machina gospodarcza nadal nieźle funkcjonowała – lepiej niż on i jego przyjaciele przewidywali – ale coraz bardziej zaczynało jej brakować surowców. Klęska pod Stalingradem oznaczała, że Hitler musiał się pożegnać i z nieprzebranym bogactwem ropy naftowej wydobywanej u wybrzeży Morza Kaspijskiego, i z rosyjską rudą żelaza.

Kretyn, pomyślał po raz kolejny o kanclerzu Trzeciej Rzeszy. Kretyn i parweniusz. Po co zaatakował Rosję? Współpraca ze Stalinem układała się bardzo dobrze, gdyby nie to, niemiecka armia nigdy nie osiągnęłaby takich sukcesów. Sam przed wielu laty był rosyjskim poligonie, gdzieś na wschód od Pskowa, i dobrze mu się wówczas z rosyjskimi żołdatami współpracowało. Oczywiście, Rosję trzeba by było w końcu zaatakować, choćby po to, aby dorwać się do tamtejszych surowców, ale można to było odłożyć na później. Najpierw należało się uporać z Anglią i zdławić ruch oporu w podbitych już krajach.

Trzeba mieć jakieś awaryjne wyjście, jak w szachach, pomyślał, wspominając godziny spędzone nad szachownicą

z ojcem. Szlabany kolejowe zaczęły się podnosić i Ernst Becker wsiadł do samochodu, a potem, naciskając klakson, zaczął wyprzedzać furmanki. Spłoszone konie ściągały chłopskie wozy na pobocze, jeden z wozów osunął się do rowu, ale Ernst zupełnie się tym nie przejął. Był zniecierpliwiony, musiał jak najszybciej dojechać na Rynek, gdzie w jednym z hoteli zatrzymał się Oskar Hoffmann.

Uznał, że to z nim najpierw przedyskutuje swój pomysł, a dopiero później spotka się z Alexandrem Müllerem. Oskar był inteligentniejszy, a podczas ich niedawnego spotkania w kasynie oficerskim Ernstowi wydało się, że jego wiara w Trzecią Rzeszę jest nawet słabsza niż jego. Gdy przejeżdżał Bergstrasse, mijając dawny dom parafialny, w którym teraz mieściła się siedziba władz bezpieczeństwa, pożałował, że nie włożył munduru. Gdyby był w mundurze, mógłby wkroczyć do komendy i przynajmniej wstępnie zweryfikować opowieść ojca o genialnym fałszerzu.

A fałszerz ten – jeśli zrodzony podczas jego wczorajszej rozmowy z ojcem plan miał się powieść – naprawdę musiał być geniuszem.

Zaparkował mercedesa i wszedł do hotelu, po czym ściągnął rękawiczki, rzucił je na kontuar i zażądał widzenia z Oskarem Hoffmannem.

– Poczekam w kawiarni. Proszę go natychmiast zawiadomić o moim przybyciu – oznajmił władczym tonem wystraszonej recepcjonistce o pulchnej twarzy i blond włosach. Zauważył w jej oczach strach zmieszany z podziwem. Sprawilo mu to przyjemność.

Zamówił kawę i kawałek ciasta. Wiedział, że zwłaszcza kawa nie dorówna berlińskiej, ale chciał się przed rozmową z Oskarem pobudzić.

Nie czekał długo, nie więcej niż kwadrans.

– To tylko ty. Myślałem, że coś się stało. Znowu zamierzasz pić? – Oskar miał na sobie białą koszulę i ciemną marynarkę, a mimo to wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka.

Hoffmann był oficerem Abwehry i już samo to predestynowało go do rozmowy na temat, który leżał Beckerowi na sercu. Jak każdy funkcjonariusz Sicherheitsdienst des Reichsführers SS Ernst Becker nie znosił oficerów Abwehry, ale wiedział, że ma do czynienia z inteligentnymi ludźmi. A Oskara znał od dzieciństwa. I wiedział, to było najważniejsze, że może mu zaufać.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w kasynie? Chciałem do tego wrócić. Mam pewien pomysł – oznajmił bez żadnych wstępów.

Oskar spojrział na niego uważnie, a później odsunął krzesło i usiadł przy stole. U przechodzącej właśnie kelnerki zamówił kawę i dwa kieliszki koniaku.

– Mów.

– To gnije. Popełniliśmy zbyt wiele błędów. Nie wygramy. A co będzie, jeśli nie wygramy? Niczego nie będzie. Niemiec nie będzie. – Ernst Becker chwycił kieliszki prosto z tacy.

Chwilę milczeli, czekając, aż kelnerka postawi przed nimi kawę i oddali się na bezpieczną odległość. Kawiarnia była niemal pusta.

– Ernst, masz, zawsze miałeś, niezwykłą umiejętność ubierania truizmów w dramatyczną formę. Jestem oficerem Abwehry, wiem, że ta wojna nie może się zakończyć naszym zwycięstwem – powiedział Oskar Hoffmann i sięgnął po kieliszek. – *Prosit!*

Wyszli z hotelu i wąską drogą prowadzącą obok dawnej synagogi skierowali się w kierunku parku. Chcieli swobodnie porozmawiać, a zbyt dobrze znali metody działania niemieckich służb bezpieczeństwa, aby robić to w lokalu. Skręcili w stronę dawnej mariny hrabiów Mycielskich, w której także teraz cumowały jachty i łodzie.

– Interesujący pomysł. Twój ojciec, jak mi się wydaje, nie podziela wiary naszego drogiego kanclerza w ostateczne zwycięstwo?

Współpracownik Kaltenbrunnera nie odpowiedział. Z uwagą przyglądał się otaczającym drzewom i wodził wzrokiem po ich koronach.

– Co myślisz?

– Nie wiem. Trzeba tego fałszerza sprawdzić. I albo zrobię to ja, albo ty. Nie można przecież powierzyć tego pancerniakowi – oświadczył cicho Ernst Becker.

– Tak, czołgiści są dobrzy do taranowania przeszkód, ale nie nadają się do subtelnej gry. Oddałem swój mundur do czyszczenia, ale pojutrze rano wdepnę na komendę. I zrobię tym rozleniwionym, brzuchatym prowincjuszom taki kipisz, że nawet nie będą pamiętali, o czym rozmawialiśmy.

Trochę nadłożyli drogi – deszcz przestał padać i nad jeziorem znowu wyszło słońce – więc powrót na Rynek zajął im kilkanaście minut. Oskar wrócił na chwilę do hotelowego pokoju, a Becker spędził ten czas, paląc papierosa i przyglądając się miastu. Było inne, niż zapamiętał. Zniknęła żydowska knajpa Fischera, do której kiedyś czasem zaglądali, synagoga była zamknięta, nad ratuszem powiewała niemiecka flaga. Reprezentacyjny plac miasta wydał mu się czystszy i bardziej uporządkowany, ale brakowało mu dawnego kolorytu i zgiełku, który kiedyś tak mu imponował i który – przyznawał się do tego

tylko przed sobą – po prostu lubił. Gdy ze swoich wsi wyrywali się z Oskarem i Alexandrem do Wolsztyna na młodzieńcze pijackie rajdy, zdawało im się, że są w centrum tętniącej życiem metropolii. Po latach spędzonych w Wiedniu i Berlinie wiedział, że tak nie było, ale młodzieńcze doświadczenie nadal w nim tkwiło.

– Melancholia? – Oskar Hoffmann podszedł tak cicho, że oficer SD go nie usłyszał.

– Wspomnienia. Pamiętasz Fischera?

– Nie, zapomniałem, a nawet wątpię, abym kiedyś pamiętał. Współpracownik Obergruppenführera Ernsta Kaltenbrunnera też powinien zapomnieć. Ty zrobiłeś karierę w SD dlatego, że masz takie samo imię jak twój szef? Dziwne tam macie kryteria awansu.

Hoffmann oczywiście świetnie wiedział, że to nieprawda. Wiedział też, że jego przyjaciel awansował i osiągnął tak wysoką pozycję nie dzięki jakimś szczególnym zdolnościom, ale dzięki protekcji brata ojca, który związał się z partią hitlerowską, jeszcze zanim ta doszła w Niemczech do władzy. Zrobił to za namową Kaltenbrunnera, z którym poznali się podczas studiów prawniczych, a później przez kilka lat prowadzili nawet wspólną praktykę adwokacką w Linzu. Zresztą Oskar w Abwehrze też awansował dzięki rodzinnej protekcji.

Wsiedli do mercedesa Ernsta i Königstrasse ruszyli do Wroniaw, gdzie mieszkał Alexander Müller. Pancerniak, w przeciwieństwie do Hoffmanna, nie wynajął hotelowego pokoju w Wolsztynie, wolał spędzać urlop w gospodarstwie rodziców. Oskar wskazał ręką mijany właśnie budynek Grand Hotelu.

– Ale to pamiętam i nie zamierzam się tego wstydzić. Boże, co ta dziewczyna umiała! Później już chyba żadnej takiej nie

poznałem. Ciekawe, co się z nią stało. – Major Oskar Hoffmann, funkcjonariusz Wydziału I Abwehry, spoglądał na Grand Hotel z wyraźnym sentymentem.

Ernst dobrze go rozumiał. To tutaj przeżyli swój długo planowany „wieczór inicjacji”. Koncept powstał nieco wcześniej, jeszcze przed złożeniem egzaminu maturalnego, podczas jakiejś ludowej zabawy zorganizowanej przez niemieckie Towarzystwo Pielęgnowania Sztuki i Życia Towarzyskiego pod patronatem wydawanego w Wolsztynie „Hejnału Faszystów”. Wypili wówczas po kilka piw oraz trochę bimbrowa przywiezionego przez Müllera i ustalili, że zaraz po maturze wybiorą się do Wolsztyna i skorzystają z usług miejscowych prostytutek. Starszy o kilka lat brat Alexandra poradził, aby wybrali się do należącego do pana Piotrowskiego Grand Hotelu.

– Tamtejsze dziewczyny są najlepsze – oświadczył z miną bywalca, czym wzbudził ich autentyczny podziw i ciekawość.

Ernst często wracał myślami do tej rozmowy. Żałował, że zabrakło mu wówczas odwagi, aby zapytać, jak powinien się do tego przygotować, jak się zachować i ubrać. Często, zamiast wkuwać materiał zadany przez nauczyciela, wyobrażał sobie, co go czeka w hotelowym pokoju. I zastanawiał się, czy powinien wybrać blondynkę, czy brunetkę. Nie mógł się zdecydować. Ostatecznie trafiła mu się nieco zbyt pulchna blondynka. Teraz zastanawiał się, czy to dlatego wybrał sobie później na żonę Klarę, która czasem wydawała mu się kopia tamtej polskiej prostytutki.

Rogatki przejazdu kolejowego znowu były opuszczone. Przed ich oczami przetoczyła się lokomotywa ciągnąca kilkanaście wagonów towarowych. Ernst śledził wzrokiem sunący szybko pociąg, zastanawiając się, czy to kolejny transport Żydów.

Spojrzał na Oskara. Ten patrzył na pociąg z ponurą miną. Pułkownik SD chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Tego tematu wolał nie poruszać nawet z kolegą, z którym spędził kilka wieczorów w burdelu.

Za pałacem we Wroniawach skręcili w lewo. Alexander Müller, niedawno odznaczony Krzyżem Żelaznym kapitan Wehrmachtu, czyścił właśnie konia. Miał na sobie mocno już zniszczone łachy. Ernst zaparkował samochód obok solidnego, zbudowanego z czerwonej cegły domu.

– Swoje pantery traktujesz z podobną troskliwością? – Oskar wrócił do niefrasobliwego tonu, który na chwilę został stłumiony widokiem jadącego na zachód pociągu.

Minęło ponad pół godziny, nim Alexander skończył oporządzać konia, umył się i przebrał. Rodzicom, patrzącym z troską na swojego młodszego syna, oznajmił, że wybierają się do gospody. Ruszyli jednak w kierunku ciągnących się aż po horyzont pól.

– Wierzysz Hitlerowi? Wierzysz w zwycięstwo? – Ernst zadał to pytanie, nim jeszcze na dobre opuścili gospodarstwo. Zganił się w duchu za tę niecierpliwość, ale nie potrafił nad sobą zapanować.

Müller zamiast odpowiedzieć, zaczął opowiadać. Jego słowa nie przypominały propagandowych relacji, które Niemcy codziennie znajdowali w gazetach i radiu, nie przypominały również rzeczywistości, którą Ernst Becker i Oskar Hoffmann znali z zimnych wojskowych i wywiadowczych meldunków.

– Nigdy nie byliście głodni. Nie bardzo wiem, jak żyliście w Wiedniu i Berlinie, ale mogę to sobie wyobrazić. Ja po wstąpieniu do wojska trafiłem do Kazania. To w Rosji...

– Wiemy – odpowiedzieli niemal równocześnie.

– To był tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci. Ostatni rok funkcjonowania szkoły. Warunki były ciężkie, nieporównywalne z tym, czego teraz doświadczamy. W październiku wróciłem do Niemiec. A potem, w czerwcu czterdziestego pierwszego roku, znowu pojechałem do Rosji, tego przekłętego, bezkresnego kraju...

Ernst przerwał Alexandrowi. Już to słyszeli i nie chcieli słuchać po raz kolejny.

– Alexander, zadałem ci pytanie. Wierzysz Hitlerowi? Wierzysz w ostateczne zwycięstwo?

Becker schylił się i wziął w rękę trochę ziemi, mieląc ją między palcami. Wiedział, że naśladuje w tym ojca, ale nie potrafił się powstrzymać.

– Nie. Już nie. Kiedyś tak, kiedyś wierzyłem. Gdy szliśmy na Moskwę, gdy gnietliśmy Sowietów niczym insekty, naprawdę wierzyłem. Bardzo wierzyłem. Ale później... Był taki Helmut, dowódca plutonu czołgów. Świetny. Lubiłem go, miał serce do walki, niemal zwierzęcy instynkt. Urodzony czołgista. Zginął na Łuku. Widziałem to. Usmażył się w czołgu. Był hydraulikiem z Poczdamu, mówił, że dobrym, i ja mu wierzę... Wierzyłem. Zresztą poza Helmutem byli inni, wielu innych.

Oskar i Ernst popatrzyli na siebie. Pułkownik SD przyzwalająco kiwnął głową i oficer sekcji I H Abwehry zajmującej się rozpoznaniem wojsk lądowych obcych armii położył Müllerowi ręce na barkach.

– Dość. Zostawmy to. Mamy plan. Pytanie, czy chcesz się do nas przyłączyć. Alexander, słyszysz, co do ciebie mówię?!

Stali w środku świeżo zżętego, jeszcze nie do końca zaoranego pola. Zabudowania Wroniaw były już ledwo widoczne, a opodal majaczył niewielki sosnowy laszek. Ten sam, w którym wiele lat temu skrywali się, paląc pierwsze papierosy.

Müller patrzył na nich niewidzącym wzrokiem, ale nagle jakby otrzeźwiał.

– Choćby dzisiaj. Nie chcę wracać do tego piekła.

Rozdział 6

WOLSZTYN, 24 WRZEŚNIA 2019

Rafał Terlecki z zainteresowaniem rozglądał się po pokoju. Wydawało się, że mimo zawieruchy panującej na świecie akurat w tym miejscu czas się zatrzymał. Rok temu profesor Dawid Lewandowski, nauczyciel historii w wolsztyńskim liceum ogólnokształcącym, skierował go na właściwy trop i dziennikarz miał nadzieję, że teraz będzie podobnie.

Profesor z nabożeństwem obracał w rękach butelkę, którą właśnie dostał od Terleckiego.

– Calvados! Wie pan, że nigdy nie piłem? Nigdy! A przecież francuska literatura, której jestem wielbicielem, spływa calvadosem.

– I absyntem.

– I absyntem. Kiedyś go piłem i wydał mi się przereklamowany. Ale calvadosu nigdy, jakoś nie było okazji. Skusi się pan, jak sądzę?

– Poproszę kropelkę, dosłownie kropelkę. Ta butelka to wyraz mojej wdzięczności za pomoc, którą mi pan poprzednio okazał.

– Och, proszę nie przesadzać. Pański reportaż wywołał w Wolsztynie niemały wstrząs. Znakomita robota. – Profesor ubrany w ciemne spodnie, koszulę i wiekową już marynarkę zmierzał do kredensu, z którego wyciągnął dwa kieliszki na wysokiej stopce, i odwrócił się do Terleckiego. – W jakich

kieliszkach powinno się pić calvados? Literatura nie jest tu precyzyjna, a powiedziałbym nawet, że bardzo wstrzemięźliwa. Co podpowiada pańskie warszawskie doświadczenie?

Dziennikarz uśmiechnął się i machnął ręką. Profesor mocno przeceniał jego doświadczenie w tym względzie.

– Nie jestem aż takim birbantem, jak pan sobie wyobraża. Podobno do tej wódki z jabłek używa się tulipanowych kieliszków z przykryciem. Ale mam wrażenie, że ten egzemplarz nie pogniewa się, nawet jeśli spożyjemy go w filiżankach.

Profesor zaśmiał się, postawił kieliszki na stole, napełnił je alkoholem i rozsiadł się na krześle.

– Co pana dzisiaj sprowadza?

– Okupacja. Podobno to specjalność pana profesora. Mówiono mi, że badał pan ten okres i jest pan wybitnym znawcą okupacyjnej historii Wolsztyna.

Dawid Lewandowski uśmiechnął się z ukontentowaniem i chwycił kieliszek, a później opróżnił jego zawartość.

– Znakomita rzecz, znakomita – powiedział, patrząc na ostatnie krople ściekające po szkle. – Czułem to, czytając Zolę i Flauberta, po prostu czułem. Cóż to za piękna literatura, a teraz okazuje się na dodatek bardzo prawdziwa. Proszę pytać, panie redaktorze. Co pana interesuje?

Terlecki umoczył usta w calvadosie i zapytał, czy prowadząc swoje badania nad okupacją w Wolsztynie, profesor natknął się na nazwisko Bolesława Howańskiego.

– To dziadek Henryka, nauczyciela z liceum – dodał.

Lewandowski spojrział na niego zaskoczony i Terlecki wyjaśnił, że to właśnie profesor Henryk Howański opowiedział mu historię Bolesława.

Gospodarz na chwilę się zamyślił, a później sięgnął po butelkę. Jej długa szyjka zawisała nad kieliszkiem dziennikarza, ale ponieważ naczynie nadal było pełne, nalał alkohol tylko do swojego.

– Nie chciałbym, aby to się gdzieś znalazło, rozumie pan. Henrykowi by to zaszkodziło, a tego w żadnym razie bym nie pragnął. To porządny człowiek, bardzo zaangażowany, ma opinię świetnego nauczyciela. Ale jego dziadek, cóż... – Profesor szybkim ruchem opróżnił zawartość kieliszka. – Naprawdę znakomita!

Terlecki lekko pochylił się nad stołem. Zapewnił gospodarza, że rozmawiają nieoficjalnie, i jeszcze raz poprosił, aby profesor powiedział mu wszystko, co wie na temat Bolesława Howańskiego.

Dawid Lewandowski napełnił swój kieliszek po raz trzeci, a później chwycił go i wstał od stołu. Podeszedł do okna i patrząc przez długą białą firankę na rozciągający się niżej parking, zaczął mówić. Terleckiemu wydało się, że całkowicie zagłębił się w swojej opowieści. Z trwogą obserwował kieliszek w dłoni nauczyciela przechylający się niebezpiecznie.

– Nie ma żadnych dokumentów. To znaczy przynajmniej ja niczego nie znalazłem. A trzeba panu wiedzieć, że badając okupacyjną historię Wolsztyna, dotarłem nawet do Berlina i tamtejszych archiwów. Na nazwisko Howańskiego nie trafiłem. Natomiast mieszkańcy miasta, którzy przeżyli tu wojnę, opowiadali mi, że Bolesław był zawsze blisko Niemców. Pracował w niemieckiej drukarni...

– Schneidera, wiem. Ale w tym nie było chyba niczego zdrożnego, przed wojną w Wolsztynie funkcjonowało wiele firm mających niemieckich właścicieli, bo przecież, podobnie jak

w całej zachodniej Wielkopolsce, mieszkała tu liczna mniejszość niemiecka.

Profesor przytaknął, chociaż nie wydawał się przekonany. Popatrzył na kieliszek i Terlecki miał nadzieję, że szybko go opróżni, chroniąc tym samym firankę przed poplamieniem. Ale profesor znowu spojrzął w okno.

– No tak, ale jednak podczas okupacji wciąż tam pracował. Być może nie miał wyboru, być może... – Lewandowski wrócił do stołu. Nim usiadł, jednym haustem wypił całą zawartość kieliszka i sięgnął po filiżankę z herbatą.

Zapadło milczenie. Profesor pogрузzył się w rozmyślaniach, robiąc jedną ze swoich tak irytujących przerw, o których dziennikarzowi opowiadali absolwenci liceum. Gospodarz przez kilkadziesiąt sekund wpatrywał się w peerelowską meblościankę, a Terlecki cierpliwie czekał, wolno obracając stojący na stole kieliszek.

– Rzeczywiście, może nie miał wyboru – powtórzył w zamyśleniu profesor. – Wbrew temu, co mówi dzisiejsza władza, i wbrew temu, co zawsze lubiliśmy o sobie myśleć, nie wszyscy Polacy byli wtedy w konspiracji. Ogromna większość po prostu starała się przeżyć w skrajnie trudnych warunkach. Niedawno czytałem, że w działalność konspiracyjną podczas drugiej wojny światowej był zaangażowany zaledwie jeden procent Polaków. Niezbyt to imponujące. Zresztą do jakiej konspiracji Howański miałby się w Wolsztynie przyłączyć?

Profesor Lewandowski zerwał się z krzesła i podszedł do regału z książkami. Były starannie ułożone.

– Żona nieustannie robi tutaj porządek, przez co niczego nie mogę znaleźć. Właśnie wczoraj, gdy powiedziałem jej o pańskiej wizycie, ułożyła książki. Kłócimy się o to od czterdziestu pięciu lat, od pierwszego dnia naszego małżeństwa. No cóż, chyba już

tej wojny nie wygram, utonę niczym księżę Józef Poniatowski w wodach Elstery. Wie pan, kim był księżę Poniatowski? – zapytał, a później machnął ręką. – Proszę wybaczyć to pytanie, nauczycielski nawyk.

Profesor wrócił do stolika. Nim usiadł, nalał sobie kolejny kieliszek calvadosu, ale tym razem upił tylko trochę, rozsmakowując się w alkoholu.

– Problem z Howańskim, mam na myśli naturalnie Bolesława, a nie mojego kolegę profesora Henryka Howańskiego, jest taki, że wspomnienia o nim są sprzeczne. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy przeżyli okupację w Wolsztynie. Większość z nich twierdziła, że Bolesław był w dobrej komitywie z Niemcami. Mówiąc wprost, właściwie to się Niemcom wysługiwał. Ale nie wszyscy to potwierdzali. Jeden z kolejarzy opowiadał mi, niestety, nie udało mi się znaleźć na to żadnych dowodów, że pracując w drukarni Schneidera, Howański podrabiał kartki. Wie pan oczywiście, że żywność była wtedy na kartki?

Terlecki skinął głową.

– No więc podrabiał te kartki, a podobno również dokumenty i nawet reichsmarki. I to tak, że nikt nie potrafił rozpoznać fałszerstwa. – Profesor znów sięgnął po kieliszek.

Z opowieści kolejarza wynikało, że Bolesław sprzedawał podrobione przez siebie dokumenty, przede wszystkim kartki na żywność, które były wówczas najbardziej pożądanym towarem. Proceder ciągnął się długo, aż do tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, gdy jeden z sąsiadów zadenuncjował Howańskiego.

– Może nie była to najbardziej patriotyczna postawa, w tym dzisiejszym rozumieniu patriotyzmu, ale jeśli rzeczywiście tak było, to jednak ludziom pomagał. – Profesor znowu się

zamyślił, a później popatrzył na Terleckiego. – Właściwie to nawet nie wiem, czy wspomniałem o tym Henrykowi.

Rafał Terlecki zapytał, czy profesor wie, co się stało z Bolesławem Howańskim później, już po aresztowaniu.

– Właśnie dlatego szukałem swoich notatek. Były w takim grubym zeszycie, w granatowej okładce. – Profesor znowu podszedł do meblościanki. Wskazał na górną półkę, a później zrezygnowany machnął ręką. – Nie widzę ich, żona musiała go gdzieś schować. Rano pojechała do córki, do Zielonej Góry. Wnuk, Maksymilian, trochę się rozchorował. Zaraz do niej zadzwonię.

Jak się okazało, zeszyt z notatkami był w szufladzie biurka stojącego w pokoju, który służył profesorowi za gabinet. Wziął go, usiadł przy stole i zaczął przeglądać, a Terlecki znów napełnił jego kieliszek. Lewandowski spojrzał na niego i uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Gdzieś to tu było, gdzieś to zapisałem, pamiętam doskonale... – mamrotał coraz bardziej poirytowany.

Dziennikarz podszedł do półki z książkami. Wypełniały ją podręczniki akademickie, biografie Napoleona, de Gaulle'a, Churchilla, Chruszczowa, Gomułki, Mao, Stalina, książki Allana Bullocka i biografie pióra Mariusza Urbanka: Tyrmanda, Makuszyńskiego, Wieniawy-Długoszowskiego, Broniewskiego, Tuwima i Waldorffa, a także spory zbiór literatury francuskiej.

– Dziwne, nie mogę znaleźć. Ale gdzieś na pewno są! Może w tym drugim zeszycie? Też gdzieś tu leżał i też go nie ma. To były notatki z rozmowy z tym kolejarzem, Włodzimierzem Gabryjelczykiem.

Terlecki zapytał, czy jego dawny rozmówca żyje, bo chciałby się z nim spotkać, ale profesor nie wiedział. Ich rozmowa odbyła się przed dziesięciu laty.

– Widywałem go później w mieście. Teraz już nie, więc nie umiem powiedzieć. Ale jeśli żyje, to musi być bardzo wiekowym człowiekiem. O ile pamiętam, w chwili zakończenia wojny miał dwadzieścia lat.

Jeśli profesora Lewandowskiego nie zawodziła pamięć, to teraz kolejarz zbliżałby się już do setki. Dziennikarz pomyślał, że to kiepski trop.

Gospodarz wstał, oznajmiając, że idzie poszukać drugiego zeszytu, ale Rafał Terlecki go powstrzymał. Podał profesorowi wizytówkę ze swoim numerem telefonu i poprosił o kontakt, jeśli uda mu się znaleźć dawne notatki. Lewandowski przytaknął i zapytał, czy napiją się strzemiennego.

– Kawalerzyści zawsze pili! – oznajmił, z trudem dźwigając się z krzesła.

– No tak, ale kawalerzystów prowadziły do domu konie. A ja nie chciałem zostać doprowadzony przez psy.

Lewandowski spojrział na niego zdziwiony, a Terlecki wytłumaczył, że mówiąc psy, miał na myśli policjantów. Gospodarz szczerze się roześmiał.

– A tak, rzeczywiście. Słyszałem już to określenie od swoich uczniów.

Terlecki ruszył do wyjścia, a profesor uparł się, aby go odprowadzić. Szedł niezbyt pewnym krokiem. Gdy zbliżyli się do drzwi, chwycił gościa za rękę.

– Coś sobie przypomniałem. To może być dla pana interesujące. Otóż w kamienicy obok Howańskich mieszkał zdun, który miał syna Alfonsa. Dzisiaj to imię brzmi zabawnie, ale kiedyś było dość popularne. Ten syn, wtedy jeszcze mały chłopak, podczas wojny pracował u jakiegoś bauera, zasiedziało tu Niemca. To było gdzieś pod Wolsztynem, nie

w samym mieście, ale nie pamiętam gdzie. Ten Alfons coś tam kiedyś usłyszał, jakąś rozmowę dotyczącą Bolesława Howańskiego. Ale szczegółów już nie pamiętam.

– A pamięta pan nazwisko tego człowieka?

– Nie, ale wiem, kogo zapytać. Zadzwonię do pana w ciągu kilku dni. I jeszcze raz dziękuję za calvados. *Au revoir!*

Rozdział 7

WIDZIM STARY, 3 LISTOPADA 1943

Erich Becker był wściekły. Podczas zaprzęganego konia do powózki miotał przekleństwami z taką furją, że klacz aż położyła uszy po sobie. Później włożył białą koszulę, którą zapiął wysoko pod szyją, marynarkę i filcowy kapelusz, a następnie strzelając z bata, wyjechał z podwórza.

– Zrobię z tym porządek, panie Balcer, proszę się nie martwić. Nie zostawię tego.

Obok niego siedział czterdziestoletni mężczyzna ponuro wpatrujący się w zad konia. On także miał na sobie czarną marynarkę i zapiętą pod szyją białą koszulę, jego rzadziejące włosy skrywał mocno już sfatygowany kaszkiet. Był zdunem, solidnym wolsztyńskim rzemieślnikiem cieszącym się wśród klientów dobrą opinią. Poznali się wiele lat temu, gdy Becker poprosił go o naprawę jednego z pieców. Polak zrobił to sprawnie i starannie, więc później bauer często – Balcer wykonywał też wiele prac ślusarskich i murarskich – korzystał z jego usług i polecał go okolicznym gospodarzom. Po wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku ich stosunki się zmieniły, Polak starał się go unikać, ale po jakimś czasie wszystko wróciło do normy. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Kilka miesięcy temu zdun przyjechał do Beckera rowerem i mnąc w rękach kaszkiet, zapytał, czy gospodarz nie chciałby przyjąć parobka.

– To mój syn, Alfons, ma dziesięć lat. Dobry chłopak, bardzo pracowity i zmyślny. Ulży panu w robocie. W polu pomoże, przy krowach i świniami się zakręci. Może sypiać w stodole. – Spojrzał na Niemca proszącym wzrokiem.

Becker rozumiał prośbę zduna. Ustalone przez niemieckie władze pensje dla Polaków nie sięgały nawet 100 marek i dziwił się, że za tak skromne pieniądze potrafią jakoś przeżyć. Zwłaszcza że kartkowe racje żywnościowe były głodowe, w dodatku ostatnimi czasy coraz częściej wyroby mięsne fałszowano mąką, a do sklepów trafiała z reguły zjełczała margaryna, zaś masło, ser i jajka w legalnym handlu były dla Polaków niedostępne. Niedawno zwiększono wprowadzie przydział chleba i umożliwiono kupno mleka, ale i tak tygodniowo Polacy mogli nabyć tylko niespełna litr. Z przydziałów kartkowych zniknęła nawet marmolada.

Bauer zgodził się na prośbę zduna i później wielokrotnie wieszował sobie tej decyzji. Alfons świetnie się spisywał i sumiennie wykonywał powierzone mu obowiązki. Na dodatek wcale nieźle mówił po niemiecku.

– Babcia mnie nauczyła. Jak skończyłem pięć lat, to w domu mówiła do mnie tylko po niemiecku. Twierdziła, że mi się przyda. Zawsze powtarzała, że wrócicie – wytłumaczył z dziecięcą szczerością.

Alfons przypadł do gustu również Heldze, która wcześniej nieustannie narzekała, że prawie nie widuje swoich mieszkających w Berlinie wnuków, więc poza dwoma markami tygodniowego wynagrodzenia obdarowywała chłopaka mlekiem i jajkami, a raz, gdy akurat zaszlachtowali świniaka, wręczyła mu niedużą paczkę kaszanki. Z wdzięczności chłopak pocałował ją w rękę i kobiecie zakręciły się łzy w oczach.

Wczoraj wieczorem Alfons jak co tydzień wsiadł na rower i ruszył do domu z kanką mleka, kilkoma ziemniakami i aż pięcioma jajkami. Nie ujechał daleko. Przed Adamowem zatrzymał go niemiecki patrol.

– Pobili go, panie Becker. Tak go pobili, że gdy wreszcie dowłókł się do domu, był cały we krwi. Mleko wylali, jajka ukradli i zabrali rower. Więc proszę wybaczyć, ale on już więcej nie będzie do pana przyjeżdżał. Boimy się o Alfonsa, to nasze jedyne dziecko. Następnym razem może go spotkać coś gorszego – tłumaczył mu dziś rano cichym głosem Walery Balcer.

– Zrobię z tym porządek – oświadczył po raz nie wiadomo już który Erich Becker.

Gdy wjechali do Wolsztyna, bauer zatrzymał powózkę przed kościołem ewangelickim i kazał zdunowi wysiąść.

– Niczego się nie obawiaj, nic ci nie grozi. Idź do domu i tam na mnie czekaj.

Machnął batem i skręcił w Bergstrasse, a niespełna dwieście metrów dalej ściągnął lejce i zatrzymał się przed jasno pomalowanym budynkiem. Przed wojną znajdował się tutaj dom parafialny, ale zaraz po wkroczeniu do Wolsztyna żołnierzy Wehrmachtu księży przegoniono i w budynku zrobiono posterunek. Becker poprawił kapelusz i zamaszystym gestem otworzył drzwi, wkraczając do sali, w której roiło się od żandarmów i policjantów. Trzasnął drzwiami z taką siłą, że budynek zadrżał, a wszystkie oczy skierowały się na niego.

– Prowadzić do komendanta. Chcę się natychmiast zobaczyć z komendantem! – ryknął.

Zapadła cisza. Wszyscy funkcjonariusze patrzyli na Ericha Beckera. Dwaj wstali zza biurka, a kilku nerwowo dopinało

mundury. Ktoś usilnie, bez powodzenia, starał się stłumić kaszel.

– Komendanta nie ma. Rano pojechał do Poznania, ale wróci wieczorem.

– Wiecie, kim jestem?

Większość przytaknęła.

– Wiecie?! – wrzasnął, ściągając kapelusz.

Tym razem potwierdzili chórem. Teraz stali już wszyscy.

– Wczoraj wieczorem jakichś trzech idiotów pobiło w Adamowie mojego parobka i ukradło mu rower. Mój rower! To niedopuszczalne i nie ujdzie wam to płazem. Wiecie, kim jest mój syn, wiecie, gdzie służy. Więc oświadczam wam, matoly, że jeśli do jutra ci trzej przestępcy nie zostaną ukarani, to wszyscy, łącznie z komendantem, w ciągu tygodnia znajdziecie się na froncie wschodnim. Wszyscy!

Patrzyli w kierunku Ericha Beckera, starannie unikając jego wzroku. Bauer widział, że na czołach kilku najbliższych stojących funkcjonariuszy zalśniły krople potu.

Groźba poskutkowała. Zawsze skutkowała.

Nagle ze stojącej przed nim cizby wyłonił się porucznik i oznajmił, że zastępuje komendanta. Obciągnął mundur niepewnym ruchem. Stał przed Beckerem wyprostowany niczym struna.

– Pragnę pana zapewnić, panie Becker, że natychmiast wdrożę śledztwo w tej bulwersującej sprawie. Sprawcy zostaną przykładnie ukarani! – zameldował. Głos mu się łamał.

– Mam nadzieję, bo następny meldunek będziesz już składał, stojąc po pas w śniegu, a twoje idiotyczne wąsy będą białe od rosyjskiego mrozu. Wystarczy, że szepnę słowo synowi. Czy my się dobrze rozumiemy, panie poruczniku?

Oficer gorliwie pokiwał głową. Podobny gest wykonali pozostali mężczyźni.

Becker ruszył do drzwi. Położył dłoń na klamce i się odwrócił. Porucznik znowu się wyprostował.

– Mój syn, pułkownik Sicherheitsdienst des Reichsführers SS Ernst Becker przebywa właśnie na urlopie w rodzinnym domu. Jutro do południa będzie chciał poznać wyniki pańskiego śledztwa, poruczniku. O jedenastej.

– Tak jest. Rower przywieziemy ze sobą. – Becker wyraźnie widział strużkę potu spływającą po twarzy zastępcy komendanta.

Bauer wyszedł, z hukiem zamykając drzwi. Schodząc po betonowych stopniach, miał wrażenie, że zza ściany słyszy dobiegające go westchnienie ulgi.



Dochodziła siódma rano, gdy Erich Becker kątem oka dostrzegł samochód wtaczający się na podwórze. Uśmiechnął się, ale nie przerwał dojenia. Po chwili bardziej wyczuł, niż usłyszał, że Kurt Wagner stanął w drzwiach obory.

– Dzień dobry, Erichu.

– Witam cię, Kurt. Chcesz trochę mleka?

Komendant wolsztyńskiego posterunku zdjął kubek wiszący na wbitym w ścianie gwoździu i z wiadra stojącego przy drzwiach zaczerpnął świeżo wydojonego mleka. Było jeszcze ciepłe. Erich patrzył na jego duży brzuch, który z trudem mieścił się w jasnej koszuli.

– Przeszło ci? Podobno wczoraj chciałeś mnie wysłać na front wschodni.

– Znasz mnie.

Znał. Znali się od półwiecza. Obaj służyli w armii, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, spędzili ze sobą w okopach długie cztery lata. Kiedyś Erich uratował Kurtowi życie, niosąc go rannego kilka kilometrów. To było we Francji.

– Sprawa jest już wyjaśniona. To trzech gówniarzy, przystali mi ich z Turyngii. Nudzili się. Głupio zrobili, przepraszam w ich imieniu. To się nie powtórzy. – Komendant zamilkł, a później zapytał, czy syn Ericha ma zamiar wysłać tych żandarmów pod Moskwę.

– Znasz mnie, wiesz, że złość szybko mi przechodzi. Ale niech się to już nie powtórzy. I wiedz, że pod Moskwą naszych wojsk już dawno nie ma. Są tam tylko trupy naszych żołnierzy.

Becker wstał z niskiego zydelka, wziął oba wiadra, zaniósł je do wygrodzonego w oborze pomieszczenia i przelał mleko do kan. Gdy skończył, zaprosił Kurta na śniadanie, ale ten się zawahał.

– Wolałbym nie spotykać się z pułkownikiem. Może lepiej mu o całej sprawie nie mówić.

– Kurt, to przecież Ernst. Znasz go od dziecka. Zresztą już wie. Gdy mu to opowiedziałem, zaśmiewał się do łez.

Weszli do kuchni. Helga przywitała się z Kurtem i zaczęła kroić chleb, a Erich sięgnął po butelkę bimbru.

– Od Piszczuna, najlepszy – oznajmił, napełniając szklanki.

Zdążyli opróżnić ich zawartość, gdy do kuchni wszedł Ernst. Serdecznie przywitał się z Kurtem, a później wypił trochę mleka i zaraz sięgnął po trzecią szklankę, nalewając wszystkim po połowie. Przez chwilę rozmawiali – Kurt był ciekaw najnowszych plotek z Berlina i przede wszystkim informacji

z frontu – ale pułkownik szybko skierował rozmowę na interesujący go temat.

– Tak, mamy go. Diabeł nie człowiek. Wysłaliśmy te jego fałszywki do Poznania, ale okazali się bezradni. Nie są pewni i przekazali wszystko do Berlina. Czekam na ich ekspertyzę. A ptaszek siedzi w naszej piwnicy.

– Odpowiedź przyjdzie pewnie nieprędko?

– No raczej. W Berlinie zapewne mają ważniejsze sprawy na głowie.

Skończyli po trzeciej szklance, komendant musiał się zbierać. Ernst odprowadził go do samochodu.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Z kim? – Wagner był już mocno pijany i pułkownik zastanawiał się, czy uda mu się dojechać do Wolsztyna, czy raczej skończy podróż w rowie.

– Z tym fałszerzem. Może coś z niego wycisnę. A jak będę w Berlinie, postaram się sprawę przyspieszyć.

Umówili się na poniedziałek rano.



O siedemnastej kasyno było jeszcze niemal puste, z gramofonu sączyła się cicha muzyka. Zamówili po kieliszku koniaku i usiedli w rogu sali, z dala od innych stolików. Gdy kelnerka podała alkohol, Ernst zaczął relacjonować swoją wizytę na posterunku.

– Wybacz, Oskarze, że wbrew naszym ustaleniom poszedłem tam za ciebie, ale w sobotę odwiedził nas komendant. To dobry znajomy mojego ojca, więc postanowiłem kuć żelazo, póki gorące. Z ustaleń tutejszych funkcjonariuszy wynika, że ten

człowiek nie ma żadnych powiązań z podziemiem. To dobra wiadomość. Druga dobra jest taka, że ma żonę i syna.

– Dlaczego? Dlaczego to dobra wiadomość? – Alexander Müller spojrział na nich zdziwionym wzrokiem.

Hoffmann zaśmiał się gardłowo i popatrzył na czołgistę z politowaniem.

– Mówiłem, że pancerniacy nadają się może do taranowania przeszkód, choć po Łuku Kurskim i to nie jest już takie pewne, ale na pewno nie nadają się do koronkowej roboty. Gdyby był związany z podziemiem, trudno byłoby go przekonać. A musi być przekonany, bo nasze paszporty muszą być perfekcyjne. Wszystko od tego zależy. A to, że ma rodzinę, ułatwi mu podjęcie decyzji.

Müller pokiwał głową.

Ernst przedstawił swój plan. Oskar Hoffmann miał jeszcze jutro rano pojechać do Berlina i jak najszybciej wrócić z kilkoma pustymi blankietami paszportów. Abwehra miała ich w nadmiarze i zdobycie kilku nie powinno stanowić problemu. Miał też przywieźć sprzęt dla fałszerza. A później – pod pretekstem przetransportowania więźnia do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – zabrać tego człowieka z aresztu. Nie wiedzieli tylko, gdzie go umieścić i jak mu zapewnić odpowiednie warunki pracy.

– Na Zatorzu, przy Seestrasse, za torami, jest niewielka kamienica z dwoma dużymi mieszkaniami. Jedno stoi puste, przed wojną mieszkał tam prokurator, Niemiec. W trzydziestym dziewiątym zniknął, jest podejrzenie, że Polacy go zabili, a jego rodzinę gdzieś wywieźli. Zostało po nim duże mieszkanie, a w nim pokój dla służby. Dość obszerny i chyba bez okien. Wiem, bo bliźniaczy lokal piętro wyżej zajmują moi wujostwo – oświadczył kapitan Müller.

– Trzeba będzie tam zamontować solidne drzwi. Wiem, kto to zrobi. A ty, Alexander, musisz się tam przenieść. Trzeba go będzie pilnować.

– Do końca urlopu zostało mi jeszcze tylko dziesięć dni. Musimy się spieszyć.

Opróżnili kieliszki, a potem zamówili po jeszcze jednej kolejce. Rozmawiali przez chwilę, ale kasyno powoli zaczęło się zapełniać, więc wyszli na ulicę. Becker i Müller wsiedli do mercedesa, a Hoffmann ruszył w kierunku hotelu. Nagle jednak zawrócił i otworzył drzwi, a później pochylił się nad Beckerem.

– Jak on się właściwie nazywa? Ten fałszerz? Może go znam?

Pułkownik zaczął się zastanawiać. Nazwisko było trudne do zapamiętania. Przywołał w pamięci widok akt sprawy i dopiero wtedy sobie przypomniał.

– Howański. Bolesław Howański.

Rozdział 8

WOLSZTYN, 6 LISTOPADA 1943

Droga z Berlina była męcząca i zajęła Oskarowi Hoffmannowi więcej czasu, niż zakładał, ale dotarł do Wolsztyna dwie godziny przed południem. Na posterunek policji wszedł z miną człowieka realizującego ważną, niecierpiącą zwłoki misję. Władczym wzrokiem rozejrzał się po sali.

– *Heil* Hitler! – powiedział głośno, ściągając na siebie uwagę wszystkich obecnych, i wykonał przy tym niedbały ruch ręką. Tym gestem chciał zasugerować, że zbyt się spieszy, aby poświęcać czas rytuałom, i stanowczym głosem nakazał najbliższemu stojącemu żandarmowi prowadzić się do komendanta. Po drodze, starannie wystudiowanym gestem, zdejmował skórzane rękawiczki.

Kurt Wagner zerwał się zza biurka.

– Jestem major Oskar Hoffmann z Abwehry. Przyjechałem z Berlina. Mam zabrać człowieka nazwiskiem Howański, Bolesław Howański. – Sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął rozkaz wydania więźnia. Wczoraj wieczorem wypisał go w biurze, podrabiając podpis swojego przełożonego, pułkownika Hansa Richtera. Teraz wykonał gest, jakby chciał podać dokument komendantowi, ale tylko go rozłożył, zasłaniając palcami miejsce, w którym powinna być pieczęć, po czym powoli złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni. Na dokumencie brakowało pieczęci. Niestety, nie miał do nich dostępu. Gdy sekretarka wyszła już do domu, próbował dostać

się do szuflad jej biurka, ale zamki okazały się solidniejsze, niż przypuszczał, więc zrezygnował. Nie chciał zostawiać śladów.

– Spodziewałem się pana, majorze. Wczoraj otrzymałem telefon z Berlina. – Wagner chciał dodać coś jeszcze, ale Hoffmann wszedł mu w słowo. To on do niego dzwonił, przedstawiając się jako oficer dyżurny Wydziału Centralnego Abwehry.

– Aresztant jest gotowy?

– Oczywiście, zaraz każę go doprowadzić. Zechce pan spocząć, majorze? Może czegoś się pan napije? Po tylu godzinach w samochodzie zapewne jest pan zmęczony.

Major pokręcił głową.

– Spieszę się. Czekają na nas w Berlinie. Polecono mi pilnie dostarczyć więźnia.

Wagner poprosił sekretarkę, aby przyprowadzono Bolesława Howańskiego, i spojrzał na główną salę posterunku. Spodziewał się, że zobaczy żołnierza, może nawet kilku, towarzyszących oficerowi Abwehry, ale nikogo nie dostrzegł. Wrócił do gabinetu, zamykając drzwi.

– Jest pan sam, majorze? Czy to nie nazbyt ryzykowne?

– Czy wy na tej prowincji zapomnieliście, że Niemcy prowadzą wojnę?! – krzyknął Hoffmann i poderwał się z krzesła. Znał takich Wagnerów i wiedział, że podniesiony głos jest argumentem, który najlepiej do nich przemawia. – Wydaje się wam, poruczniku, że jesteśmy zadekowani w Berlinie i otoczeni wianuszkami adiutantów? Nie wiecie, że miejsce niemieckich żołnierzy jest na froncie?! Czy mam wam przypomnieć o tym w bardziej dobitny sposób?

Komendant skulił się i stanął za biurkiem. Ręce mu drżały i Hoffmann z satysfakcją pomyślał, że krzyk i władcza postawa

zawsze na Niemców działają.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pojawił się w nich szeregowiec w sfatygowanym mundurze. Za nim stał więzień. Oskar podszedł do żołnierza i wyciągnął rękę.

Żandarm podał mu klucze do kajdanek, cofnął się parę kroków i stanął w postawie zasadniczej. Oskar spojrzął na komendanta, zamknął drzwi i ponownie zbliżył się do biurka.

– Dziękuję, poruczniku. Mimo wszystko świetnie się spisaliście. Nie omieszkam wspomnieć o tym w Berlinie. Papiery?

– A tak, oczywiście, omal bym zapomniał. – Wagner podał mu teczkę. – To rzecz jasna kopia, zgodnie z regulaminem oryginały wysłałem do Poznania, a oni mieli przekazać całą dokumentację do Berlina. Powinny już tam być.

– Wzorowo, poruczniku. Tego właśnie nam trzeba, przestrzegania regulaminów. Dokumenty już u nas są. Mimo to polecono mi zabrać wszystkie kopie. Proszę pamiętać, że od tej chwili sprawą zajmuje się Abwehra. Jest pan zbyt doświadczonym funkcjonariuszem, abym musiał panu tłumaczyć, co to znaczy. Od tej chwili obowiązuje pana tajemnica. Proszę nigdy z nikim nie rozmawiać o Howańskim. Nigdy i z nikim – powtórzył, pochylając się nad Wagnerem.

Opuścił biuro, tym razem zostawiając szeroko otwarte drzwi, i spojrzął na aresztanta. Mężczyzna był zarośnięty, jego czarna czupryna była zwichrzona, a koszula i marynarka wymięte. Nic dziwnego, miał za sobą niemal dwutygodniowy pobyt w areszcie. Patrzył na Hoffmanna wylęknionym wzrokiem.

– Idziemy – rozkazał oficer Abwehry.

– Dokąd mnie pan zabiera?

– Idziemy! – znowu podniósł głos, a później spojrzął na szeregowca. – Poradzę sobie. A wy zróbcie coś ze swoim mundurem. Wyglądacie, jakbyście mieli za sobą roczną kampanię w Rosji.

Gdy major opuścił posterunek, Kurt Wagner opadł na krzesło i głośno odetchnął. Dłonie nadal mu drżały. Przez chwilę rozważał, czy sięgnąć po butelkę bimbrową, którą trzymał w biurku, ale wstał, zamknął drzwi swojego biura i znowu opadł na krzesło. Chwycił paczkę papierosów. Gdy dym wypełnił mu płuca, przypomniał sobie, że Hoffmann nie zostawił mu rozkazu wydania aresztanta. Co więcej, uświadomił sobie, że nawet go nie przeczytał. Zmarszczył krzaczaste brwi. Chciał ruszyć za oficerem Abwehry, ale uznał, że i tak nie zdoła go dogonić. Z kieszeni spodni wyciągnął białą, starannie wyprasowaną chustkę i otarł pot z czoła, a później schylił się i wydobyl butelkę. Była już w trzech czwartych pusta i pożałował, że podczas ostatniej bytności w Starym Widzimiu nie zamówił u Piszczuna kolejnej dostawy.

Gdy wypił pierwszy łyk alkoholu, wrócił myślami do rozmowy z oficerem Abwehry. Miał nadzieję, że ten ani słowem nie wspomni w Berlinie o tym, kto aresztował Bolesława Howańskiego, bo Kurt Wagner nie oczekiwał pochwał ani medali, a już tym bardziej awansu. Nie zamierzał wyjeżdżać z Wolsztyna, marzył jedynie o tym, aby dano mu święty spokój.

Ten bubek z Abwehry na pewno przypisze ten sukces sobie. Berlińczycy zawsze przypisują sobie wszystkie sukcesy, a porażki zrzucają na nas, ludzi pierwszej linii. W wojnie światowej też tak było, pomyślał filozoficznie i z pewnym wahaniem wcisnął korek w szyjkę butelki, ale zaraz znowu go wyciągnął i dolał sobie kolejną porcję.

Muszę zamówić następną dostawę, pomyślał, sięgając po szklanke.



Hoffmann uważnie spoglądał w lusterko. Pokonał niewielki łuk ulicy i zwolnił, sprawdzając, czy ktoś za nim nie jedzie, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Odprężył się i poprawił lusterko. Teraz widział w nim siedzącego z tyłu Howańskiego. Polak rozglądał się po ulicy, zapewne wypatrując znajomych.

– Głodny?

– Co? – Fałszerz sprawiał wrażenie, jakby pytanie oficera wyrwało go z jakiejś innej rzeczywistości.

– Pytałem, czy jesteś głodny.

Howański pokiwał głową bez przekonania i dopiero teraz spojrzał na Hoffmanna. Przez chwilę milczał, a potem zapytał, czy trafi do Berlina.

– Zobaczymy. Wszystko zależy od ciebie.

Jechali teraz wzdłuż torów kolejowych, a później minęli budynek stacji i skręcili w lewo, przecinając trasę pociągów wiodącą na zachód, w kierunku Zbąszynka. Hoffmann trochę przyspieszył. Znowu zmienił położenie lusterka i patrzył uważnie, czy nikt za nimi nie jedzie. Zdziwiłoby go to, ale wołał się upewnić. Minęli gmach Zakładu Kształcenia Nauczycieli, w którym przed wojną mieściło się państwowe gimnazjum i liceum. Oficer Abwehry, podobnie jak Ernst Becker i Alexander Müller, był absolwentem tej szkoły i dobrze wspominał spędzony w niej czas. Zaraz potem skręcili w lewo i zatrzymali się przed trzypiętrową kamienicą. Zgasił silnik i zlustrował okolicę. Nikogo nie było widać, choć oficer przypuszczał, że jest obserwowany przez mieszkańców okolicznych domów. Zbliżało

się południe i zastanawiał się, czy to dobry pomysł, aby zjawiać się tutaj o tej porze, ale Müller twierdził, że nikt nie zwróci na nich uwagi. Oskar nie był pewien, czy Alexander miał rację.

Wysiadł z mercedesa i zapalił papierosa. Chciał dać sobie jeszcze trochę czasu. Nic się nie działo, więc ponownie usiadł za kierownicą i odpalił silnik, a później podjechał kilkadziesiąt metrów i skręcił na podjazd przed dwupiętrowym budynkiem. Samochód skrywały teraz wysokie drzewa i krzewy.

– Nie rób głupstw – rzucił i wyszedł z samochodu.



W mieszkaniu roznosił się aromat kawy zmieszany z papierosowym dymem. Pokonując wąski korytarz, weszli do dużego pokoju wypełnionego ciężkimi ciemnymi meblami. Okna były zasłonięte, ale prześwitywało przez nie trochę światła.

Ernst Becker i Alexander Müller siedzieli za stołem i patrzyli na Howańskiego.

– Usiądź – rozkazał oficer SD i pchnął w jego stronę paczkę papierosów. Polak spojrzał zdziwiony, a zaraz potem zapalił. Zaciągnął się dymem, zamykając oczy, i zaczął kasać.

– Dawno nie paliłem – wyjaśnił. Mówił po niemiecku bez wyraźnego akcentu.

– Znasz niemiecki?

– Moja babka była Niemką. Od lat pracowałem w niemieckiej drukarni. U Schneidera, on może poświadczyć. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zostałem zatrzymany. Nic złego nie zrobiłem.

Becker wstał i podszedł do okna. Spojrzał na stojącego przed domem mercedesa i z satysfakcją pomyślał, że jeździ nowszym modelem niż jego przyjaciel z Abwehry. Wrócił do stołu i zapytał, czy Howański napije się kawy.

– Prawdziwej – zaznaczył, a Polak pokiwał głową. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie zmieszane z podejrzliwością.

Gdy Müller przyniósł szklanę z parującym napojem, Bolesław Howański objął ją dłońmi. Rozkoszował się wydobywającym się z niej aromatem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio pił prawdziwą kawę, i teraz trochę wbrew sobie starał się odwlec ten moment. Hoffmann usiadł obok Beckera i podał mu teczkę aresztanta. Ernst zaczął ją przeglądać.

– Jesteś żonaty, masz dziecko. To dobrze. Chcesz ich jeszcze zobaczyć? – Becker sięgnął do kabury i wyciągnął pistolet. Położył go przed sobą na stole. Kątem oka dostrzegł, że Alexander odpiął swoją kaburę. – Zapal.

Howański starał się nie patrzeć na pistolet.

– Nic nie zrobiłem – powiedział drżącym głosem, a potem wyłuskał z leżącej na stole paczki kolejnego papierosa. Nadal miał na rękach kajdanki.

– Chcesz ich jeszcze zobaczyć?

Polak potwierdził gorliwie, kiwając głową, i znowu zaciągnął się papierosem. Czuł napięcie unoszące się w pokoju i nie bardzo rozumiał, o co może chodzić, ale wyczuwał, że otwiera się przed nim jakaś szansa.

– Z dokumentów wynika, że jesteś dobrym fałszerzem... – Oskar Hoffmann pochylił się nad stołem w jego kierunku.

– Nic nie zrobiłem.

Oficer Abwehry patrzył mu prosto w oczy, lewą ręką odpinając guzik kurtki mundurowej. Uniósł prawą rękę, sięgając

po papierosy, i Howański, spodziewając się ciosu, gwałtownie się odchylił.

– Nie bój się. Nie zamierzamy cię bić. Liczymy na współpracę. Teraz wszystko zależy od ciebie. Przypominam, że masz żonę i dziecko. Kazika. Ma teraz – Becker zerknął na leżącą przed nim teczkę – cztery lata. Wiesz, że w każdej chwili mogą trafić do obozu? Chciałbyś tego?

Howański pokręcił głową.

– Dobra odpowiedź. Posłuchaj mnie uważnie – powiedział, bawiąc się pistoletem.

Howański słuchał w napięciu i po chwili zaczął się odprężyć. Zrozumiał, że jest im potrzebny, a zadanie, które mu wyznaczyli, nie wydawało mu się niewykonalne. Spojrzał na stojące pod oknem biurko, a później opuścił wzrok. Skupił się na słowach oficera SD, który – jak mu się wydawało – odgrywał w tym trójkącie kluczową rolę. Chciał zapytać, jakie ma gwarancje, że po wykonaniu zadania wyjdzie z tego cało, ale zrezygnował. Znał odpowiedź. A zresztą jaki miał wybór?

– Będę potrzebował odpowiednich przyborów – powiedział cicho.

Rozdział 9

WOLSZTYN, 27 WRZEŚNIA 2019

Sala Galerii Europejskich Przysmaków, restauracji w centrum Wolsztyna, była pusta, ale Rafał Terlecki podszedł do baru i zapytał krzątającą się tam kelnerkę, przy którym stoliku może usiąść. Kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

– Mam rezerwację na nazwisko Terlecki – wyjaśnił.

– A tak, rzeczywiście. Klienci nieczęsto rezerwują u nas stoliki, w każdym razie poza sezonem. Wybrałam panu ten przy oknie, ale jeśli woli pan inny, to nie ma problemu.

Podziękował i spojrzał na rząd butelek pyszniących się za plecami kelnerki. Nie znalazł niczego interesującego, a miał ochotę na jakieś ciężkie włoskie lub francuskie wino. Pomyślał, że będzie się musiał zadowolić czymś bardziej przyziemnym, i usiadł przy stoliku.

Bartek Nowicki zjawił się po kilku minutach w eleganckiej granatowej marynarce i błękitnej koszuli.

– Tylko nie myśl sobie, że wystroiłem się tak na nasze spotkanie. Po drodze musiałem jeszcze załatwić sprawę w urzędzie skarbowym – zaznaczył, siadając.

Nim do ich stolika podeszła kelnerka, aby przyjąć zamówienie, byli już pogrążeni w rozmowie, więc poprosili o chwilę na zastanowienie. Bartek opowiadał o córce, która właśnie odebrała od prezydenta sędziowską nominację,

i o niedawnym awansie syna pracującego w dużej firmie audytorskiej.

– A jak twoja Anastazja?

– Po maturze zamierza wyjechać za granicę. Myśli o studiach w Londynie i planuje zostać na Zachodzie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Puścisz ją?

– Niewiele mam do gadania. Ale jeśli się rozmyśli, to podróż do Londynu odbędzie związana w bagażniku.

Kelnerka znów do nich podeszła, więc tym razem karnie sięgnęli po menu. Bartek zapytał, czy mają bryzol lub rumsztyk z cebulką, i dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona.

– Ech, wy młodzi! Co wy wiecie o życiu?!

– Proszę się nie przejmować. Bryzol i rumsztyk były w Peerele jednymi z najbardziej eleganckich dań serwowanych w „placówkach zbiorowego żywienia”. Pani nie może tego pamiętać, ale tak wówczas nazywano restauracje. Bryzol i rumsztyk zniknęły wraz z Peerelem i proszę nie myśleć, że kolega za tym tęskni – wyjaśnił Rafał i zapytał o kartę win. Udało mu się wypatrzeć chianti. Zamówił butelkę i sałatkę grecką.

– Skoro nie ma bryzolu, nad czym boleję, to poproszę pstrąga z warzywami. Mam nadzieję, że tego wina ma pani więcej niż tylko jedną butelkę? Bo trochę tu zabawimy.

Czekając na alkohol, rozmawiali o dawnych znajomych, a później o ostatnich wydarzeniach w Wolsztynie.

– Twój reportaż rozstawił miasto. Ludzie zjeżdżają się oglądać wolsztyńskie diabły. Doprawdy zło i zbrodnia mają wielką siłę przyciągania. Nakryli tam nawet jakąś parę uprawiającą seks. Strzelisty akt miłości został nagrany i filmik

trafił do sieci. Gość miał pecha, bo wyszło na jaw, że jest żonaty, a akurat nie robił tego z żoną, tylko z jej najlepszą koleżanką. Całe miasto się tym jarało, a w sprawę były zaangażowane najwyższe czynniki, bo okazało się, że filmik pochodzi z miejskiego monitoringu i został udostępniony przez człowieka zajmującego się w urzędzie ochroną danych osobowych. – Bartek roześmiał się, sięgając po kieliszek. – Co ze sprawą Howańskiego?

Terlecki zrelacjonował przyjacielowi dotychczasowe ustalenia i szczegółowo opowiedział o swojej rozmowie z profesorem Dawidem Lewandowskim.

– To bardzo interesujące. Może kluczem do sprawy jest to, że gość był fałszerzem?

Rafał też tak sądził. Prawdopodobnie dlatego, że dotychczas nie znalazł żadnego innego wytłumaczenia, dlaczego wywieziono Bolesława Howańskiego do berlińskiego więzienia Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Bartek odsunął właśnie podany przez kelnerkę talerz z jedzeniem i chwycił kieliszek.

– Być może dla zrozumienia tej sprawy warto przestudiować historię grupy fałszerzy, którą Niemcy stworzyli w obozie w Sachsenhausen.

Terlecki uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Ależ ze mnie debil! Adolf Burger, słowacki drukarz. Cholera jasna, że też nie skojarzyłem. Bartek, kurwa, dopijamy to wino i zamawiam whisky! Jesteś geniuszem!

– Powiedz mi coś, czego o sobie nie wiem. – Nowicki uśmiechnął się zadowolony.

Adolf Burger, więzień położonego w sąsiedztwie Berlina obozu Sachsenhausen, zmarł nie tak dawno, o ile Bartek dobrze

pamiętał, w dwa tysiące piętnastym albo szesnastym roku, dożywając niemal stu lat. Jego obozowe wspomnienia posłużyły za kanwę filmu, który zdobył Oscara.

– To była operacja „Bernhard”. Burger trafił do Sachsenhausen późno, rok przed zakończeniem wojny. Ale samą operację Niemcy planowali od początku wojny, w każdym razie pierwsze wywiadowcze informacje na ten temat dotarły do Londynu już w trzydziestym dziewiątym. Chodziło o rozregulowanie brytyjskiej gospodarki, myślano nawet o masowym zrzućaniu nad Anglią podrobionych banknotów. Z jakichś powodów tego nie zrobiono. Być może słynna Luftwaffe marszałka Göringa także i w tej sprawie nie dała rady.

– Bartek sięgnął po kieliszek, a Rafał podszedł do baru i zamówił dwie podwójne porcje jacka daniel’sa z lodem. Już wracał do stolika, gdy przypomniał sobie, że jego przyjaciel pije whisky z colą, więc zmodyfikował swoje zamówienie.

– Mamy pepsi. Może być?

Terlecki lekceważąco machnął ręką i dopiero teraz dostrzegł, że kilka stolików jest już zajętych. Zwrócił uwagę na samotnego, mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę w skórzanym płaszczu, który siedział przy sąsiednim stoliku, pił piwo i intensywnie wpatrywał się w swój czarny kapelusz leżący na stoliku.

Dziennikarz zajął swoje miejsce i jeszcze raz spojrzął w kierunku mężczyzny. Ten natychmiast odwrócił głowę.

– Może wybór win jest taki sobie, ale jedzenie wyśmienite. – Bartek rozkoszował się swoim pstrągiem. – Wiadomo, że nie dorównuje rumsztykowi z cebulką w Kaukaskiej, ale jest godny polecenia.

– A bryzolowi dorównuje?

– Na bryzol to my chyba nie mogliśmy sobie wówczas pozwolić, a i rumszyk z rzadka gościł na naszym stole. Co innego ten wodnisty bigos albo wątróbka z nutrii.

– Dobra, nie rozpędzajmy się. Zamówiłem whisky, więc zaraz się naoliwisz.

Początki operacji „Bernhard” – zaplanowanej przez majora SS Bernharda Krügera – były trudne. Choć dość szybko w kilku obozach koncentracyjnych wyłowiono uzdolnionych specjalistów, to wykonanie odpowiednich matryc oraz znalezienie papieru, który nie odbiegałby od tego używanego przez Bank Anglii, i skopiowanie znaków wodnych zajęło kilka lat. Do tego doszły jeszcze problemy z opracowaniem algorytmu, który przy seryjnej produkcji banknotów pozwalałby nadawać im odpowiednie numery. W końcu produkcja fałszywek ruszyła, a ich odróżnienie od oryginałów było praktycznie niemożliwe.

– O ile dobrze pamiętam, według oficjalnych danych w Sachsenhausen wyprodukowano ponad sto trzydzieści milionów funtów. Gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku dostarczono specjalistom z Banku Anglii pierwsze egzemplarze fałszywek, określili je jako „największe zagrożenie w dziejach”.

– Anglicy mają skłonność do przesady. W końcu nadal uważają swój kraj za imperium.

– W tej sprawie chyba jednak nie przesadzali. W Sachsenhausen produkowano prawie milion banknotów dziennie, w większości pięciofuntowych. Gdyby Niemcom udało się przetransportować tę masę fałszywek do Anglii, naprawdę nastąpiłby krach.

Rafał zanotował sobie w pamięci, aby porozmawiać o tym z jakimś specjalistą, ale wydawało mu się, że jego przyjaciel ma

rację. Wyobraził sobie, że gdyby Luftwaffe udało się zrealizować pierwotny plan majora Krügera, pieniądze natychmiast zalałyby cały kraj, infekując system monetarny Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy straciliby zaufanie do własnej waluty, a z czasem do państwa. Bez wątpienia miałyby to katastrofalne skutki.

Ponieważ formacja marszałka Göringa nie dała rady, fałszywe funty zaczęto wprowadzać do obiegu okreśną drogą. Płacono nimi za importowane towary we Włoszech i najpewniej w ten sposób produkty „mennicy” z Sachsenhausen trafiły do Maroka, gdzie wykryto, że nie są prawdziwe. Na początku maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku grupę fałszerzy ewakuowano z obozu pod Berlinem do Austrii. Zamierzano ich zlikwidować, ale zbieg okoliczności spowodował, że uniknęli śmierci. W ostatnich dniach wojny skrzynie ze zmagazynowanymi fałszywkami zatopiono w jeziorze Toplitzsee w Styrii, w Austrii. Zostały wydobyte przez nurków czternaście lat po zakończeniu wojny, ale wiele egzemplarzy trafiło wcześniej do Anglii, więc po wojnie zdecydowano się wycofać wszystkie banknoty o nominale większym niż pięć funtów. Brytyjczycy wrócili do nich dopiero w latach sześćdziesiątych.

Terlecki dyskretnie spojrział na mężczyznę w skórzanym płaszczu. Jego kufel nadal był niemal pełen i zaczął się zastanawiać, czy podczas ich rozmowy kelnerka przynosiła mu kolejne piwo, czy nadal tkwi nad tym samym. Pochylił się w kierunku Bartka i poprosił go, aby poszedł do toalety, a wracając, ostrożnie przyjrzał się ich sąsiadowi.

– Wydaje mi się dziwny. Może go znasz?

Nowicki upił trochę alkoholu i wstał od stolika. Podczas jego nieobecności Rafał przypomniał sobie zabawny szczegół związany z operacją „Bernhard”. Otóż Niemcy wprowadzali do

obiegu fałszywe funty, płacąc nimi swoim agentom. Po wojnie jeden z nich, Albańczyk, wystąpił do niemieckiego sądu, przekonując, że został oszukany i należy mu się wypłata wynagrodzenia w prawdziwej walucie.

– Przyjrzałem się człowiekowi, ale go nie znam. Skórzany płaszcz, którego nawet nie zdjął, czarne spodnie i kapelusz. Wygląda jak detektyw z amerykańskiego filmu z lat trzydziestych i rzuca się w oczy jak cholera. Nie może być stąd. Może na kogoś czeka? A może po prostu nie lubi piwa? Ty też za nim nie przepadasz.

– Dlatego go nie zamawiam.

– Nie popadaj w paranoję. Twoje zdrowie!

Wypili, a później zaczęli się zastanawiać, czy Bolesław Howański mógł mieć coś wspólnego z fałszerzami z Sachsenhausen. Nic na to nie wskazywało, a jeśli nawet, to w żaden sposób nie uzasadniało jego powojennych losów. Adolf Burger po wojnie wrócił do Czechosłowacji, nigdy się nie ukrywał.

Mimo to Terlecki czuł, że los wolsztyńskiego drukarza został zdeterminowany jego umiejętnościami podrabiania dokumentów.

– Profesor Lewandowski twierdzi, że badając historię okupacyjnego Wolsztyna, przejrzał dokumenty zgromadzone w berlińskich archiwach, ale na nazwisko Howańskiego nie trafił. To dziwne. Znam niemiecką skrupulatność, więc ośmielam się postawić tezę, że coś tam jednak powinno być, choćby krótka notatka o aresztowaniu.

– Racja. Może Lewandowski nie jest tak skrupulatny, jak lubi o sobie myśleć.

Dziennikarz postanowił, że w najbliższych dniach pojedzie do Berlina. Najpierw chciał jednak porozmawiać z synem zduna, który według nauczyciela podczas wojny podsłuchał jakąś rozmowę o Howańskim.

Zbliżała się dwudziesta druga, obsługa wyraźnie próbowała wymusić na gościach koniec biesiadowania i grzeczny powrót do domów. Rafał zauważył, że mężczyzna w skórzanym płaszczu ruszył do wyjścia, zakładając kapelusz. Na jego stoliku pozostał kufel. Nadal był w trzech czwartych pełen.

– Rozważyłbym tezę, że gość nie jest z Wielkopolski. Żaden mieszkaniec Wielkopolski nie zostawia piwa, za które zapłacił.
– Bartek uśmiechnął się zadowolony ze swojego dowcipu, ale Rafała jego słowa zaniepokoiły.

Pożegnali się przed restauracją i dziennikarz ruszył w kierunku Rynku. Rozglądał się uważnie, ale niczego nie dostrzegł. Ulice były puste, ludzie odpoczywali w swoich domach, a najpewniej zbierali się już do snu. Uśmiechnął się, bo w Warszawie o tej porze panował jeszcze harmider, a restauracje dopiero się zapełniały.

Przeciął Rynek i wszedł w wąską uliczkę prowadzącą do parku. Usłyszał jakieś głosy i w jednej z alejek zauważył grupę młodych ludzi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nocny spacer przez park jest dobrym pomysłem, ale zganił się za tę ostrożność. Młodzi pili piwo i śmiali się z jakiegoś żartu. Nieniepokojony przeszedł obok i podążył w kierunku plaży. Gdy był na ścieżce prowadzącej wzdłuż jeziora, w kierunku Karpicka, spojrzął za siebie. Nikt za nim nie szedł. W każdym razie nikogo nie zauważył.

Rozdział 10

WIDZIM STARY, 8 LISTOPADA 1943

Ernst Becker podszedł do stojącego przy kuchennym piecu wiadra, sięgnął po nabierkę i zaczął pić. Przełknął kilka małych łyków – woda była zimna, najpewniej niedawno przyniesiono ją ze studni – gdy drzwi cicho się otworzyły i do kuchni wszedł ubrany w pidżamę ojciec. Nim usiadł na stojącym przy stole taborecie, narzucił na ramiona wełniany sweter.

– Zimno?

– Z wiekiem człowiekowi często jest zimno, a dzisiaj pogoda słotna i wietrzna. Wykopywałem buraki na tym polu za lasem, obok Piszczuna, i trochę mnie przewiało. À propos Piszczuna. Napijesz się schnappsa?

Syn potwierdził skinieniem głowy, więc Erich wstał i wyciągnął butelkę przemyślnie ukrytą w spiżarni. Ernst postawił na stole dwa kieliszki.

– Przyniosę ogórki.

Stary bauer napełnił naczynia. Syn zauważył, że ojciec jest markotny, więc zapytał, co się stało.

– Daj te ogórki i usiądź.

Zrobił, jak kazał ojciec, i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Spojrzał na niego, a ten początkowo pokręcił głową, ale później zmienił zdanie.

– Daj.

Wypili w milczeniu i Erich znowu sięgnął po butelkę.

– Coś ojca trapi?

– Mnie nie, ale matkę – owszem – martwi się. Gdy trwa wojna, matki zawsze się martwią. – Trzymał papierosa wzniesionego ku górze, aby ten palił się wolniej.

– Nie musi ojciec oszczędzać papierosów. Przywiozę ojcu, ile będzie trzeba.

– Nie o tym rozmawiamy. – Odpowiedź starego Beckera była szybka i ostra. Ernst spojrział na niego zaskoczony.

– A o czym rozmawiamy?

Erich zamilkł i sięgnął po kieliszek. Wypił, syn poszedł w jego ślady.

– Czym matka się gryzie? Nie jestem na froncie i chyba szybko tam nie trafię. Może nigdy. Jestem potrzebny w Berlinie, a tam nic mi nie grozi. Matka niepotrzebnie się martwi. Jutro jej to wytłumaczę.

– A mnie? Mnie też to wytłumaczysz? – zapytał i przykręcił knot lampy naftowej. Ernst pomyślał, że oszczędzanie weszło mu w krew.

Ojciec sięgnął po butelkę, ale syn go uprzedził. Zapach bimbru rozchodził się po kuchni, mieszając się z papierosowym dymem i smrodem spalanej nafty.

– Ty też się o mnie martwisz? Brałeś udział w wojnie, wiesz, jak jest. Wiesz, że choć ludzie na froncie giną tysiącami, to ci w sztabach cieszą się nie tylko dobrym zdrowiem, ale i przywilejami.

– Dlatego moje zmartwienie jest inne. Matka boi się, że cię zabiją. Od początku się tego boi, ale ten strach już, jak by to powiedzieć, oswoiła. Od pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku minęły cztery lata, to szmat

czasu, więc już boi się mniej. Ale teraz boi się czegoś innego. Siedzisz w domu już tyle dni, codziennie jeździsz do Wolsztyna, wracasz nocą. Trzeźwy. Nie tak zachowuje się żołnierz na urlopie. Matka to wie, jej bracia też byli na wojnie.

– Nie rozumiem.

– Matka boi się, że znalazłeś sobie kobietę. No wiesz, kochankę.

Pułkownik SD roześmiał się gardłowo i chwycił kieliszek, a później wypił jego zawartość i zagryzł ogórkiem. Bauer tylko na niego spojrział.

– Mnie też to martwi. Nie, nie to, że masz kochankę. Może masz, może nie, twoja rzecz. Ale matka ma rację. Żołnierz na urlopie tak się nie zachowuje. Tylko moim zdaniem rzecz nie w kobiecie. Zachodzę w głowę, w czym.

Zamilkli.

Erich Becker wpatrywał się w butelkę, unikając wzroku syna. Ten przyjrzał mu się uważnie. W ostatnich latach ojciec bardzo się posunął. Jego policzki obwisły, ciemne włosy straciły blask i posiwiały. Nadal był potężny, miał chyba ze sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a jego ręce przywodziły na myśl bochny wiejskiego chleba, ale ostatnio zaczął się garbić. Ale w jego oczach wciąż dostrzegał błysk inteligencji.

Ernst wiedział, że ojciec jest dobrze wykształcony, chociaż nie legitymował się żadnymi formalnymi dyplomami. Jego nieżyjąca już matka, babcia Ernsta, opowiadała mu kiedyś, że jej syn ukończył szkołę powszechną z bardzo dobrymi wynikami i chciał się kształcić dalej, ale ojciec się sprzeciwił, a on – po trwającym kilka dni buncie – pogodził się z jego wolą. Ale przez cały czas, do teraz, był ciekawy świata i starał się tę ciekawość zaspokoić, czytając książki i gazety, słuchając ludzi. W duchu

pułkownik SD przyznawał, że wiele ojcowskich analiz sytuacji politycznej i wojennej okazało się trafnych.

– Martwię się, synu, że nie myślisz o przyszłości. Nie o tym, co będzie za dzień, dwa czy za miesiąc, ale o tym, co będzie za rok, dwa, pięć. Hitler nie jest wieczny, uwierz mi. Mojemu ojcu wieczny wydawał się Bismarck. Potem zdawało się, że wieczna będzie niemiecka obecność na tych ziemiach, a nagle przyszła tu Polska. Teraz jest Hitler i w Widzimi Starym znowu są Niemcy, ale i to się kiedyś skończy. Znacznie szybciej, niż się spodziewamy. Co wtedy?

Ernst nalał bimbru. Choć niechętnie, przyznawał, że smakuje mu lepiej niż przywieziony z Berlina francuski koniak. Pomyślał, że może Polacy mają jednak jakieś umiejętności, które warto byłoby zachować.

– Chodź, obejdziemy gospodarstwo, zobaczymy, czy wszystko w porządku. Tylko włóż spodnie, bo zmarzniesz. W nocy temperatura spadła – oznajmił, wstając.

Ojciec spojrzał na niego zdziwiony, ale wstał od stołu i po chwili wrócił do kuchni ubrany. Wzięli kieliszki oraz butelkę i wyszli przed dom.

Usiedli na stojącej przy płocie ławce, patrząc na drogę. Ernst pamiętał, że dawno temu widywał siedzących tak ojca i dziadka, którym często towarzyszyli polscy sąsiedzi. Żyli wówczas w zgodzie, wszystko zaczęło się psuć w połowie lat trzydziestych. Teraz już nikt tak z polskimi gospodarzami przed swoją chatą nie siadał. Niewielu ich zresztą we wsi zostało, większość wywieziono – w listopadzie czterdziestego roku zapakowano ich do pociągu i wysłano do Kościana, a potem do Łodzi. Ernst powiedział mu później, że starsi objęli jakieś gospodarstwa rolne w Generalnej Guberni, a młodych wywieziono na roboty do Niemiec. Na ich miejsce przywieziono

Niemców ze wschodu, którzy zresztą nie bardzo umieli się posługiwać mową Goethego.

Zapalili.

– Chcę ci coś powiedzieć. Musisz to zachować dla siebie. Posłuchałem cię, będę uciekał. Wzięliśmy tego Polaka, tego fałszerza, o którym mi powiedziałaś. Nazywa się Howański. Ma nam zrobić paszporty i inne dokumenty, a być może również pieniądze. Jeśli zdoła.

Spojrzał na ojca, ale niewiele widział, światło księżyca ledwo prześwitywało zza chmur. Dostrzegł tylko potakujący ruch głowy Ericha i żarzący się koniec jego papierosa w dłoni. Jak zawsze unosił go ku górze, aby spowolnić palenie się tytoniu.

– Wiem, Wagner mi powiedział. Ten twój Oskar jest kiepskim aktorem. Początkowo Kurt dał się zwieść, ale potem to przemyślał. Był tu dzisiaj, chciał butelkę bimbru od Piszczuna. Nie obawiaj się, nic nie powie. Zbyt wiele mi zawdzięcza. I też nie kocha Hitlera tak bardzo, jak by mogło się wydawać.

Wpatrywali się w brzozy stojące po drugiej stronie drogi. Ernst pomyślał, że jeszcze niedawno były niewysokie, a dzisiaj zasłaniały cały horyzont.

Ojciec uniósł kieliszek i nie patrząc w kierunku syna, wzniósł toast za powodzenie ich planu. Potem wstał i starannie wdeptał w ziemię niedopałek.

– U katolików jest ksiądz, Sikora się nazywa. To pół Polak, pół Austriak. Podobno ma wuja w Watykanie, bardzo ustosunkowanego. Przyjechał tutaj ze Wschodu, ale proboszcz mówił, że długo nie zabawi, szykuje się na wyjazd do Rzymu. – Ruszyli w kierunku domu. – Wydaje mi się, że mógłby być pomocny. Ale to twoja decyzja.

Furtka cicho skrzypnęła i Erich pomyślał, że jutro będzie ją musiał naoliwić. Spojrzał na Ernsta, który podchodził już do schodów, ale nagle zawrócił.

– Zostanę jeszcze – powiedział i wziął butelkę trzymaną przez ojca.

Becker położył rękę na ramieniu syna.

– Rozważ moje słowa. I weź pod uwagę, że Kościół katolicki jest potężniejszą i lepiej zorganizowaną organizacją niż jakakolwiek inna na tym świecie. I wszędzie ma swoich ludzi, całkiem dosłownie wszędzie – oświadczył i wszedł do domu, cicho zamykając drzwi, choć wiedział, że żona jeszcze nie śpi. Była zbyt ciekawa jego rozmowy z synem.



Ernsta Beckera obudziło skrzypienie drzwi obory. Było kilka minut po siódmej i ojciec szykował krowy do wyprowadzenia na pastwisko. Ta czynność należała do obowiązków Alfonsa, małego Polaka, który od kilku już miesięcy pomagał rodzicom w gospodarstwie, ale Ernst nagle zapragnął zrobić to osobiście.

Zerwał się z łóżka i poczuł nagły zawrót głowy. Wypity wczoraj biber dał o sobie znać, więc znacznie już wolniej włożył sweter i spodnie, a później otworzył okno i krzyknął na chłopaka. Wziął z kuchni kromkę chleba, wypił kubek świeżo wydojonego mleka i wzuł stojące w sieni gumiaki.

Chłopak stał oparty o drzwi obory, a krowy powoli wychodziły na podwórze.

– Zajmij się czymś innym, ja zaprowadzę krowy – łagodnym głosem odezwał się Ernst do Polaka. Alfons pokornie pokiwał głową, z trudem powstrzymując ziewanie. Jego jasna czupryna była zwichrzona, z włosów wystawały skrawki siana. Wydawał

się bardziej niewyspany niż zazwyczaj. Ernst wyciągnął rękę po długi kij, którym chłopak pomagał sobie przy zaganianiu krów, a ten podał mu go i zasłonił głowę, najwyraźniej spodziewając się uderzenia.

– Da pan wyczyścić automobila? – zapytał w nagłym przychywie odwagi.

Ernst przyzwalająco pokiwał głową.

Pastwisko znajdowało się może osiemset metrów od gospodarstwa, a polna droga wiodła wzdłuż rowu dzielącego ziemię Beckerów od pola Elisa Webera. Krowy szły karnie, dobrze sobie znanym szlakiem, co chwila spoglądając na pilnującego ich psa. Od czasu do czasu Ernst uderzał kijem w rosnące wzdłuż rowu olszyny.

Erich Becker nie miał racji, zarzucając synowi, że nie myśli o przyszłości. Przeciwnie, Ernst myślał o niej bardzo intensywnie. Był praktycznym człowiekiem. Wprawdzie w połowie lat trzydziestych zachwycił się ideałami Hitlera, ale z czasem się z tego wyleczył. Teraz rozglądał się za okazją, która pozwoliłaby mu zabezpieczyć się na przyszłość.

I wyglądało na to, że taka okazja właśnie mu się trafiła.

Pułkownik SD, funkcjonariusz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, zakołkował krowy na pastwisku i powoli ruszył w drogę powrotną. Z każdym krokiem czuł, że resztki bimbru wyparowują z jego organizmu. Wczoraj, siedząc samotnie na ławce przed domem, zastanawiał się, czy pomysł ojca, aby w operacji „Thor” wykorzystać struktury Kościoła katolickiego – a przynajmniej niektórych księży – zyska mu uznanie w Berlinie. Doszedł do wniosku, że powinien to zaproponować, ale postanowił, że jeszcze dzisiaj przedyskutuje to z Oskarem.

Rozdział 11

WOLSZTYN, 30 WRZEŚNIA 2019

Telefon zadzwonił, gdy Rafał Terlecki się golił, więc zignorował go, ale po chwili dzwonek odezwał się po raz drugi. Zastanawiał się, kto może się do niego dobijać o tak wczesnej porze, i podszedł do leżącego na łóżku smartfona. Na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Dawida Lewandowskiego.

– Dzień dobry, panie profesorze. Przepraszam, że od razu nie odebrałem.

– Ja przepraszam za tak wczesną porę. Rzecz w tym, że zaraz zaczynam lekcje, a chciałem panu przekazać wyniki mojego małego śledztwa. Niestety, nie udało mi się ustalić, czy ten mężczyzna, o którym rozmawialiśmy, jeszcze żyje, nie wiem, gdzie dokładnie mieszkał lub mieszka, ale... – Nauczyciel zawiesił głos i Terlecki pomyślał, że próbuje budować napięcie niczym Hitchcock, tylko z dość komicznym skutkiem. – Dowiedziałem się, że jego syn ma warsztat samochodowy w Karpicku, przy starej drodze na Poznań, po lewej stronie. Nazywa się Balcer, imienia niestety nie znam.

Rafał podziękował za informację i wrócił do łazienki, aby dokończyć poranną toaletę. Zastanawiał się, na ile przekazana mu przez Lewandowskiego informacja może być przydatna przy rozwiązywaniu zagadki Bolesława Howańskiego. Obliczył, że jeśli podczas wojny chłopak miał dziesięć lat, to teraz musiał być już osiemdziesięciopięcioletnim staruszkiem.

Może zdoła odtworzyć tamtejsze wydarzenia, pomyślał z nadzieją. Jego babcia zawsze twierdziła, że wojenne przeżycia tak głęboko wryły się w jej świadomość, że pamiętała niemal każdy dzień sześcioletniej okupacji.

Przeciął drogę prowadzącą do Borui i ulicą Podgórną dojechał do skrzyżowania, a trzysta metrów dalej zauważył niewielki szyld reklamujący warsztat samochodowy. Zabudowania znajdowały się w głębi dużej, zadbanej posesji. Za budynkiem warsztatu stał autobus z rozbebeszonym silnikiem, a na placu kilka samochodów z otwartymi maskami.

– Zastąłem pana Balcera? – zapytał młodego chłopaka w brudnym od smarów kombinezonie, a ten wskazał mu pomieszczenie z szeroko otwartymi przeszklonymi drzwiami. – Majster jest w biurze.

Majster, niemłody już i lekko łysiejący, siedział za biurkiem, przeglądając jakieś papiery, i z ewidentną przyjemnością konsumował drożdżówkę. Sądząc z ilości okruchów zalegających biurko, nie pierwszą tego ranka. Gdy Terlecki powiedział głośno dzień dobry, Balcer odburknął coś, nie podnosząc głowy. Po chwili jednak odłożył dokumenty i gdy na niego spojrzał, zmarszczył brwi. Zapewne zastanawiał się, skąd zna swojego gościa. Dziennikarz przyglądał się wiszącej za jego plecami szabli Kilińskiego – najwyższemu honorowemu wyróżnieniu przyznawanemu przez Związek Rzemiosła Polskiego – z wygrawerowanym na klindze napisem. Z tej odległości nie widział jednak jego treści.

– Nazywam się Rafał Terlecki, jestem dziennikarzem. Mam do pana sprawę i nie chodzi o zepsuty samochód. Chodzi o pańskiego ojca, Alfonsa. Czy, przepraszam za obcesowość pytania, pan Alfons żyje?

Na twarzy mechanika odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

– Wiem, teraz wiem. Pan jest z telewizji, a kiedyś mieszkał pan w Wolsztynie. Chyba pana kojarzę, choć mieszkałem w mieście, a pan na osiedlu. I nie chodziłem do liceum.

– No i dzieliło nas kilka lat.

– Ale pewnie gdzieś tam się widywaliśmy, tak mi się w każdym razie wydaje. O co chodzi z moim ojcem?

Terlecki zaczął tłumaczyć i majster wyraźnie się rozluźnił. Niestety, okazało się, że Alfons Balcer już nie żyje, ale syn zapewnił, że dobrze zna historię jego życia i ma w domu wiele ojcowskich dokumentów.

– Dużo mi opowiadał o swoim dzieciństwie, a ja chętnie tego słuchałem. Wiele pamiętam, choć pewnie nie wszystko. Tylko widzi pan, muszę się już zbierać, za godzinę mam sesję Rady Miasta. Jestem radnym – oświadczył z dumą. – Może przyjdzie pan wieczorem, wszystko panu opowiem, spojrzysz pan na dokumenty, które po ojcu zostały. Mam tego sporo.

Umówili się i dziennikarz pojechał do miasta. Miał ochotę na mocną kawę. Tym razem zamiast jak zwykle Café de Paris wybrał Fala Park. Choć temperatura na dworze osiągnęła tylko siedemnaście stopni – i tak nieźle jak na tę porę roku – usiadł przy jednym z dwóch stolików ustawionych na zewnątrz. Przed sobą miał jezioro i pływającą po nim rodzinę łabędzi.

Zaczął przeglądać notatki, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Cały czas dręczyło go pytanie, dlaczego Howański tak długo się ukrywał, i coraz bardziej zaczynał wątpić w słowa wypowiedziane przez jego austriackiego wnuka. Jeszcze raz przywołał w pamięci przeczytaną nie tak dawno książkę o powojennych losach zbrodniarzy hitlerowskich. Większość z nich właściwie nie bardzo się ukrywała, wielu występowało

pod własnymi nazwiskami, choć niektórzy oczywiście uciekli z Europy do Ameryki Południowej. Co takiego musiał mieć na sumieniu drukarz z Wolsztyna, że mieszkał w Austrii pod fałszywym nazwiskiem? I dlaczego akurat w Austrii, gdzie proces denazyfikacji był, łagodnie rzecz ujmując, powierzchowny.

Nagle przypomniał sobie, że Szymon Wiesenthal, okryty sławą najśłynniejszy łowca nazistów, twórca Żydowskiego Centrum Dokumentacji, też mieszkał w Austrii – najpierw w Linzu, a później w Wiedniu. Terlecki zastanawiał się, czy to może być jakaś wskazówka, i wyrysował w notesie kolejny znak zapytania. Pomyślał, że musi porozmawiać z profesorem Howańskim i zapytać o to, jaki był stosunek jego dziadka do Żydów. W okresie międzywojennym mieszkało ich w Wolsztynie całkiem sporo, choć w ostatnich przedwojennych latach ich liczba gwałtownie zmalała.

Dopił kawę i zamówił butelkę wody. Wolałby piwo, ale musiał jeszcze dzisiaj usiąść za kierownicą. Nim ruszył na spacer w kierunku wolsztyńskich diabłów, rzeźb będących kopiami pracy Marcina Rożka na parkowym uroczysku, wysłał esemesa do profesora Howańskiego z prośbą o spotkanie.



Szedł wolno przez park. Nagle zauważył tego samego mężczyznę, który wczoraj wieczorem w Galerii Europejskich Przystanków z wysiłkiem zmagał się z kuflem piwa. Jego skórzany płaszcz i czarny kapelusz jeszcze bardziej nie pasowały do tego miejsca niż w restauracji. Mężczyzna siedział na ławce i robił wszystko, aby nie patrzeć na Terleckiego, co

tylko zwracało na niego uwagę. Obok niego leżał profesjonalny aparat fotograficzny.

Terlecki chciał podejść do nieznanego i zagadać, ale zrezygnował. Gdy minął ławkę, wydawało mu się, że słyszał trzask migawki, i zastanawiał się, czy mężczyzna robi zdjęcia kolorowym liściom pokrywającym parkową aleję, czy może jemu. Nie wyglądał na miłośnika jesiennego pejzażu.

Kurwa, przecież nikt nie wynajęłby takiego amatora, pomyślał, wspominając wczorajszy apel Bartka, aby nie popadał w paranoję. Mimo to poczuł się nieswojo i zamiast do dębu z rzeźbami Rożka skręcił w kierunku pałacu. Gdy spojrzął na coraz bardziej popadający w ruinę budynek, zaczął się zastanawiać, co się w nim działo po wyjeździe hrabiny Antoniny Michałowskiej. Z pracy nad poprzednim reportażem z Wolsztyna pamiętał, że dziedziczka rodu Mycielskich opuściła miasto na kilka dni przed wybuchem wojny, a w pałacu zainstalowała swoją teściową mieszkającą na co dzień w Krakowie.

Spojrzął na majaczącą w oddali wyspę.

Tumidaj, przypomniał sobie nazwę, którą nie tak dawno usłyszał od dawnego kolegi z liceum.

Gęsto porośnięta drzewami wyspa zawsze była tajemniczym miejscem. Przed laty wybrał się z córką na kajakową wycieczkę po jeziorze. Anastazja, mająca świeżo w pamięci *Park Jurajski*, za nic nie chciała płynąć na wyspę. Była przekonana, że zamieszkują ją dinozaury. Utwierdziła się w tym jeszcze, gdy nagle nad drzewami uniosła się chmara ptaków.

– Tato, to pterozauury, uciekajmy! – wrzasnęła, omal nie strącając do wody wiosła. Miała wówczas chyba dziewięć lat, więc film Stevena Spielberga zrobił na niej piorunujące wrażenie.

Ale Rafał pamiętał też wcześniejsze legendy związane z tym miejscem. O filmach Spielberga nikt jeszcze nie słyszał, więc w Wolsztynie opowiadano sobie o zamieszkujących wyspę jaszczurach i wężach, a wreszcie o ukrytym tam skarbie. W jednej wersji ten skarb należał do Mycielskich, w drugiej mieli go tam ukryć uciekający z Wielkopolski hitlerowcy.

Zauważył, że mężczyzna w skórzanym płaszczu, oparty o jakieś pokaźnych rozmiarów drzewo, fotografuje pałac. Pomyślał, że i on może znajdować się w kadrze, ale nie był tego pewien.



Krzysztof Balcer powitał go na progu domu ubrany w jasne spodnie od dresu, niebieską koszulę i granatowe plastikowe pantofle. Usiedli przy nakrytym białym obrusem stole zastawionym jedzeniem. Zauważył butelką wyborowej i flaszkę tullamore dew.

– Proszę się częstować. Polecam karpia w occie, sam przygotowałem.

– Łowi pan?

– Nie, nie mam na to ani czasu, ani cierpliwości. Niedaleko są stawy hodowlane, często tam kupuję. – Gospodarz chwycił butelkę wódki, ale Terlecki oświadczył, że jeśli może wybierać, to raczej stawia na whisky.

– Z lodem, jeśli pan ma – powiedział i zapytał, czy to prawda, że podczas wojny jego ojciec pracował w gospodarstwie u niemieckiego bauera.

Balcer potwierdził i sięgnął po drewniane pudło na krześle obok. Było pełne dokumentów i fotografii, ale dziennikarz

poprosił, aby najpierw opowiedział to, co zapamiętał ze wspomnień ojca.

– Trafił tam w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, może pod koniec drugiego. Jego ojciec, a mój dziadek, był zdunem, znał tego Niemca jeszcze sprzed wojny, wiedział, że to porządny człowiek. Babcia mówiła, że chodziło o zarobek, głównie oczywiście o żywność, ale także o to, aby ojciec, który był niezłym wywijasem, nie szwendał się z innymi chłopakami po mieście, bo przychodziły im do głowy różne głupie pomysły, z których większość oczywiście dotyczyła Niemców. To mogło być niebezpieczne.

Balcer opowiadał o pracy Alfonsa, jego codziennych zmaganiach z krowami, przynoszeniu wody ze studni, rąbaniu drewna, czyszczeniu obory i chlewa.

– Ci Niemcy go polubili. Byli już starszymi ludźmi, może dlatego. Ojciec co tydzień przywoził trochę bezcennego wówczas jedzenia, na przykład jajka i mleko. Polubili go tak bardzo, że gdy w czterdziestym piątym uciekali przed Ruskimi drabiniastym wozem, chcieli go zabrać ze sobą. Ojciec nawet się ucieszył, wsiadł na ten wóz, ale po kilkuset metrach jednak się rozmyślił i wrócił do domu.

Rozmawiali już ponad godzinę, ale nic nie wskazywało na to, że informacje, które przekazał mu Balcer, mogą w jakikolwiek sposób wiązać się z Howańskim.

– Profesor Lewandowski twierdzi, że pański ojciec opowiadał mu, że kiedyś podsłuchał rozmowę bauera z jakimś mężczyzną. I że było tam coś o genialnym fałszerzu pochodzącym z Wolsztyna.

Gospodarz przytaknął, nakładając sobie kolejną porcję ryby. Chwilę się zastanawiał, a potem zaczął relacjonować opowieść, którą wiele lat wcześniej usłyszał od ojca.

– Pewnej nocy zakradł się do kuchni. Był głodny, okna były ciemne, myślał, że wszyscy śpią. Nagle jednak zobaczył światła samochodu wjeżdżającego na podwórze, więc ukrył się w komórce, zaraz przy kuchni. Po chwili ktoś wszedł, później zjawił się gospodarz. Zajrzeli po coś do komórki, ale go nie dostrzegli. Potem rozmawiali, siedząc przy stole, a w końcu wyszli. Ojciec, nie wiem, może wiedziony jakimś instynktem, poszedł za nimi. Usiedli na ławce przed domem. Ta ławka stała tam jeszcze kilka lat temu. Może zresztą już inna, ale w tym samym miejscu. Wiem, bo kilka lat temu ojciec kazał się zawieźć do Widzimia. Chciał po raz ostatni zobaczyć miejsce, które wydawało mu się bardzo ważne w jego życiu, więc zapakowałem go do samochodu i pojechaliśmy.

Terlecki zapytał, czy ojciec zrelacjonował mu to, co wówczas podsłuchał, a Balcer potwierdził. Alfons miał usłyszeć o planowanej ucieczce, fałszywych dokumentach i markach, a nawet o jakimś księdzu, który miał być w to zaangażowany.

– Ojciec mówił też o sztabkach złota, które jeden z rozmówców, nie Becker, ale ten młodszy, zamierzał ukryć gdzieś w Wolsztynie. Nigdy nie przywiązywałem do tego wagi, to było bajdurzenie człowieka, który miał już swoje lata. Choć muszę przyznać, że wiecznie o tym złocie opowiadał, nieustannie do tego wracał.

Rafał wypił trochę whisky. Gospodarz pił niewiele, raczej moczył usta w drinku z wódki i soku pomarańczowego.

– Kim był rozmówca bauera?

Balcer na chwilę się zamyślił, wpatrzony w wiszący na ścianie obraz konia w galopie. Podrapał się po obfitym brzuchu.

– Nie wiem. Ojciec nigdy tego nie powiedział, a ja jakoś nie spytałem.

Dziennikarz wstał od stołu. Jego organizm domagał się nikotyny, więc wyszedł na zadaszony taras na tyłach domu i zapalił.

– Wie pan, co mój ojciec najbardziej zapamiętał z tych kilku lat pracy u niemieckiego gospodarza? Zdziwi się pan. To, że raz, raz jeden, pozwolono mu umyć samochód. Mercedesa. Do końca życia uważał mercedesa za najlepszą markę na świecie i zawsze namawiał mnie, żebym sobie takie auto kupił. A ja, widzi pan, mam mazdę. – Wskazał na stojącego obok domu czerwonego SUV-a.

Terlecki pokiwał głową i zgasił papierosa w dużej kamiennej popielniczce, którą gospodarz przyniósł z kuchni. Już chciał wrócić do stołu, gdy nagle zatrzymała go jakaś myśl. Spojrzał na Balcera. Potrząsnął głową, jakby chciał nieco otrzeźwieć.

– Mówi pan, że gospodarz z jakiejś zatechłej wielkopolskiej wsi miał w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, a może w czterdziestym drugim mercedesa? Przecież to niemożliwe, zna się pan na motoryzacji i musi pan wiedzieć, że to niemożliwe!

– Nie, oczywiście, że nie. Tym samochodem przyjechał do Widzimia jego syn. Nie mówiłem tego wcześniej? On był oficerem, wysoko postawionym, urzędował w Berlinie. Nie znam się na niemieckich formacjach, ale ojciec mówił, że był z SD. To zapamiętałem. Panu coś to mówi?

Terlecki kiwnął głową i wrócił do stołu. Chwytał szklanekę z whisky i znowu wyszedł na taras. Z leżącej na drewnianej ławie paczki wyciągnął kolejnego papierosa.

– I to ten, jak pan to nazwał, „wysoko postawiony oficer” urzędujący w Berlinie mówił o fałszowaniu dokumentów, okupacyjnych marek i pomyśle ukrycia w Wolsztynie złota?

– No przecież to właśnie od dłuższego czasu panu tłumaczę – oznajmił Balcer, dodając, że nie bardzo wierzy w te opowieści. – Ojciec dużo pił, jak wszyscy wtedy. Wymykał się z domu w sposób niezauważalny i szedł z kumplami do jakiejś knajpy, najczęściej do Wielkopolanki, albo do kogoś na karty. Mama nie raz wysyłała mnie do Wielkopolanki, abym go stamtąd wyciągnęła. Więc nie przywiązywałbym do tych jego opowieści zbyt dużej wagi.

Z jakiegoś powodu Rafał Terlecki czuł, że jego gospodarz nie ma racji.

Rozdział 12

WOLSZTYN, 2 PAŹDZIERNIKA 2019

Zamiast solennie przyrzekanego sobie joggingu, Rafał Terlecki wybrał pracę. Wczesnym rankiem usiadł przed komputerem i mozolnie grzebał w sieci, szukając informacji o Bolesławie Howańskim. Przejrzał listę więźniów obozu w Sachsenhausen, zastanawiając się, czy Niemcy nie wykorzystywali także jego talentu do produkcji fałszywych brytyjskich banknotów, później listy innych obozów koncentracyjnych. Nigdzie nie znalazł interesującego go nazwiska. Przystudiował opublikowane w sieci dokumenty waszyngtońskiego Muzeum Holocaustu, mając nadzieję, że trafi tam na jakąś wskazówkę, ale i te poszukiwania zakończyły się klęską. Liczył jeszcze, że znajdzie coś w wydawanych przed wojną w Wolsztynie gazetach, ale okazało się, że nie były zdigitalizowane, więc zniechęcony zamknął komputer i wyszedł przed hotel zapalić papierosa. Do spotkania z Henrykiem Howańskim zostały jeszcze ponad dwie godziny, więc wrócił do pokoju, włożył kurtkę i z notesem w dłoni ruszył do Wolsztyna. Wybrał drogę przez park.

Gdy zajął miejsce w Galerii Europejskich Przysmaków, do jego stolika podeszła ta sama kelnerka, która obsługiwała ich dwa dni temu.

- Nadal nie mamy rumsztyku z cebulką ani tego...
- Bryzolu. Właściwie to nie pamiętam, z czego był ten bryzol. Chyba z wołowiny, ale nie dam sobie ręki uciąć. Czekam na

kogoś, tylko że to potrwa. Może mi pani podać małą whisky z lodem?

Dziewczyna uśmiechnęła się i wróciła do baru, a Terlecki spojrzał na jej zgrabne nogi w czarnych rajstopach. Zażęknął do Ewy, swojej dawnej partnerki, z którą czasem nadal sypiał, ale odegnał zdołne myśli i wyciągnął notes. Zastanawiał się nad wczorajszą rozmową z synem Alfonsa Balcera, której niespodziewanym zwieńczeniem okazała się konieczność zjedzenia „tortu Kachlickiego”.

– Najlepszy na świecie. Przyznam się, że gdybym mógł jeszcze raz wybierać zawód, to bez wahania zostałbym cukiernikiem. Uwielbiam ten tort, choć moja mama robiła jeszcze lepszy – powiedział Krzysztof Balcer, pałaszując drugi kawałek.

Terleckiego bardziej niż tort zajmowała analiza tego, co usłyszał. Jeśli Alfons wiernie opowiedział podsłuchaną rozmowę, mogło to w jakimś stopniu tłumaczyć umieszczenie Howańskiego w areszcie RSHA: przebywający na urlopie oficer SD dowiaduje się o świetnym fałszerzu zatrzymanym przez funkcjonariuszy lokalnego posterunku i aby przypodobać się przełożonym, zabiera go do Berlina.

Co w takim razie w tej historii robią ksiądz i złoto? – zapisał w notesie.

Zdawał sobie sprawę, że to wąty trop, zwłaszcza fragment dotyczący złota mógł być tylko konfabulacją dziecka lub zrodzić się po latach, na przykład pod wpływem książek lub telewizji. Opowieści o skarbach ukrytych przez Trzecią Rzeszę nie były przecież po wojnie rzadkością, czego emblematycznym przykładem są nieustanne, wciąż trwające poszukiwania Bursztynowej Komnaty.

Terlecki z niecierpliwością spojrział na bar. Kelnerka gdzieś zniknęła. Pomyślał, że musi porozmawiać z kimś, kto potrafi zweryfikować opowieść syna Alfonsa. Sięgnął po telefon i wybrał numer mechanika.

– Panie Krzysztofie, czy koledzy pańskiego ojca, na przykład ci, z którymi grał w karty lub spotykał się w Wielkopolance, jeszcze żyją? Chciałbym z nimi porozmawiać.

Odpowiedź była twierdząca i mechanik obiecał, że w ciągu kilku dni poda ich adresy. Niestety, na kolejne pytanie nie potrafił odpowiedzieć.

– Kiedyś pamiętałem nazwisko tego niemieckiego gospodarza, u którego ojciec pracował, ale wypadło mi z głowy. Chyba zaczynało się na literę „b”... Zadzwonię, jeśli sobie przypomnę. To ważne?

Dziennikarz potwierdził, a gdy Terlecki odkładał telefon, kelnerka przyniosła zamówioną whisky.

– Przepraszam, że jestem taki upierdliwy, ale czy poda mi pani jeszcze herbatę?

– Jaką?

– Obojętnie, byle bez cukru.

Terlecki zastanawiał się, czy złożył to zamówienie dlatego, że rzeczywiście miał ochotę na herbatę, czy po to, aby jeszcze raz spojrzeć na nogi kelnerki. Nagle jednak coś sobie przypomniał.

– Gdy byłem tu poprzednio, przy stoliku obok siedział facet w skórzanym czarnym płaszczu. Pamięta pani? Zamówił piwo. Zna go pani? Bywa tutaj?

Kobieta odgarnęła ciemnorude włosy, kiedyś nazywane kasztanowymi, i zmrużyła oczy.

– Nie, wcześniej go nie widziałam. Zapamiętałabym, był dość charakterystyczny...

– Delikatnie to pani ujęła. – Uśmiechnął się.

– Nigdy go wcześniej nie widziałam. Ani tu, ani na ulicy. Ale zapytam jeszcze koleżankę, może ona będzie wiedziała. Pracuję tu od niedawna...

Henryk Howański wszedł do restauracji w momencie, gdy Terlecki dopijał whisky.

– Nie przepadam za takimi miejscami. Wolałbym się spotkać w kaplicy. Albo chociaż w kawiarni – oświadczył i usiadł, kładąc na stole mocno zniszczoną skórzaną teczkę.

Dziennikarz zbył jego uwagę milczeniem, a potem zapytał o człowieka w czarnym płaszczu i kapeluszu.

– Około czterdzieści lat, jasne, mocno przerzedzone włosy. Niezbyt wysoki, w każdym razie znacznie niższy ode mnie, rozbiegany wzrok.

Profesor chwilę się zastanawiał, ale stwierdził, że nigdy nikogo takiego w Wolsztynie nie widział.

– Dlaczego pan pyta?

Terlecki opowiedział o niedawnym spotkaniu tego człowieka w Galerii, a później w parku. Nauczyciel spojrział w kierunku drzwi, jakby oczekiwał, że bohater ich rozmowy nagle się w nich pojawi, i w tym momencie do restauracji weszła grupka roześmianych dziewczyn. Gdy zobaczyły Howańskiego, natychmiast się wycofały.

– Uczennice?

– Właśnie dlatego nie lubię takich miejsc. Gdybyśmy się spotkali w kaplicy, na pewno nie trafiłbym na żadnego ucznia, bo młodzież omija dziś kościoły szerokim łukiem. Bardzo nad tym ubolewam – dodał i spojrział na stojącą na stole szklanę z whisky, w której roztopiał się lód. – Pewnie już piszą na tych

swoich facebookach, że ich nauczyciel zaraz po lekcjach poszedł do knajpy i pije alkohol.

Zamówili jedzenie – mimo zachęt ze strony Terleckiego profesor ograniczył się do sałatki – i zaczęli rozmawiać. Dziennikarz zrelacjonował mu dotychczasowe ustalenia, stwierdzając, że będzie musiał pojechać do Berlina, aby poszperać w niemieckich archiwach.

– Czy pan wie, profesorze, jakie nazwisko nosił po wojnie pana dziadek? I czym się właściwie w Wiedniu zajmował? W listach napisał tylko, że dobrze mu się powodzi.

Howański zaprzeczył.

– Hans Schulz, ten mój kuzyn, nie zdążył mi tego powiedzieć. Wie pan, że ciągle mam opory, aby nazywać go kuzynem? Dziwnie się z tym czuję. Ale gdyby nie ten wypadek...

– Jest pan pewien, że to był wypadek? Bo ja sędzę, że jednak nie. Austriacka policja pana przesłuchiwała, z pewnością ma pan do nich jakiś kontakt. Proszę odszukać i wysłać mi esemesem. Im szybciej, tym lepiej.

Godzinę później, gdy regulował rachunek, kelnerka powiedziała mu, że jej koleżanka także nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny w skórzanym płaszczu.

Terlecki ruszył w kierunku Karpicka. Szedł zamyślony, zastanawiając się, czy powinien sam wybrać się do Berlina i Wiednia, czy może poprosić redakcję o pomoc. Doszedł do wniosku, że jego niemiecki nie jest na tyle dobry, aby poradzić sobie z dokumentami. Pomyślał o Oldze Morąg, z którą kiedyś już pracował, i humor natychmiast mu się poprawił. Wiedział, że skończyła germanistykę, kilka lat pracowała dla jednej z niemieckich stacji radiowych, a przy tym naprawdę bardzo mu się podobała. Już kiedyś razem pracowali i sukces tamtego reportażu podsumowali pełnym pikanterii wieczorem w jednym

z gdańskich hoteli. Była tak bezpruderyjna i tak świadoma swoich potrzeb, że nawet Ewa wydawała się przy niej mniszką. Dlaczego nie mieliby tego powtórzyć w Berlinie?

Chciał pójść przez park, ale najpierw wstąpił do sklepu z alkoholami przy dawnym kinie Tatry mieszczącym się w budynku, gdzie przed wojną była synagoga. Kupił butelkę jacka daniel'sa i już podchodził do oszklonych drzwi, gdy spostrzegł parkującego przy ulicy Poznańskiej czerwonego opła corsę. Za kierownicą siedział mężczyzna w skórzanym płaszczu. Dziennikarz cofnął się w głąb sklepu. Udając, że przygląda się stojącym na półkach butelkom wina, obserwował ulicę przez okno wystawowe.

Być może Bartek miał rację, przestrzegając go przed popadnięciem w paranoję, bo trudno mu było wyobrazić sobie, że ktoś powierzył śledzenie go człowiekowi tak bardzo rzucającemu się w oczy.

Skórzany długi płaszcz, czarny kapelusz i do tego jeszcze czerwony samochód. Jezu, czy ten spektakl reżyseruje Mel Brooks? – jęknął w duchu, ale nie bardzo było mu do śmiechu. Mężczyzna siedział w samochodzie, robiąc wszystko, aby nikt nie pomyślał, że obserwuje drzwi sklepu. Z miernym skutkiem.

Minęło kilka minut, więc stojąca za ladą dziewczyna zapytała, czy może mu jakoś pomóc w wyborze wina. Chciał powiedzieć, że z tym akurat nieźle sobie radzi, ale chętnie wyszedłby tylnym wyjściem. Darował sobie jednak ten pomysł. Zamiast przez park postanowił wracać do hotelu dłuższą drogą i sprawdzić, jak zachowa się ten, pozał się Boże, detektyw. Był ciekaw, jakie numery rejestracyjne ma opel corsa.

Wyszedł ze sklepu i ruszył w kierunku ronda. Samochód wyprzedził go, gdy mijał agencję turystyczną o wiele obiecującej nazwie Halabanaha Travel. Okazało się, że auto miało

poznańskie numery rejestracyjne, więc na wszelki wypadek zapisał je w smartfonie. Pomyślał, że wieczorem zadzwoni do Wiesława, właściciela dużej agencji detektywistycznej z Warszawy, z którym od lat się przyjaźnił.

Gdy już w Karpicku skręcał w kierunku hotelu, wydawało mu się, że czerwona corsa parkuje w głębi ulicy Podgórnej, ale nie był tego pewien.

Rozdział 13

WOLSZTYN, 13 LISTOPADA 1943

Pułkownik Ernst Becker zatrzymał się przy wolsztyńskim Rynku, wysiadł ze służbowego mercedesa i zapalił papierosa, patrząc na niemieckie flagi powiewające nad wejściem do ratusza. Mimo połowy listopada nadal było ciepło, więc zdjął płaszcz i położył go na tylnym siedzeniu samochodu. Spojrzał na wieżę kościoła z zegarem, a później przeniósł wzrok na zgromadzone przy północnej pierzei chłopskie furmanki.

Oskar jak zwykle się spóźniał. Nie było to dla niego zaskoczeniem. Tak było w szkole powszechnej i wtedy, gdy wybierali się do miasta lub na zabawę. Służba w Abwehrze najwidoczniej nie zmieniła jego przyzwyczajień.

– Może dlatego. Może właśnie dlatego przegrywamy tę wojnę... – powitał przyjaciela, gdy ten w końcu wyszedł z hotelu.

– Przyglądając się miejscowym chłopom, nagle odkryłeś największą słabość Trzeciej Rzeszy? Może zastąpisz feldmarszałka Rommla, podobno ostatnio popadł w niełaskę. – Oskar popatrzył na niego ironicznie.

– Może dlatego przegrywamy tę wojnę, że oficerowie Abwehry są wiecznie spóźnieni – odparł Ernst i usiadł za kierownicą.

Oskar Hoffmann zapytał o cel podróży, ale oficer SD nie odpowiedział. Minęli kościół ewangelicki, później hotel,

w którym obaj przeżyli swoją seksualną inicjację, wreszcie rozległy budynek poczty i ogromny gmach ich dawnej szkoły, ale zamiast skręcić w lewo, do mieszkania, w którym przetrzymywali Bolesława Howańskiego, pojechali prosto i dopiero za rzeką skręcili w prawo.

– Powiesz wreszcie, dokąd jedziemy?

Gdy przejechali wiadukt nad prowadzącymi do Zbąszynka torami kolejowymi, Becker zwolnił i zjechał na pobocze brukowanej drogi. Wsiadł z samochodu. Oskar podążył za nim, wyciągając papierosy.

– Widzisz tę drogę? Wybudował ją Alfred Daum, który kupił majątek Chorzemin od rodziny von Hunerbeim, a ten w połowie dziewiętnastego wieku dostał im się po zakonie cystersów. Daumowie to dobrzy Niemcy, wywodzą się z Królewca i Berlina, wcześniej ich rodowa siedziba znajdowała się w Kiełpinach. Wybudowali tę drogę, stajnię dla koni, kuźnię, magazyn zbożowy, oborę, nawet murowany budynek mieszkalny dla robotników rolnych. I pałac. To była kiedyś zabiedzona wieś, zamieszкана przez Polaków, a dzięki Niemcom kwitnie.

– Ernst, ja wiem, że oficerowie SD szczycą się swoim sentymentalizmem, romantycznymi uniesieniami nad pięknem niemieckiej ziemi i dumą z naszych dokonań cywilizacyjnych. Ale nie mamy czasu na takie bzdury. Alexandrowi kończy się urlop, a Howański strasznie się grzebie. – Hoffmann zdjął czapkę i białą chustką wytarł pot z czoła. Nadmiar wypitego wczoraj alkoholu dawał mu się we znaki.

– Chodź, napijesz się piwa. Wygląda na to, że bardzo tego potrzebujesz. Piłeś wczoraj – stwierdził Ernst oskarżycielskim tonem.

– Odrobinę. Odrobinę za dużo. Wstąpiłem wieczorem do kasyna, aby coś zjeść, bo w hotelu mają podłe żarcie. Trochę

wypiłem, a później jedna z kelnerek, ma na imię Karen, okazała się nadzwyczaj filuterna. Wzięliśmy butelkę koniaku i poszliśmy do hotelu. Alkohol był taki sobie, za to piersi Karen pierwsza klasa. Jeszcze teraz się pocę na samą myśl o nich – stwierdził ze śmiechem, znowu ocierając czoło. – Resztę też miała zresztą niczego sobie.

– Miała?

– Miała, ma, będzie mieć. Zostawiłem ją w pokoju, więc chciałbym już tam wrócić i zafundować jej mały powrót do przeszłości. I sobie naturalnie. Później niech to poletko uprawia już ktoś inny – dodał i się roześmiał.

Minęli skryty w niewielkim parku pałac i skręcili w prawo. Zatrzymali się przed gasthausem obok chłopskich wozów i nakrytych derkami koni.

Gdy weszli do środka, kilku mężczyzn szybko dopiło swoje piwo i wyszło. Też zamówili po kufelku.

– Kazałeś mi się ubrać w mundur, aby przywieźć mnie do czegoś takiego?

– Nie. Za godzinę spotkamy się z Anną Daum. To dziedziczka tutejszego majątku. Zostałem jej polecony przez naszego wspólnego znajomego z Berlina. To tutaj przeniesiemy Howańskiego. Będzie miał lepsze warunki pracy, więc szybciej upora się z naszym zleceniem.

Właściciel gasthausu postawił przed nimi dwa kufle i oficer Abwehry natychmiast sięgnął po swój. Pił łapczywie, piana ściekała mu po brodzie. Wreszcie odstawił piwo i popatrzył na przyjaciela.

– Masz gwarancję, że nas nie wyda? Wiem, że ci landgrafowie i inne szlachciury nie wszyscy są wielkimi entuzjastami Hitlera, ale nas uważają za parweniuszy niegodnych miana

spadkobierców chwały pruskiej armii. Na dodatek są to ludzie podszyci strachem. Wystarczy, że któryś z tych chłoptasiów od Müllera tupnie nogą, i wyśpiewają wszystko, co wiedzą, a nawet to, czego nie wiedzą – stwierdził Hoffmann i zapalił papierosa. Wyciągnął paczkę w kierunku Beckera, ale ten odmówił.

W słowach Oskara było sporo racji. „Chłoptasie Müllera” – Heinricha Müllera, szefa Gestapo – budzili respekt i trwogę nawet wśród oficerów SD i Abwehry. Ale Becker był pewny swego.

– Miejsce jest dobre. Z dala od miast, wśród pól. Gestapo nie lubi takich klimatów – dodał Oskar, znowu sięgając po piwo.

Becker przyglądał się oficerowi Abwehry, zastanawiając się, na ile może mu zaufać. Znali się od tak dawna, tyle razem przeżyli, że odpowiedź wydawała się oczywista. Mimo to coś go powstrzymywało. Postanowił na razie odłożyć zasadniczą rozmowę i opowiedział mu o propozycji ojca, który namawiał go, aby przy ucieczce skorzystali z pomocy miejscowego księdza.

– Delikatna sprawa. Ale pomysł niegłupi. Prowadzimy trochę operacji w Watykanie. Nie znam oczywiście szczegółów, ale coś tam do mnie dotarło. Generalne nastawienie Rzymu do nas nie jest złe, z tego, co wiem, wielu purpuratów nam sprzyja i wcale nie mam na myśli tylko niemieckich biskupów. Tylko widzisz, to jest jednak człowiek, w którym płynie polska krew. Czy komuś z domieszką polskiej krwi można zaufać?

Oficer Abwehry siedział teraz pochylony nad drewnianą ławą. Mówił cicho i Beckerowi wydawało się, że wypity wczoraj alkohol całkiem z Oskara wyparował. Byli teraz na jego poletku i Hoffmann doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Daj mi trochę czasu na zastanowienie, sam na razie nic nie rób, bo możesz wszystko spalić. Pomyślę. I spróbuję się czegoś

dowiedzieć w Berlinie.



Dwie godziny później opuścili Chorzemin żegnani przez Annę Daum, sześćdziesięcioletnią elegancką właścicielkę majątku liczącego blisko osiemset hektarów. Wszystko było ustalone. Pałacowa piwnica idealnie nadawała się do ich celów, a hrabina obiecała, że w ciągu trzech dni pomieszczenia zostaną starannie uprzątnięte i odmalowane.

– Generał von Finckenstein obiecał mi, że zachowacie panowie pełną dyskrecję. Z oczywistych względów bardzo mi na tym zależy – powiedziała na pożegnanie.

Gdy wsiedli do samochodu i wyjechali na drogę, Hoffmann zdjął czapkę i położył ją sobie na kolanach. Sięgnął po chusteczkę i ponownie otarł zroszone potem czoło.

– Zaliczasz się do znajomych Helmuta von Finckensteina. Fiu, fiu. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia.

– Oskar, zostaw to. Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej. I dla nas. – Ernst Becker nie odrywał wzroku od drogi. Ściemniało się. – Ta Karen nadal czeka?

Hoffmann spojrział na zegarek i pokręcił głową. Poprosił Ernsta, żeby nie skręcał w Seestrasse i zatrzymał się przed ich dawną szkołą. O tej porze gmach był już całkiem ciemny i sprawiał ponure wrażenie.

Wysiedli z mercedesa i Oskar zapalił papierosa. Zaciągnął się nikotyną.

– Wchodzimy na kurewsko grząski grunt. Możemy to jeszcze odkręcić, ale to ostatni moment. Gdy zawieziemy Howańskiego do Chorzemina, nie da się już tego zmienić. Rozumiesz to?

Ernst także zapalił papierosa. Miał teraz ochotę na schnappsa, ale na razie musiał to odłożyć.

– Nie, Oskar, nie masz racji. Granicę przekroczyliśmy już dawno temu, wtedy gdy wciągnęliśmy w to Müllera. My zawsze możemy się z takich akcji wywinąć, twierdząc, że prowadzimy operację przeciwko wrogom Trzeciej Rzeszy. Zawsze jest szansa, że ktoś w to uwierzy. Ale oficerowie wojsk pancernych nie prowadzą operacji kontrwywiadowczych. Więc nie pierdol. Już nie mamy wyjścia – powiedział zdecydowanym tonem Ernst Becker, zaciągając się papierosem.

Zamilkli. Ernst uważnie obserwował swojego szkolnego kolegę. Widział, że ten się boi. Tak samo jak bał się, gdy przed końcowym egzaminem włamali się do gabinetu dyrektora, gdzie złożono pytania, które komisja miała im zadać dwa dni później.

– Może masz rację. Ty zwykle masz rację i to mnie strasznie w tobie wkurwia. Zawsze mnie wkurwiało. Chodźmy już. Muszę się czegoś napić – powiedział Oskar, wyrzucając dopiero co zapalonego papierosa.



Alexander Müller otworzył im drzwi w rozchełstanej koszuli i opuszczonych szelkach. W ręce trzymał pistolet, a jego wzrok był zamglony. Koszula, spod której wystawał nie pierwszej świeżości podkoszulek, była przepocona i wyraźnie potrzebowała prania.

– Ho, ho, ho... Schowaj tę pukawkę, bo jeszcze kogoś postrzelisz. – Oskarowi najwyraźniej wrócił dobry humor. – Najpewniej siebie. Wy, pancerniaczy, nie bardzo umiecie korzystać z broni osobistej.

Weszli do pokoju. Na stole stała szklanka z niedopitą kawą i napoczęta butelka wódki. Druga, pusta, leżała na stole. Howański siedział za stojącym blisko okna biurkiem, na którym jasno świeciła lampa. Pracował.

– Na dzisiaj koniec. Odłóż to i napij się z nami. Alexander, daj kieliszki.

Bolesław Howański spojrział znad opuszczonych na nos okularów, ale po chwili zgasił lampę, zdjął okulary i ukrył twarz w dłoniach. Był zmęczony.

– Nie wychodzi to dobrze. Nie umiem sobie poradzić ze znakami wodnymi. Będę potrzebował drukarni. Tutaj nie da się takiej maszyny uruchomić, powoduje duży hałas, więc zaniepokoi sąsiadów. No i trudno będzie wnieść ją na pierwsze piętro – oznajmił ponurym głosem.

– Nie martw się, Boles, dasz radę. Musisz – oznajmił Oskar, który gdy tylko kieliszki zostały postawione na stole, natychmiast rozlał alkohol.

– Dasz? – Ernst Becker patrzył na Polaka uważnie, gdy ten z wyraźną ulgą usiadł przy stole. Znowu zaczął pocierać skronie, chcąc uwolnić się od bólu głowy.

– Potrzebuję maszyny. Pierwszy etap jest łatwy, skończę za dwa, może trzy dni. Ale co z papierem?

Ernst Becker sięgnął po kieliszek i przesunął go do Polaka.

– Wypij. Zasłużyłeś – powiedział, patrząc mu w oczy.

Oskar i Alexander przyglądali się tej scenie, stojąc obok okrągłego stołu, przykrytego kwiecistym obrusem. Pancerniak nadal trzymał w dłoni pistolet. Chwiał się na nogach. Lufą walthera podrapał się po nieogolonym policzku.

– Coś się, kurwa, zmieniło? Czegoś nie wiem?

Ernst Becker wstał od stołu i powoli podszedł do przyjaciela.

– Alexander, usiądź, napij się. Wszystko ci wytłumaczę. Za kilka dni zmieniamy lokal. Nasz polski przyjaciel – Ernst zbliżył się do pancerniaka i delikatnie chwycił trzymany przez niego pistolet – będzie miał lepsze warunki do pracy. A ty będziesz mógł odpocząć.

Müller się zachwiał i Becker pomógł mu usiąść na krześle. Ernst zabezpieczył jego pistolet, a potem sięgnął po napełniony przez Oskara kieliszek.

– *Prosit* – powiedział.

Trzej mężczyźni spełnili toast. Nie było wśród nich Alexandra Müllera, który rozwalony na krześle, cicho pochrapywał.

– Spisz dokładnie wszystko, czego potrzebujesz. Spisz tak, jakbyś musiał zrobić więcej dokumentów. Nie dla trzech czy pięciu, ale dla pięciuset. Rozumiesz?

Oskar Hoffmann spojrzał na niego zaskoczony. Milczał.

Becker znowu rozlał alkohol. Howański siedział skulony, z rękoma wciśniętymi między nogami. Nim sięgnął po wódkę, zapytał, co z jego rodziną. Dopiero gdy Becker zapewnił go, że jutro zostanie im dostarczona paczka z żywnością, chwycił kieliszek i szybkim ruchem wlał sobie wódkę w gardło.

Rozdział 14

WIDZIM STARY, 17 LISTOPADA 1943

Wielka czarna bestia leciała na niego, tocząc pianę z pyska, a jej kły niebezpiecznie zbliżały się do jego twarzy. W ostatniej chwili uchylił się i zrobił krok w tył. Na ułamek sekundy owczarek niemiecki zawisł w powietrzu, a potem naprężony łańcuch brutalnie ściągnął go na ziemię. Upadł na plecy z głuchym łoskotem, zaraz jednak się podniósł i zaczął wściekle ujadać. Natychmiast zawtórował mu inny pies, a po nim kolejne z sąsiednich gospodarstw. Drżącą ręką wyciągnął z kabury pistolet. Był gotowy oddać strzał, ale w białej poświacie księżyca dostrzegł, że łańcuch, na którym pies został uwiązany, jest wystarczająco solidny. Broń skierował w stronę ujadającej bestii, ale nie był pewien, czy rozedrgana ręka pozwoliłaby mu trafić w cel.

Otarł pot zalewający mu oczy i rozejrzał się z niepokojem. Pochodził ze wsi i wiedział, że wielu gospodarzy dla ochrony przed nieproszonymi gośćmi spuszcza psy na noc. Ostrożnie zrobił kilka kolejnych kroków w tył i oparł się o wymurowaną z czerwonej cegły ścianę stodoły. Ciężko dyszał, rozglądając się wokół, gdy przez psi jazgot przebił się czyjś głos.

- Kto tam jest? Odpowiadaj! – poznał głos Ernsta Beckera.
- To ja, Oskar Hoffmann. Weź tego bydlaka!

Ernst wydał psu polecenie, ale ten go zignorował. Dopiero komenda wypowiedziana stanowczym głosem przez starego Beckera odniosła skutek i Kaiser, cały czas groźnie szczerząc

zęby, wrócił do budy, aby zaraz wystawić z niej łeb. Warczał cicho, cały czas czujny i gotowy do kolejnego skoku.

– Chodź, nic ci już nie zrobi.

– Pierdol się! – odkrzyknął Oskar. – Nie ruszę się stąd. Przyjdź po mnie. Przyjdź albo go zastrzelę! – Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie słychać panikę, ale był wyczerpany i wściekły. Wyjechał z Berlina znacznie później, niż planował, a kilka kilometrów przed Widzimiem Starym, gdy już zasypiał za kierownicą, drogę przecięło mu stado dzików. Niemal stanął na pedale hamulca, tył samochodu zarzuciło, ale niewiele to pomogło. Uderzył w dużego odyńca, który martwy wylądował w rowie, a on zatrzymał się na rosnącym przy drodze drzewie. Gdy z trudem wyszedł z samochodu, z silnika mercedesa wydobywała się para, a błotnik leżał kilka metrów dalej. Resztę drogi musiał przejść pieszo.

Zaczął padać deszcz i Oskar z rezygnacją spojrział w niebo. Miał wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, bo wychodząc z samochodu, z pewnością pod wpływem szoku i zmęczenia, nie zabrał płaszcza. Głowa bolała go od uderzenia w kierownicę i zdawało mu się, że z czoła cieknie krew.

– Kurwa, Ernst, przyjdiesz wreszcie? Bez ciebie się nie ruszę! – krzyknął, cały czas trzymając w ręce pistolet.

– Jestem tu. Proszę się nie denerwować. – Obok psiej budy stał Erich Becker. Oskar westchnął z ulgą.

Weszli do domu i zaraz skręcili w lewo, do kuchni. Ernst, ubrany w połataną spodnie i długą, mocno sfatygowaną białą koszulę, próbował wzniecić ogień w kaflowej kuchni. Uśmiechał się do Oskara ironicznie.

– Usiądź. Ojciec, dasz bimbru? Trzeba jakoś doprowadzić współpracownika admirała Canarisa do stanu używalności. Czy

matka mogłaby pościelić w gościnnym? Nasz gość już się dzisiaj raczej stąd nie ruszy.

Oskar Hoffmann zdjął przemoczoną kurtkę mundurową i włożył wełniany sweter podany mu przez Ernsta, a potem chwycił napełniony przez starego Beckera kieliszek. Podczas gdy jego syn częstował niespodziewanego gościa papierosem i czekał, aż zagotuje się woda na herbatę, on ukroił dwie grube pajdy chleba i postawił na stole kamienne naczynie ze smalcem.

– Ogórka? – zapytał i nim Oskar zdążył odpowiedzieć, poszedł do komórki.

Gdy wrócił, wypił szybkiego schnappsa i ruszył do wyjścia.

– Nie siedźcie długo. Oskar powinien się przespać – oznajmił z ojcowską przyganą w głosie, zamykając drzwi. Machinalnie kiwnęli głowami, ale nie zamierzali go słuchać.



I nie posłuchali. Zbyt wiele spraw musieli omówić, zbyt wiele rzeczy sobie wyjaśnić.

Ernst zapytał, czy dowiedział się czegoś o księdzu Arthurze Sikorze. Oskar zdał mu dokładną relację, z której wynikało, że klecha nie sprawia żadnych problemów.

– Kuria mianowała go na to stanowisko w czterdziestym drugim roku, wcześniej był wikarym na Polesiu, w Pińsku. Spolegliwy. Nienawidzi Żydów i temu nie należy się dziwić, bo poznał ich bardzo dobrze, przed wojną w Pińsku Żydzi stanowili trzy czwarte ludności. Sikora uważa ich za rozsądnych komunistów, więc właściwie jego poglądy są zgodne z naszymi. Ze zgromadzonych przez nas informacji, a te są raczej dokładne, wynika, że nie angażował się w działalność

polityczną, z nieliczną mniejszością niemiecką miał kordialne stosunki. Co tak siedzisz? Polej. Muszę się rozgrzać.

Woda właśnie się zagotowała, więc Ernst najpierw zrobił herbatę, a później napełnił oba ich kieliszki. Trzeci, po ojcu, odsunął w głąb stołu.

Gdy wypili, Hoffmann wydobyl z kieszeni spodni paczkę papierosów i wyciągnął w kierunku Ernsta.

– Amerykańskie, spróbuj. Nawet dobre.

Becker zapalił, ale nie był zachwycony.

– Przed wojną w Wiedniu można było kupić amerykańskie papierosy, ale wtedy jeszcze nie paliłem, nie stać mnie było na takie luksusy. – Zaciągnął się nikotyną.

Hoffmann rozwalił się na krześle, wyciągając nogi w ubłoconych oficerkach. Poinformował Beckera, że według zgromadzonych w Abwehrze akt ksiądz Sikora ma austriackie korzenie, jego rodzina pochodzi z Grazu, a w Watykanie urzęduje kuzyn jego matki, franciszkanin Edoardo Domoter.

– Domoter jest wykładowcą Collegio Teutonico di Santa Maria dell'Anima, niemiecko-austriackiego seminarium w Rzymie, na którego czele stoi biskup Alois Luigi Hudal. To ważna postać watykańskiej kamaryli, człowiek jednoznacznie wspomagający niemieckie interesy. Oczywiście nie za darmo, od kilku lat dobrze mu płacimy. Przed wojną Sikora utrzymywał z franciszkaninem bliskie kontakty, w latach trzydziestych był nawet dwa razy w Rzymie.

Ernst Becker był pod wrażeniem. Myślał, że zaskoczy Oskara informacją, że do pałacu w Chorzeminie udało mu się ściągnąć odpowiednią maszynę drukarską – zarekwirował ją aż w Sęszewie – i w podziemiach pałacu hrabiny Daum ulokować

Bolesława Howańskiego, tymczasem prawdziwą bombą okazały się wiadomości przywiezione przez Hoffmanna z Berlina.

– Bardzo obiecujące – oznajmił, lekko uderzając kieliszkiem o kieliszek Oskara.

Twarz przyjaciela pozostała niewzruszona. Spojrzał tylko na Ernsta. Zapytał, dlaczego Howański zamiast dla trzech ma sporządzić dokumenty dla sześciuset osób.

Becker chwycił butelkę oraz kieliszki i ruszył do drzwi, oznajmiając, że woli rozmawiać poza domem. Hoffmann wstał niechętnie, ale jego długoletnie doświadczenie w wywiadzie podpowiadało mu, że przyjaciel ma rację. Wzięli flaszkę bimbru i ruszyli do stodoły.

Padał deszcz, więc weszli do środka. Becker postawił lampę naftową na klepisku. Usiedli na snopkach zgromadzonych pod krokwiami. Smród wilgoci mieszał się z zapachem siana.

Gospodarz napełnił kieliszki.

– Jak za dawnych lat. Pamiętasz?

Pamiętał. Przed laty, gdy dopiero wchodzili w dorosłość, w tej wówczas świeżo postawionej stodole chowali się z butelkami wina porzeczkowego robionego przez ojca i raczyli się nim długo w noc, rozmawiając o dziewczynach. Pamiętał też, że wówczas bezgranicznie sobie ufali.

– No więc? Po cholere nam tyle tych paszportów? Co kombinujesz?

Ernst Becker wypił kieliszek i spojrzał na Hoffmanna.

– Pamiętasz Wiedeń? Mówiłem ci o tym. Żyłem tam bardzo biednie, na granicy ubóstwa. Nie, chyba raczej poza tą granicą. Cały czas przymierałem głodem. Zdarzało mi się kraść żarcie na straganach. Czasem był to ziemniak, częściej ogórek, ale głodu to nie zaspokajało. Czy od tego czasu coś się zmieniło?

– Głodny nie chodzisz – zwrócił uwagę Oskar.

– Nie, głodny nie chodzę. Ale co z tego?

Umilkli. Hoffmann wiedział, o czym mówi Erich. Wiedział, że wojna kiedyś się skończy i nawet jeśli, w co wątpił, Niemcy ją wygrają, to wówczas tacy jak oni zostaną zdemobilizowani. Przestaną być potrzebni, skończy się żołąd, dostęp do kawy, francuskich koniaków i amerykańskich papierosów.

– Wrócimy tutaj, bo co innego nam zostanie? Będziemy orać, siać, zbierać i wyprowadzać krowy na pastwisko. Naprawdę tego chcesz? – Ernst spojrział na swojego przyjaciela, oficera Abwehry.

– Po wojnie będziesz mógł otworzyć kancelarię prawną w Wolsztynie.

– I bronić Polaków? Nienawidzę ich. I ile będę na tym zarabiał, skoro chcemy ich pozbawić podstaw egzystencji? Kanę mleka tygodniowo?

Opróżnili kieliszki i zapalili papierosy. Milczeli.

– Tylko że, jak obaj świetnie wiemy, tej wojny nie wygramy. Więc nie będzie ani powrotu tutaj – Becker powiódł ręką po stodole – ani nie będzie mowy o kancelarii. To my będziemy podludźmi. Bez żadnych praw. Przecież wiesz.

Wiedział. Zdusił papierosa na klepisku, a później – stare przyzwyczajenie – rozgniół niedopałek butem, sprawdzając, czy nie zajęły się źdźbła siana. Choć do stodoły wdzierała się jesienna wilgoć, to możliwość zaprószenia ognia wciąż była realna.

– No więc?

– Dzięki Howańskiemu uciekniemy do Argentyny. Nie wybrałem tego miejsca przypadkowo. Kilka miesięcy temu doszło tam do zamachu stanu, władzę w kraju objęli ludzie,

wśród których ważną rolę odgrywają zwolennicy Niemiec. Ale jeśli znajdziemy się tam sami, to gównu zdziałamy. Chodzi o to, aby reprezentować siłę i rządzić Argentyną z drugiego szeregu, zostawiając tym dzikusom zewnętrzne atrybuty władzy: te ich paradne mundury, wysoko uniesione niczym u Mussoliniego brody, być może nawet parlament. Rozumiesz?

Zaczynał rozumieć. Z raportów Abwehry wiedział o zamachu stanu w Argentynie. Nie znał szczegółów, ale pamiętał, że doszło do niego na początku czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, a jednym z najważniejszych jego inspiratorów był Juan Perón, wcześniej attaché wojskowy we Włoszech i w Niemczech.

– Perón to nasz człowiek. Faszysta. Wkrótce właśnie on obejmie władzę w Buenos Aires. To nasza operacja. Przez lata udało nam się rozbudzić w nim ambicję uczynienia z Argentyny światowego mocarstwa. Przekonaliśmy go, że może tego dokonać tylko wówczas, gdy ściągnie do siebie specjalistów z Niemiec. I on w to wierzy. Wierzy, że tylko Niemcy potrafią z tego rolniczego kraju uczynić ekonomiczną potęgę. Rozumiesz?

Oskar Hoffmann wstał z leżącego na klepisku snopka i zaczął chodzić po stodole. Sytuacja wydała mu się kuriozalna. Oto dwóch przyjaciół z niewielkiej wioski na krańcach Trzeciej Rzeszy przy butelce bimbrowa od Piszczuna rozprawiało o przejęciu władzy w jakimś dalekim, zamorskim kraju, o którym niewiele wiedział.

– Jaka właściwie jest ta Argentyna? Pamiętam, że czegoś się tam o niej nauczyliśmy, ale niewiele zostało mi w głowie.

– Obaj nie bardzo przykładaliśmy się do geografii, zresztą nie lubiłem tego profesora Hartmanna. Tylko jaką mamy alternatywę?

Wypili. Hoffmann chętnie zagryzłby alkohol ogórkiem, ale ponieważ nie wzięli go z kuchni, sięgnął po kolejnego papierosa.

– Rzecz w tym, że musimy znaleźć się tam jak najszybciej. Juan Perón jest na razie ministrem pracy i opieki społecznej, ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce awansuje. A wtedy musimy być w pobliżu.

Becker rozlał resztę bimbru. Szybko opróżnili kieliszki i ruszyli do wyjścia. Deszcz wreszcie przestał padać. Gdy tylko wyszli ze stodoły, Kaiser znowu zaczął czekać, ale nie zwracali na niego uwagi. Szli w kierunku domu i już niemal byli na schodach, gdy Oskar nagle się zatrzymał.

– Czyli Kaltenbrunner wie. Ty nie działasz na własną rękę, tylko realizujesz zadanie. Mam rację?

Ernst potwierdził nieznacznym skinieniem głowy.

– Co wcale nie czyni naszej misji bezpieczniejszą. To samodzielna operacja SD. Góra, a już zwłaszcza Führer, nic o tym nie wie – oświadczył, rzucając niedopałek na rozmiętkłą od deszczu ziemię. Patrzyli, jak tonie w błocie. – Jeśli on lub ktoś z jego najbliższego otoczenia się dowie, pójdziemy do piachu.

Ale najpierw na rzeźnicki hak, pomyślał Oskar Hoffmann, ale nie wypowiedział tego głośno.

Rozdział 15

WOLSZTYN, 5 PAŹDZIERNIKA 2019

Klatka schodowa nie wyglądała zbyt okazale, Rafałowi Terleckiemu przypominała kamienicę przy Rynku Jeżyckim w Poznaniu, gdzie wynajmował pokój podczas studiów. Czarny przycisk dzwonka na drzwiach też przypominał tamten, podobnie jak olejna farba, którą w złudnej nadziei utrzymania czystości pokryto dolną część ścian.

– Dzień dobry, panie Balcer, wejdźcie, proszę – dał się słyszeć kobiecy głos. Musiał należeć do młodej kobiety i Terleckiemu jakoś niejasno się kojarzył. Gdy weszli do długiego, wąskiego korytarza, w którym stało kilka niskich szafek na buty i wisiało mocno już zaśniedziałe lustro, poznał kelnerkę z Galerii Europejskich Przysmaków.

– O kurde, nie wiedziałam, że jest pan dziennikarzem. Proszę. Dziadek dzisiaj wstał, po raz pierwszy od kilku dni. Jest już słaby, ma ponad osiemdziesiąt lat.

Wprowadziła ich do pokoju z dwoma oknami. Centralnym miejscem był okrągły stół nakryty białą, wykonaną szydełkiem serwetą.

Zaproponowała kawę, ale Krzysztof Balcer poprosił o herbatę, więc Terlecki zrobił to samo. Ledwie usiedli, gdy drzwi się otworzyły i Henryk Matuszewski wjechał do pokoju na wózku inwalidzkim. Był ubrany w granatowy rozpinany sweter, pod którym widać było białą wyprasowaną koszulę. Rzadkie, siwe włosy domagały się fryzjera, ale był starannie ogolony

i roztaczał wokół siebie intensywny zapach wody kolońskiej. Patrzył na nich, bardzo mocno mrużąc oczy.

– Pech chciał, że rano dziadkowi spadły okulary, oprawka pękła. Byłam tu obok u optyka, ale nowe zrobią dopiero za trzy dni.

– Niech pani pokaże, może uda mi się naprawić? – Balcer wstał od stołu i ruszył za dziewczyną. Po chwili Terlecki usłyszał trzask zamykanych drzwi.

– Pan Krzysztof poszedł po klej. Twierdzi, że naprawi, przynajmniej prowizorycznie.

Matuszewski machnął ręką.

– To nie jest ważne. Jak przez trzy dni nie będę oglądał telewizji, to mi na zdrowie wyjdzie. Tylko się przy niej denerwuję. Co pana do mnie sprowadza? Podobno jest pan autorem tego reportażu o Zdzisławie Skibniewskim. Słyszałem, że pogonił go pan z miasta. Dobrze, to był zły człowiek. I oszust. Kiedyś naprawiałem u niego hydraulikę i do dzisiaj mi nie zapłacił, choć przecież srał pieniędzmi...

– Dziadku!

– Dobrze, już dobrze. Ale jest faktem, że srał. To było tutaj, w tej chałupce za ruskim cmentarzem, tam wtedy mieszkał. Rura mu pękła, była jeszcze poniemiecka, zalało całą kuchnię. W tym jego pałacu nad jeziorem nigdy nie byłem. – Staruszek machnął ręką, ale Terlecki nie bardzo zrozumiał, co ten gest ma oznaczać. – Wioletka, daj gościowi ciasta. Coś tam przecież masz.

Terlecki podziękował, chyba bezskutecznie, bo kobieta zniknęła w kuchni.

– Więc to dobrze, że pan tego Skibniewskiego pogonił. Ale źle, że po tym pańskim reportażu młody Zdanowski sprzedał

fabrykę mebli i też uciekł za granicę. Poszła do Holendra, więc pewnie ją zaraz zamkną. Zawsze tak robią. A szkoda, bo dobra była. Wiele lat w niej robiłem, ale wcześniej, jak jeszcze państwowa była. Z piętnaście lat tam robiłem. A później, już do emerytury, w spółdzielni inwalidów.

Balcer wrócił, akurat gdy wnuczka Henryka Matuszewskiego postawiła na stole talerz z sernikiem, więc natychmiast nałożył sobie kawałek i wziął się do naprawy okularów.

– Ale z moim ojcem to pan, panie Henryku, trochę fiksował – mruknął pochylony nad stołem.

– No trochę fiksowaliśmy. Alfons to był wywijas. Lubił sobie wypić, w karty pograć, a jak miał w czubie, to i kobietki pozaczepiać. Na trzeźwo nie, żony się bał, ale po kielichu wstępowała w niego ułańska fantazja. – Matuszewski uśmiechnął się do swoich wspomnień.

– Z Wielkopolanki to niejedyn raz was wyciągałem.

– Zdarzało się, to prawda. Uparty byłeś. Krzysiu, weź no nalej nam po kieliszku. Tam w barku coś jeszcze powinno być.

Wnuczka ostrzegawczo krzyknęła z kuchni, ale po dłuższym przekonywaniu zgodziła się na jeden kieliszeczek. Gdy tylko rozlała alkohol, zabrała butelkę ze sobą.

Rafał Terlecki w końcu włączył się do rozmowy. Zapytał, jak długo Matuszewski znał Alfonsa Balcera.

– No, panie, jak to jak długo? Całe życie. Od dzieciaka. Jeszcze przed szkołą. Potem my razem w meblach i u inwalidów robili, często też razem na fuchy chodziliśmy, zwłaszcza na Biedaszkowie, gdy komuna wreszcie pozwoliła ludziom stawiać domy. Wie pan, te wille. A, jeszcze do Maraszka, ogrodnika. Szklarnie my mu obaj robili, te przy gasce, tej małej uliczce prowadzącej do parku.

– A podczas okupacji?

Mężczyzna sięgnął po kieliszek. Ręka trochę mu drżała, uрониł kilka kropel, ale udało mu się pociągnąć spory łyk.

– Nie umiem pić małymi łyчками, ale co robić? Wioletka nie pozwala, bo lekarz zabronił. A co on tam wie, gównu wie. Kiedyś taki kieliszek to na jeden raz się brało, ale dzisiaj już nie mam zdrowia. Ale wy pijcie do syta, jeszcze młodzi jesteście. Potem będzie za późno.

Balcer wymówił się prowadzeniem samochodu, ale Terlecki wypił. Nie lubił wódki serwowanej w kieliszkach, ale nie chciał wybrzydzać.

Matuszewski siedział zamyślony, spoglądając w okno. Przyznał, że podczas wojny widywali się z Alfonsem rzadko, bo ten pracował u niemieckiego bauera w Widzimiu Starym. Do domu wracał w sobotę wieczór, a w niedzielę zaraz po południu znowu gnał rowerem do Widzimia.

– Ale lubił to. Dzisiaj nikt, kto w okupację robił u Niemca, do tego się nie przyzna, ale Alfons naprawdę to lubił. Zawsze powtarzał, że dobrze mu tam było, dobrze go traktowali. Jedzenia miał pod dostatkiem, a gdy noce były szczególnie zimne, to pozwalali mu spać w kuchni.

Terlecki zapytał, czy Matuszewski pamięta nazwiska tych Niemców, ale staruszek pokręcił głową.

– Ja wiem, jak się nazywali. Becker. Erich i Helga Becker. Wczoraj znalazłem od nich list, z pięćdziesiątego ósmego roku. Koleżanka żony pracowała kiedyś w Niemczech i trochę go nam przetłumaczyła. Wynika z niego, że Beckerowie przysłali mojemu ojcu jakąś paczkę. Później panu ten list pokażę. Znalazłem też stare zdjęcie, wydaje mi się, że to oni – nieoczekiwanie odezwał się Krzysztof Balcer.

Dziennikarz uśmiechnął się z wdzięcznością. Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał znowu jeść słynnego tortu Kachlickiego.

Teraz przyszła pora na najważniejsze pytanie. Bezwiednie pochylił się w stronę Henryka Matuszewskiego.

– Czy pan Alfons wspominał panu kiedyś, że wtedy, u tego bauera, podsłuchał rozmowę dwóch Niemców, w której była mowa o podrabianiu dokumentów i o złocie?

Matuszewski spojrział na niego zdumiony, a później sięgnął po kieliszek. Tym razem opróżnienie go poszło mu znacznie sprawniej. Terleckiemu wydało się, że gdy go odstawiał, w jego oczach zapaliły się jakieś diabelskie ogniki, a później pochylił się nad stołem i zapytał, czy odpowiedź na to pytanie jest dla dziennikarza ważna. Rafał potwierdził.

– To odpowiem, jak wydobędzie pan od Wioletki jeszcze po kieliszeczku – powiedział, stanowczo patrząc mu w oczy.

Gdy Terlecki zaczął protestować, machnął ręką.

– Nie blefuję – oznajmił twardo.

Dziennikarz podsunął mu kieliszek stojący przed Balcerem, ale staruszek pokiwał głową.

– Dobry ruch. Sprytny. Ale pan też musi się napić. Inaczej nie odpowiem.

Dziennikarz wstał od stołu i z pustym kieliszkiem w dłoni poszedł do kuchni. Dziewczyna szykowała kolację dla dziadka, bo zaraz miała wyjść do pracy. Terlecki oparł się o blat.

– Mam problem. Tylko pani może go rozwiązać – oświadczył i opowiedział o szantażu, któremu został poddany.

Roześmiali się. Okazało się, że dziewczyna dobrze już знаła ten trick swojego dziadka.

– Może pan sobie nalać do kieliszka wody z kranu i spróbować go oszukać. Ale on się nie da. Jak wróci pan do pokoju, to zrobi panu test nosa. Niech pan się nie łudzi, że mimo swojego wieku nie wyczuje braku wódki. Będzie pan musiał tu wrócić, a ja w końcu będę musiała panu nalać. Więc darujmy sobie. No chyba że ma pan ochotę na podchody oraz różne gry i zabawy...

Spojrzał na nią uważnie. Była ubrana w białą bluzkę, pod którą wyraźnie rysowały się pełne piersi w czarnym biustonoszu. Wydawało mu się, że gdy weszli do mieszkania, bluzka była zapięta wyżej, ale nie dałby za to głowy. Spojrzał jej w oczy, ale odwróciła się i podeszła do szafki. Spojrzał na jej nogi i zrobiło mu się gorąco.

Wyciągnęła butelkę i chciała napełnić kieliszek, ale Rafał wziął wódkę i zrobił to sam.

Gdy wychodził z kuchni, odwrócił się i powiedział, że owszem, ma ochotę na różne gry i zabawy, i na twarzy kobiety wykwitł rumieniec.

Matuszewski przywołał go do siebie, a później kazał sobie podstawić kieliszek pod nos. Z aprobatą pokiwał głową.

– Pytał pan, czy Alfons opowiadał mi o podsłuchanej rozmowie. Cholera, przecież jak sobie popił, to nie gadał o niczym innym! Po raz pierwszy powiedział mi to zaraz po tym, jak Niemcy uciekli, a przyszli Ruskie. Gówniarze jeszcze wtedy byliśmy. Potem zamilkł, przez wiele lat do tego nie wracał. Bał się, wszyscy się ich wtedy baliśmy. Ale za Gierka, a może jeszcze pod koniec Gomułki, znowu do tego wrócił. Gadał o tym złocie tak często, że nazywaliśmy go Pirat. Wie pan, od tego złota.

– Mnie też to mówił. Ale nie wiedziałem, że nazywaliście go Piratem – wtrącił się do rozmowy Balcer. Oprawki okularów

były już sklezione i mechanik ostrożnie odłożył je na stół. – Muszą wyschnąć.

Matuszewski uniósł kieliszek do ust i wlał do gardła całą jego zawartość. Skrzywił się, zasłaniając usta zaciśniętą dłonią, i zamknął oczy. Terleckiemu wydawało się, że nie może złapać tchu, ale po chwili wszystko wróciło do normy.

– Tak to się kiedyś robiło. Za Bieruta, Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego. Za Jaruzelskiego najwięcej, choć niby wódka była wtedy na kartki. Ale mieliśmy swoje sposoby, aby ją zdobyć. Później za Wałęsy, jak już te kartki wreszcie znieśli. A za Kaczyńskiego jakoś nie idzie – powiedział z szerokim uśmiechem.

Zaczął opowiadać, że na początku lat siedemdziesiątych Alfons Balcer namówił go, aby poszukać niemieckiego złota. Akurat kupił sobie syrenkę, rozsmakował się w motoryzacji i zamarzył mu się maluch. Planowali te poszukiwania kilka wieczorów, ale okazało się, że Alfons właściwie niczego tak dokładnie nie wie. Tylko tyle, że jacyś niemieccy oficerowie chcieli gdzieś w Wolsztynie ukryć skrzynkę ze złotem. Wytypowali kilka lokalizacji, staruszek pamiętał, że na ich liście był pałac Mycielskich, park, wyspa na jeziorze i gospodarskie zabudowania w Widzimi Starym.

– Raz na tę wyspę popłynęliśmy. Zima już nadchodziła, a wtedy zimy były srogie, nie takie jak dzisiaj. Łodzią Matyaszczyka, który wędkował. Pamiętam, że akurat spadł pierwszy śnieg. Przeszliśmy tę wyspę wzdłuż i wszerz, ale żadnych śladów nie było. Bo i jak mogły być? Od wojny minęło już wtedy ze trzydzieści lat. I na tym nasze poszukiwania niemieckiego złota się skończyły. Alfons do końca życia jeździł tą swoją syrenką.

– Nie, na początku lat dziewięćdziesiątych kupiłem mu malucha – znowu wtrącił się do rozmowy Balcer.

– A prawda, miał wtedy malucha. Takiego zielonego. Ale że ty mu go sprezentowałeś, to nie mówił. To był wywijas! Aha, Alfons upierał się jeszcze przy budynku liceum ogólnokształcącego. Twierdził, że tam są jakieś podziemia czy piwnice, w których młody Becker mógł ukryć złoto.

– Czyli to młodego Beckera podsłuchał pana kolega?

– A kogóż by innego? To właśnie panu tłumaczę. Kiedyś w nocy ten młody Becker przyszedł do stodoły z jeszcze jednym Niemcem. Alfons widział go wówczas pierwszy raz. Twierdził, że tamten na pewno był oficerem, bo choć nie miał munduru, to był w takich wysokich butach, wie pan, oficerkach. Alfons sypiał w tej stodole na sianie, więc wszystko słyszał, a niemiecki znał świetnie. Perfekt, i to od małego, bo babcia go uczyła. I opowiadał, że gdy wyszli, to zostawili butelkę, więc ją gówniarz wysączył do dna. Był wywijas z tego twojego ojca... – Matuszewski spojrzał na Balcera z uznaniem. – Złota nie znaleźliśmy, ale cośmy się w czasie tych naszych poszukiwań zabawili, to nasze.

Henryk Matuszewski uśmiechnął się rozmarzony i spojrzał na swój znowu pusty kieliszek. Terlecki szybko opróżnił swój i wstał od stołu.



Krzysztof Balcer wysadził go przed hotelem, ale gdy tylko jego czerwony SUV zniknął za zakrętem, Terlecki zawrócił i poszedł do sklepu. Rok temu, podczas poprzedniego pobytu w Wolsztynie, często zaopatrywał się tu w alkohol i miał nadzieję, że asortyment pozostał niezmienny. Nie zawiódł się.

Wziął litrową butelkę ballantine'sa, woreczek lodu i trzy bułczanki. Przypomniawszy sobie ostatni licealny zjazd, podczas którego jeden z mocno już pijanych kolegów z uporem uświadamiał go, że najlepszą bułczankę – wielkopolski przysmak z podgardla wieprzowego lub głowizny, bułki pszennej i wieprzowej krwi – robi Koło Gospodyń Wiejskich z jakiejś podgrodziskiej wsi. Nie zapamiętał której.

Wrócił do hotelu, napełnił lodem duży termiczny kubek, zalał to alkoholem i ścieżką nad jeziorem powędrował na plażę. Kiedyś nazywano ją Kaffenbergiem, ale dzisiaj już chyba niewiele osób kojarzyło tę niemiecką nazwę. Usiadł na deskach mostu i zapalił papierosa. Pomyślał, że brakuje mu Bartka, którego celne spostrzeżenia i historyczna wiedza z pewnością okazałyby się teraz bardzo przydatne.

Spojrzał na oddaloną o mniej więcej osiemset metrów wyspę i próbował sobie wyobrazić jej wygląd w latach czterdziestych. Teraz, przynajmniej z tej perspektywy, rzeczywiście prezentowała się tajemniczo. Pamiętał, że gdy tu mieszkał, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, właściwie nikt jej nie odwiedzał, przypuszczał więc, że jeszcze rzadziej robiono to w czasie okupacji. Zastanawiał się, czy Niemcy zezwalali wówczas Polakom na posiadanie prywatnych łodzi, i zanotował, aby to sprawdzić.

Przywołał w pamięci listę miejsc, w których zdaniem Alfonsa Balcera niemieccy oficerowie mogli ukryć złoto. Dobrze znał piwnice budynku liceum, w końcu spędził tam cztery lata, ale nic nie wiedział o podziemiach. To samo dotyczyło pałacu Mycielskich, choć przypuszczał, że po wojnie został on dokładnie splądrowany.

Park? Spojrzał na ogromny teren rozpościerający się nad jeziorem. Ukrycie tam skrzynki ze złotem byłoby wrzuceniem

igły w stóg siana. Nawet jeśli odliczyć teren bezpośrednio przylegający do jeziora – Niemcy mieli prawo obawiać się jego zalania – to i tak znalezienie złota bez bardzo szczegółowej mapy było absolutnie niemożliwe.

Sięgnął po kubek i wypił kolejny łyk, a później zapalił papierosa. W aplikacji w smartfonie zanotował, żeby rano zadzwonić do Wiesława i poprosić go o sprawdzenie numerów rejestracyjnych czerwonej corsy.

– Na pewno sprawdzi. Nie takie rzeczy Wiesław potrafi – powiedział na głos. Przez chwilę myślał o mężczyźnie w skórzanym płaszczu, ale odgonił tę myśl. Ważniejsza była odpowiedź na pytanie, jaką rolę w tej historii odegrał Henryk Howański. Po kolejnym hańcie whisky świat Rafała Terleckiego zamknął się w trójkącie Becker–fałszywe dokumenty–złoto.

W drodze powrotnej dopił resztkę alkoholu, a potem wyrzucił z kubka grzechoczące w nim jeszcze kostki lodu. Był pijany, więc gdy na ekranie smartfona wyświetliło się imię Anastazji, zignorował połączenie. W takim stanie nie chciał rozmawiać z córką.

Rozdział 16

WOLSZTYN, 6 PAŹDZIERNIKA 2019

Dzwonek wwiercał mu się w mózg, ale brakło mu siły, aby sięgnąć po telefon. Miał za to wrażenie, że nie potrafi otworzyć sklejonnych powiek. Przez głowę przewijał mu się obraz tubki kleju leżącej na białym, wykonanym szydełkiem obrusie, grubych palców z drobinkami brudu łączących rozbite oprawki okularów, czarnego stanika przebijającego się przez biel kobiecej bluzki, później wręcz czuł chłód zawilgoconych desek pomostu na Kaffenbergu.

– Kurwa – zaklął cicho.

Wreszcie udało mu się otworzyć oczy. Zobaczył okrągły stolik i leżący na nim laptop niemal całkowicie przykryty jakimiś papierami, firany, przez które przezierało zaskakująco zimne światło i dalej przywiedłą zieleń nieruchomych sosen. Jego ubranie leżało koło łóżka, a drzwi do łazienki były szeroko otwarte. Przypomniawszy sobie, że w nocy rzygał. Najpierw do kibla, ale później, gdy poczuł, że nie wystarczy mu czasu na uniesienie klapy, do umywalki. Miał nadzieję, że żółtobrazowa maź spłynęła do syfonu, ale na razie wołał tego nie sprawdzać. Znowu poczuł mdłości, chciał wstać, ale dostrzegł zapobiegliwie ustawioną przy łóżku plastikową miskę i puścił pawia, zamykając oczy.

Niezgrabnie przesuwając ręką po łóżku, próbował namacać telefon, ale po chwili się poddał. Z wysiłkiem przewrócił się na prawy bok, szukając butelki z wodą, i w końcu natrafił na nią

wzrokiem. Leżała na wykładzinie, a płyn tworzył wokół niej ciemną plamę. Z trudem jej dosięgnął, upił kilka łyków i z całą ostrożnością, na jaką pozwalały mu drżące dłonie, odstawił ją na podłogę. Znowu chciało mu się wymiotować, ale zdołał się powstrzymać, i położył głowę na zmiętej, przepoczonej poduszce.

Ból głowy rozsadzał mu czaszkę.

Zamknął oczy, bo z doświadczenia wiedział, że sen jest najlepszym lekarstwem. Sztuka polegała na tym, aby go przywołać. Nie udawało mu się, w jego miejsce nadciągnęła fala strachu, która spowodowała, że skulił się do pozycji embrionalnej. Znał to uczucie, towarzyszyło mu zawsze, gdy budził się na dużym kacu. Z reguły ta irracjonalna trwoga władała nim krótko i mijała, gdy przywołał jakieś miłe obrazy z przeszłości, ale dzisiaj to nie zadziało.

Sięgnął po leżącą na nocnym stoliku *Uległość* Michela Houellebecqa, ale litery skakały mu przed oczami, książka wysunęła mu się z rąk i z cichym plaśnięciem upadła na podłogę. Odwrócił się na brzuch i podjął jeszcze jedną, desperacką próbę zaśnięcia. Już zaczynał się zapadać w nicość, gdy telefon znowu zadzwonił.

– Kurwa – jęknął i ponownie zaczął szukać smartfona. W końcu udało mu się na niego trafić. Dzwoniła Anastazja. Kusiło go, aby zignorować połączenie, ale miał wrażenie, że zrobił to już wczorajszego wieczoru, więc przeciągnął palcem po ekranie, z wysiłkiem siadając na łóżku. Bezwładnie opadającą nogą uderzył w brzeg miski i jej zawartość rozlała się po wykładzinie.

– Ja pierdolę...

– Nie zabrzmiało to mile – usłyszał głos córki.

– Przepraszam, sięgając po telefon, przewróciłem butelkę z wodą. Coś się stało?

– Poza tym, że od wczoraj nie mogę się do ciebie dodzwonić, a moja matka gdzieś zniknęła i od trzech dni nie daje oznak życia? Nie, nic, wszystko normalnie.

Nie chciał znowu się porzygać, nie podczas rozmowy z córką. Skupił więc wzrok na wiszącej na ścianie reprodukcji *Słoneczników*. Zastanawiał się, dlaczego to zawsze są *Słoneczniki*.

– Ewa gdzieś wyjechała?

– Tato, tłumaczę ci przecież, że zniknęła. Trzy dni temu wyjechała do pracy, ale do niej nie dotarła. Dzwoniłam do niej kilkanaście razy, esemesowałam, wysłałam kilka maili. Nie odpowiada. Początkowo myślałam, że jest gdzieś służbowo i zapomniała mi o tym powiedzieć, wiesz, jaka jest mama, ale gdy wczoraj wieczorem wróciłam ze szkoły, a jej nadal nie było, trochę się wystraszyłam. Znaczy mocno. – Rafał rzeczywiście wyczuwał w głosie córki niepokój.

Pewnie lodówka była już pusta, z kuwety kota wydobywał się nieziemski smród, a kuchenny blat był upstrzony resztkami jedzenia – kawałkami awokado, plamami po nutelli, liśćmi świeżego szpinaku. Gdy Ewy nie było w domu, wszystko to jakoś dziwnym trafem nie znikało z powierzchni ziemi.

– Powiesz coś czy sobie pomilczymy?

Dziennikarz pomyślał, że Anastazja najwidoczniej nie wpadła jeszcze w panikę, skoro nadal tak sprawnie posługuje się ironią. Lubił tę jej cechę i starał się ją pielęgnować.

– Myślę. Skąd wiesz, że nie dojechała do pracy?

Okazało się, że gdy wczoraj wieczorem po powrocie ze szkoły Anastazja nie zastała matki w domu, zadzwoniła do jej koleżanki z biura.

– Miała być na zarządzie i przedstawić jakiś projekt, czy jak oni to tam nazywają. Więc zdaje się, że wywołała wielki wkurw...

– Miarkuj się, młoda damo – powiedział automatycznie, ale myślami był gdzie indziej. To rzeczywiście wydało mu się dziwne. Ewa, jego dawna partnerka i matka jego córki, szefowa departamentu public relations w jednym z największych polskich banków, była niezwykle zaangażowana w swoją pracę. I bardzo dbała o karierę, więc jej nieobecność na posiedzeniu zarządu, na którym na dodatek miała przedstawić jakiś projekt, rzeczywiście była niepokojąca.

Rafał pomyślał, że teraz to już na pewno nie zaśnie i będzie musiał znosić swojego kaca do późnego wieczora, ale nie powiedział tego na głos.

– Wyczuwam, że nie jesteś w najlepszej formie. Ogarnij się, coś jest nie w porządku – usłyszał.

Tak, Anastazja miała rację, coś było nie w porządku. Poprosił córkę o przesłanie numeru telefonu koleżanki Ewy z banku, wypowiedział kilka uspokajających zdań i przerwał połączenie.

Musiał wypić piwo.

Pomyślał, że mógłby zejść do restauracji i kupić dwie puszki, ale oznaczałoby to konieczność wbicia się w dzinsy i włożenia bluzy. Uznał, że to ponad jego siły. Chwycił butelkę wody, choć zdawał sobie sprawę, że niewiele to pomoże. Wstał, zachwiał się, ale udało mu się znaleźć oparcie w postaci ściany. Przez głowę przebiegła mu myśl, że małe hotelowe pokoje mają jednak swoje zalety, ale zaraz zmienił zdanie, bo potrącił ramieniem obraz i reprodukcja van Gogha spadła na podłogę. Obijając się od ściany, dotarł do łazienki i pochylił się nad muszlą klozetową. Kątem oka dostrzegł brudną umywalkę.

Poczuł się trochę lepiej, starannie umył zęby, z całych sił unikając – choć z umiarkowanym sukcesem – patrzenia na

umywalkę. Wrócił do pokoju i otworzył okno. Wdychał świeże powietrze, co było miłą odmianą po smrodzie panującym w pokoju. W książkach wielokrotnie czytał, że kilka haustów świeżego powietrza przywracało skacowanych bohaterów do życia, ale na niego to nie działało. Pomyślał, że autorzy powieści najwidoczniej mają niewielkie doświadczenie w nadmiarowym spożywaniu alkoholu.

Usiadł po drugiej stronie łóżka i wziął do ręki telefon. Dłuższą chwilę wpatrywał się w esemesa Anastazji z numerem telefonu bankowej koleżanki Ewy.

– Do niej czy do Wiesława – zastanawiał się. W końcu zdecydował i już chciał nacisnąć ikonkę, gdy jego wzrok padł na stojącą przy telewizorze butelkę whisky. Nie było w niej wiele, w litrowej flaszkce pozostało nie więcej niż pięćdziesiąt gramów.

– Pierdolić – powiedział głośno, zrywając się z łóżka z niespodziewaną energią i wlał całą zawartość do dużego kubka.

Pierwszy łyk alkoholu spowodował sprzeciw organizmu, treść żołądka znowu podeszła mu do gardła. Przez chwilę myślał, że powinien szybko pobiec do łazienki, ale odzyskał równowagę. Bez wahania zadzwonił do koleżanki Ewy.



Niewiele się dowiedział. Niewiele ponad to, co powiedziała mu już Anastazja.

Ewa zniknęła.

– To do niej niepodobne – usłyszał. Joanna Darska nie musiała tego mówić. Sam to wiedział.

Ostrożnie odłożył telefon na łóżko i znowu sięgnął po szklankę. Chciał zapalić i zastanawiał się, czy w małych prowincjonalnych hotelach też są zainstalowane systemy wykrywające dym. W dużych, tych luksusowych, w których z reguły sypiał, były. Machnął ręką i wyciągnął z kurtki zmiętą paczkę marlboro. Kilkadziesiąt sekund zajęło mu poszukiwanie zapalniczki. Już doszedł do wniosku, że zostawił ją wczoraj na pomoście, gdy w końcu wymacał ją w kieszeni dżinsów. Wypełnił płuca nikotyną, wypił kolejny, tym razem mały łyk whisky i zadzwonił do Wiesława.

– Oddzwonię za godzinę. Mam spotkanie – usłyszał.

Co ja, kurwa, mam robić przez godzinę, zastanawiał się, a później wysłał Anastazji uspokajającą wiadomość.

Poszedł pod prysznic, a później wziął się do sprzątanía. Czyścił płamę na brązowej wykładzinie, gdy Wiesław oddzwonił.

– Co tam? – powiedział lekkim tonem i Rafała to zdenerwowało.

– Ewa zaginęła – powiedział ze spokojem, który go zaskoczył.

Poczuł, że jego rozmówca poważnieje.

– Fakty. Przedstaw fakty – usłyszał w słuchawce.

Powtórzył to, co usłyszał od córki, a później przekazał Wiesławowi numer do Darskiej i obiecał, że uprzedzi ją, że detektyw wkrótce do niej zadzwoni.

– Zaraz pojedę do Anastazji, uprzedź ją. Ale mam pytanie, które mogę zadać tylko tobie. Czy Ewa mogła pójść w tango? Wiesz, jakiś facet, który nagle ją zachwyił tak bardzo, że rzuciła wszystko i wyjechała? Alkohol, może jakieś dragi?

Rafał chciał zaprzeczyć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Zastanawiał się. Właściwie niewiele wiedział o życiu Ewy. Rok temu spędzili miły tydzień na Sycylii, okraszony świetnym seksem, ale od tego czasu widzieli się tylko trzy albo cztery razy. Gdy szli do łóżka, było im naprawdę dobrze, ale nie potrafili być ze sobą dłużej niż kilka godzin, choć miał wrażenie, że podczas pobytu na Sycylii trochę się do siebie zbliżyli. Ale to były wakacje, nie codzienność. Plaża, jakieś starorzemie zabytki, znakomite jedzenie, wino i kolacje w nadmorskich restauracjach. To nie było prawdziwe życie.

– Nie, Ewa czasem paliła trawkę, ale okazjonalnie, raz na kilka miesięcy. Może w robocie coś tam brała, aby się napędzić, ale nie bardzo w to wierzę. Bank był dla niej wszystkim. Alkohol? Piła, jasne, że piła, ale raczej nigdy nie traciła nad sobą kontroli – powiedział, starannie dobierając słowa.

– A facet? Pytałem jeszcze o faceta.

– Nie, pod tym względem była cyniczna. Uważała, że miłość to jakieś romantyczne porywy serca, które szybko mijają. Dobry seks, owszem, to było dla niej ważne, potrafiła, umiała się w nim zatracić. Ale przecież nie tak, żeby nagle wszystko zostawić: córkę i bank.

– W tej kolejności?

Rafał chwilę się zawahał, ale pomyślał, że jest niesprawiedliwy.

– Tak, w tej kolejności.



Przez szum wody pod prysznicem przebił się dzwonek telefonu, więc wyskoczył z kabiny, niemal wyłamując zacinające się drzwi. Był przekonany, że dzwoni Anastazja, ale okazało się,

że to kolejna propozycja dotycząca fotowoltaiki. Zaklął głośno i wrócił do łazienki, aby spłukać resztki mydła, a później długo mył zęby, żeby się pozbyć alkoholowego odoru.

Wrócił myślami do Ewy. Zaskoczyło go, że tak bardzo przejął się jej zniknięciem. W głowie pojawiła mu się myśl, że zależy mu na niej bardziej, niż chciał się przed sobą przyznać.

To przez Anastazję. Dziewczyna musi mieć matkę. Przecież sam jej nie wychowam, pomyślał, patrząc w lustro. Oczy miał mocno zaczerwienione, więc powodowany nagłym impulsem przemył twarz zimną wodą. Przekrwienie nie ustąpiło.

Dżinsy były strasznie brudne. Zastanawiał się, czy podczas wczorajszego powrotu znad jeziora przewrócił się i wpadł w jakąś kałużę, ale szybko porzucił tę myśl. Starał się nigdy nie rozpamiętywać swoich pijackich ekscesów, bo to tylko wzmagало poczucie winy. Włożył drugą parę spodni i zszedł do restauracji. Pora śniadaniowa dobiegła już końca, dochodziła jedenasta, ale kelnerka zaoferowała mu grzane parówki. Wolałby ostrą chińską zupkę z Vifonu, ale tego specjału w ofercie restauracji nie mieli. Przystał na parówki, do których zamówił potrójną porcję ketchupu.

– Najostrzejszego, jaki pani ma – zastrzegł.

Usiadł przy stoliku przy oknie, tym samym co zawsze, i odpalił internet, ale tylko bezmyślnie przewijał ulubione strony. Darska, koleżanka Ewy z banku, korporacyjną nowomową potwierdziła esemesem, że chętnie porozmawia z Wiesławem o zniknięciu swojej szefowej, a Anastazja poinformowała go, że Wiesław już dzwonił i umówili się w Żółtych Tarasach za dwadzieścia minut. Rafała ukłuła myśl, że córka nie poszła do szkoły, ale zganił się za to, przypominając sobie, że on do usprawiedliwienia nieobecności na lekcjach wykorzystywał daleko mniej istotne preteksty.

Parówki były grube, co wprawiło go w zdumienie. Zjadł ze smakiem, były lepsze, niż podawano na śniadania w sieciowych hotelach i na Orlenie. Kiedy pił na tarasie podwójną kawę, zadzwonił do Wiesława.

– Jeszcze nic nie wiem, jadę na spotkanie z Anastazją. Na Emilii Plater jest jakieś zamieszanie, ale za chwilę przebiję się na podziemny parking, może nas rozłączyć, więc się streszczaj. Usadziłem gościa przy telefonie, sprawdza szpitale, ale na razie nie mam żadnej informacji.

Rafał przyjął to z ulgą, ale zaraz w jego głowie zrodziła się myśl, że to zła reakcja. Gdyby Ewa była w szpitalu, miałby przynajmniej pewność, że sytuacja jest pod kontrolą. Opowiedział Wiesławowi o swoich podejrzeniach, że człowiek w skórzanym płaszczu i czarnym kapeluszu przez kilka dni śledził go w Wolsztynie.

– Jeździ czerwoną corsą, dość leciwą. Mam numery, zdołasz zapisać czy wysłać ci esemesem?

– Dawaj, stoję w korku. Co innego mam do roboty? Myślisz, że to się łączy? Co właściwie tym razem robisz w Wolsztynie?

Dziennikarz nie odpowiedział. Przez chwilę milczeli.

– Rozumiem. Jak wjadę do Żółtych Tarasów, to złapię sieć i zadzwonię z WhatsAppa.

Rafał wrócił do pokoju. Właściwie nie był pewien, dlaczego nie odpowiedział na pytanie Wiesława. Nie sądził, aby sprawa Bolesława Howańskiego mogła w jakikolwiek sposób łączyć się ze zniknięciem Ewy.

Dziesięć minut później, leżąc na łóżku i paląc kolejnego papierosa – teraz już miał pewność, że w hotelu nie zamontowano czujników dymu – tłumaczył to detektywowi.

– To historyczny temat, w pełnym tego słowa znaczeniu. Chodzi o byłego mieszkańca Wolsztyna, który zaginął podczas wojny. Został aresztowany przez Niemców i na wiele lat zniknął. Okazało się, że przeżył wojnę, kilka dziesięcioleci żył w Austrii. To starość, nie wydaje mi się, aby ten wątek miał jakieś odniesienia do teraźniejszości.

Wiesław zapytał go, czy śledzący go mężczyzna może mieć powiązania ze sprawą sprzed roku, ale Terlecki zaprzeczył.

– Skibniewskiego tu nie ma, policja twierdzi, że nadal go szuka. Jego miejscowi pomagierzy mają na głowie prokuraturę, a niektórzy siedzą. Nie sądzę, aby mogli coś takiego przedsięwziąć. Po co zresztą? Wydaje mi się, że zniknięcie Ewy musi być związane z jej pracą w banku.

Rozłączył się i wziął kolejny prysznic, a później poszedł wypić następną filiżankę kawy. Była podła, ale przywróciła go do życia. Dwie kolejne tabletki aspiryny spowodowały, że towarzyszący mu nieznośny ból głowy powoli zaczął ustępować.

Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić – powinien zadzwonić do redakcji, ale nie miał teraz do tego głowy – więc ubrał się, zszedł na parking i pojechał do miasta. Lepiej zrobiłby mu długi spacer wokół jeziora, ale obawiał się, że w lesie jego telefon straci zasięg, a musiał być dostępny. Po drodze zajechał na stację BP, kupił papierosy oraz dużą puszkę red bulla i zawrócił do miasta. W hotelu i tak nie miał co robić.

Jadącego za nim czerwonego opla corsę dostrzegł na wysokości szpitala. Choć początkowo przy magnolii planował skręcić w prawo, w stronę ulicy Roberta Kocho, w końcu wybrał odwrotny kierunek i pojechał Lipową. Gdy mijał Biedronkę zbudowaną na dawnym targowisku, zauważył, że corsa jedzie za nim. Ulicą Słowackiego dojechał na Przemysławą, a później, przy dawnej siedzibie Rejonu Dróg Publicznych, zawrócił

i minął rondo, którego budowę niedawno ukończono. Po lewej stronie widział czarne budynki miejscowej parowozowni i nastawnię. Zastanawiał się, czy chłopak – teraz nie potrafił przypomnieć sobie jego nazwiska – który tak bardzo przyczynił się do rozwiązania sprawy Skibniewskiego, nadal tam pracuje. Czerwona corsa podążała za nim, choć w tym momencie dzieliły ich dwa inne auta.

Podjął decyzję, mijając cmentarz żołnierzy sowieckich, i kilkaset metrów dalej skręcił w Rzeczną, wąską uliczkę prowadzącą do jeziora. Odpiął pas bezpieczeństwa i jego bmw zaczęło głośno protestować, ale nie zwracał na to uwagi. Jechał wolno, a gdy tylko corsa skręciła za nim, zatrzymał się, blokując całą przestrzeń. Wskoczył z samochodu i biegiem ruszył w kierunku samochodu niewydarzonego detektywa. Już niemal dotykał klamki przednich drzwi – kątem oka dostrzegł, że nie są zablokowane – gdy kierowca ze zgrzytem włączył tylny bieg i nie oglądając się za siebie, gwałtownie ruszył do tyłu. Terlecki starał się sięgnąć klamki, ale ta wymknęła mu się z dłoni. Samochód wyskoczył na ulicę 5 Stycznia i w tym momencie usłyszał głuchy odgłos zderzenia. W corsę uderzyło niebieski SUV volvo, odrzucając czerwony samochód o kilka metrów. Wydawało mu się, że widzi, jak jego kierowca wali głową o szybę bocznych drzwi, a potem dostrzegł, że twarz kobiety prowadzącej volvo utonęła w poduszce bezpieczeństwa.

Dziennikarz podbiegł do corsy. Kierowca miał spuszczoną głowę, a po policzku, tuż przy uchu, wąską strużką sączyła się krew. Chciał otworzyć drzwi, ale samochód zatrzymał się przy betonowym słupie, niemal się o niego opierając, więc obiegł pojazd. Jakiś przechodzień już ciągnął za klamkę. Ulica została zablokowana, ktoś krzyczał, aby zadzwonić po pogotowie, dwóch mężczyzn wyciągało kobietę z volvo. Po obu stronach chodnika zgromadził się spory tłum gapiów.

Spojrzał na corsę. Jej kierowca siedział oparty głową o szybę.

– Przystawmy go trochę, to lekkie auto. Wystarczy pół metra
– krzyknął mężczyzna w roboczym kombinezonie i zaraz do pomocy rzuciło się kilka osób. Terlecki do nich dołączył i drzwi zostały odblokowane. Rozległo się wycie syren, a po chwili pojawił się policyjny radiowóz.

Terlecki uświadomił sobie, że w jego żyłach płynie dość alkoholu, aby doprowadzić policyjny alkomat do szaleństwa. Nawet jeśli jego organizm zdołał spalić spożyte wczoraj trunki, w co wątpił, to wypita kilka godzin temu whisky nie pozostawiała złudzeń. Szybko podszedł do swojego samochodu nadal tarasującego Rzeczną, zaparkował bmw dwieście metrów dalej, w sąsiedztwie biblioteki pedagogicznej, i wrócił na miejsce wypadku. Jedna z karetek już odjeżdżała, do drugiej właśnie wsiadała podtrzymywana przez pielęgniarza właścicielka volvo. Ulica nadal była zablokowana, ale samochody powoli odjeżdżały. Do dwóch nielicho pokieroszowanych pojazdów przeciskały się samochody pomocy drogowej.

Terlecki przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przy sklepie mięsnym. Miał właśnie podejść do policjantów i przyznać, że to w gruncie rzeczy on jest sprawcą tego wypadku, gdy poczuł wibrację smartfona. Sięgnął po telefon i ze zdumieniem zobaczył na wyświetlaczu imię Ewy.

– Oż, kurwa, dziewczyno! Co się z tobą dzieje? Szukamy cię!
– Drżał i zastanawiał się, czy to skutek zdenerwowania wywołanego wypadkiem, czy ulgi, że Ewa w końcu się odezwała.

Głos, który usłyszał w słuchawce, go zmroził.



Budzik w smartfonie odezwał się o drugiej w nocy. Zerwał się z łóżka i natychmiast ruszył pod prysznic. Zimna woda spowodowała, że skulił się pod strumieniem, ale po chwili ciało oswoiło się z temperaturą. Umył się, wytarł i zaparzył sobie mocną kawę. Wypił ją, wkładając dzinsy, czarną bluzę i buty do joggingu. Tak na wszelki wypadek.

Czekał, wpatrując się w smartfona.

Ekran rozbłysnął po dwunastu minutach, gdy Terlecki zapalał kolejnego papierosa.

– Zejdź – usłyszał i natychmiast zerwał się na równe nogi. Po drodze wyrzucił do muszli klozetowej dopiero co zapalonego papierosa.

Jeep wrangler sahara stał kilkadziesiąt metrów od hotelu. Terlecki wślizgnął się na tylne siedzenie.

– Dzięki – powiedział, zamykając drzwi. – Nie wyplacę się.

Z przodu obok Wiesława siedział Borsuk, były żołnierz GROM-u, który towarzyszył Rafałowi w Wolsztynie rok temu.

– No raczej – odparł Borsuk, a Wiesław odpalił silnik i ruszył.

– Powiedz, gdzie jechać. Potrzebujemy dyskretnego miejsca, ale takiego, w którym będzie trochę światła. Muszę cię zobaczyć takim, jakim on będzie cię widział.

Terlecki chwilę się zastanawiał. W końcu zdecydował, aby pojechać na stację benzynową przy mleczarni. Była na uboczu, a to wykluczało, że zostaną dostrzeżeni przez pasażerów przypadkowo przejeżdżającego samochodu. Zapytał, dlaczego nie zrobią tego w hotelu, ale Wiesław wyjaśnił mu, że ktoś z obsługi może pracować dla Zdzisława Skibniewskiego. Borsuk powiedział, że w bmw zainstalowali mu już nadajnik.

Okablowali go w ciągu kilku minut, a później wrócili na parking przed Leśną. Terlecki przesiadł się do swojego

samochodu, wyjechał na drogę 305 i ruszył w kierunku Nowego Tomyśla. Starał się jechać wolno i głęboko oddychać, ale czuł, że ręce mu się pocą na kierownicy. Gdy minął Barłożnię, otworzył okno i zapalił papierosa. Niepokoilo go, że nie dostrzega w lusterku świateł jeepa, chociaż Wiesław uprzedził go, że tak właśnie będzie.

Powoli zjechał na polną drogę prowadzącą nad Jezioro Kuźnickie, po czym zgodnie z wydanym mu wczoraj poleceniem włączył halogeny. Zatrzymał się przy plaży i wyłączył silnik. Drzwi samochodu automatycznie się odblokowały, więc nacisnął przycisk pod ekranem i na powrót je zamknął, przywracając sobie złudne poczucie bezpieczeństwa. Próbował coś dostrzec w mroku – księżyc dawał niewiele światła – ale nikogo nie widział, tylko tafłę jeziora i blade światło palące się przed białym domem po drugiej stronie wody.

Czekał.

Minęło piętnaście minut. Nic się nie działo i Terlecki zaczął się niecierpliwić. Miał ochotę zapalić, ale wczoraj usłyszał bardzo jasne polecenie – zakazano mu opuszczania samochodu i otwierania szyb.

Myślał o Zdzisławie Skibniewskim, bohaterze swojego reportażu sprzed roku. Udało mu się udowodnić, że to były współpracownik peerelowskiego wywiadu, gangster, który w latach sześćdziesiątych we współpracy z MSW okradał na Zachodzie sklepy jubilerskie, a zrabowane precjoza wysyłał do Polski. „Ukryty bohater Afery Żelazo” – przypomniał sobie tytuł tekstu omawiającego jego reportaż na jednym z internetowych portali. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, gdy austriacka policja zaczęła mu deptać po piętach, Skibniewski uciekł do Polski i zamieszkał w Wolsztynie. Miał spory majątek, a mimo to kontynuował przestępczą

działalność, wywoząc – też we współpracy z MSW – do domów publicznych na Zachodzie porwane w Polsce kobiety. Rok temu wartość jego majątku Terlecki szacował na 1,3 miliarda złotych.

W ostatniej chwili Skibniewski zniknął. Komenda Główna Policji zapewniała, że jest poszukiwany listem gończym na całym świecie, ale jak dotąd bez rezultatu. Teraz okazało się, że wrócił, aby dokonać zemsty.

Terlecki był zaskoczony, ale rozumiał Skibniewskiego. Za jego sprawą stracił ogromne pieniądze. Ale rozumiał to także dlatego, że przez całe dziesięciolecia Skibniewski czuł się bezkarny. W Peerelu dlatego, że działał pod parasolem władzy, a później dlatego, że dzięki pieniądзом i dawnym powiązaniom udało mu się podporządkować sobie lokalne władze. Być może, jak twierdzili świadkowie, nie tylko zresztą lokalne. W wolsztyńskich zaułkach szeptano, że nie tak dawno odnowił swoje znajomości w Warszawie.

Rafał uważnie lustrował wzrokiem okolicę. Zastanawiał się, czy Skibniewski dotrzyma słowa i wypuści Ewę. Nie był tak naiwny, aby w to do końca wierzyć. Tylko co mógł zrobić? Zawiadomić policję? Rozważał to oczywiście, ale Skibniewski dał mu mało czasu. To oznaczało, że sprawą musieliby się zająć funkcjonariusze wolsztyńskiej komendy, a nie był przekonany, czy są do tego przygotowani. Nie bardzo wierzył w ich umiejętności, zwłaszcza teraz, gdy poznany przed rokiem naczelnik Wydziału Kryminalnego Zenon Olszański przeszedł na emeryturę. Oczywiście, mogli wezwać „kominiarzy”, jednostkę specjalną z Poznania, ale Terlecki uważał, że wjazd „kawalerii” zostanie natychmiast zauważony. Skibniewski działał na swoim terenie, zostawił tu wielu oddanych sobie ludzi i jeszcze więcej takich, którzy po prostu się go bali i byli mu posłuszni. Rafał bardziej ufał Wiesławowi i jego chłopakom, do

niedawna żołnierzom GROM-u i pułku komandosów z Lublińca, niż policji. Detektyw zapewniał, że przywiózł do Wolsztyna kilku świetnie przygotowanych fachowców i że wszyscy są odpowiednio zmotywowani.

– Dorwiemy skurwiela – zapewnił go w Wolsztynie Borsuk i te wypowiedziane z determinacją słowa wlały w dziennikarza całe hektolitry nadziei. Wierzył Borsukowi.

Minęło kolejnych kilka minut. Terlecki znowu sięgnął po papierosa, ale tym razem postanowił już zapalić. Potrzebował nikotyny. Pochylił się, aby sięgnąć po zapalniczkę, gdy nagle usłyszał uderzenie o tylną szybę samochodu, a później kątem oka dostrzegł jakiś cień, który przeciął leśną drogę i wpadł między krzaki porastające skraj lasu. Spojrzał w lusterko i zauważył białą plamę przyklejoną do szyby.

Z pewnym wahaniem odblokował drzwi i ostrożnie wyszedł z samochodu. Wydawało mu się, że słyszy ciężki oddech człowieka próbującego biegiem wspiąć się na porośnięte lasem wzniesienie, ale nie był pewien, czy wyobraźnia nie płata mu figla. Pomyślał, że być może zdołałby go nawet dogonić, ale co by mu to dało? To na pewno nie był stary Skibniewski.

– Poślaniec – powiedział do mikrofonu Terlecki.

Do tylnej szyby jego bmw była przyklejona mokra kartka. Terlecki już po nią sięgał, ale światło z samochodowej podsufitówki pozwoliło mu odczytać pismo, choć spływająca woda powodowała, że litery zaczynały się rozlewać. „Czekam na ciebie na cyplu. Masz dziesięć minut. Potem zniknę” – przeczytał. A później jeszcze raz, na głos, aby treść wiadomości dotarła do Wiesława. Borsuk zainstalował mu pod ubraniem niewielki nadajnik, a na brzuchu, nad cienką amerykańską kamizelką z kevlaru, miał ukryty mikrofon.

Terlecki wiedział, dokąd Skibniewski go wzywa. Znał to jezioro od dziecka, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych spędzał tu niemal wszystkie wakacje i przewędrował okoliczne lasy wzdłuż i wszerz. Chwycił leżącą na siedzeniu pasażera latarkę i ruszył w drogę.

Najpierw zbiegł do plaży, a później, idąc wzdłuż linii brzegowej, skręcił w las. Pamiętał, że kiedyś na cypel wiodła wąska ścieżka wzdłuż jeziora i podejrzewał, że nadal tak jest, bo często używali jej wędkarze. Ta strona jeziora nie miała łatwego dostępu do wody, więc nie było tu żadnych plaż i miłośnicy moczenia kija woleli realizować swoje hobby właśnie tutaj. Przyświecając sobie latarką, odnalazł ścieżkę i ruszył na północ.

Początkowo szedł szybko, ale z czasem droga stała się trudniejsza. Las walczył o swoje, roślinność starała się zawładnąć całym terytorium, w dwóch miejscach musiał pokonać powalone drzewa, kilka razy gałęzie boleśnie uderzyły go w twarz i poczuł spływającą po policzku krew.

Przypomniał sobie wczorajszy wypadek samochodowy i uderzenie głowy kierowcy czerwonej corsy o boczną szybę. Zastanawiał się, czy mężczyźnie nic się nie stało, i pomyślał, że jednak jutro musi się zgłosić na policję.

Jeśli przeżyję, przemknęło mu przez głowę. Ta myśl uderzyła go tak mocno, że aż przystanął. Oparł się o pochyloną w kierunku jeziora brzozę. Z trudem łapał powietrze. Choć Wiesław wcześniej starał się uświadomić mu ryzyko, na jakie się wystawia, dopiero teraz naprawdę zrozumiał, że za kilka minut może zostać zabity.

Pomyślał o Anastazji, a później przed oczami stanęła mu Ewa. Taka, jak ją najlepiej pamiętał – w czarnej, koronkowej bieliźnie, stringach, czarnych samonośnych pończochach i czerwonych szpilkach, świntusząca mu do ucha z myślą, że to

go podnieca, choć tak naprawdę wypowiedane szeptem słowa działały przede wszystkim na nią.

Nawet teraz poczuł podniecenie.

Odetchnął głęboko i spojrział na zegarek. Do wyznaczonej godziny zostały mu chyba jeszcze tylko trzy minuty. Ruszył do przodu.


Patrząc na drugi brzeg jeziora, starał się zorientować, jaki dystans dzieli go od cypla. Nagle dostrzegł rozwalający się, drewniany pomost. To chyba było to miejsce, w którym kiedyś bawili się z Ewą. Połowa czerwca, woda była jeszcze zimna, ale ona zapragnęła kąpieli nago. Wsiedli do pożyczonej od jednego z wczasowiczów łodzi i popłynęli na drugą stronę jeziora. Nim jeszcze zapadł zmrok, Ewa zrzuciła sukienkę, wyplątała się ze skąpych majtek, oparła o drzewo i wypięła w jego kierunku zgrabną pupę.

– Wejdz we mnie – rozkazała.

Oczywiście posłuchał, choć zdawał sobie sprawę, że mogą być widoczni z drugiego brzegu. Ale gdy w nią wszedł, a z jej ust wydobył się stłumiony skowyt, zapomniał o otaczającej ich rzeczywistości. Później kąpali się w świetle księżyca, a gdy w drodze powrotnej powiedział, że taki tani romantyzm go mierzi, obraziła się na niego. Ale tylko na chwilę, bo gdy przekroczyli próg kempingu, zrzuciła z siebie sukienkę i zażądała, aby natychmiast ją przeprosił. I że musi się bardzo starać, aby te przeprosiny przyjęła. Później do rana pili wino, siedząc na tarasie i rozmawiając. Zawsze dobrze im się ze sobą gadało.

Dziewięć miesięcy później Ewa urodziła Anastazję.

Jeśli dobrze zidentyfikował to miejsce, to od celu dzieliło go nie więcej niż sto metrów.



Wiesław i Borsuk usłyszeli słowa Rafała o cyplu i spojrzeli na mapę, która wyświetlała im się na iPadzie. Szef agencji detektywistycznej popatrzył na komandosa, a później wydał polecenia przez radio. Pomyślał, że choć Skibniewski długie lata współpracował z wywiadem, choć dokonał wielu zuchwałych grabieży, to nie miał doświadczenia w terenie. Może sprawnie poruszał się w mieście, ale na pewno nie w lesie. Poza tym był już zbyt stary i zbyt pewny siebie.

Popełnił podstawowy błąd. Miał nie więcej niż dwie drogi ucieczki.

Z cypla można się było wydostać tylko jedną leśną drogą. Borsuk, który w ubiegłym roku spędził nad jeziorem kilka dni, chroniąc Terleckiego, w wolnych chwilach biegał po okolicznych lasach, więc teraz bez trudu stwierdził, że z cypla można wyjechać leśną drogą, jeśli ma się dobry terenowy samochód.

– SUV nie da rady, dobra terenówka tak – oznajmił z pewnością w głosie.

Drugą możliwością było użycie szybkiej łodzi motorowej i przepłynięcie na drugą stronę jeziora, gdzie mógł czekać samochód. I kilka samochodów rzeczywiście tam stało.

– Małe bum? – zapytał Wiesław.

– Małe bum – odpowiedział Borsuk, palcami przesuwając mapę wyświetlającą się na ekranie.

Detektyw polecił swoim trzem ludziom ukrytym po drugiej stronie jeziora, żeby przecięli opony w zaparkowanych samochodach.

– Tylko auta przy drodze, te stojące na posesji zostawcie w spokoju – rozkazał. – Przygotujcie się na rozłożenie kolczatki na drodze do Borui, my rozłożymy na drodze prowadzącej z cypla. Komar, bądź gotowy do rozłożenia kolczatek na wyjazdach Wolsztyn–Nowy Tomyśl, ale czekaj na rozkaz.

Usłyszeli ciche potwierdzenia płynące z głośników, a później zapadła cisza, którą po kilku minutach przerwało głośne przekleństwo Rafała Terleckiego. To oznaczało, że dziennikarz jest już na miejscu.

- Wiking, wypuść drona – powiedział Wiesław.
- Ptak w powietrzu – ogłosił operator.



Terlecki wszedł na niewielką polanę. Nikogo na niej nie dostrzegł, a mimo to miał wrażenie, że wyczuwa czyjąś obecność.

– Jest pan tu? – zawołał cicho, gdy oddech trochę mu się wyrównał. Było ciemno, do wschodu słońca zostało jeszcze przynajmniej kilkanaście minut. Włączył latarkę i skierował snop światła na pobliski las, ale niczego nie dostrzegł.

Bał się. Bał się bardziej niż kiedykolwiek w życiu. W jego dziennikarskiej karierze kilka razy grożono mu sądami, ale nigdy dotąd nie stał w nocy w lesie, naprzeciw żadnego zemsty uzbrojonego człowieka. Bo był pewien, że Skibniewski będzie uzbrojony. Gangster zabił w swoim życiu wiele osób i Terlecki był przekonany, że jest gotowy zrobić to jeszcze raz.

Zgodnie z instrukcjami Borsuka stanął plecami do pobliskiej sosny, licząc, że jest słabo widoczny, a ponadsiedemdziesięcioletni mężczyzna nie ma już tak dobrych oczu i pewnej ręki jak pięćdziesiąt lat wcześniej.

Jeśli nie liczyć cichego plusku wody, panowała bezwzględna cisza.

Rozdział 17

WIDZIM STARY, 18 LISTOPADA 1943

Mimo wypitego wczoraj alkoholu Ernst obudził się na tyle wcześnie, że zobaczył jeszcze zady krów wychodzących z podwórka i poganiającego ich polskiego parobka, obok którego biegł Kaiser. Mrużąc oczy, przez chwilę starał się przypomnieć sobie imię chłopca, ale dał sobie z tym spokój. Umył się w miednicy i poszedł do kuchni. Matka krzątała się, szykując śniadanie.

Powitała go uśmiechem i łagodnym tonem zapytała, czy długo wczoraj siedzieli z Oskarem. Gdy potwierdził, zaproponowała, aby się jeszcze położył.

– Oskar chyba nadal śpi. Sądząc po chrapaniu wydobywającym się z pokoju gościnnego, na pewno.

– Mamy coś do załatwienia. Mogę trochę mleka?

Helga Becker napełniła kubek i podała mu wraz z kromką świeżego chleba. Piekla go w specjalnym piecu stojącym w ogrodzie, zaraz za kurnikiem.

– Zjedz. W Berlinie nie masz takiego chleba. – W jej głosie słychać było troskę.

Ernst spojrział na matkę, gdy ta pochyliła się nad angiolką, aby dorzucić do pieca trochę drewna. Dopiero teraz zauważył, że w ostatnim czasie mocno się postarzała. Jej ruchy nie były już tak sprężyste, brakowało w nich dawnej stanowczości.

– A Klara i dzieci? Przyjadą do nas na Gwiazdkę? – zapytała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Tak, chyba tak – odpowiedział machinalnie, wiedząc dobrze, że to nieprawda. Planował, że w końcu grudnia będą już w Argentynie, a przynajmniej na pokładzie jakiegoś statku płynącego do Argentyny pod neutralną banderą. Nie mógł tego powiedzieć i zrobiło mu się jej żal. Starał się nie myśleć, co będzie z rodzicami, gdy w Berlinie rozejdzie się, że zniknął wraz z żoną i dziećmi.

– Przyniosę ci drewna – zerwał się od stołu i już na stojąco dopił mleko, a później wepchnął sobie w usta resztkę chleba.

– Odpocznij, sama to zrobię. Albo Alfons przyniesie, jak wróci od krów – odpowiedziała, ale Ernst chwycił wiklinowy kosz i ruszył do drzwi.

Rąbał drewno z zapamiętaniem, aż poczuł pierwsze krople potu na plecach. Ładował właśnie wąskie szczapy do wiadra, gdy podszedł do niego Oskar. Zapalili.

Ernst poinformował go, że muszą jechać do Chorzemina, gdzie Howański miał dzisiaj ustawiać maszynę i – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – wydrukować pierwsze, na razie jeszcze próbne, egzemplarze podrobionych dokumentów.

– A później trzeba porozmawiać z tym księdzem Sikorą.

Przez chwilę zastanawiali się, który z nich powinien to zrobić, i w końcu zdecydowali, że pójdą na plebanię obaj.

– Mundury?

– Mundury. Musi poczuć strach i respekt – odpowiedział stanowczo Becker.



Po drodze do Wolsztyna zatrzymali się przy rozbitym mercedesie Hoffmanna. Był w opłakanym stanie, na szczęście wyglądało na to, że silnik pozostał nienaruszony. Oskar zabrał leżący na tylnej kanapie płaszcz i pojechali na posterunek policji. Becker wszedł do środka i poprosił Kurta Wagnera o ściągnięcie pojazdu do miasta oraz powierzenie jego naprawy zaufanemu rzemieślnikowi.

– Jak najszybciej, bo inaczej Polacy go rozkradną – zaznaczył.

– Zaraz się tym zajmiemy – oświadczył służalczym tonem komendant.

Pojechali do Chorzemina. Hrabina Anna Daum powitała ich na wysokich schodach ubrana w długie aż do ziemi futro z szynszyli. Choć była niska i w zaawansowanym wieku, roztaczała wokół siebie trudną do uchwycenia aurę i Ernst pomyślał, że chyba tak właśnie prezentuje się majestat. Oskar Hoffmann i Ernst Becker mimo swoich eleganckich mundurów i lśniących wysokich butów czuli się przy niej ledwie wiejskimi chłopakami z niedalekiego Widzimia Starego.

– Napiją się panowie herbaty? – zapytała takim tonem, że już samo to wydało im się obraźliwe. Oskar chciał odpowiedzieć, że najchętniej napiłby się wódki, aby zgasić ten uśmieszek wyższości błakający się na jej ustach, ale jego przyjaciel go ubiegł.

– Z największą przyjemnością.

Hoffmann zdał sobie sprawę, że ani on, ani Becker nie powitali hrabiny tradycyjnym *heil* Hitler, a kobieta też się do tego nie kwapiła.

Na szczęście herbata została podana w towarzystwie kieliszka koniaku i nie trwała długo.

– Proszę wybaczyć, ale wzywają nas pilne obowiązki – oświadczył po kilku minutach pułkownik Ernst Becker i Hoffmann zaczął się zastanawiać, czy jego przyjaciel nabył tej towarzyskiej oglądy w SD, czy wcześniej, podczas studiów prawniczych w Wiedniu, gdy kradnąc z ulicznych straganów ziemniaki, próbował zaspokoić głód.

Wizyta w podziemiach chorzemińskiego pałacu nie zajęła im wiele czasu. Bolesław Howański instalował właśnie maszynę drukarską i tryskał entuzjazmem.

– Znakomity egzemplarz, znakomity – oświadczył. Wydawał się całkowicie pochłonięty pracą, ale na koniec zapytał, czy Becker dostarczył jego żonie obiecaną paczkę z żywnością. Pułkownik potwierdził skinieniem głowy.

Gdy wsiedli do samochodu, Oskar zapytał, czy Becker rzeczywiście to zrobił. Ten spojrział na niego przeciągle i to wystarczyło za całą odpowiedź.

– Naiwni są ci Polacy.

– Głupi, po prostu są głupi.



Księdza Arthura Sikorę zastali na plebanii szykującego się właśnie do odwiedzenia umierającej parafianki, ale Oskar Hoffmann stanowczym głosem oznajmił, że chcą z nim porozmawiać, i nakazali księdzu powierzyć misję udzielenia ostatnich sakramentów innemu kapłanowi.

Wsadzili go do samochodu i ruszyli w kierunku Widzimia Starego, ale po minięciu prowadzących do Poznania torów kolejowych, kilkaset metrów za parowozownią, skręcili w prawo nad Jezioro Berzyńskie. Obaj dobrze znali ten teren, przed laty

przyjeżdżali się tu kąpać. Becker zatrzymał mercedesa kilka metrów od brzegu.

– Przejdziemy się.

Sikora, pulchny i wyraźnie łysiejący, patrzył na nich wystraszonym wzrokiem. Powoli otworzył drzwi i z ociąganiem wysiadł z samochodu. Oskar zauważył na jego wysokim czole krople potu.

– Niczego złego nie zrobiłem. Jestem właściwie bardziej Austriakiem niż Polakiem, moja rodzina pochodzi z Grazu, naprawdę, z pewnością znajdziecie to panowie w moich dokumentach. – Jego głos wibrował ze strachu i Beckera to zniesmaczyło. Wyciągnął paczkę papierosów i wsadził jednego do ust, a później wyciągnął rękę w kierunku kapłana.

– Właściwie nie palę, ale w tym momencie. – Ksiądz drżącą ręką sięgnął po papierosa, ale zrobił to tak niezgrabnie, że kolejny wypadł na mokrą ziemię.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam. Proszę wybaczyć, jestem dzisiaj taki zdenerwowany.

Ernst spojrział na niego spod w półprzymkniętych powiek.

– Mówiąc precyzyjnie, z Grazu pochodzi pańska matka, ojciec był Polakiem. Więc jednak bardziej ksiądz jest Polakiem niż Austriakiem. Lepiej niech ksiądz nie zaczyna naszej znajomości od kłamstwa. – Becker patrzył na niego zimnym wzrokiem.

Sikora jeszcze bardziej skulił się w sobie, a na czoło wystąpiły mu kolejne krople potu.

– Interesują nas kontakty księdza w Watykanie. Niech ksiądz nie zaprzecza, dużo o księdzu wiemy. Oczywiście nie wszystko, ale możemy spowodować, że w ciągu kilku godzin dowiemy się wszystkiego, co w tej chwili jest jeszcze dla nas tajemnicą.

– I czego być może nawet nie chcielibyśmy wiedzieć. Ksiądz sam nam to powie, wystarczy, że wrócimy na posterunek. Może ksiądz chce tam zajrzeć? Przed wojną w tym budynku mieściła się parafia i pewnie proboszcz wiele opowiadał księdzu o tamtejszych piwnicach. Urządziliśmy tam kilka cel. Większość z nich jest przytulna, ale jedna troszeczkę mniej. – Oskar Hoffmann niedbałym, ale dobrze widocznym ruchem odpiął kaburę pistoletu.

Sikora odwrócił się w kierunku jeziora i chyba bezwiednie stanął tak blisko wody, że niewielkie fale zaczęły obmywać jego nie nazbyt starannie wyczyszczone buty. Becker patrzył na niego z niesmakiem, strach i służalczość tego człowieka go irytowały, ale jednocześnie cieszyły, bo dawały pewność, że mężczyzna będzie posłuszny i lojalny. Przynajmniej do momentu, gdy nie zacznie się kogoś bać bardziej niż ich. Ale na to nie zamierzał pozwolić.

Ksiądz niezgrabnie dopalił papierosa, widać było, że nie ma w tym żadnego doświadczenia, a później wyrzucił niedopałek do wody.

– Przed wojną byłem dwa razy w Rzymie...

– To wiemy i to nas nie interesuje. Za to bardzo interesuje nas kuzyn pańskiej matki, ojciec Edoardo Domoter.

– Czy on, czy wuj zrobił coś nierozważnego? To właściwie niemożliwe, wiem, że jest lojalnym współpracownikiem biskupa Aloisa Hudala, a on jest całym sercem oddany Niemcom. Wiem, poznałem go w Rzymie...

Zachęcony spojrzeniem stojących przed nim oficerów ksiądz Arthur Sikora zaczął opowiadać o swoich kontaktach z wysoko postawionym krewnym, wizytach w Rzymie oraz pobycie w Collegio Teutonico di Santa Maria dell'Anima.

Kolegium powstało jeszcze pod koniec czternastego wieku i początkowo zajmowało się udzielaniem schronienia przebywającym w Rzymie biednym i schorowanym Niemcom. W połowie dziewiętnastego wieku zmieniło się w uczelnię kształcącą niemieckich księży katolickich, a w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku papież mianował jej rektorem biskupa Hudala.

– Biskup urodził się w Grazu, nasze rodziny się znały i chyba dlatego mój wuj, który wstąpił do zakonu franciszkanów, trafił do Rzymu. Jest w Anime wykładowcą, ale o ile zdołałem się zorientować, cieszy się absolutnym zaufaniem biskupa. Ma z nim stały kontakt, a biskup powierza mu wiele wymagających dyskrecji misji.

Ruszyli w kierunku zachodnim, przechodząc obok stojącej nad jeziorem stodoły. Została wybudowana kilka lat przed wojną do gromadzenia siana zbieranego z rozległych łąk położonych opodal.

– Czy wasze więzy krwi są na tyle silne, że pański wuj będzie, jak by to powiedzieć, lojalny wobec księdza?

Sikora spojrzał na niego zdziwiony. Widać było, że trochę się już uspokoił. Jego kroki były pewniejsze, przerażenie zniknęło z pyzatego oblicza.

– Tak, oczywiście. Wiele mi już pomógł, a obiecał, że za jakiś czas ściągnie mnie do Watykanu. Miałbym pracować w Kolegium, podobno rozmawiał już o tym z biskupem – odparł z zaskakującą pewnością siebie. Oskarowi wydało się, że słyszy w jego głosie dumę.

Ernst spojrzał na Oskara i podjął decyzję. Cicho, ale stanowczo zaczął tłumaczyć Sikorze, czego od niego oczekują. Miał napisać list polecający do ojca Domotera i nakazać mu

pełną, dyskretną współpracę z osobą, która dostarczy pismo. A później oświadczył, że na razie ksiądz zostanie w Wolsztynie.

– Czy mogę wiedzieć, o co chodzi? – zapytał służalczo, ale Becker tylko pokręcił głową.

– Jutro pół godziny przed wieczorną mszą spotkamy się pod dzwonnica fary. Proszę mieć ze sobą list. Jest ksiądz teraz w naszych rękach. I proszę się żarliwie modlić, aby ojcu Domoterowi nie zabrakło zdrowego rozsądku.

Rozdział 18

BORUJA, 8 PAŹDZIERNIKA 2019

Fale cicho obijały się o brzeg. Rafał na chwilę zamknął oczy, skoncentrowany na dochodzących go dźwiękach. Wydawało mu się, że po lewej stronie odgłos plusku wody jest trochę głośniejszy, i wyobraził sobie łódź kołyszącą się na fali. Nie był jednak tego pewien. Zresztą i tak nie mógł przekazać tej informacji dalej, cisza była zbyt dojmująca, aby Skibniewski nie usłyszał słów wyszeptanych do ukrytego w kamizelce mikrofonu.

Otworzył oczy, uważnie rozglądając się wokół. W słabym świetle księżyca dostrzegł pas jasnego piasku prowadzący w górę. Pomyślał, że on sam ukryłby się właśnie tam, na niewielkim wzniesieniu, pośród drzew i krzaków. Zaczął się intensywnie wpatrywać w to miejsce, ale niczego podejrzanego nie dostrzegł.

– Jest pan tutaj? – zawołał i skoczył w prawo, przylegając do kolejnego pnia. Nie sądził, aby mogło mu to w czymś pomóc, ale nie miał innego wyjścia.

Okalająca go zewsząd cisza powodowała, że zaczął go dławić strach. Wiedział, że Wiesław, Borsuk i kilku innych komandosów są w pobliżu, pewnie kilkaset metrów stąd, ale to wcale nie poprawiało jego sytuacji.

Jego i Ewy.

Zaczynał wątpić, czy Wiesław miał rację. Z każdą chwilą coraz bardziej żałował, że nie wezwał policyjnych komandosów.

Mocny ucisk dłoni, który poczuł na lewym ramieniu, zaskoczył go i sparaliżował. A szept mężczyzny nad jego uchem, cichy, a przez to wyjątkowo złowróżbny, odebrał mu mowę.

Stał tuż za jego plecami, Rafał wyraźnie czuł jego oddech, a jeszcze wyraźniej klingę noża wbijającego mu się w szyję.

– Ta twoja flama jest w wynajętym apartamencie na ulicy Puławskiej czterysta dwadzieścia. Z tarasu ma piękny widok na lądujące samoloty. Choć na razie nie może ich oglądać. Ale jest cała i zdrowa, choć chwilowo niedysponowana. Odzyskasz ją, jeśli mnie teraz uważnie posłuchasz. Zostaw sprawę Howańskiego. Zostaw, raz na zawsze. Bo następnym razem znajdziesz obie, Ewę z Anastazją, a żadna z nich nie będzie ani zdrowa, ani cała. Obiecuję. Zostaw tę sprawę – powtórzył. Mówił po angielsku.

Rafał poczuł nacisk noża na szyi i przestał oddychać, a potem nagle wszystko zniknęło. Gwałtownie zaczerpnął powietrza. Chciał poinformować Wiesława, że już wszystko w porządku, że żyje, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Kto to był? – zastanawiał się gorączkowo. Wiedział, że na pewno nie Skibniewski. Napastnik posługiwał się perfekcyjnym angielskim.

W lesie znowu zapadła kompletna cisza. Terlecki oderwał się od pnia drzewa, próbując dostrzec jakiś ruch i uchwycić odgłos kroków, ale wokół nic nie było słychać.

– Weźcie mnie stąd – szepnął do mikrofonu. Miał dość, cały się trząsał, chciał jak najszybciej wrócić do hotelu. – Wynajęty apartament na Puławskiej czterysta dwadzieścia, tam jest Ewa. To nie był Skibniewski, a ktoś znacznie od niego młodszy, mówił po angielsku.

Podszedł do jeziora i uważnie się rozejrzał. Niczego nie widział, żadnej łodzi, więc odwrócił się w stronę lasu i zaczął nasłuchiwać. Nagle ciszę rozerwał ryk silnika.

– Motocykl, ma motocykl. To chyba enduro, wysoki dźwięk silnika! – wykrzyczał do mikrofonu. Teraz nie musiał się kryć, nie miało to już znaczenia. – Wiesław, ona jest na Puławskiej czterysta dwadzieścia w wynajętym apartamencie, wyślij tam kogoś jak najszybciej. Błagam!



Do bmw dotarł w sprinterskim tempie. Zaliczył po drodze dwa bolesne upadki i zranił lewy policzek, z którego teraz kapłała krew.

– Już wysłaliśmy kogoś na Puławską. Za chwilę powinniśmy coś wiedzieć. – Borsuk czekał na niego przy samochodzie.

– Niech wyłamię drzwi, pieprzyć to, pokryję koszty. – Terlecki z trudem łapał powietrze. – A ten gość, złapaliście go?

Borsuk pokręcił głową. Motocykl przemknął skrajem lasu na drogę do Wolsztyna, omijając kolczatkę. Jeden z ludzi Wiesława ruszył za nim w pościg samochodem, ale po dwóch kilometrach motocyklista skręcił w las, przecinając niewielki mostek nad Dojcą i pojechał z powrotem w kierunku jeziora. Na leśnym dukcie terenowa toyota nie miała z nim żadnych szans. Borsuk zapytał, czy Rafał może jakoś opisać napastnika, ale ten, nadal z trudem łapiąc powietrze, bezradnie rozłożył ręce.

– Właściwie widziałem go przez kilka sekund, gdy wbiegał między drzewa. Ubrany na czarno, na głowie miał chyba kominiarkę. Wcześniej podszedł do mnie z tyłu i zrobił to tak cicho, że niczego nie usłyszałem. Co z tym człowiekiem, dotarł już do Ewy?

Borsuk spojrział w kierunku jeepa. Wiesław rozmawiał przez telefon, a po chwili otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Jego długie, kręcone włosy były teraz niezwykle zmierzwione.

– Mamy Ewę. Jest nieprzytomna, nafaszerowana jakimś narkotykiem. Jadą na SOR, ale chyba nic jej nie będzie. Jeśli zostawią ją w szpitalu, to chłopaki z nią zostaną, a jeśli ją wypuszczą, to od razu zawiozą ją do Hacjendy.

– A Anastazja? Ten typ groził, że jeśli nie zostawię sprawy Howańskiego, to Anastazja będzie następna – powiedział Terlecki i głos mu się załamał.

– Anastazja już się pakuje, zaraz ruszą do Hacjendy. Więc jednak sprawa Howańskiego nie jest jakąś historyczną ramotą?

Terlecki nie odpowiedział. Otworzył drzwi swojego samochodu i sięgnął po papierosy. Uspokoił już oddech i organizm domagał się nikotyny. Spojrzał na tylną szybę, ale mokrej kartki informującej go, gdzie ma się spotkać ze Skibniewskim, wtedy był pewien, że chodzi o Skibniewskiego, już nie było.

– Wzięliśmy do analizy, ale to bez sensu, głównie wykaże. Co dalej?

Zamiast odpowiedzieć, Terlecki wyciągnął telefon i zadzwonił do Anastazji. Córka była wystraszona, ale szczęśliwa, że matka żyje i wkrótce się zobaczą. Rozmawiali kilka minut i ta rozmowa Terleckiego uspokoiła. Cieszył się, że dziewczyna tak dojrzałe podeszła do całej sprawy.

– Tylko nie zapomnij zabrać kota.

– Tato, czy ty wreszcie przestaniesz mnie traktować jak małą dzidzię?

– Wątpię. Dla mnie zawsze będziesz małą dzidzią – odpowiedział i szybko się rozłączył. Głos mu się łamał, a nie

chciał, aby córka to usłyszała.

Terleckiego korciło, żeby natychmiast zadzwonić do Bartka, ale uznał, że jest zbyt wcześnie. Wiedział, że jego przyjaciel wstaje bladym świtem i już przed siódmą rano zasiada w swoim prezesowskim fotelu, ale uznał, że powinien jeszcze chwilę poczekać, przynajmniej nim Bartek wyjedzie z domu. Nie chciał niepokoić jego żony.

Wiesław zbierał swoją drużynę. Chcieli jeszcze obejrzyć miejsce, gdzie Terlecki spotkał się z tajemniczym osobnikiem, przeczesać teren, spróbować znaleźć jakieś ślady, choć wielkich nadziei na sukces nie mieli. Rafał wsiadł do bmw i w towarzystwie jednego z komandosów pojechał do hotelu.

– W Warszawie przeanalizujemy film z drona, ale raczej niewiele to da. Drzewa pewnie wszystko zasłoniły. Dobry jest. Świetnie wyszkolony i przewidujący – stwierdził Wiesław, a w jego głosie słychać było podziw.



Bartek przyjechał kilka minut po dwunastej, przywożąc ze sobą litrową butelkę whisky Johnnie Walker.

– Najwyżej zostanie – oświadczył i obaj się uśmiechnęli. To był jeden z ich licealnych grepsów.

Rafał napełnił szklanki i rozsiedli się w pokoju. Zamówił obiad i choć kelnerka z hotelowej restauracji była niechętna, to jednak w końcu zgodziła się przynieść posiłek do pokoju. Rafał zrewanżował się wysokim napiwkem. Konsumując schabowego, opowiedział Bartkowi wydarzenia ostatniej nocy.

– Nic nie usłyszałeś?! Podszedł do ciebie w lesie, w którym panowała kompletna cisza, a ty go nie usłyszałeś? Czy to w ogóle możliwe?

– Witam w świecie jednostek specjalnych. Wiesław twierdzi, że to ktoś bardzo dobrze wyszkolony. Pewnie ma rację. Ale to mniej istotne...

– Dużo mniej. Bardziej interesujące, a przede wszystkim bardziej zaskakujące jest to, że wydarzenia z czasów okupacji, a dokładniej rzecz biorąc, z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, mają przełożenie na współczesność. O co tu, kurwa, chodzi?

Terlecki odstawił talerz i sięgnął po papierosa oraz plastikowy kubek do mycia zębów, który czasowo zaadaptował na popielniczkę.

– Znowu będziesz kopcił? – Bartek spojrzał na niego z niesmakiem, więc uchylił okno.

– Muszę, lepiej mi się myśli, gdy piję i palę. Nie dostrzegałem tego wcześniej, ale gdy się nad tym zastanowić, to ten związek między okupacyjną przeszłością a dniem dzisiejszym był oczywisty od samego początku.

Bartek wszedł mu w słowo, przywołując wydarzenia w Stummie, gdzie Hans Schulz zmarł po potrąceniu przez samochód. Dotychczas, zgodnie z sugestią Henryka Howańskiego, interpretowali to jako wypadek. Teraz byli pewni, że to morderstwo.

– Musisz pogadać z austriacką policją. Może coś już wiedzą.

– Muszę. Wybierałem się tam, ale teraz przyspieszę wyjazd. Rano wysłałem maila do redakcji, bo chcę od razu zabrać ze sobą operatora i dziewczynę, która dobrze mówi po niemiecku. Pojadę tam za dwa, może trzy dni.

Wypili i Terlecki znowu napełnił szklanki.

– Rafał, warto? Warto to ciągnąć? Przecież Ewa mogła zginąć. A on wyraźnie zagroził, że jeśli będziesz tę sprawę badał, to

zginie na pewno. I ona, i Anastazja. To jest twoja córka...

Terlecki zerwał się z krzesła. Bał się tego pytania, wiedział, że ono padnie, ale nie przygotował sobie żadnej odpowiedzi. Nie znał odpowiedzi.

Zaczął krążyć po niewielkim pokoju. Ręce mu drżały i alkohol wylewał się na wykładzinę. W końcu odstawił szklankę i sięgnął po kolejnego papierosa. Nic nie mówił, patrzył na drzewa za oknem.

– Nie zrozumiesz tego...

– Rafał, jeśli ja tego nie rozumiem, to nikt tego nie zrozumie. Więc może nie warto. Znam cię od czterdziestu lat, wiem o tobie wszystko, a o świecie też wiem niemało. Czegoś może nie rozumiem, ale zastanawiam się, czy dla tego czegoś warto poświęcać tych, których kochasz.

Dziennikarz nie patrzył na przyjaciela.

– Wiesław ochroni Ewę i Anastazję – powiedział z przekonaniem.

– Mam nadzieję. Ale dzisiaj nie dał rady. Facet zwiął. Zwiął mimo komandosów, drona, kolczatek... Zastanów się. Nie chcę wywierać na ciebie presji, to twoja decyzja, tylko twoja, ale się zastanów. Rozważ to jeszcze raz.

Terlecki znowu zerwał się z krzesła. Musiał się wydostać się z tego ciasnego pomieszczenia, czuł, że się dusi. Chwytał butelkę, do kieszeni kurtki wsadził dwie szklanki i ruszył do wyjścia.

– Chodź nad jezioro. Zawsze lepiej nam się myślało na świeżym powietrzu.

Bartek zrobił to chętnie, miał już dość zadymionego pokoju.

Rozdział 19

WOLSZTYN, 10 PAŹDZIERNIKA 2019

Zenon Olszański, od kilku miesięcy emerytowany naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Wolsztynie, siedział w kącie sali nad szklanką herbaty. Terlecki przywitał się z nim serdecznie i zapytał, czy zamówić coś mocniejszego, ale ten pokręcił głową.

– Teraz nie, redaktorze. Jest środek dnia, a ja mam dzisiaj jeszcze wiele do zrobienia. Ale następnym razem chętnie się z tobą napiję. To była dobra robota, gratuluję.

– Dziękuję. I za gratulacje, i przede wszystkim za twój wkład w tę sprawę. Bez ciebie nie dałbym rady – odpowiedział Terlecki i zamówił dużą czarną kawę. – Tylko widzisz, robota nadal nie jest skończona.

Olszański pokiwał łysą głową, a później rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie słyszy ich rozmowy. Nadmiar ostrożności, bo Prowansja była o tej porze niemal pusta.

– Wiem i nawet chciałem do ciebie w tej sprawie zadzwonić. Kilka dni temu rozmawiałem z jednym z moich byłych podwładnych. Zeszło na „pięknego Zdzisia”, czyli Skibniewskiego. Kolega twierdził, że list gończy za nim nadal nie został opublikowany. Nie uwierzyłem, nie mieściło mi się to w moim łysym łbie, kazałem mu to jeszcze raz sprawdzić. Przed chwilą z nim rozmawiałem. – Olszański dwoma palcami uniósł swojego smartfona i zaraz odłożył go na stolik. – Potwierdził. Nie uważasz, że to dziwne?

To mogła być cenna informacja, więc Terlecki odwdzieczył się policjantowi relacją z ostatnich wydarzeń. Opowiedział o wypadku u zbiegu ulicy 5 Stycznia i Rzecznej, o telefonie Skibniewskiego, wreszcie o akcji nad Jeziorem Kuźnickim.

– Chce się zemścić. Bądź ostrożny.

Dziennikarz zaprzeczył. Nie chciał zdradzać wszystkich szczegółów, ale poinformował Olszańskiego, że to wcale nie była zemsta. Urowadzenie jego dawnej partnerki, a później zwabienie go do lasu wiązało się ze sprawą, nad którą obecnie pracuje.

– Dotyczy pewnego mieszkańca Wolsztyna, którego Niemcy aresztowali podczas okupacji, a jego późniejsze losy na razie są dla mnie tajemnicą.

Policjant spojrział na niego zdumiony i zapytał, co ma z tym wspólnego Skibniewski.

– Gdy ten facet nad jeziorem przyłożył mi nóż do gardła, powiedział, że mam zostawić tę sprawę, bo inaczej zabije Ewę i Anastazję. Więc mam do ciebie pytanie. Czy wtedy, podczas rozpracowywania Skibniewskiego, trafiłeś na jakiś, najmniejszy choćby ślad powiązań tego gangstera z hitlerowcami, ich następcami, czy jak ich tam nazwać?

Zenon Olszański spojrział na stojącą obok nich półkę z winami, a później przeniósł wzrok na bar, na którym stały butelki whisky, koniaków i wódek. Terlecki miał wrażenie, że mężczyzna jest bliski złamania swojego postanowienia, ale ostatecznie pozostał przy herbacie.

– Pytasz o rzecz, która leżała poza naszymi możliwościami. Naszymi, wolsztyńskimi, ale też policyjnymi. Takie powiązania bardziej dokumentuje wywiad niż policja. Ale coś takiego się pojawiło. Bardzo wąty ślad, czy raczej ledwie sugestia, ale tak, pojawiło się. Umówię cię, przynajmniej spróbuję, z moim kolegą

z Poznania. Byliśmy razem w Szczytnie, ale on potem przeszedł do ABW. Warto z nim porozmawiać. Jakiś czas temu spotkaliśmy się w takiej wypasionej knajpie przy Dąbrowskiego w Poznaniu. Wtedy mi o tym powiedział. – Olszański wyciągnął z kieszeni marynarki papierosy. Nie mógł zapalić, w Prowansji obowiązywał zakaz palenia, ale należał do tych palaczy, których uspokajała już sama zabawa ulubionymi fajkami.

– Będę ci bardzo wdzięczny – odparł Rafał. – Muszę teraz wyjechać, ale za cztery, może pięć dni będę z powrotem.



Terlecki minął Granowo i gdy zobaczył zjazd na S5, chwilę się zawahał, ale ostatecznie postanowił pojechać starą trasą, przez Stęszew. Miał wystarczająco dużo czasu, aby pozwolić sobie na odrobinę sentymentu. Kiedyś co tydzień pokonywał tę trasę autobusem, wracając z uczelni do domu.

Zaraz po spotkaniu z Zenonem Olszańskim pojechał do liceum. Zdążył w ostatniej chwili, Henryk Howański właśnie wychodził z budynku, zmierzając do zaparkowanego przed Świtezianką wiekowego opla astry. Pomyślał, że tym pojazdem profesor zwiedziłby niewielki kawałek świata.

– Jadę jutro do Wiednia, jestem umówiony z policjantem, który prowadzi sprawę wypadku w Stummie. Tylko wydaje mi się, a właściwie jestem tego pewien, że to nie był wypadek, tylko zaplanowane morderstwo.

Howański spojrzał na niego zaskoczony.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi? – wykrztusił.

Terlecki przemilczał to pytanie. Poprosił, aby Howański jeszcze raz opisał mu to, co wydarzyło się w Stummie, a później

zapytał, czy w ostatnich dniach nie doświadczył jakichś dziwnych wydarzeń.

– Tak, Beata Bednarek po raz pierwszy w życiu nie była przygotowana do lekcji. Tej dziewczynie się to nigdy wcześniej nie zdarzyło, nigdy. Ale zadając to pytanie, zapewne nie to miał pan na myśli.

Terlecki uśmiechnął się do Howańskiego. Była w tym uśmiechu tęsknota za stabilizacją, której brak w ostatnim czasie zaczął boleśnie odczuwać. Pomyślał, że się starzeje.

– Proszę na siebie uważać. Wokół sprawy pańskiego dziadka dzieją się rzeczy dziwne i niebezpieczne. Naprawdę proszę na siebie uważać – powiedział Terlecki i ruszył do swojego samochodu.

– Niech pan to zostawi. Nie warto ryzykować.

Terlecki odwrócił się i znowu podszedł do nauczyciela. Spojrzał mu hardo prosto w oczy.

– Chcę się dowiedzieć, co się stało z pańskim dziadkiem. Po prostu muszę. Muszę, nawet jeśli pan chce się z tego wycofać. Twierdzi pan, że nie warto ryzykować, ale skąd pan to wie, panie profesorze? To będziemy wiedzieli dopiero po ułożeniu całego obrazka.



Olga Morąg, dziennikarka z jego stacji telewizyjnej, była ubrana w skórzaną czarną kurtkę sięgającą pasa, krótkie skórzane spodnie i kozaki kończące się powyżej kolan, a na głowę nałożyła baseballówkę z nisko opuszczonym daszkiem i duże ciemne okulary. Typowy strój maskujący wszystkich osób często występujących w telewizji. Rafał wiedział, że w głębi duszy marzy, aby zostać rozpoznaną, aby ktoś do niej podszedł,

poprosił o autograf, wspólne zdjęcie. Nie widział jej oczu, ale stawiał dolary przeciwko orzechom, że uważnie rozgląda się na boki, chcąc przyciągnąć wzrokiem wielbicieli, a najlepiej zabłąkanego w tłumie fotoreportera z „Faktu” lub „Super Expressu”. Wyglądała seksownie i pomyślał, że być może ona także chce powtórzyć tamten gdański wieczór.

Noc, właściwie to była cała noc, poprawił się w duchu.

Przywitali się wylewnie, a później Rafał mocno uściśnął dłoń Jurka, operatora kamery targającego na ramieniu wielką torbę ze sprzętem.

– Padam z głodu. Zjemy jakąś kolację?

Terlecki przytaknął. Redakcja wynajęła im pokoje w Park Inn, hotelu należącym do sieci Radisson przy ulicy Szyperskiej w Poznaniu, niezbyt prestiżowej, ale za to położonej blisko Starego Rynku. Zamiast jednak pójść na rynek, zdecydowali się na szybką kolację w niewielkiej knajpce niemal naprzeciwko hotelu. Jej nazwa, Smaki Italii, brzmiała zachęcająco, a Olga znalazła w internecie informację, że prowadzi ją Sardyńczyk wraz z żoną Polką.

– Nawet nie próbujcie się sprzeciwiać! Spędziłam kiedyś urlop na Sardynii, kocham tę wyspę, a skoro zmuszacie mnie do wyjazdu do kraju golonki, piwa i tortu Sachera, to dzisiaj zjedzmy coś włoskiego.

Nie zawiedli się. Pizza z owocami morza była znakomita, a butelka markowego wina Dolianova Falconaro Isola dei Nuraghi rozluźniła atmosferę i wprawiły ich w dobry nastrój. Rafał wprowadził Olgę w sprawę, zdając jej szczegółową relację z wydarzeń ostatnich dni. Zaimponowała mu, gdy wysnuła teorię, że być może Zdzisław Skibniewski nie ma nic wspólnego ze sprawą Bolesława Howańskiego, że został użyty tylko jako wabik.

– Ktoś wiedział, że gdy usłyszysz jego głos, to z pewnością zareagujesz. Skibniewski był bohaterem twojego reportażu, każdy dziennikarz odpowiedziałby na jego wezwanie. Zwłaszcza gdy rzecz dzieje się między dwoma facetami. Jesteście jak koguty – powiedziała, pochylając się nad notatkami. Miała długie jasne włosy.

Wcześniej nie brał tego pod uwagę, ale pomyślał, że Olga może mieć rację. Była skupiona, zadawała celne pytania. Bardzo mu to odpowiadało. Chciał pójść z nią do łóżka, myślał o tym jeszcze, nim zobaczył ją na dworcu, ale przede wszystkim zależało mu na reportażu.

– Przepraszam, czy mogłabym zrobić państwu zdjęcie? Rzadko gościmy tu takie sławy, a to bardzo przyciąga klientów.
– Właścicielka lokalu trzymała nad nimi tacę z trzema kieliszkami grappy. – To poczęstunek od firmy.

Olga natychmiast zerwała się od stołu. Prośba właścicielki sprawiła jej wyraźną przyjemność, więc Rafał i Jurek, choć z ociąganiem, również wstali.

– Może stańmy przy barze, będzie widać logo. – Dziennikarka przejęła dowodzenie operacją. Inicjatywa właścicielki Smaków Italii tak bardzo przypadła jej do gustu, że później dała się jeszcze sfotografować z jednym z gości – niskim, korpulentnym i mocno już wstawionym łysym mężczyzną w muszce, który przedstawił się jako wykładowca jednej z poznańskich wyższych uczelni.



Wyjechali kilka minut po czwartej rano, o czternastej byli umówieni w Wiedniu. Po drodze jeszcze raz omówili całą

sprawę i ustalili strategię rozmowy z austriackim detektywem prowadzącym dochodzenie w sprawie śmierci Hansa Schulza.

Po godzinie jazdy operator wyciągnął się na tylnej kanapie i natychmiast zasnął, potwierdzając to głośnym chrapaniem. Olga rozłożyła na kolanach notes i przeglądała notatki, gryząc niewielki ołówek.

– Zawsze używasz ołówków?

– No wiesz, to zależy. Do notatek zawsze. Powiem ci w sekrecie, że namiętnie kradnę je z Castoramy. Mają świetne ołówki.

– Świetne do czego? – Rafał spojrzał na jej nogi obleczone w czarne rajstopy i te same kozaki, które miała na sobie wczoraj. Działy na niego jak płachta na byka.

– Do notowania. Do innych rzeczy wolę jednak większe rozmiary – odpowiedziała i nawet na niego nie spojrzała.

Jeszcze raz powtórzyli pytania, które chcieli zadać austriackiemu policjantowi.

– Dasz radę wychwycić wszystkie niuanse?

– Niemiecki to mój drugi język. Mój dziadek był Niemcem, służył pod Guderianem. Przed wojną mieszkał w Chełmnie, to blisko Torunia. Z kolei matka pochodzi z żydowskiej rodziny i, cóż za ironia, była nauczycielką języka niemieckiego. Pod koniec życia mój ojciec lubił opowiadać, że przez ponad pół wieku sypiał z Żydówką i bardzo to sobie chwali.

– À propos...

– Rafał, nie traktuj mnie protekcjonalnie. Jak będę chciała, żebyś mnie przeleciał, a absolutnie nie wykluczam, że będę chciała, to dam ci znać. Ale tylko, gdy będę chciała. – Spojrzała na niego i mrugnęła szelmowsko.

Terleckiemu zakręciło się w głowie. Jak każdemu mężczyźnie z tego fragmentu ich rozmowy w jego głowie pozostało tylko słowo „przeleciał”.

Po chwili skupił jednak uwagę na wydarzeniach ostatnich dni. Choć bardzo starał się to ukryć, to jednak dławił go przejmujący strach. Starał się go jakoś obłaskawić, ale bez powodzenia. Wierzył, że Ewa i Anastazja są teraz bezpieczne, ale wspomnienie noża wrzynającego się w jego szyję zachwiało towarzyszącym mu dotąd przekonaniem, że gangsterzy nie odważą się zabić dziennikarza.

Rozdział 20

WOLSZTYN, 22 LISTOPADA 1943

Oskar Hoffmann pchnął rower z taką siłą, że ten odbił się od ściany i kierownica uderzyła go w biodro. Zaklął, a później już spokojnie oparł pojazd o ścianę obory. Helga Becker wyszła z domu w momencie, gdy zapalał papierosa.

– Ernst powinien zaraz wrócić, pojechali po buraki na pole za lasem. Ale minęły już chyba ze trzy godziny, więc na pewno zaraz będą. Nie wiem, co dzisiaj tak długo marudzą. Napijesz się czegoś?

– Przypuszczam, że to Rzym tak Ernsta rozleniwił – odparł i zaciągnął się papierosem. Dopiero w tym momencie, widząc zdziwioną twarz matki przyjaciela, zrozumiał swój błąd. – Wody, napiję się wody. Ale nabiorę sobie ze studni, proszę się nie kłopotać.

Szybko ruszył w kierunku stodoły, przeklinając swoje gadulstwo. Z reakcji kobiety wywnioskował, że Ernst nie poinformował jej o swoim kilkudniowym pobycie we Włoszech, a on niepotrzebnie miał jęzorem. Oparł się o studnię, delektując się smakiem wody. Czuł, że powoli wracają mu siły. Jego samochód nadal był w naprawie, komendant posterunku kazał go przetransportować aż do Sulechowa, tłumacząc, że w Wolsztynie nie ma żadnego mechanika, więc Oskar zmuszony był przyjechać do Beckerów rowerem. Mógł oczywiście kazać się podwieźć policjantom lub żandarmom, ale nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Mistrz dyskrecji, kurwa, pomyślał, patrząc na matkę Ernsta starającą się wytropić, gdzie tym razem kury zniosły jajka. Zawołał do niej, pytając, czy ma nanieść wody, ale kobieta pokręciła głową. Właśnie wyłuskiwał z paczki kolejnego papierosa, gdy na podwórze wtoczył się ciągnięty przez konia wóz. Mimo zaawansowanego wieku stary Becker zgrabnie zeskoczył z kozła.

– Ernst zaraz będzie – rzucił i zaczął wyprzęgać konia.

Rzeczywiście Ernst pojawił się kilka minut później. Podszedł do studni i napił się wody prosto z wiadra. Potem usiadł na ziemi i zapalił papierosa. Skórę miał nieco ciemniejszą niż zazwyczaj.

– Włoskie słońce ci służy. Jak było?

– Dobrze, ale daj odetchnąć, wróciłem z pola pieszo, za dużo załadowaliśmy i nie chciałem zamęczyć konia. Zjemy kolację i wszystko ci opowiem. Ale dobrze, poszło naprawdę dobrze. Lepiej, niż się spodziewaliśmy.

Godzinę później, po kolacji, Oskar palił papierosa przed domem i obserwował, jak Helga Becker wynosi kromkę chleba i kubek mleka dla parobka. Uśmiechnęła się do niego, przechodząc, i Oskar pomyślał, że ostatnio matka jego przyjaciela wydaje się przygaszona bardziej niż kiedykolwiek. Pamiętał ją sprzed lat, gdy tryskała energią i optymizmem, jak goniła syna do nauki i broniła go przed mężem, gdy często razem wracali głęboką nocą z wiejskich zabaw i innych brewerii.

Ernst wyszedł z domu z dwoma butelkami wina i kryształowymi kieliszkami. Poszli prosto do stodoły, swojego dawnego azylu, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Po drodze minęli siedzącego na kamieniu przed oborą polskiego parobka zajadającego się chlebem ze smalcem. Oskar wskazał na niego głową i zapytał, gdzie chłopak sypia.

– Nie wiem. Na pewno nie w domu. Mam zbyt dużo na głowie, aby zajmować się jeszcze tym polskim bękartem – odparł Becker, wzruszając ramionami.

Usiedli na swoich miejscach, tych samych, które upatrzyli sobie wiele lat temu. Ernst wyciągnął z kieszeni korkociąg.

– Prostu z Rzymu. A dokładnie rzecz biorąc, z Toskanii. Podobno najlepsze. Prezent od biskupa Hudala – pochwalił się i podał kieliszek Oskarowi.

Unieśli naczynia, jakby wznosili toast, i zamoczyli usta w winie. Nie nawykli do wina, wydało im się cierpkie.

– Nie na nasze chłopskie gęby, mój drogi. Ale nic się nie martw, na wszelki wypadek kupiłem w kasynie butelkę koniaku – powiedział Oskar, podnosząc kieliszek. Próbował spojrzeć na jego zawartość pod blade światło księżycy, ale było słabe, więc miał przed oczami tylko ciemną ciecz. – Mów.

Ernst Becker zapalił papierosa i oparł głowę o drewniany stempel podtrzymujący dach stodoły.

– Katolickie klechy żyją sobie w tym Rzymie jak pączki w maśle, jakby wojny nie było, jakby cała ta zawierucha działa się na innym kontynencie i zupełnie ich nie dotyczyła. Żałuj, że tego nie widziałeś.

– Żałuję, wierz mi. Dla tego spokoju i bogactwa zniósłbym nawet picie tego cierpkiego wina – odparł Oskar. – Przejdziesz w końcu do rzeczy?

Becker zaczął opowiadać. Dotarł do Rzymu pociągiem z Berlina i zamieszkał w niewielkim hotelu przy via Famagosta. Następnego dnia rano wybrał się do Watykanu i poszedł do Collegio Teutonico di Santa Maria dell'Anima. Musiał długo czekać, ale w końcu udało mu się spotkać Edoardo Domotera

i wręczyć mu list od księdza Arthura Sikory. Dwa dni później, wieczorem, spotkał się z biskupem Hudalem.

– Kazano mi się stawić na placu Świętego Piotra, gdzie podszedł do mnie jakiś młody ksiądz i kazał za sobą iść. Towarzyszyło nam jeszcze dwóch innych i to już raczej nie byli księża, w każdym razie nie tylko. Wyszliśmy za mury. Wielka, piękna willa zaraz za watykańskim murem, ale dyskretnie schowana za piniami, zbudowana nieco poniżej drogi, więc od strony ulicy nie robiła jakiegoś oszałamiającego wrażenia. W środku już tak, jak najbardziej tak: antyczne rzeźby, usłużni młodzi księża, niezliczone butelki najlepszych alkoholi. I jedzenie. Wierz mi, Oskar, nie widziałeś tak zastawionego stołu. Wielu tych potraw nie umiałem jeść, pierwszy raz w życiu słyszałem ich nazwy. Pocieszam się, że chyba nawet hrabina Daum, to babsko w szynszylach, nie bardzo by sobie z nimi poradziła. Wiesz, co to homar?

Oskar Hoffmann pokręcił głową, a potem głośno przełknął ślinę. Mimo kolacji złożonej z dwóch dużych kromek świeżego chleba ze smalcem poczuł głód.

– I sery, wielkie owalne talerze, nazywali to patery, serów. Na dodatek ozdobione owocami. Były srebrne, wyobrażasz sobie?

– Srebrne owoce?

Becker się roześmiał.

– Nie, patery, te talerze, one były ze srebra. Widywałem takie u Kaltenbrunnera. I rozmaite mięsa. Takiej ilości mięsa nie widziałem nawet po świniobiciu.

Zapadła cisza. Opróżnili kieliszki, a Ernst wstał, aby nalać drugą kolejkę. Usłyszeli jakiś hałas, jakby ktoś przesuwiał deskę, ale zaraz zapadła cisza. Hoffmann popatrzył na Beckera, wstał i cicho się do niego zbliżył.

– Może to ten parobek? Może właśnie tutaj sypia?! – wyszeptał.

– Jutro zapytam ojca. Ale nawet jeśli, to i tak niewiele zrozumie. Mówiłem ci, to Polak.

Ernst otworzył drugą butelkę wina. Wrócili na swoje miejsca.

– Hudal się zgodził. Zadziwiająco łatwo się zgodził. Twierdził, że już o tym myślał. I chyba rzeczywiście, bo od razu wskazał port w Genui, gdzie przyływa wiele statków pod neutralną banderą, w tym również z Ameryki Południowej.

Opróżnili kieliszki. Szybko, dużo szybciej niż podczas przyjęcia w watykańskiej willi. Obu im było spieszno do butelki koniaku kupionej przez Oskara w wolsztyńskim kasynie oficerskim.

– Na czym polega ich plan? – zapytał oficer Hoffmann.

– Na prostocie i hierarchii. Kościół jest zbudowany na hierarchii, więc jeśli z Watykanu pójdzie odpowiednie polecenie, to lokalne kościoły się temu podporządkują. Oczywiście trzeba brać pod uwagę narodową specyfikę, nie każdy ksiądz zgodzi się pomagać Niemcom. Mamy omijać Francję, ale biskup gwarantuje, że jeśli chodzi o Szwajcarię, Austrię i Włochy, rzecz jasna także Niemcy, to nie będzie żadnych problemów. Twierdzi, że w tych krajach do naszej dyspozycji będą wszystkie parafie i klasztory.

– A tam, w Argentynie?

Becker przytaknął. Watykański hierarcha powiedział mu, że w najbliższych dniach wyśle specjalne pisma do kilku argentyńskich biskupów, a później, już w Genui przed wejściem na statek, każdy wskazany przez nas człowiek dostanie list polecający.

Oskar znowu usłyszał jakiś szelest. Pożałował, że nie wziął ze sobą pistoletu, ale po chwili wszystko ucichło i doszedł do wniosku, że to tylko myszy, które późną jesienią zawsze gromadzą się w takich miejscach. Wzniósł kieliszek do kolejnego toastu.

– Czyli pełen sukces?!

– Prawie. Hudal nie zgodził się partycypować w kosztach. Oświadczył, że oni dają logistykę, a środki finansowe są po naszej stronie. Choć powiedział, że Watykan chętnie kupi niektóre dzieła sztuki zarekwirowane przez nas w Europie Środkowej i w Rosji.

Hoffmann lekceważąco machnął ręką. Nie wydawało mu się to zbyt wygórowaną ceną za zorganizowanie przetrzutu wybranych Niemców do Argentyny.

Skończyli wino i Oskar otworzył wreszcie butelkę koniaku. Gdy wypili, poczuli rozchodzące się po ciele przyjemne ciepło.

Oskar sięgnął po papierosy i zapytał, dlaczego Hudal tak łatwo się zgodził.

– Jest Austriakiem, to po pierwsze. Po drugie, nie wiem, czy to nawet nie ważniejsze, boi się, że klęska Niemiec doprowadzi do zajęcia całej Europy przez Stalina. Gdy zacząłem mu przedstawiać wizję czerwonych, barbarzyńskich hord opanowujących cały kontynent, także tę ich enklawę spokoju i bogactwa, przerwał mi, mówiąc, że ma tego świadomość, że wszyscy w Watykanie mają. Boją się Stalina i jego bolszewików bardziej niż czegokolwiek na tym doczesnym świecie – odparł Ernst i także sięgnął po papierosa.

– Zachód też zacznie się ich bać i to będzie dla nas przełomowy moment. Nawet oni w końcu zrozumieją, że Stalin nie zatrzyma się w Niemczech – stwierdził Hoffmann.

– Tak, tylko dla nas będzie już za późno. Dużo za późno. Wolę nie myśleć, co się będzie tutaj działo po upadku Niemiec. Dlatego tak mi zależy na tej misji. Chcę być daleko stąd. Zrobić to, co nakazuje nam honor niemieckiego oficera i rozkaz Kaltenbrunnera, ale chcę stanąć wysoko w tej nowej piramidzie. Już nie zamierzam być niczym popychadłem. Zrobię wszystko, aby mój argentyński dom był tak wspaniały jak ten, w którym żyje biskup Hudal. – W głosie Beckera słychać było determinację.

Palili w milczeniu, a Oskar nalał im kolejną porcję alkoholu. Becker zaczął opowiadać, że biskup Hudal poznał Juana Peróna jeszcze w latach trzydziestych, gdy ten był attaché wojskowym w Rzymie. Ma o nim dobrą opinię, ale wątpi, aby z Argentyny udało się uczynić mocarstwo porównywalne z Niemcami.

– Odpowiedziałem mu, że nie to jest naszym celem. Celem jest odbudowa Niemiec i wyzwolenie Europy spod sowieckiego jarzma, a Argentyna to tylko przystanek. Ta odpowiedź go usatysfakcjonowała.

– A papież? Czy o naszej współpracy powiadomi papieża?

– Nie wiem. Wydawało się, że ma wszystkie jego pełnomocnictwa, ale nie wykluczam, że chciał tylko stworzyć takie wrażenie.

Już przy kawie i koniaku, które z watykańskim dostojnikiem wypili w ogromnej bibliotece, Ernst Becker powiedział biskupowi, że w wielu miejscach Europy zamierzają ukryć skrzynie ze złotem, które w przyszłości posłużą do sfinansowania – jak to nazywał Obergruppenführer Kaltenbrunner – „restauracji Niemiec”. Biskup odpowiedział, że Kościół chętnie im w tym pomoże.

– Przemilczałem tę propozycję. Nim znalazłem się w tej willi, przyjąłbym te słowa z radością. Ale gdy zobaczyłem ten

przepych i to przyzwyczajenie do niego naszego drogiego biskupa, uznałem, że byłoby to bardziej ryzykowne niż wpuszczenie lisa do kurnika. Więc będziemy musieli poszukać dobrej, naprawdę dobrej kryjówki w Wolsztynie. Pozostałymi sprawami zajmie się Berlin.

Trzy dni po kolacji wydanej w biskupiej willi Becker przeprowadził wielogodzinną rozmowę z poleconym mu chorwackim księdzem, Krunoslavem Draganoviciem, który z poruczenia Hudala miał się zająć organizacją całej akcji.

Następnie wrócił do Berlina i zdał sprawę ze swoich rozmów Obersturmbannführerowi SS Arthurowi Scheidlerowi, adiutantowi Kaltenbrunnera. Najbliższy współpracownik szefa RSHA był bardzo zadowolony.

Rozdział 21

WIEDEŃ, 12 PAŹDZIERNIKA 2019

Komenda policji, w której urzędował Gruppeninspektor Ezra Winkler, mieściła się w secesyjnej kamienicy w Brigittenau, dwudziestej dzielnicy Wiednia leżącej na wyspie między Dunajem a Kanałem Dunajskim. Ledwie kilka dni temu zakończono tu gruntowny remont i wszystko pachniało świeżością. Wszystko z wyjątkiem komisarza Winklera.

Obciążony nienaturalnie dużym brzuchem blisko sześćdziesięcioletni oficer był kompletnie łysy, a brak włosów na głowie najwyraźniej próbował zrekompensować wielkim, sumiastym wąsem. Tak wielkim, że Rafał Terlecki zastanawiał się, czy nie utrudnia mu on oddychania. Śledczy siedział za biurkiem ubrany w mocno zniszczoną skórzaną marynarkę, pod którą miał ciemną wymiętą koszulę, i żuł pestki słonecznika. Patrzył na nich wzrokiem tak kompletnie wyzbytym wszelkich uczuć, że Terleckiemu zrobiło się go żal. Gdy operator zaczął wyciągać kamerę z torby, Winkler go powstrzymał.

- Zaczekajmy na rzecznika prasowego. Zaraz powinien tu być
- oświadczył i wrócił do przeglądania leżącej przed nim teczki.
- Możemy porozmawiać nieoficjalnie?
- Wolałbym nie. Napiją się państwo kawy?

Przytaknęli, więc komisarz ciężko wstał i wyszedł z gabinetu. Terleckiemu zdawało się, że zrobił to z wyraźną ulgą.

Wrócił kilka minut później z pięcioma papierowymi kubkami kawy i w towarzystwie młodego, uśmiechniętego rzecznika prasowego. Wreszcie mogli zacząć.

Winkler nie miał wątpliwości, że potrącenie Hansa Schulza, pracownika Kunsthistorisches Museum, cenionego w Europie znawcy twórczości malarzy holenderskich, nie było przypadkowe. Kamery restauracji naprzeciwko cmentarza uchwyciły całe zdarzenie i pozwoliły zidentyfikować samochód, łącznie z jego numerami rejestracyjnymi. Z kolei drogowy monitoring wskazał, że granatowa skoda octavia natychmiast opuściła Stumm i pojechała prosto w kierunku granicy z Niemcami. W środku siedziało dwóch mężczyzn, to też nie budziło wątpliwości, ale ich twarze były trudne do rozpoznania – obaj nie dość, że ściągnęli samochodowe osłony przeciwsłoneczne, to jeszcze włożyli ciemne okulary, a na głowach mieli głęboko osadzone czapki z daszkami.

– Odtworzyliśmy ich drogę ucieczki bardzo dokładnie. Wjechali na E czterdzieści pięć i ani razu nie przekraczając dozwolonej prędkości, dojechali do miejscowości Kufstein. Na leśnym parkingu zostawili skodę i przesiedli się do granatowego forda mondeo, którego ktoś zostawił tam dwa dni wcześniej. Wnętrze skody wytarli wodą z dużą ilością wybielacza, a później spryskali jakimiś środkami chemicznymi, zacierając wszelkie ślady – mówił powoli Ezra Winkler, co chwila zaglądając do leżącej przed nim teczki. W jego głosie nie było żadnych uczuć. – Forda mondeo też porzucili. Po prostu zostawili go na parkingu w jednej z galerii handlowych w centrum Monachium.

Przez kilka dni niemiecka policja obserwowała samochód, ale nikt się po niego nie zgłosił. Tablice rejestracyjne okazały się fałszywe.

– Z forda też usunięto wszystkie ślady? – Olga pochyliła się w kierunku Winklera i spojrzała mu w oczy.

– Nie tak starannie. Ale o to już trzeba zapytać Niemców. Nie muszę dodawać, że oba samochody zostały wcześniej skradzione.

Terlecki chciał zapytać, czy udało się ustalić motyw działania sprawców, odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zginął Hans Schulz, ale Olga Morąg okazała się szybsza. Winkler spojrzał na nią beznamiętnym wzrokiem, za to rzecznik prasowy uśmiechnął się i automatycznym gestem poprawił swoją perfekcyjną fryzurę.

– Nie znamy motywu. Cały czas szukamy, ale jak na razie bez rezultatu. Prześwietliliśmy życie prywatne i zawodowe ofiary i na nic interesującego nie trafiliśmy, dosłownie na nic. Jedynym budzącym pytania śladem jest jego burzliwy romans z młodą niemiecką doktorantką, który zakończył się awanturą jej chłopaka z Schulzem, ale to miało miejsce dziewięć lat wcześniej.

Wrócili do hotelu, skąd Olga natychmiast pobiegła na spotkanie z koleżanką, skrzypaczką w Operze Wiedeńskiej, a Jurek pojechał zwiedzić Muzeum Historii Naturalnej. Terlecki nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić, więc wziął laptopa i usiadł w ogródku kawiarni, przeglądając notatki i pijąc kawę.

Gdy wrócił do hotelu, wybrał numer Henryka Howańskiego. Profesor odebrał po trzecim dzwonku. Terlecki zrelacjonował mu rozmowę z komisarzem Winklerem, a gdy skończył, rozległo się pukanie. W drzwiach stała Olga.

Dziennikarka wkroczyła do pokoju.

– Wydaje się większy od mojego – powiedziała i usiadła w fotelu.

– Możemy się zamienić albo, to wydaje mi się lepszym rozwiązaniem, możesz się tu wprowadzić. Jak spotkanie?

Chwilę rozmawiali, a później postanowili wyjść i coś zjeść. Tuż obok hotelu Terlecki już wcześniej zauważył niewielką chińską knajpkę. Po lunchu wrócili, aby chwilę odpocząć, a później pójść na piwo. Tylko we dwoje, bo Jurek musiał zrobić kilka wieczornych ujęć Wiednia w stylu „miasto szpiegów”. Wczesnym rankiem planowali wyjazd do Stummu.

Foodpark przy wiedeńskim ratuszu wypełniał się powoli, więc bez trudu znaleźli wolne miejsca. Zrezygnowali z piwa, Olga wybrała austriackie białe wino. Okazało się lepsze, niż Terlecki podejrzewał.

– Dobra jesteś!

– A nie znasz jeszcze wszystkich moich zalet.

Rozmawiali o Wiedniu. Okazało się, że Olga spędziła tu kiedyś kilka miesięcy, szlifując niemiecki. Jej wiedza o mieście była imponująca. Rafał zaproponował po jeszcze jednym kieliszku wina, Olga skinęła głową.

– Ale to już ostatni. Po alkoholu tracę nad sobą kontrolę.

– Brzmi obiecująco.

Pół godziny później ruszyli do hotelu. Gdy minęli jakąś całującą się parę, Olga chwyciła go za rękę i wciągnęła we wnękę mijanej właśnie kamienicy. Zaczęła go namiętnie całować. Oparła się o ścianę, wypinając biust, więc natychmiast zaczął pieścić jej piersi, wyczuwając, że nie ma biustonosza. Zamknęła oczy, jej oddech stał się urywany, a jej podniecenie go zaskoczyło. Chwyciła jego rękę, poprowadziła ją do swojego krocza i wsadziła pod krótką spódnicę. Okazało się, że ma na sobie pończochy i nie ma majtek. Jego podniecenie też eksplodowało.

– Pospieszmy się – rozkazała, więc szybko ruszyli do hotelu. Terlecki miał ochotę biec.

Gdy weszli do jej pokoju, pozbyła się spódniczki, nim jeszcze usłyszeli trzask zamykających się drzwi. Stała przed nim w wysokich, skórzanych butach zakrywających połowę zgrabnych ud, w pończochach i koronkowym czarnym pasku. Zakręciło mu się w głowie.

Nagle zwolniła tempo. Powoli zaczęła rozpinać bluzkę, patrząc mu w oczy, i być może ten wzrok działał na niego nawet bardziej niż wszystko inne.

Rozdział 22

STUMM, 14 PAŹDZIERNIKA 2019

Wiedeń opuścili wczesnie rano, zadowolając się szybkim śniadaniem w hotelowej restauracji, i po jakichś czterech godzinach dotarli do celu.

– Witam na austriackiej prowincji, w krainie czystego powietrza, brudnych sumień i fałszywej gościnności. – Olga stanęła przy samochodzie, rozciągając swoje gibkie ciało. W tle widać było alpejskie szczyty.

– Jesteś jak pieprzone dzieło sztuki – mruknął Jurek, przecierając zaspane oczy i gramoląc się z tylnego siedzenia.

– Trochę chyba przesadzasz z tym krytycyzmem wobec tutejszej prowincji – zauważył Rafał. Podzielał opinię operatora, ale wolał jej głośno nie wypowiadać. Nie w tym momencie.

– Może trochę. Ale sporo się na ten temat nasłuchałam, więc wiem, co mówię.

Zaparkowali przy gasthausie w centrum miasteczka, pod samym kościołem. Byli teraz w miejscu, w którym zginął Hans Schulz.

– Chodźmy się rozejrzeć – powiedział Terlecki i ruszył na drugą stronę ulicy, w kierunku schodów prowadzących do kościoła, ale Olga się sprzeciwiła.

– Obserwują nas, o tej porze nie ma tu zbyt wielu turystów. A nikt nie rozpoczyna wizyty w mieście od wejścia do kościoła,

nawet jeśli przyjechał z katolickiego kraju. Nie bądźmy takimi Rydzykami, najpierw napijmy się kawy.

Wspięli się na taras restauracji i zajęli stolik przy drzwiach, a później zamówili kawę. Terlecki zapalił papierosa i zaczął się rozglądać, szukając popielniczki.

– Stoją na parapecie. Zawsze ustawiają popielniczki na parapecie. To Austria, tu wszystko jest uporządkowane – powiedziała Olga, mieszając swoją latte.

Rozglądali się po okolicy. Naprzeciw nich, na wysokim wzniesieniu, stał nieduży barokowy kościół, wokół którego rozpościerał się mały cmentarz i budynki plebanii. Z prawej strony, za lekkim zwężeniem ulicy, widzieli remizę strażacką i rząd alpejskich willi imponujących rozmiarów, które podczas sezonu zapewne wypełniały się turystami. Wszystkie balkony zdobiły naręcza czerwonych pelargonii, a ulice lśniły czystością.

– Mówi się, że Austriacy nim użyją wody, najpierw muszą ją umyć. Coś w tym jest – mruknęła Olga.

Terlecki zapalił kolejnego papierosa i zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie Schulz ściągnął swojego polskiego kuzyna właśnie tutaj, do miejsciny położonej ponad cztery godziny od miasta, w którym pracował, w którym mieszkał ich dziadek, w którym mógł się ukryć znacznie łatwiej niż tutaj.

– Rozumiesz coś z tego?

Olga przygryzała wargę, rozglądając się wokół. Nie odpowiedziała. Sięgnęła po papierosy Terleckiego.

– Może Schulza coś z tym miasteczkiem łączyło?

Terlecki zamyślony pokręcił głową. To nie mogło chodzić o Schulza, to musiało chodzić o starego Howańskiego. Teraz był tego pewien. Być może dziadek profesora wolsztyńskiego liceum wcale nie mieszkał w Wiedniu, tylko właśnie tutaj.

Z łatwością mogliby się tego dowiedzieć, gdyby znali nazwisko, pod którym mężczyzna ukrywał się w Austrii. Tyle tylko, że to nazwisko nadal było dla nich tajemnicą.

Postanowili, że obejdą miasto, a później poszukają swojej kwatery. Kilka dni temu zarezerwowali przez internet trzy pokoje w jakimś pensjonacie znajdującym się w sąsiedztwie kościoła, więc zapewne niedaleko od miejsca, w którym obecnie siedzieli.

Spacer, z konieczności, bo miasteczko było małe, okazał się krótki. Kościół był niewielki, bardzo zadbane, ale architektonicznie nieciekawym. Na Rafale, który zawsze chętnie oglądał nekropolie, większe wrażenie zrobił cmentarz. Kawałek dalej odkryli schowany za drzewami cmentarz wojskowy, na którym znajdowały się mogiły żołnierzy walczących w obu wojnach światowych.

– Dziwnie się takie cmentarze ogląda, pamiętając, że leżą tam kaci wolnej Europy, sprawcy tych wszystkich nieszczęść. – Olga wpatrywała się w stojący w centralnym miejscu strzelisty zaniedbany postument.

– Tak. Staram się myśleć, że dla tych ludzi tutaj to byli po prostu ich koledzy, synowie, ojcowie. Ale nam trudno nie patrzeć na takie miejsca przez pryzmat zbrodni, których armia niemiecka dopuściła się w Polsce. I trudno nie myśleć, że na tym cmentarzu też mogą spoczywać zbrodniarze – odpowiedział Terlecki.

Ich pensjonat, jak się okazało, znajdował się niespełna sto metrów od miejsca, w którym zaparkowali samochód. Gdy zajęli swoje pokoje, Jurek wziął kamerę i poświęcił trochę czasu na pracę. Zdjęcia miejsca, w którym zginął Hans Schulz, mogły się okazać przydatne.

O szesnastej spotkali się we włoskiej restauracji. Jedząc makaron, ustalili, że Olga porozmawia z mieszkańcami i spróbuje się czegoś dowiedzieć o śmierci Schulza, ale przede wszystkim popyta o starego Howańskiego, a Rafał i Jurek poszperają w internecie.

– Mamy dwie daty śmierci Howańskiego, jedna to czwierć tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, a druga dziewięćdziesiątego szóstego. Nie wiem, która jest prawdziwa, ale poszukaj mieszkańców Stummu, którzy zmarli mniej więcej wtedy i mieli wówczas około osiemdziesięciu lat. Wydaje się, że to oczywisty ślad, i dziwię się, że nie wpadłem na to wcześniej – powiedział Terlecki, a sam wyprawił się do sklepu. Miał ochotę na whisky.

Profesor Henryk Howański nie odebrał telefonu, ale zaraz potem oddzwonił.

– Dlaczego właściwie Schulz ściągnął pana do Stummu, dlaczego nie spotkaliście się w Wiedniu?

– Nie wyjaśnił tego, choć mam wrażenie, że chciał to zrobić. Mnie też to się wydało dziwne, ale nie było czasu zapytać. Wszystko potoczyło się tak szybko... Odniosłem wówczas wrażenie, być może mylne, że bywał wcześniej w tej miejscinie, ale jednak czuł się tam trochę obco. Wydawał się nieco skrępowany – profesor mówił wolno, jakby zastanawiał się nad tym po raz pierwszy.

Terlecki chciał mu powiedzieć o swoim przeczuciu, o tym, że Bolesław Howański mógł mieszkać w Stummie, ale z jakiegoś powodu się powstrzymał. Już chciał się rozłączyć, gdy jego rozmówca znowu zaczął mówić.

– Nie, źle powiedziałem. On znał Stumm, właściwie chyba zupełnie nieźle znał. Przecież wiedział, gdzie mają najlepszą kawę, a później zapraszał mnie na golonkę do jakiejś innej

restauracji. Więc to na pewno nie była jego pierwsza wizyta w tej wiosce.

Gdy Terlecki wrócił do pensjonatu, Olgi nadal nie było, więc rozlał whisky do dwóch szklanek i jedną z nich podał Jurkowi.

– Masz coś?

– Tak. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta odpowiadają kryteriom, które wyznaczyłeś, ale jeden chyba raczej odpada, bo z tego, co znalazłem, wynika, że podczas wojny walczył w Norwegii, później na froncie wschodnim, potem w Grecji, a wreszcie w Ardenach. A Howański przecież nie walczył. Ale ten drugi nadaje się idealnie. Nazywał się Dieter Fischer. Sprowadził się do Stummu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku. To mógł być on! – W głosie Jurka słychać było triumf.

Terlecki przyznał mu rację i pochylił się nad ekranem laptopa. Był podniecony. Z drugiego listu, który który Bolesław Howański wysłał do żony, wynikało, że wrócił do Europy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Nie musiał od razu zamieszkać w Austrii, a do Stummu mógł się przecież sprowadzić dopiero po jakimś czasie. Daty tego nie wykluczały.

– Coś o tym Fischerze wiemy? Czym się zajmował?

– Mój niemiecki jest nędzny. Rolnik, jak rozumiem, przez jakiś czas był radnym, a później, już w latach osiemdziesiątych został zastępcą burmistrza, ale wolałbym poczekać na Olgę. Chyba że ty dasz radę?

Postanowili poczekać. Aby przyspieszyć procedurę identyfikacji, Terlecki zrobił zdjęcie Dietera Fischera – pochodziło z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku – i wysłał Henrykowi Howańskiemu. Z niecierpliwością czekał na odpowiedź.

Nadeszła po kilkunastu minutach i mocno Terleckiego zaskoczyła. „Kto to jest? Dlaczego przysłał mi pan tę fotografię?”

Terlecki spojrział na ekran zdziwiony, a później wybrał numer profesora. Połączenie było kiepskie, w tle słychać było jakiś hałas.

– Sądziłem, że to pański dziadek. Właściwie byłem niemal pewien – powiedział bez wstępu. – Nie mam racji? Jest pan pewien? Proszę wziąć pod uwagę, że to zdjęcie z końca lat pięćdziesiątych.

– Rozumiem, ale to na pewno nie on. Wracam w tej chwili z Poznania, żona wymyśliła jakieś zakupy, okropnie denerwujące, ale już dojeżdżam do Wolsztyna. Za chwilę znajdę przedwojenne zdjęcie Bolesława, mam takie ślubne, i panu wyślę. Ale ten to na pewno nie jest Bolesław Howański. Na pewno.

Gdy Terlecki odkładał swojego smartfona, rozległo się pukanie do drzwi i do apartamentu wkroczyła Olga. Spojrzała na butelkę whisky.

– Tego mi trzeba. Dużo i bez lodu. Napiłam się tyle słodkich nalewek, że mnie, kurwa, mdli. Im wszystkim wydaje się, że młoda dama lubi tylko na słodko, a tymczasem młoda dama lubi na ostro, brutalnie i do syta – stwierdziła i opadła na łóżko. W błękitnych, ciasno opinających nogi džinsach i białych sneakersach wyglądała niemal równie ponętnie, jak w pończochach. Rafał zastanawiał się, czy tym razem miała na sobie bieliznę, ale spodnie ciasno opinające biodra na to nie wskazywały. – Dawaj szklanicę i idę pod prysznic.

Rafał podał jej alkohol. Usiadła po turecku i zdała im relację ze swojego rekonesansu. Z jej słów wynikało, że wśród starszych mieszkańców Hans Schulz był dość dobrze znany,

bywał w Stummie od dziecka i często spędzał wakacje u swojego dziadka. W latach dziewięćdziesiątych, gdy dziadek podupadł na zdrowiu, trochę się nim opiekował.

– Jak on się nazywał? Jak ten dziadek się nazywał? – Terlecki zerwał się na nogi, potrącając szklankę, która z hukiem spadła na podłogę. – Fischer, Dieter Fischer?

– Nie, no skąd. Dziadek Hansa Schulza nazywał się Oskar Meyer. Był stolarzem, podobno najlepszym, jakiego tu kiedykolwiek mieli. Bardzo szanowanym rzemieślnikiem, który przez wiele lat był działaczem miejscowego bractwa kurkowego. Znać ich, te ich skórzane portaski, kamizelki, białe koszule, kapelusiki z piórkiem...

– Nic tu, kurwa, się nie zgadza. Meyer to ten wojak, który walczył w Norwegii, na froncie wschodnim, potem w Ardenach... – Jurek wpatrywał się w ekran laptopa. Jego palce szybko przebiegały po klawiaturze. Po chwili odwrócił laptopa w kierunku Terleckiego, pokazując mu zdjęcie jakiegoś czterdziestokilkuletniego mężczyzny. Miał wąską twarz, czuprynę niesfornych, lekko siwiejących włosów i charakterystyczny orli nos.

W tym momencie usłyszeli sygnał przychodzącego esemesa. Rafał sięgnął po smartfona i wyświetlił zdjęcie przysłane przez Henryka Howańskiego.

– To on. Znaleźliśmy delikwenta. Oskar Meyer, stummski stolarz, to Bolesław Howański.

Jurek podrapał się po głowie, a później chwycił butelkę i nalał sobie sporą porcję. Zapytał, jak to możliwe, skoro z dokumentów, które znalazł w internecie, wynikało, że Meyer walczył w Norwegii, a później pod Mińskiem i Kijowem, w Grecji i zakończył swój szlak bojowy w połowie stycznia tysiąc

dziewięćset czterdziestego piątego roku w Ardenach, podczas operacji „Jesienna Mgła”.

– Nie zapominaj, że był fałszerzem. Perfidia polegała na tym, że o ile po wojnie wszyscy oni przeflancowywali się na niczemu niewinnych rolników lub urzędników, to Howański zrobił z siebie żołnierza walczącego na wielu frontach. Pytanie dlaczego.

Olga zaczęła wstawać z łóżka, ale Terlecki powstrzymał ją gwałtownym ruchem ręki.

– Wypijmy za ten sukces i za ciebie, bo to twoja zasługa. Ale poczekaj, pełno tu szkła. Najpierw posprzątam, bo nie zamierzam po pijaku wozić cię po austriackich szpitalach.

Rozdział 23

WOLSZTYN, 27 LISTOPADA 1943

Śnieg spadł niespodziewanie, w ciągu jednej nocy, pokrywając pola i drogi grubą warstwą, więc Ernst Becker dotarł do Wolsztyna później, niż planował. Hoffmann czekał na niego w kawiarni hotelu, czytając „Das Reich”. Na stoliku leżał jeszcze „Der Angriff” oraz ilustrowany tygodnik „Die Neue Gartenlaube”.

– Tym razem to ty się spóźniłeś – oświadczył z satysfakcją, odkładając gazetę. – Kawa?

– I koniak.

– Zapomnij. Możemy napić się co najwyżej wódki. Stare zapasy się skończyły, nowych nie dowieźli i nie wiadomo, czy dowiozą.

– Jest coraz gorzej – odpowiedział Becker, dopiero teraz zsuwając rękawiczki ze zmarzniętych dłoni.

– Masz rację. Znasz najnowsze wieści z frontu? Kontruderzenie Grupy Armii Południe na Kijów właśnie się załamało i feldmarszałek Erich von Manstein nakazał odwrót. Przedwczoraj nasze wojska opuściły Żytomierz. Sowieci są już po zachodniej stronie Dniepru, od Berlina dzieli ich jakieś tysiąc trzysta kilometrów i tylko dwie duże naturalne przeszkody, które możemy wykorzystać jako linie obrony: Wisła oraz Odra. Ukraina jest już stracona, podobnie jak wschodnia Polska. Na

Zachodzie na razie cisza, ale Amerykanie i Brytyjczycy szykują się do inwazji.

– Myślisz, że im się uda?

– Ernst, ja wiem, że im się uda. To oczywiście jeszcze potrwa, nadal mamy swoje atuty, ale pozbadźmy się złudzeń.

– Może dojdzie jednak do konfliktu między Stalinem i Churchillem oraz Rooseveltem? Gdyby Rosja została pozbawiona zachodniej pomocy, ich marsz na Zachód mocno by się spowolnił.

– Nie liczyłbym na to, skoro do konfliktu nie doprowadziło nawet ujawnienie sowieckiej zbrodni dokonanej na polskich oficerach zamordowanych w Katyniu. A wczoraj „The Times” napisał o spotkaniu Stalina, Roosevelta i Churchilla w Teheranie. Nie podali, o czym rozmawiano, ale pętla się zaciska. Powtarzam, pozbadźmy się złudzeń.

Kelnerka przyniosła kawę i wódkę, więc zamilkli. Gdy tylko oddaliła się od ich stolika, Ernst chwycił kieliszek i nie czekając na Oskara, wypił do dna. Przyjaciel poszedł w jego ślady.

– A ten nowy czołg, którego produkcję właśnie rozpoczęto? To podobno rewelacyjna maszyna, niezniszczalna, dysponująca ogromną siłą ognia. Mówi się, że może odwrócić losy wojny – spytał Ernst i spojrzał na Oskara, ale ten tylko pokręcił ze smutkiem głową. Armia wiązała z Tygrysem II duże nadzieje, w Berlinie wierzono, że zmieni oblicze wojny, ale Hoffmann nie podzielał tego optymizmu.

– Za późno – oświadczył z pewnością w głosie. – Zresztą są problemy z jego produkcją. Jest nadzieja, że w styczniu wreszcie zaczną, ale nie ma pewności.

Do planowego przyjazdu pociągu zostały im jeszcze dwie godziny, ale obaj byli przekonani, że z pewnością mają więcej

czasu. Niemiecka kolej, nawet pociągi specjalne, notowała ostatnio duże opóźnienia, bo alianckie samoloty poczynają sobie nad kontynentem odważniej niż kiedykolwiek wcześniej, a buńczuczne zapowiedzi dowódcy Luftwaffe, marszałka Hermanna Göringa, coraz bardziej rozmijały się z rzeczywistością.

– Za godzinę powinniśmy być na dworcu.

Hoffmann lekceważąco machnął ręką. Był tam dzisiaj już dwa razy, doglądając rozstawienia posterunków. Nie spodziewał się problemów. Do wczoraj o przyjeździe specjalnego pociągu z Berlina wiedziało w Wolsztynie zaledwie kilka osób, o tym zaś, jaki ładunek zostanie dostarczony, tylko ich trzech: on, Becker oraz Alexander Müller.

Niepokoili go jednak hrabina Daum. Nie ufał niemieckiej szlachcie, zasiedziałej i wyniosłej, jakby byli potomkami Nibelungów, a może i świeżo wybudzonym ze skały Kyffhäuser cesarzem Barbarossą. To w chorzemińskim pałacu hrabiny mieli na razie ukryć skrzynie ze złotem, a potem, w ciągu kilku dni, przenieść do docelowej kryjówki.

– Wybrałeś miejsce?

Becker spojrział na niego, a później zapatrzył się w wielkie lustro wiszące nad barem. Nadal nie podjął decyzji. Choć wcześniej skłaniali się do pomysłu zamurowania skrzyń w piwnicach Höhere Knabenschule, to ostatnio Ernst coraz częściej rozmyślał o zakopaniu ich na wyspie. Początkowo brał pod uwagę jeszcze parowozownię, ale doszli do wniosku, że nie da się tego zrobić niezauważenie. Budynek był cały czas pilnowany, nawet w nocy kręcili się tam kolejjarze, więc dyskretne wykucie odpowiedniej wielkości jamy, w której można by ukryć kilka dużych skrzyń, byłoby niezwykle trudne. Oczywiście Ernst zakładał, że postronni świadkowie zostaną

później zlikwidowani, ale to też stanowiło problem. Wolsztyn był zbyt ważnym węzłem kolejowym, aby mogli sobie pozwolić na znaczące uszczuplenie załogi parowozowni. Ernst rozważał sfingowanie ataku partyzantów, ale ponieważ od końca tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku nie zanotowano tu żadnej tego typu aktywności, obawiał się, że zwróciliby to tylko uwagę Berlina. Wolał tego uniknąć. Właśnie dlatego transport był nadzorowany przez nieliczny oddział strzelców alpejskich, który po ostatecznym ukryciu skrzyń miał zostać skierowany na front wschodni.

Becker wypił trochę kawy i skrzywił się z niesmakiem. Pomyślał, że następnym razem powinni się spotkać w kasynie oficerskim, gdzie kawa smakowała jak kawa, a nie cykorja. Przynajmniej na razie. Próbował sobie przypomnieć, czy w Argentynie uprawia się kawę, i doszedł do wniosku, że skoro potęgą w tej dziedzinie jest Brazylia, to w Buenos Aires też muszą ją mieć dobrą.

Uświadomił sobie, że coraz częściej przenosi się myślami do Ameryki Południowej, i podejrzewał, że informacje, które dzisiaj przekazał mu jego przyjaciel z Abwehry, tylko ten proces nasilą.

– Dlaczego nie Höhere Knabenschule, szkoła dla chłopców, nasza Alma Mater? To solidny budynek oddany do użytku w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, z grubymi murami i głębokimi piwnicami. Idealny. Zwłaszcza że leży na Zatorzu, wokół mieszkają sami Niemcy – mówił Hoffmann, ale wzrokiem wodził za kelnerką. Jej duży biust wylewał się spod białego fartuszka.

Becker przyznał mu rację. To było dobre miejsce, na dodatek leżące w pewnym oddaleniu od innych budynków, co znacząco zmniejszało ryzyko. Miał już nawet plany budynku, z dokładnie

wyrysowanymi piwnicami. I jeśli coś budziło jego niepokój, to tylko pytanie, na jaki cel budynek zostanie przeznaczony po zajęciu tych terenów przez Sowietów.

– Ruscy mogą w naszej byłej szkole ulokować swój sztab albo nawet urządzić koszary, budynek aż się o to prosi. A wtedy wydobyć z niego złota będzie niemożliwe.

Ernst sięgnął po złotą papierośnicę z wygrawerowanym po francusku napisem *Cher Pere*, kochanemu Ojcu. Jakies dwa lata temu ofiarował mu ją Kaltenbrunner i Becker czasem zastanawiał się, co się stało z jej właścicielem.

– Czyli wyspa? – Oskar Hoffmann chwycił kieliszek i stuknął nim o ostatnie stojące na stoliku pełne naczynie, wyrwijąc przyjaciela z zamyślenia.

– Tak, chyba tak. Skrzynie łatwo będzie przetransportować furmanką z pałacu hrabiny nad brzeg, a potem łodziami na wyspę. A jeśli pogoda będzie nam sprzyjała, a na to wygląda, bo mróz zrobił się naprawdę tęgi, to cały ładunek przewieziemy saniami.

Ernst Becker pomyślał, że zakopanie skrzyń na wyspie właściwie całkowicie eliminuje postronnych świadków i powoduje, że tajemnicę będą znali tylko oni – Becker, Hoffmann i Müller – oraz członkowie oddziału strzelców alpejskich. A ci ostatni, według zapewnień Berlina, trafią wkrótce na taki odcinek wschodniego frontu, z którego nie da się ująć z życiem.

Zamówili po jeszcze jednej pięćdziesiątce wódki, ale nim obdarzona wydatnym biustem kelnerka przyniosła zamówienie, podszedł do nich starszy siwy mężczyzna w czarnym garniturze. Ukłonił się, usłużnie informując Hoffmanna, że właśnie dostał telefon.

– Zapraszam szanownego pana majora do recepcji – wyrecytował, wskazując drogę dłonią obleczoną w białą rękawiczkę.

Oskar wrócił po niespełna minucie i sięgnął po swój wojskowy płaszcz przewieszony przez oparcie fotela.

– Pociąg minął Zbąszyń. Musimy jechać – oznajmił.



Pociąg ciągnięty przez lokomotywę Ty2/Ty42 wtoczył się na stację w kłębach białej pary kilka minut po szesnastej i został otoczony przez żandarmów z wolsztyńskiego posterunku dowodzonych przez komendanta Kurta Wagnera. Podczas gdy pierwszy wagon pozostawał zamknięty, z drugiego, osobowego, wyskoczyli ubrani w polowe mundury żołnierze elitarniej jednostki strzelców alpejskich z gotowymi do strzału automatami. Becker patrzył na nich, podziwiając świetną organizację i celowość każdego ruchu. Po chwili na peron wjechały dwa ciężarowe ople blitz kryte plandeką, a z wagonu wyskoczył kapitan strzelców i sprężystym krokiem podszedł do Beckera, Hoffmanna i Müllera.

– Załadujcie skrzynie na ciężarówki – rozkazał Becker i oficer natychmiast wydał polecenia swoim żołnierzom.

Nim jeszcze drzwi wagonu towarowego zostały otwarte, dwaj kolejarze na polecenie zawiadowcy stacji odczepili lokomotywę, która powoli ruszyła w kierunku parowozowni. Tam miała zmienić tor, a po chwili wrócić z drugiej strony pociągu i po przeniesieniu ładunku ruszyć z powrotem do Zbąszynia, a później do Berlina.

Żołnierze z wyraźnym wysiłkiem przenosili do ciężarówki pomalowane ciemnozieloną farbą drewniane skrzynie,

a Hoffmann obserwował, jak resory samochodu coraz bardziej się obniżają. Z wdzięcznością pomyślał o Alfredzie Daumie, który przed laty połączył Chorzemin z Wolsztynem brukowaną drogą.

– Ostatnią załadujcie do drugiej ciężarówki, tak będzie bezpieczniej – polecił dowódca oddziałów.

Niespełna czterdzieści pięć minut po wjechaniu specjalnego pociągu na stację w Wolsztynie przeładunek sześciu skrzyń złota został zakończony. Żołnierze zajęli miejsca w ciężarówkach, a kawalkada trzech pojazdów prowadzona przez mercedesa Ernsta Beckera wytoczyła się ze stacji i skręciła na Zatorze, aby pomknąć do pałacu Daumów w Chorzeminie. Nim tam dotarła, wolsztyńscy kolejarze uzupełnili zapas węgla w tenderze i wody w kotle *Kriegslokomotiven*, a specjalny pociąg ruszył na zachód.

Gdy zbliżali się do posiadłości Daumów, Ernst Becker odwrócił się w kierunku Alexandra Müllera.

– Skrzynie z pierwszej ciężarówki zostaną wyładowane. Druga ciężarówka zostaje na podjeździe. Musisz dopilnować, aby dowódca strzelców wystawił wzmocnione posterunki.

Rozdział 24

BERLIN, 17 PAŹDZIERNIKA 2019

Za Norymbergą ruch na autostradzie A9 prowadzącej z Monachium do Berlina zrobił się nieco mniejszy, więc Terlecki ustawił tempomat na sto sześćdziesiąt kilometrów i obniżył położenie kierownicy. Olga spała na siedzeniu obok, a Jurek rozłożył się na tylnej kanapie. Cicho chrapał i Rafał z zazdrością pomyślał, że operator jest w stanie zasnąć w każdej sytuacji i w każdym miejscu.

Spojrzał na ekran. Od berlińskiego City Hotel Berlin East dzieliło ich niespełna czterysta kilometrów, liczył więc, że uwzględniając dwa krótkie postoje, znajdą się w Berlinie kilka minut po dwudziestej. Wystarczająco wcześnie, aby na Ku'dammie wypić po kuflu piwa.

Sięgnął po dużą puszkę red bulla, w którą zapobiegliwie zaopatrzył się po wyjściu z komisariatu w Monachium. Miał ochotę zapalić, ale obawiał się, że papierosowy dym obudzi Olgę, bo Jurka, sądząc po odgłosach dochodzących z tylnej kanapy, nie obudziłoby nawet rozpalenie w samochodzie ogniska. Odpowiadało mu, że oboje śpią. Miał czas pomyśleć i przeanalizować rezultaty wyprawy do Austrii.

Wreszcie poznał losy Bolesława Howańskiego. Dzięki Oldze spotkali się w Stummie z emerytowanym pracownikiem miejscowego domu kultury, który przez wiele lat wydawał też tutejszą gazetę. Okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy na temat

lokalnej społeczności i Bolesława Howańskiego alias Oskara Meyera.

– Zjawił się u nas pod koniec lat pięćdziesiątych, precyzyjniej byłoby powiedzieć w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Musiał mieć niemałe zasoby finansowe, bo od razu kupił dom z warsztatem stolarskim, wówczas już podupadłym. Nie w samym mieście wprawdzie, kilka kilometrów od centrum, przy drodze prowadzącej w góry. Dom stał na uboczu i mam wrażenie, że Meyerowi to bardzo odpowiadało.

Siedzieli w kuchni niewielkiego i dość zaniedbanego drewnianego domu położonego w sąsiedztwie miejskiego basenu i kortów tenisowych. Gospodarz od kilku lat był wdowcem i w jego domu na każdym kroku znać było brak kobiecej ręki. Bez wątpienia nie należał do tych Austriaków, którzy – jak mawiała Olga – „myją wodę przed jej użyciem”. Za to pamięć miał imponującą.

Po przyjeździe do Stummu Meyer zatrudnił się w niedalekim tartaku, ale jednocześnie popołudniami pracował u miejscowego stolarza, ucząc się nowego fachu. Okazał się człowiekiem pojętym, zmyślnym i pracowitym, bo nie dość, że w tartaku awansował na brygadzystę, to jeszcze w warsztacie stolarskim powierzano mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania.

– Gdzieś tak po roku, a może dwóch zaczął spędzać sobotnie wieczory w miejscowej knajpie. Zrazu siedział samotnie nad kuflem czy dwoma, czasem wypijał do tego schnappsa. Później zaczął włączać się w dyskusje. A one w owym czasie dotyczyły przede wszystkim niedawnej przeszłości. Trauma spowodowana wojennymi przeżyciami już przemijała, poczucie klęski również. Zaczęło dominować przekonanie, że świat potraktował nas niesprawiedliwie, że w gruncie rzeczy to my

mieliśmy rację, dążąc do rozprawienia się z Sowietami. No i Ruski wreszcie się od nas wynieśli, więc przestaliśmy się bać. Przy kufelku coraz częściej i głośniej opowiadano więc sobie o bohaterskich czynach. Wie pan, takie kombatanckie wspomnienia, w jakich lekko podpici mężczyźni lubują się w każdym czasie i pod każdą szerokością geograficzną. Okazał się, że Meyer miał wiele do opowiadania.

Mężczyzna wstał od stołu i wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił z butelką wódki. Nim zdążył ją otworzyć, Terlecki wyciągnął z torby wyborową.

– Proszę spróbować polskiej – zaproponował i rozlał wódkę do trzech kryształowych kieliszków stojących na stole obok karafki z wodą. Dochodziło południe, nie najszcześniejsza pora na picie wódki, ale dziennikarz uznał, że alkohol pomoże odświeżyć pamięć gospodarza, a w każdym razie skłoni go do większej wylewności. Olga spojrzała na niego z przyganą, a gdy tylko wstała od stołu, żeby skorzystać z toalety, gospodarz, wodząc za nią wzrokiem, filozoficznie zauważył, że choć zapewne nie jest żoną Rafała, to tak się dokładnie zachowuje.

– Myślałem, że Polki są bardziej uległe – dodał, gestem nakazując ponowne napełnienie kieliszków. – Dobra, naprawdę dobra. Pali, ale jest warta grzechu.

Staruszek chwycił kieliszek i zaczął opowiadać. Terleckiemu wydawało się, że jego gospodarz zapada się w przeszłość.

Meyer zdobywał sobie coraz większą sympatię wśród lokalnej społeczności. Jego wojenna przeszłość – walki w norweskich fiordach, zmagania z Armią Czerwoną w okolicach Mińska, pod Moskwą i na Ukrainie oraz na greckich wyspach, wreszcie owiana legendą kontrofensywa w Ardenach – zjednała mu szacunek. Z czasem zaczął być znany również poza Stummem, choć rzadko wyjeżdżał z miasta.

– Nie lubił tego. Nie tylko tego zresztą. Po wczorajszej rozmowie z panią Olgą przejrzałem stare fotografie. Mam ich sporo. Zauważyłem, że Meyer nie lubił się fotografować, na zdjęciach ma z reguły zasłoniętą twarz, jest schowany za innymi, odwraca głowę. Już wtedy niektórzy podejrzewali, że nie mówi całej prawdy, bo ktoś widział, że na lewej ręce w okolicach pachy ma charakterystyczny tatuaż. Wie pan, o czym mówię?

Wiedział. Takie tatuaże mieli wszyscy żołnierze Waffen SS. To byłoby potwierdzenie podejrzeń profesora Henryka Howańskiego. Ale jakoś nie potrafił w to uwierzyć.

– W końcu się ożenił?

– Tak, pewnego dnia po prostu dał na zapowiedzi. Wziął za żonę nauczycielkę z Wiednia. Później uczyła w miejscowej szkole. Ludzie jej nie lubili. Jego tak, ale jej nie. Była zbyt wyniosła, ludzie śmiali się, że nosi głowę wyżej niż cesarzowa Maria Teresa. Urodziła mu syna, który później wyjechał na studia do Wiednia i tam już został. Niedawno zginął potrącony przez samochód. No, ale to już przecież wiecie.

Gdy skończyli wyborową, gospodarz uparł się, aby spróbować wódki austriackiej. Terlecki odniósł się do tego z aprobatą.

Gospodarz mówił dalej. W latach siedemdziesiątych firma Meyera funkcjonowała już naprawdę świetnie. Zatrudniała kilka osób i pracowała nie tylko na lokalnym rynku, ale przyjmowała zlecenia z Innsbrucka, nawet z Linzu i Salzburga. Pod koniec dekady Meyer kupił duży pensjonat w Innsbrucku, wyremontował go i zimą przyjmował gości z całej Europy, a dodatkowo wydzielił także część swojego domu i tam też miewał gości.

– Czasem gdzieś znikał. Na wiele dni. Kierowanie firmą zostawiał zaufanemu pracownikowi i wyjeżdżał. Po powrocie

nigdy nie chciał powiedzieć, gdzie był i co robił, więc z czasem przestaliśmy pytać. Zwykle wracał opalony, więc pewnie jeździł gdzieś na południe, może do Włoch albo na Lazurowe Wybrzeże.

– Mówił pan, że nie lubił wyjeżdżać.

– Dlatego było to takie dziwne.

Gdy wreszcie zaczęli się zbierać do wyjścia, gospodarz dodał jeszcze, że Oskar Meyer miał żyłkę do interesów. A potem, już stojąc w drzwiach, spojrzał w kierunku gór i na chwilę się zamyślił.

– Ludzie go lubili i szanowali, zwłaszcza starsi mieszkańcy, w latach osiemdziesiątych miejscowi rzemieślnicy namawiali go, żeby startował w wyborach na burmistrza. Ale był w nim jakiś mrok, jakaś tajemnica. Wie pan, wielu ludzi z tego pokolenia miało coś takiego w sobie, być może jako następstwo wojennych przeżyć. Tylko jego mrok był jakby głębszy. Inni z czasem się z tego wyzwolili, on nie. Nigdy.

Minęli tablicę informującą, że do zjazdu na Lipsk mają jeszcze pięćdziesiąt kilometrów. Terlecki spojrzał na wskaźnik paliwa i uznał, że musi się rozejrzeć za jakąś stacją benzynową. Poza tym miał ochotę na kawę i koniecznie musiał zapalić papierosa.

– Wiesz, co jest kluczem do Howańskiego? Czas między jego aresztowaniem w Wolsztynie a pojawieniem się w Stummie. – Olga nawet nie drgnęła, wpatrywała się w wiatraki po prawej stronie drogi. Były ich dziesiątki.

– Myślałem, że śpisz.

– Powinieneś kupić większy samochód, w tym moje nogi ledwie się mieszczą.

– Twoje zabójczo długie nogi... Mój przyjaciel mówił swojej kilkuletniej córce, że ma bardzo długie nogi, bo sięgają do samej

ziemi. Zjadę na stację, musimy zatankować.

Zmarudzili prawie pół godziny, więc Terlecki mocniej nacisnął pedał gazu. Teraz spieszyło mu się nadzwyczajnie, bo gdy palił papierosa, racząc się świeżą kawą, Olga szepnęła mu, że w Berlinie chciałyby jeszcze zajrzeć do sex-shopu.

– Zasłużyłeś na spektakl. Ale potrzebuję pewnych rekwizytów – powiedziała mu do ucha i jej dłoń jakby przypadkiem spoczęła na jego kroczu.

Pędzili z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Terlecki zastanawiał się nerwowo, do której w Berlinie mogą być otwarte sex-shopy. Postanowił, że bez względu na wszystko jakiś znajdzie. Musiał, bo po nocnych doświadczeniach z Wiednia i ze Stummu był cholernie ciekaw, co jeszcze Olga zamierza mu zaproponować.

Po jakimś czasie uspokoił się i wrócił myślami do Howańskiego, a później spojrział na dziennikarkę. Nie spała.

– Ujmując rzecz precyzyjnie, kluczem do zrozumienia losów Howańskiego vel Meyera jest czas nie tyle od jego aresztowania do przybycia do Stummu, ile od jego uprowadzenia z wolsztyńskiego aresztu. Bo jeśli uznać za prawdziwe to, co wiemy o ówczesnych wydarzeniach, to Bolesław Howański został porwany przez jakąś grupę Niemców innym Niemcom. Jedni Niemcy porwali go drugim Niemcom. Którzy z nich byli tymi „dobrymi Niemcami”? – zastanawiała się Olga.

Ruch na autostradzie znowu zaczął się zagęszczać i Rafał był zmuszony zwolnić.

– Może w tej historii wcale nie ma dobrych Niemców – dodała. – A może coś więcej powie nam jutrzejsza wizyta w archiwum.

Terlecki bardzo na to liczył. Znał nazwisko bauera z Widzimia Starego, Ericha Beckera, i wiedział, że jego syn był wysoko postawionym oficerem SD. To jego rozmowy w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku podsłuchiwał od czasu do czasu mały Alfons Balcer, syn wolsztyńskiego zduna. I wiedział, że w tych rozmowach była mowa o Ameryce Południowej i złocie. Rafał zastanawiał się, co z tym wszystkim mógł mieć wspólnego wolsztyński drukarz, który fałszował kartki na żywność i niemieckie marki.

Liczył, że w berlińskim archiwum znajdzie przynajmniej część odpowiedzi, choć miał przeczucie, że najważniejsze kryją się jednak w Wolsztynie, jego rodzinnym mieście zagubionym między jeziorami i lasami zachodniej Wielkopolski.

Na razie dowiedział się, że Erich i Helga Beckerowie w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zapakowali najpotrzebniejsze rzeczy na furmankę i wyruszyli na wielomiesięczną tułaczkę na Zachód. Z listu, który Helga wiele lat po wojnie napisała do ojca Alfonsa Balcera, wynikało, że najpierw osiedli w Turyngii, ale później, w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku przenieśli się dalej na zachód i w końcu znaleźli swoją przystań na wsi pod Hanowerem. Wiodło im się nie najgorzej, na zdjęciu, które dołączyli do jednego z listów, widać było solidny, pięknie położony dom i mercedesa. Ale z listu wynikało też, że tęsknili do swojej małej ojczyzny w podwolsztyńskim Widzimi Starym.

Do City Hotel Berlin Est przy Landsberger Allee dotarli kilka minut po dziewiętnastej, na oparach paliwa, bo Rafał, chcąc spełnić życzenie Olgi, nie zamierzał tracić czasu na tankowanie. Kazał im się zameldować w hotelu, a sam, kierując się wskazaniem smartfona, ruszył na poszukiwanie otwartego jeszcze sex-shopu. Znalazł. Już sama lista zakupów wysłana mu

esemesem przez Olgę spowodowała, że jego podniecenie przekroczyło granice zdrowego rozsądku. W takich miejscach nie lubił płacić kartą, ale tym razem odstąpił od swoich zasad. Uznał, że poszukiwanie bankomatu zajęłoby zbyt dużo czasu. A jemu się spieszyło, i to bardzo.

Rozdział 25

WARSZAWA, 19 PAŹDZIERNIKA 2019

Kilka minut po pierwszej w nocy Rafał Terlecki zjechał do zatoczki autobusowej przy warszawskim placu Unii Lubelskiej. Jerzy wysiadł, zabierając swoją torbę i kamerę, a oni pojechali na plac Grzybowski, gdzie przy swojej limuzynie na Olgę czekał mąż, właściciel dużej firmy deweloperskiej. Rafał przywitał się z nim uściskiem dłoni, zły na siebie, że nie potrafi spojrzeć mu w oczy. Już w Gdańsku, gdy pierwszy raz poszli do łóżka, dziennikarka zapewniła go, że mąż nie ma pretensji o jej seksualne przygody, ale Rafał jakoś nie potrafił w to uwierzyć. Patrząc na ich czułe powitanie, był mocno skonfundowany, więc szybko zamknął klapę bagażnika i odjechał.

Apartament był wyziębiony, włączył ogrzewanie i napełnił swoją ulubioną szklankę wódką z lodem, a po zastanowieniu wcisnął do niej połówkę cytryny odnalezioną gdzieś w czeluściach niemal doskonale pustej lodówki. Znalazł pół kiełbasy myśliwskiej, ale okazała się tak twarda, że nie dało się wbić w nią zębów, więc odłożył ją z powrotem do lodówki, a później jednak wyrzucił do pojemnika na odpady.

Do redakcji dotarł następnego dnia tuż przed jedenastą ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Nie czuł się w tym stroju najlepiej, ale chyba podświadomie pod tą elegancką powłoką chciał ukryć ślady trapiącego go kaca, bo w nocy nie udało mu się skończyć na jednej szklance wódki.

– Skoro zjawiasz się tu w garniturze i krawacie, to mamy dwie możliwości i nie wiem, która jest gorsza. Pierwsza jest taka, że przychodzisz do redakcji skacowany jak koń węglarza. Bardzo źle. Ale alternatywa jest jeszcze gorsza: nic nie masz. Zmarnowałeś kupę forsy na zagraniczną wycieczkę z najlepszą dupą wśród naszych reporterek średniego pokolenia, a zamiast sensacyjnego materiału masz we łbie tylko wspomnienia wijącego się pod tobą, a zapewne również nad tobą boskiego ciała Olgi.

Wydawca, Mariusz Hallmann, patrzył na niego spod krzaczastych brwi, próbując nadać swojemu spojrzeniu pozory surowości. Nie bardzo mu to wychodziło, zbyt długo się znali, zbyt wiele wypili razem wódki i zbyt wiele czasu spędzili przy stołach bilardowych.

– Masz wodę gazowaną? I kawę?

– No to zagadka rozwiązana. Masz szczęście. Nie pytam o Olgę, jestem, kurwa, ciekaw każdego szczegółu, ale nie pytam. Mów o fałszerzu. Co wywęszyłeś?

Poprosił sekretarkę o podanie dwóch kaw oraz butelki zimnej gazowanej wody. Niezmiennie

Zamiast kawy dostał zieloną herbatę.

– To byłaby już czwarta, panie redaktorze, a przecież nie ma jeszcze południa, więc zrobiłam pana ulubioną herbatkę – oznajmiła pani Anita, stawiając przed nim duży kolorowy kubek.

Gdy zamknęła przeszklone drzwi, dyrektor Mariusz spojrzął na niego zrezygnowanym wzrokiem, a później zaczął uderzać głową o blat biurka.

– Ja tkwię w tym gabinecie, nawet nie mogę się napić kawy, bo pani Anita uważa, że lepiej umrzeć, mając zdrowe serce, a ty

pieprzysz Olgę w najlepszych hotelach Wiednia i Berlina. Powiesz mi, gdzie popełniłem błąd?

– To nie były najlepsze hotele. – Terlecki pił kawę małymi łykami. Starał się, aby tym razem nie poplamić krawatu, co zdarzało mu się nadzwyczaj często. Mariusz, z którym znali się od piętnastu lat, imponował mu szeroką wiedzą i umiejętnością zarządzania ludźmi, ale przede wszystkim dziennikarskim nosem. No i, co Rafał przyznawał tylko przed sobą, ustabilizowanym życiem prywatnym. Miał rodzinę, trzy córki i dwóch wnuków, bliźniaków, którzy przyszli na świat trzy tygodnie temu, o czym Terleckiego poinformowała esemesem żona Mariusza.

Skończyli rozmowę godzinę później z zarysowanym planem dalszych działań i stanowczym nakazem, aby w ciągu dwóch tygodni Rafał przedstawił, „wreszcie przedstawił”, scenariusz reportażu. Hallmann podał mu też nazwisko i numer telefonu profesora Uniwersytetu Warszawskiego zajmującego się historią najnowszą i specjalizującego się w powojennych dziejach Niemiec. Ustalili również, że spotka się z emerytowanym pracownikiem kontrwywiadu wojskowego, który w latach osiemdziesiątych był w grupie poszukującej w Polsce ponemieckich skarbów.

– Sukcesy mieli, nazwijmy to delikatnie umiarkowane, ale może trafili na jakieś ślady, może na ich radarze pojawił się ten twój Wolsztyn. – W głosie Hallmanna nie było wielkiej wiary, brzmiało w nim raczej poczucie obowiązku. Wydawca chciał, aby dziennikarz sprawdził wszystkie dostępne źródła.

Terlecki zjadł lunch z Ewą, jak zawsze zabieganą i co chwila spoglądającą na zegarek. Ku jego uldze nie rozwodziła się na temat nowego lokum, w którym umieścić ją Wiesław. Rafał wyczuwał, że nadal jest wystraszona niedawnym porwaniem.

– Chciałabym powiedzieć, że jesteś moją miłością, moim utrapieniem i przekleństwem, ale z tą miłością to tak do końca nie wiem... – rzuciła przy pożegnaniu, ale jednocześnie, co było u niej niezwykłe, mocno się do niego przytuliła. I na koniec, to też było niezwykłe, kazała mu na siebie uważać.

Kolejną godzinę spędził, umawiając się na spotkania w Warszawie w przyszłym tygodniu, potem długo rozmawiał z Bartkiem. Niestety, okazało się, że profesor Howański wyjechał z uczniami na trzydniową wycieczkę do Gdańska i rozmowę z nim, co wydawało mu się najpilniejsze, musiał odłożyć na później. Zaczął się zastanawiać, czy w tej sytuacji nie przełożyć planowanego na wieczór wyjazdu do Wolsztyna, ale ostatecznie postanowił nie zmieniać planów. Spotkał się także z córką.

– Czy ty, ojciec, coś ze sobą robisz? W tenisa pewnie nie grasz, bo wątpię, aby zasady tej gry dotarły już do Wolsztyna. Mam nadzieję, że chociaż biegasz. Bo że kopcisz jak ta twoja wolsztyńska lokomotywa i pijesz, w to nie wątpię. – Anastazja rozpoczęła spotkanie zadziornie, co oznaczało, że jest w dobrej formie.

Ulżyło mu. Obawiał się, że ostatnie wydarzenia wpędziły ją w psychiczny dołek, ale początek spotkania i esemesy, które wymieniali, tego nie potwierdzały.

Przyznał, że ostatnio biega mniej. Wprawdzie targał ze sobą sprzęt do Wiednia i Berlina, ale noce były tak intensywne, że rano nie miał ani sił, ani ochoty na jogging. Tego oczywiście córce nie powiedział.

– Byłem ostatnio bardzo zajęty – oświadczył tylko, a później wysłuchał relacji Anastazji z wydarzeń ostatnich dni. Córka potwierdziła jego przypuszczenia, że Ewa cały czas przeżywa porwanie.

– Gdy uznała wreszcie, że jej organizm został uwolniony od narkotyków, którymi ją nafaszerowali, kupiła dwie butelki białego wina. Usiadłyśmy przed telewizorem z zamiarem obejrzenia tego jej *Pożegnania z Afryką*. Jakbyś nie pamiętał, to zawsze był i nadal jest jej ulubiony film, ale tym razem cały czas gadała. Ona naprawdę się boi.

Siedzieli w kawiarni Wedla na trzecim piętrze Złotych Tarasów. Kusiło go, aby zapytać, ile kieliszków wina Ewa pozwoliła wypić ich córce, ale zmilczał. Anastazja jakby czytała w jego myślach.

– Musiało być z nią źle, bo od razu zastrzegła, że następnego dnia nie muszę iść do szkoły, a te dwie butelki to wypiliśmy prawie na pół. Teraz jest już trochę lepiej, ale coś musisz zrobić. Wybacz, że to mówię, ale to w końcu twoja wina.

Miała rację. Wiedział to. Nie wiedział tylko, co powinien zrobić.



Był sto osiemdziesiąt kilometrów za Warszawą, gdy zadzwonił Wiesław. Z pretensjami. Niestety, słusznymi. Terlecki wiedział, że powinien się z nim spotkać, poznać szczegóły śledztwa, które przeprowadzili po akcji na cyplu Jeziora Kuźnickiego, ale efekty wizyty w Austrii, Monachium i w berlińskim archiwum pochłonęły go tak bardzo, że odłożył to do przyszłotygodniowej wizyty w stolicy.

– Podzielność uwagi jest zaletą – usłyszał jedną z mądrości Wiesława i natychmiast odpowiedział, że bywa też wadą. Ale szybko spokorniał. Detektyw miał rację.

– Pewnie nie chcesz gadać przez telefon? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Wiesław potwierdził, a później poinformował go, że zgodnie z wcześniejszą obietnicą w Leśnej czeka na niego Borsuk. I że uznali, że ten hotel jest zbyt niebezpieczny, leży zbyt na uboczu, zbyt blisko leśnego kompleksu. Terlecki przypomniał sobie wiszącą w jego pokoju „reprodukcję” van Gogha i natychmiast zgodził się na przeprowadzkę, ale pomysł przeniesienia się do Kaukaskiej nie wywołał jego entuzjazmu.

– Borsuk powie, co ustaliliśmy – zakończył rozmowę Wiesław.

Terlecki wyłączył telefon. Chciał przemyśleć wizytę w stolicy Niemiec. Na chwilę przed oczami stanęła mu Olga i jej wieczorny berliński spektakl. Z żalem odgonił to wspomnienie i skupił się na reportażu.

Cały dzień spędzili w archiwum nad zamówionymi wcześniej przez internet dokumentami. Były sporządzone bardzo skrupulatnie. Dowiedzieli się z nich, że Erich Becker, były żołnierz armii niemieckiej odznaczony Krzyżem Żelaznym za bohaterskie wyniesienie ранnego kolegi spod nieprzyjacielskiego ognia we Francji, osiadł w rodzinnym gospodarstwie w Widzimi Starym. Nie angażował się w działalność polityczną, nie był członkiem żadnej niemieckiej organizacji. Jego syn Ernst ukończył prawo na Uniwersytecie Wiedeńskim, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku wstąpił do NSDAP, a we wrześniu czterdziestego drugiego roku został awansowany do stopnia pułkownika i zaraz potem przeniesiony do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Ostatni akt tej historii, pochodzący z lutego czterdziestego czwartego roku, mówił o nagłym zniknięciu Ernsta Beckera i rozpoczęciu w tej sprawie śledztwa.

Olga próbowała się dowiedzieć od opiekującego się nimi archiwisty, co to mogło oznaczać. Mężczyzna pochylił się nad

dokumentami, a potem bezradnie rozłożył ręce.

– Wszystko. Na przykład dezercję, choć w wypadku tak wysokiego funkcjonariusza RSHA byłby to w owym czasie ewenement. Może został zabity, a jego ciała nie odnaleziono? Nie umiem odpowiedzieć na pani pytanie, bo te dokumenty żadnej odpowiedzi nie dają – powiedział, a później zmarszczył czoło i usiadł przed ekranem komputera. Akta były zdigitalizowane i archiwista zaczął powoli przewijać dokumenty, sprawdzając numery stron. Po chwili zrobił to jeszcze raz i Terlecki, który nie wszystko rozumiał z jego rozmowy z Olgą, zaczął się niecierpliwić. Spojrzał na dziennikarkę, ale ona też uważnie wpatrywała się w ekran.

– Dziwne, że w teczce nie ma końcowego raportu ze śledztwa. To zdarza się niezmiernie rzadko, ale się zdarza – powiedział Niemiec, przecierając szmatką okulary i mrużąc oczy.

Teraz, po przeczytaniu materiałów zgromadzonych w archiwum, Rafał Terlecki był pewien, że oboje z Olgą się mylili. Kluczem do wyświelenia losów Bolesława Howańskiego były nie tylko wydarzenia z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, ale również postać Ernsta Beckera.

Rozdział 26

WIDZIM STARY, 21 PAŹDZIERNIKA 2019

Droga do Widzimia Starego zajęła Terleckiemu niespełna kwadrans. Zaparkował przy zjeździe zaraz za zakrętem i ruszył pieszo szeroką, wyasfaltowaną ulicą, która podczas okupacji była zapewne drogą gruntową. Zresztą wydawało mu się, że gruntowa to ona była jeszcze na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy zapuszczał się tu na harcerskie rajdy.

Nie liczył na to, że czegoś konkretnego się dowie, ale chciał sobie po prostu to miejsce zwizualizować. Z dokumentów przestudiowanych w berlińskim archiwum nie dało się wywnioskować, które z tutejszych gospodarstw należało do Ericha i Helgi Beckerów. Zapewne coś na ten temat mógłby znaleźć w poznańskim Archiwum Państwowym, ale w tym momencie nie wydawało mu się to aż tak istotne.

Kiedy wracał do Wolsztyna, zadzwonił do Zenona Olszańskiego i zapytał, czy zgodnie z niedawną obietnicą emerytowany szef Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej umówi go na spotkanie ze swoim kolegą z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Im wcześniej, tym lepiej, mogę być w Poznaniu choćby jutro późnym popołudniem. Mam jeszcze jedno pytanie, może coś ci się obilo o uszy. Otóż, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało, w latach osiemdziesiątych na polecenie Jaruzelskiego szukano w Polsce poniemieckich skarbów. Zajmowało się tym

wojsko i kontrwywiad, chyba wywiad zresztą też. Działali przede wszystkim na Dolnym Śląsku, ale być może szperali również w Wolsztynie. Wiesz coś na ten temat? – zapytał z nadzieją w głosie.

Olszański zaprzeczył. Do policji wstąpił dopiero w wolnej Polsce, a nie przypominał sobie, aby starzy milicjanci, z którymi się wówczas zetknął, coś na ten temat mówili.

– Wielkiego zaufania to oni do nas, młodych, nie mieli. Ale kilku z nich przecież jeszcze żyje, warto z nimi pogadać. Niektórzy byli całkiem w porządku. Wieczorem zadzwonię do Poznania i dam znać. Może wybiorę się z tobą? – stwierdził i przerwał połączenie.

Rafał uznał, że to dobry pomysł. I tak musiał porozmawiać z Olszańskim o wypadku przy Rzecznej, a przede wszystkim o Skibniewskim. Gdy o tym myślał, przejeżdżał akurat obok dawnego milicyjnego kasyna Zacisze, w którym teraz mieściła się księgarnia. Spojrzał w lusterko, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

Zaparkował samochód na ulicy Roberta Kocha, kilka metrów od budynku, w którym mieściło się muzeum słynnego mikrobiologa, laureata Nagrody Nobla. Pomyślał, że któregoś dnia musi znaleźć trochę czasu, aby tu zajrzeć, bo niewiele wiedział o najśłynniejszym mieszkańcu Wolsztyna. Pamiętał tylko, że w drugiej połowie dziewiętnastego wieku Koch był tu lekarzem powiatowym i to tutaj rozpoczął swoje mikrobiologiczne badania nad gruźlicą.

Tym razem to Bartek Nowicki czekał na niego w Galerii Europejskich Przysmaków. Wskazał na stojącą przed sobą opróżnioną w połowie szklanekę piwa.

– Pamiętasz, że kiedyś mogliśmy wlać w siebie dziesięć czy dwanaście kufla i rozglądać się za kolejnym? Teraz wypilem pół

szklanki i czuję się pełen. – Przyjaciel z niesmakiem pokiwał głową.

– Z pewnością to było przyczyną wynalezienia mocnych alkoholi. Trzepią, nim napełnisz się po korek. Weźmiemy po setce whisky czy od razu butelkę?

– Weźmy butelkę, nie wypada zmuszać udręczonych życiem kelnerów do ciągłego biegania. Zamówię, dzisiaj ja stawiam – oświadczył z uśmiechem.

Terlecki zrelacjonował przyjacielowi efekty podróży do Wiednia, Stummu i Monachium.

– Klaus Barbie, „rzeźnik Lyonu”. Dużo kiedyś o nim czytałem, jego proces odbywał się, gdy kończyliśmy studia, chyba w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku. Co on może mieć wspólnego z Howańskim i Schulzem?

– Komunistyczna propaganda nadała procesowi Barbiego duży rozgłos, bo jego linia obrony była towarzyszom na rękę. Bronił się, twierdząc, że wcale nie był gorszy od działających wcześniej w Afryce francuskich kolonizatorów.

– Jeśli dobrze pamiętam, dostał dożywocie. Zmarł na początku lat dziewięćdziesiątych – powiedział Bartek i napełnił szklanki. Do swojej jak zwykle dolał coli.

Rafał potwierdził i rozejrzał się po sali. Tego wieczoru kilka stolików w restauracji było zajętych, ale wśród gości nie było tajemniczego detektywa w skórzanym płaszczu. Zastanawiał się, czy to dobrze, czy wypadek nie okazał się dla niego groźniejszy, niż Terlecki przypuszczał. A później zaczął relacjonować Bartkowi wizytę w berlińskim archiwum.

– Z mojego punktu widzenia najciekawsze są zeznania niejakiego Kurta Wagnera, komendanta wolsztyńskiego posterunku, oraz jego zastępcy. Howański się w nich pojawia.

Komendant ani razu nie mówi o Beckerze, stwierdza, że Bolesław został zabrany z wolsztyńskiego posterunku przez Oskara Hoffmanna, oficera Abwehry. Zastępca Wagnera był bardziej rozmowny. Opowiadał gestapowcom, że zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku widywał Hoffmanna w towarzystwie Beckera w tutejszym kasynie oficerskim oraz w mieszczącym się przy Rynku hotelu. Czasem bywał z nimi jeszcze jeden oficer, pancerniak, ale nie znał jego nazwiska. – Terlecki zamieszał alkohol, wydobywając ze szklanki charakterystyczny grzechot kostek lodu. A później dodał, że z berlińskich akt wynika, że Ernst Becker oraz Oskar Hoffmann dobrze się znali. Nawet bardzo dobrze, w Höhere Knabenschule chodzili do tej samej klasy.

– To była szkoła dla chłopców, mieściła się w budynku, w którym później było nasze liceum. To tłumaczy współpracę oficera SD z oficerem Abwehry, normalnie byłaby mało prawdopodobna. – Nowicki w zamyśleniu pokiwał głową.

Terlecki przyznał mu rację, ale zwrócił uwagę, że wszystko to nie wyjaśnia roli Howańskiego w całej tej szaradzie.

– W aktach znaleźliśmy informację, że w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Becker zniknął. Co więcej, zniknęli też Oskar Hoffmann oraz Alexander Müller, oficer wojsk pancernych, uczestnik bitwy na Łuku Kurskim, odznaczony Krzyżem Żelaznym przez samego Hitlera. Nie wiemy tego na pewno, ale wszystko wskazuje na to, że Müller to ten trzeci oficer, którego zastępca komendanta wolsztyńskiego posterunku widywał w towarzystwie Beckera i Hoffmanna. I był on, cóż za dziwna koincydencja, uczniem tej samej klasy co Becker i Hoffmann – mówiąc te słowa, dziennikarz przechylił szklankę, wlewając sobie w gardło resztę whisky.

Nowicki, zawsze ostrożny w wyciąganiu wniosków, zapytał, co się z nimi stało, ale Rafał nie potrafił odpowiedzieć. Prowadzone przez Gestapo śledztwo nic nie wykazało. Jakby trzech mężczyzn, wysoko postawionych oficerów hitlerowskich służb bezpieczeństwa i armii, nagle gdzieś się rozpułyło.

– Gdyby rzecz działa się w Generalnej Guberni, pomyślałbym, że trafili w ręce Armii Krajowej, ale tu to niemożliwe. Znalazłeś w tych aktach coś jeszcze o Howańskim?

Terlecki zaprzeczył. Miał wrażenie, że jego śledztwo posunęło się do przodu bardziej, niż mógł oczekiwać, ale jego główny wątek, Bolesława Howańskiego, nadal skrywał mrok. Bo co właściwie wynikało z tego, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku drukarz nie wrócił do Polski i ułożył sobie życie na Zachodzie? Taki los był udziałem milionów Polaków, dla których trafiająca właśnie pod sowiecki but Polska przestała być atrakcyjnym miejscem do życia.

I pozostawała jeszcze kwestia złota ze wspomnień Alfonsa Balcera.

Bartek uregulował rachunek, a Rafał zadzwonił do Borsuka, który jeszcze rano zgodził się rozwieźć ich po spotkaniu. Wsiedli do samochodu, rozmowa zesłała na piłkę nożną, mistrzostwa świata w Hiszpanii, a później cofnęli się do roku siedemdziesiątego ósmego, meczu z Argentyną i niestrzelonego przez Kazimierza Deynę karnego. Dojeżdżali do Rakoniewic, gdy Nowicki nagle spoważniał.

– Może to tylko jakaś pijacka wizja, nie będę się upierał. Ale jak gadamy o Argentynie, to przecież obaj mamy to samo skojarzenie.

– Masz na myśli Mario Kempesa, tego długowłosego skurwysyna, który odprawił nas do kraju, aplikując dwie

brameczki? Pamiętam. – Rafał cały czas był myślami przy piłce nożnej, ale wyczuł, że Bartek zastanawia się nad czymś innym.

I tak było. Nowicki przypomniał sobie swoją rozmowę z dawnym proboszczem rakoniewickiej parafii. Rzecz działa się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Proboszcz, wtedy już leciwy, odwiedził chorego teścia Bartka, z którym znali się od lat. I zniżając głos do szeptu, powiedział mu, Bartek dobrze ten szept pamiętał, że jeden z towarzyszących papieżowi prałatów, teraz nie potrafił sobie przypomnieć jego nazwiska, podczas okupacji był wikarym w Wolsztynie. A później, dzięki jakimś rodzinnym kontaktom w Stolicy Apostolskiej, przeniósł się do Rzymu.

– Jak on się nazywał? Jakoś tak ptasio, Orzeł, Jastrząb, Wróbel, mam wrażenie, że bliżej Wróbla. Miał polskie nazwisko, ale był Niemcem czy Austriakiem. Moja żona będzie wiedziała. Rzecz w tym, że wśród starszych księży, tych pamiętających jeszcze wojnę i okupację, szeptano, że prałat był zaangażowany w operację wysyłania niemieckich zbrodniarzy do Argentyny.

– Szlak Eichmanna?

– Eichmann był jeden. Ale, jak dobrze wiesz, nie był jedyny, którzy przeszedł szcurzy szlak, bo tak to nazywano – odpowiedział Bartek, niezbyt zgrabnie wytaczając się z samochodu.

Borsuk objechał rakoniewicki rynek, mijając budynek banku spółdzielczego, kamieniczki z podcieniami i sąsiadujące z nimi Muzeum Pożarnictwa, a potem, nieco zbyt szybko, ruszył w powrotną drogę do Wolsztyna. Gdy mijali rozświetlony o tej porze Bar u Bogdana, Borsuk zapytał, o co chodzi z tym biskupem, zbrodniarzami hitlerowskimi i Argentyną, ale Terlecki nie odpowiedział. Próbował to wszystko posklejać, ale

na razie nie potrafił. Czuł jednak, że Bartek powiedział ważną rzecz. I pamiętał nazwisko tego biskupa, poznał je rok temu, studiując dzieje wolsztyńskiej parafii. Arthur Sikora.

Rozdział 27

POZNAŃ, 23 PAŹDZIERNIKA 2019

Dojechali do ulicy Serbskiej i zatrzymali się na wysokości stacji BP. Naramowicka była zamknięta, ale nawet teraz, kilka minut przed osiemnastą, trwały na niej intensywne prace. Rafał Terlecki wpatrywał się w żółtą koparkę Caterpillar, której łyżkę operator opróżniał właśnie nad wywrotką.

– Co dalej? – zapytał, spoglądając na Zenona Olszańskiego. Emerytowany policjant rozglądał się nerwowo, a później niepewnym głosem kazał mu skrócić w lewo. Na rondzie przy Castoramie wjechali w Murawę, a później zagłębili się w uliczki Osiedla Kosmonautów. W końcu dziennikarzowi udało się wcisnąć swoim bmw między parkujące samochody, a resztę drogi przebyli pieszo, taplając się w błocie. Gdy dobrnęli do Forni Rossi, niedawno otwartej włoskiej restauracji ulokowanej w dawnej cukierni, Olszański z rozpaczą spojrzał na swoje buty.

– Lepiej pomyśl o drodze powrotnej. – W głosie Terleckiego nietrudno było wyczuć złość. Był przekonany, że wszystko to jest winą Olszańskiego, który zabronił mu nastawić nawigację, twierdząc, że to warunek funkcjonariusza Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, z którym mieli się tu spotkać. – Nie chce zostawiać żadnych cyfrowych śladów.

Kelner wskazał im stolik, a potem podał karty. Mimo że osiemnasta minęła już ponad dziesięć minut temu, oficera ABW w restauracji nie było.

– Przyjdzie – oświadczył z pewnością w głosie Olszański i zaczął metodycznie studiować kartę. Zdecydował się na pizzę z kielbasą kalabryjską. Terlecki wybrał czarne tagliatelle z krewetkami, a gdy kelner znów pojawił się przy ich stoliku, poprosił o trochę więcej czasu, wyjaśniając, że na kogoś czekają. Olszański zamówił dwie porcje whisky z lodem.

– Zakładam, że ty nie pijesz. – Spojrzał na Terleckiego. – Natomiast Grzesiu na pewno skusi się na whisky. Na pewno. Nie przypominam sobie, aby kiedyś odmówił. To jedna z rzeczy, która nas do siebie zbliżyła.

Minęło kilka kolejnych minut i Rafał zaczął się niecierpliwić. Rozmowa z Olszańskim okazała się owocna – po drodze z Wolsztyna do Poznania dowiedział się, że śledzący go detektyw wypisał się ze szpitala na własne żądanie już następnego dnia po wypadku, a właścicielce volvo nic się nie stało – ale coraz bardziej był przekonany, że do spotkania z oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego jednak nie dojdzie. A zależało mu na tej rozmowie.

Drzwi Forni Rossi otworzyły się, ale do lokalu wszedł niski, mocno łysiejący korpulentny mężczyzna ze śmiesznym wąsikiem, więc Terlecki odwrócił wzrok i znowu zagłębił się w lekturze karty, zastanawiając się, czy nie wziąć czegoś do picia. Mężczyzna tymczasem podszedł do ich stolika i przywitał się z Olszańskim mocnym uściskiem dłoni, a później skierował wzrok na niego.

– Grzegorz – przedstawił się, zajmując miejsce obok policjanta.

Terlecki starał się ukryć zaskoczenie. W ciągu wieloletniej dziennikarskiej pracy rozmawiał z wieloma oficerami wywiadu – przed laty zrobił nawet dokumentalny film o słynnej akcji wywiezienia amerykańskich agentów z Iraku – ale nigdy jeszcze

nie spotkał funkcjonariusza tak doskonale nijakiego, tak bardzo nierzucającego się w oczy. Później, gdy o tym myślał, uznał to za atut. Mężczyzna sięgnął po stojącą przed nim szklaneczkę.

– Uprzedzałem, że nie odmówi – triumfalnie oznajmił Olszański.

Nim kelner przyniósł jedzenie, toczyli niezobowiązującą rozmowę o przebudowie pobliskiej ulicy, emerytalnych planach Grzegorza, kilka minut poświęcili na wspomnienia. Poziom alkoholu w ich szklankach niemal osiągnął dno, więc ponowili zamówienie. Atmosfera zrobiła się swobodniejsza, mimo to Terlecki pomyślał, że warto jeszcze poczekać. Agent wydał mu się człowiekiem zamkniętym w sobie i niezbyt skorym do ujawniania tajemnic, ale widział, że z każdym łykiem alkoholu coraz bardziej się rozluźnia. Zamówił następną kolejkę i zadał pytanie dopiero wtedy, gdy kelner postawił szklanki na stoliku.

– Co Skibniewski miał wspólnego z byłymi hitlerowcami?

Funkcjonariusz ABW spojrzał mu w oczy, a później zapatrzył się w kostki lodu pływające w whisky. Milczał. W końcu spojrzał w oczy Terleckiego.

– Zenek jako dbający o zdrowie emeryt pewnie nie pali. Ale ja mam ochotę. A pan?

Wyszli przed restaurację i dziennikarz wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro, kierując ją w stronę Grzegorza.

– Od trzech dni nie palę – oznajmił z dumą neofity. – Nie chciałem przy Zenku, rozumie pan. Ufamy sobie oczywiście, ale im mniej osób wie, tym lepiej. A odpowiadając na pańskie pytanie, powiem, że nie bardzo wiemy. Gdy Skibniewski działał na Zachodzie, nie mieliśmy nad nim pełnej kontroli. To delikatne stwierdzenie oznaczające, że nie mieliśmy nad nim żadnej kontroli. To był, najpewniej jest, człowiek pozbawiony

wszelkich zahamowań i skrupułów. Dla niego liczą się tylko pieniądze.

Agent ABW wsadził ręce do kieszeni i kopnął leżące na bruku kamienie. Z uporem wpatrywał się w dal. Rafał podążył za jego wzrokiem. Choć jedzenie w Forni Rossi było znakomite i na chwilę przeniosło ich gdzieś w okolice Sieny, to widok, który rozpościerał się przed nimi, był bardzo krajowy – długi mieszkalny blok zbudowany zapewne w epoce Gierka.

– Daj pan tego papierosa – poprosił Grzegorz z determinacją w głosie.

Terlecki zapytał, czy nie szkoda mu tych trzech dni nikotynowej abstinencji, ale funkcjonariusz tylko zaklął.

– Pierdolić to. Daj pan.

Zapalił, z wyraźnym zadowoleniem zaciągając się marlboro, a potem stwierdził, że peerelowski wywiad oczywiście chętnie i bez żadnych skrupułów korzystał z pomocy byłych hitlerowskich funkcjonariuszy działających zarówno w Republice Federalnej Niemiec, jak i w NRD.

– Tych najważniejszych, po czterdziestym piątym przejęli oczywiście Ruski. Ale i tak sporo zostało, a wielu pomniejszych, którzy mieli na sumieniu dokonane u nas zbrodnie, z czasem zaczęło się pięć w górę. I u „naszych” Niemców, tych w Niemieckiej Republice Demokratycznej, i tych „ich”, zachodnich.

Zimny przenikliwy wiatr powodował, że Terlecki cały się trząsał, ale Grzegorz zdawał się nie zwracać uwagi na chłód. Zapytał, czy dziennikarz poczęstuje go jeszcze jednym papierosem.

– Wiemy, to jest w aktach, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku ze Skibniewskim skontaktował

się jakiś facet z Hamburga. W tym czasie gość wywoził kobiety do domów publicznych na Zachodzie, ale to pan wie. Niemiec przyjechał do Polski, do Wolsztyna, bywał tu zresztą już od połowy lat sześćdziesiątych, zajmował się transportem ubrań szytych na zachodni rynek przez jakiś zakład odzieżowy działający w Wolsztynie. Miał tu zresztą znajomego z czasów wojny, inżyniera z fabryki mebli. Kontrwywiad rzecz jasna śledził Niemca, udało im się nawet założyć w samochodzie podsłuch, a drugi zainstalowano w mieszkaniu tych polskich znajomych. Tyle że to był ruski sprzęt, więc mówiąc delikatnie, mało efektywny. Manfred Richter, tak ten Niemiec się nazywał, spotkał się ze Skibniewskim. – Funkcjonariusz ABW zgasił papierosa i ruszył do restauracji. Nim dotarł do drzwi, Terlecki zapytał, o czym Richter rozmawiał ze Skibniewskim.

– Tego, kurwa, nie wiemy. Jak mówiłem, to był ruski sprzęt. Wiemy, że Manfred przywiózł rodzinie czekolady, kawę, „Burdę” z wykrojami, jakieś materiały, letnią suknię dla pani domu oraz marynarkę dla swojego pociotka, zresztą używaną. Ale to wszystko. Czyli gówno wiemy. Może tylko tyle, że to nie było ich pierwsze spotkanie, z początku rozmowy wynika, że znali się z „pięknym Zdzisiem” już wcześniej.

Grzegorz chwycił klamkę drzwi, plastikową, białą, Terleckiemu zupełnie niekojarzącą się z wejściem do włoskiej restauracji, gdy nagle się odwrócił.

– Z akt sprawy wynika, że wywiad wówczas się tym nie zainteresował, ale moją uwagę zwróciło to, że facet często podróżował do Ameryki Południowej. Podobno strasznie interesowała go tamtejsza flora. Słyszał pan kiedyś o kierowcy ciężarówki interesującym się południowoamerykańską florą? A w ogóle słyszał pan o mężczyźnie, którego interesują rośliny?

Terlecki znał prezesa jednej z giełdowych spółek, który co roku wyprawiał się do Ameryki Południowej, aby robić dokładnie to, co deklarował ów Manfred, ale tego Grzegorzowi nie powiedział. Też czuł, że akurat dla tego Niemca zainteresowanie południowoamerykańską florą było tylko przykrywką do podróży na ten kontynent.

Gdy szli już do stolika, zapytał, czy Manfred Richter miał jakieś powiązania z hitlerowcami.

– Służył w SD, ale z dokumentów wynika, że był zwykłym kancelistą w RSHA. – Na twarzy Terleckiego pojawił się szeroki uśmiech, Grzegorz jednak tego nie zauważył.

Godzinę później zaczęli się zbierać, ale przed restauracją zapalili jeszcze papierosy. Terleckiemu zdawało się, że funkcjonariusz ABW jest mocno podпиты i jego słaba odporność na alkohol go zdziwiła. Olszański trzymał się znacznie lepiej.

– Dlaczego nie szukacie Skibniewskiego? Bo go nie szukacie, nawet listu gończego nie opublikowaliście! – Emerytowany policjant spojrział na swojego przyjaciela z góry. Był od niego znacznie wyższy.

– Pytaj w Warszawie. Ale przecież domyślasz się odpowiedzi – odparł Grzegorz, zapinając kurtkę, tak samo jak on nierzucającą się w oczy.

Gdy wreszcie udało im się wyjechać z Poznania, Rafał Terlecki zapytał policjanta, o co chodzi z tym listem gończym. Usłyszał, że są dwie najważniejsze bazy osób poszukiwanych, z których korzystają policjanci na całym świecie – SIS II i Interpolu. O wpisie do nich decyduje w Polsce Biuro Poszukiwań Międzynarodowych Komendy Głównej Policji.

– Biuro nie wpisało Skibniewskiego do tych baz, bo jednocześnie poszukiwała go Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. I Agencja go wpisała. Tyle że wpis ABW gównie

daje, oni mogą tylko informować, że podejrzana czy poszukiwana przez nich osoba wyjechała z kraju. Może to przypadek, ale szczerze wątpię. Skibniewskiemu dano czas, bardzo dużo czasu. – Olszański rozłożył fotel, jakby szykował się do snu.

To wskazywało, że Zdzisław Skibniewski ma przy Rakowieckiej mocne plecy. I to całkiem współczesne.

Rozdział 28

CHORZEMIN, 2 GRUDNIA 1943

Wczesnym rankiem Alexander Müller w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy ubranych w maskujące mundury polowe zapukał do drzwi sołtysa Chorzemina. Otworzyła mu starsza, zarumieniona od mrozu kobieta, która najwyraźniej dopiero wróciła z dworu.

– Chcę mówić z Burgermeisterem Wilderichem Geislerem – oznajmił głośno i pomyślał, że tym podniesionym głosem przykrywa własną niepewność. Nie lubił takich misji. Był pancerniakiem nawykłym do innego rodzaju zadań i nie bardzo odnajdował się w roli żandarma. Ta rola była wprawdzie łatwiejsza, mniej ryzykowna niż walka z rosyjskimi T-34 i KW-85, ale dla niego bardziej stresująca.

– Alexander? To naprawdę ty? – Zza kobiety wychynęła głowa Gertrudy, dziewczyny, z którą spotykał się przed wojną. Oficer szeroko się uśmiechnął i nerwowymi ruchami zaczął zdejmować grube rękawice, aby przywitać się z Gertrudą Geisler.

Przed wojną trudno było ich uznać za parę, ale Müller był z nią na kilku zabawach odbywających się w okolicznych wioskach, a potem, raz, zaprosił ją do kawiarni mieszczącej się przy ulicy Kościelnej w Wolsztynie. Pamiętał, że jedli wtedy sernik i okruc ciasta został Gertrudzie na brodzie, a gdy zwrócił jej na to uwagę, dziewczyna się zarumieniła. O tym serniku przyklejonym gdzieś pod dolną wargą Gertrudy

opowiadał później Helmutowi, gdy odpoczywali po odparciu kolejnej szarży sowieckich czołgów. Zapamiętał, że czołgista powiedział mu wówczas, że jak na człowieka kierującego plutonem żelaznych bestii jest bardzo sentymentalny. I że wkrótce na pewno wróci do Gertrudy, znowu pójdą do kawiarni i może teraz, po tych wszystkich strasznych doświadczeniach, będzie miał dość odwagi, aby wreszcie chwycić ją za rękę i może nawet pocałować.

– A ja wrócę do Leonii. I niech mi pan wierzy, poruczniku, przez kilka dni moja Leonia będzie oglądała tylko sufit naszej sypialni – powiedział i zaśmiał się rubasznie. Trzy dni później spłonął w swoim czołgu.

Gertruda wyszła przed dom, przyglądając mu się z uwagą. Nie dostrzegając w jej oczach podziwu właściwego spojrzeniom kobiet widywanych w Berlinie, Breslau i innych niemieckich miastach. Było to raczej spojrzenie, które kilka razy podchwycił na ulicach Warszawy.

– A więc służysz w armii – powiedziała, przeciągając ostatnie słowo.

– Tak, na froncie wschodnim. Tu jestem tylko chwilowo. – Był zły, że jego głos brzmi, jakby się usprawiedliwiał. – Wiesz, byłem na Łuku Kurskim, dostałem Krzyż Żelazny...

– Czyli jesteś bohaterem – stwierdziła Gertruda, a jej ton był przepojony sarkazmem.

Stojący za nim dwaj żołnierze z elitarniej jednostki strzelców alpejskich zaczęli głośno przytupywać nogami. Marzli, stojąc przed chorzemińską chałupą z czerwonej cegły.

Müller spojrział na matkę Gertrudy, a ta szerzej otworzyła drzwi i zaprosiła ich do środka, oznajmiając, że mąż za chwilę wróci. Weszli do sieni, a później skierowali się do kuchni, gdzie Geislerowa poczęstowała ich ciepłym mlekiem z miodem.

Gertruda stała oparta o framugę drzwi ze skrzyżowanymi pod biustem rękoma. Müller widział ją tylko kątem oka, nie miał śmiałości spojrzeć jej w oczy i przeklinał w duchu, że spotykają się w takich okolicznościach.

– Kiedy przyjdzie *Burgermeister*? Muszę z nim pilnie mówić – oznajmił, starając się nadać swojemu tonowi głosu całą oficerską stanowczość, na jaką go było stać. W tych okolicznościach zabrzmiało to śmiesznie i natychmiast zdał sobie z tego sprawę. Na szczęście w sieni rozległo się głośne tupanie, a zaraz potem drzwi kuchni gwałtownie się otworzyły i stanął w nich rosły sześćdziesięcioletni mężczyzna z zaczerwienionymi od mrozu policzkami. Popatrzył na nich zaskoczony, a później wyprostował się i wyciągnął przed siebie prawą rękę.

– *Heil Hitler!* – krzyknął, patrząc na siedzących przy kuchennym stole żołnierzy w mundurach, których wcześniej nigdy nie widział. *Burgermeister* Wilderich Geisler miał za sobą długą, ośmioletnią służbę w Reichswehrze i wiedział, jak powinien się zachować. Gdy tylko przywitał się z Müllerem, wszedł do spiżarni, z której wyciągnął napoczętą butelkę bimbru.

– Matka, daj kieliszki. Obrońcy naszej ojczyzny są zmarznięci. Bimber rozgrzeje ich lepiej niż mleko – powiedział.

Jeszcze nim skończył, w kuchni rozległo się pogardliwe prychnięcie Gertrudy, która obróciła się na pięcie i wyszła. Jej niechęć do żołnierzy miało podkreślić trzaśnięcie drzwiami, ale w ostatniej chwili Geisler zdołał je zatrzymać, a później cicho i starannie zamknąć.

– Koza jeszcze – oświadczył przepraszającym tonem, zagłuszając głośne trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Rozlał bimbier. Gdy wypili, Müller wstał z krzesła i zwrócił się do

gospodarza, który już miał zamiar nalewać następną kolejkę. – Muszę z panem porozmawiać.

Weszli do pokoju gościnnego. Alexander pomyślał, że w niewielkim tylko stopniu różni się on od tego, który znał z rodzinnego domu. Na środku stał okrągły duży stół z ciemnego drewna przykryty białą serwetą wykonaną zapewne przez panią domu, cztery krzesła oraz kredens, w którym wyeksponowano kieliszki i karafki. W oknach wisały białe firanki, też z całą pewnością wykonane szydełkiem przez panią domu.

A może zrobiła je Gertruda, pomyślał i wskazał Geislerowi miejsce przy stole. Teraz, gdy dziewczyny nie było, jakoś łatwiej przychodziło mu panować nad swoim głosem.

– Panie kapitanie, proszę wybaczyć zachowanie mojej córki. Młoda jeszcze, niewiele rozumie...

Müller lekceważąco machnął ręką i ponownie nakazał mężczyźnie zająć miejsce, a później wyłuszczył mu swoje żądanie. Jeszcze tego samego dnia, zaraz po zapadnięciu zmroku, miał on podstawić pod pałac Daumów troje zaprzężonych sań. Wyłącznie od niemieckich gospodarzy z Chorzemina.

– Czy to jasne? Troje sań z niepłochliwymi i dobrze podkutymi końmi. To ważne. Po drugie, teraz wskaże nam pan najkrótszą drogę z Chorzemina na wyspę. I po trzecie, wszystko to zostanie między nami – ostatnie zdanie Müller wypowiedział z całą stanowczością, na jaką było go w tym momencie stać.

Geisler gorliwie pokiwał głową i nerwowym ruchem pocierał zarost na twarzy. Chwilę mełł w ustach pytanie, ale w końcu odważył się je zadać.

– Zapomni pan kapitan o zachowaniu mojej córki? Młoda jest – powiedział błagalnym tonem.


– Byle tylko sanie były. Zaraz po zapadnięciu zmroku.



Były. Sanie, jedne należały do Wildericha Geislera, stanęły pod pałacem Daumów kilka minut po siedemnastej, a ich właściciele troskliwie przykryli konie derkami i szybko się oddalili. Alexander, Oskar i Ernst obserwowali tę scenę z salonu, delektując się koniakiem z zasobów hrabiny Daum.

– Dobrze się spisałeś – oświadczył Becker i spojrzał na Hoffmanna. Wcześniej Ernst i Oskar postanowili, że właściciele sań zostaną wkrótce zabici – mieli tego dokonać strzelcy alpejscy, pozorując napady rabunkowe – ale woleli tego Müllerowi nie mówić.

Było kilka minut przed osiemnastą, gdy ciemnozielone skrzynie z przywiezionym z Berlina ładunkiem zostały załadowane na sanie. Ruszyli wskazaną przez Alexandra drogą, kierując się najpierw w kierunku Ruchockiego Młyna, aby chwilę później wjechać na polną drogę prowadzącą do jeziora. Było zamarznęte po miesiącu srogich mrozów. Ernst Becker nie miał wątpliwości, że bez przeszkód dotrą na wyspę, ale nim wjechali na lód, sprawdził jeszcze jego grubość, nakazując strzelcom alpejskim wywiercenie dziury w lodowej pokrywie. Okazało się, że miała ponad pół metra grubości. Oczywiście wiedzieli, że muszą przeciąć wąski pas, gdzie swoje wody przez wolsztyńskie jezioro przepompowywała rzeka Dojca, ale wspólnie uznali, że choć pokrywa lodowa będzie tam z pewnością cieńsza, to nie zagrazi to ich transportowi. Mimo to zdecydowali, że kolejny zaprzęg będzie wjeżdżał na lód dopiero wtedy, gdy poprzedni dotrze już na wyspę.



Becker z satysfakcją patrzył na strzelców alpejskich walących oskardami w ziemię. Robili to z wielkim zaangażowaniem, więc przez głowę przemknęła mu myśl, że gdyby Trzecia Rzesza miała więcej tak oddanych jej ludzi, to Ernst Kaltenbrunner nie musiałby dzisiaj planować przyszłości w dalekiej Argentynie. Zapalił papierosa w momencie, gdy drugie sanie akurat wspięły się na brzeg wyspy.

Posłuszni rozkazom swojego dowódcy zmieniali się co kwadrans i po niespełna trzech godzinach dół był na tyle głęboki, że Becker i Hoffmann nakazali im jego wyrównanie i przerwanie pracy. Żołnierze, mimo mrozu większość z nich zdjęła kurtki polowych mundurów, przynieśli skrzynie, a później spuścili je na grubych powrozach. Gdy bezpiecznie wylądowały na miejscu, zaczęli zasypywać dół.

Becker, Hoffmann i Müller stali w pewnym oddaleniu i z uwagą wpatrywali się w strzelców alpejskich pracujących w świetle kilku naftowych lamp.

– A szósta? Co z szóstą skrzynią? – zapytał Alexander Müller, spoglądając na Beckera.

– To właśnie w tobie, drogi Alexandrze, lubię. Tę twoją dziecięcą naiwność i oddanie. Zawsze cię to cechowało. – Hoffmann zbliżył się do szkolnego kolegi, a później pchnął go w kierunku pracujących żołnierzy. Dopiero w tym momencie Becker sięgnął do kabury i wyciągnął pistolet. Spojrzał w oczy Alexandra Müllera.

– Właściwie nic do ciebie nie mam, choć zapamiętałem sobie, że w pierwszej klasie nie dałeś mi odpisać zadania z matematyki. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że jesteś za

miękki, nie nadajesz się. Nie możemy ryzykować, nasza misja jest zbyt ważna. – Becker uniósł pistolet i nacisnął spust.

Chciał trafić w głowę, ale nie bardzo mu się to udało. Alexander upadł i zalał się krwią, więc oficer Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS podszedł bliżej i oddał jeszcze dwa strzały.

Hoffmann spojrział na niego z dezaprobatą, a później chwycił kołnierz kożucha Alexandra Müllera i zaczął ciągnąć zakrwawione zwłoki dawnego szkolnego kolegi w kierunku brzegu, ryjąc głęboką bruzdę w świeżym śniegu.

– Wyrąbcie dziurę w lodzie i wrzucie tam ciało zdrajcy – powiedział, z trudem łapiąc powietrze. Wydawało mu się, że w oczach dowódcy oddziału strzelców alpejskich dostrzega niechęć, ale zlekceważył to. Wprawdzie chętnie by strzelił również w tę jego zaróżowioną od mrozu gębę, ale nie miał wątpliwości, że oddani swojemu dowódcy żołnierze natychmiast jego samego by zastrzelili.

Mógł poczekać. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy oni i tak zginą w ciągu najbliższych dwóch tygodni. No i mieli jeszcze do wykonania jedno ważne zadanie...

Rozdział 29

WOLSZTYN, 25 PAŹDZIERNIKA 2019

Terlecki wrócił do Leśnej po ponadgodzinnym intensywnym joggingu. Chciwie łapał powietrze, ale nagle dostał ataku rozrywającego płuca kaszlu, więc szybko wdrapał się po schodach do pokoju i zamknął drzwi.

Cholerne fajki, pomyślał, wyjmując z lodówki napój izotoniczny, który kupił wczoraj w drodze powrotnej na stacji BP przed Rakoniewicami. Nie bez trudu oparł się przy tym pokusie zaopatrzenia się w butelkę whisky, wygrywając, jak rzadko w ostatnim czasie, wewnętrzną bitwę z drzemającym w nim demonem.

Wziął do ręki smartfona i z butelką izotoniku usiadł na łóżku, odsuwając skłębioną kołdrę. Ikonka WhatsAppa wskazywała, że ma jakieś wiadomości, ale najpierw zaczął przeglądać maile. Nie znalazł niczego ciekawego i już chciał pójść pod prysznic, gdy telefon powiadomił go o nadejściu kolejnej wiadomości. Gdy ją przeczytał, zaklął głośno i zadzwonił do Borsuka.

– Nieźle, ale na miejscu rzeziłeś jak stara lokomotywa. Rzuć wreszcie te fajki, bo cię zniszczą. – Komandos najwyraźniej był w znakomitym humorze. Nagle jednak spowaźniał. – Następnym razem powiedz, że będziesz biegał. Ledwo cię w tym lesie odnalazłem.

– Przy przecince za ośrodkiem wczasowym wydawało mi się, że coś słyszę... Obiecuję, że w przyszłości będę się opowiadał. Ale mam ważniejszą sprawę. Dostałem wiadomość, zaraz ci ją

prześle. Numer nic mi nie mówi, ale domyślam się, że to od Skibniewskiego.

Gdy się rozłączyli, zauważył, że podczas rozmowy dostał jeszcze jedną wiadomość z tego samego numeru. Tym razem było to zdjęcie jego samego w towarzystwie Olgi i Jurka na tarasie gasthausu w Stummie. Nagle pożałował, że wczoraj wieczorem oparł się pokusie kupna alkoholu.

Przyglądał się zdjęciu, próbując sobie przypomnieć tamtą sytuację i kogoś, kto mógł je zrobić, ale bez rezultatu. Nie zapamiętał żadnych ludzi przechadzających się wówczas po ulicy, był za to pewien, że przed restauracją parkowało kilka samochodów. Wpatrywał się w fotografię, gdy uświadomił sobie, że powinien ostrzec Olgę i Jurka. Najpierw jednak wybrał numer Anastazji, ale uświadomił sobie, że o tej porze – było kilka minut po ósmej – córka jest w szkole. Szybko wystukał wiadomość:

Bądź bardzo ostrożna. BARDZO!!! Pojawiło się coś nowego, musisz we wszystkim słuchać ochroniarza!

Ledwie skończył, gdy nadeszła odpowiedź.

Nudziarz – przeczytał i nie wiedział, czy ta uwaga odnosiła się do niego, czy do chroniącego Anastazję byłego funkcjonariusza Biura Ochrony Rządu.

Do Ewy, jak zawsze, nie udało mu się dodzwonić. Poczuł niepokój, ale pocieszał się, że pewnie uczestniczy w jakiejś kolejnej naradzie, więc też wysłał jej esemesa. A później ostrzegł Olgę i poprosił, aby to ona zadzwoniła do Jurka.

– Nie lekceważcie tego – rzucił na zakończenie i zadzwonił do Wiesława. Detektyw odebrał po pierwszym sygnale.

– Zanim zaczniesz, mam ci coś do powiedzenia. Słuchaj uważnie: jeśli jeszcze raz wyjdiesz na jogging albo choćby na

drugą stroną ulicy po bułki, nie powiadamiając o tym Borsuka, to ci nogi z dupy powyrywam i jeszcze dostanę za to od Skibniewskiego złotego rolexa – oświadczył Wiesław stanowczym tonem. Rafał w duchu przyznał mu rację. Ale poradził, aby zażądał longines'a.

– Rolexy są w złym guście. I „giry”, w Wielkopolsce mówi się „giry ci z dupy powyrywam”.

– Rafał, kurwa, to są zabawy dużych chłopców, a nie piaskownica. Uwierz mi. – Detektyw był naprawdę zdenerwowany.

Rafała to zaskoczyło, bo zazwyczaj Wiesław był oazą spokoju i opanowania. Przemknęło mu przez myśl, że być może dowiedział się czegoś nowego o człowieku, który nieomal poderżnął mu gardło nad Jeziorem Kuźnickim, ale na razie to odłożył. Zapewnił za to, że zdaje sobie sprawę z zagrożenia, i przyrzekł poprawę, bo po wczorajszej rozmowie w Forni Rossi i dzisiejszym esemesie był bardziej niż kiedykolwiek pewien, że atmosfera wokół niego gęstnieje. Chciał zrelacjonować detektywowi rozmowę z funkcjonariuszem ABW, ale ugryzł się w język. Od jakiegoś czasu w środowisku dziennikarskim krążyły plotki o zakupie przez MSW nowego systemu inwigilacyjnego, dzięki któremu służby mogły podsłuchiwać również uchodzące dotąd za bezpieczne internetowe komunikatory.

– Musimy się spotkać. Zadzwoń wieczorem i wtedy się umówimy – powiedział tylko, a później przeczytał Wiesławowi wiadomość, którą dostał z nieznanego mu numeru.

Zawarliśmy umowę. Nie stosujesz się do naszych ustaleń, więc będą konsekwencje. Zaboli.

– Słuchaj się Borsuka, rozumiesz? Bezwzględnie! – usłyszał i połączenie zostało przerwane.

Terlecki opadł na łóżko. Potrzebował lekarstwa, aby się uspokoić. Najlepszego, jakie znał. Jeszcze raz pożałował, że wczoraj nie kupił whisky.

Wskoczył pod prysznic, a później błyskawicznie się ubrał i wyszedł z pokoju. Nie zdążył jeszcze wsadzić klucza do zamka, gdy obok niego stanął Borsuk.

– Chciałem do ciebie wstąpić. Idę coś zjeść, a później napić się whisky i zapalić. W tej kolejności, co oznacza, że zgodnie z twoimi radami zacząłem prowadzić zdrowy tryb życia – oznajmił, a były gromowiec ruszył za nim.

Zjedli jajecznicę na boczku, a później dziennikarz zamówił dla siebie podwójną whisky. Rozmyślał nad słowami Borsuka, aby natychmiast, jeszcze dzisiaj, opuścić Leśną i wynająć jakieś mieszkanie.

Zadzwoił do Bartka. Okazało się, że przyjaciel jest posiadaczem trzypokojowego mieszkania na osiedlu przy ulicy Żeromskiego.

– Lokatorzy wyprowadzili się miesiąc temu. Jest zgłoszone do wynajęcia, ale na razie stoi puste. Trzecie piętro, bez windy – ostrzegł.

Terlecki poprosił o rachunek za hotel, a później uświadomił sobie, że musi porozmawiać z Mariuszem Hallmannem, więc wziął ze sobą szklanekę z alkoholem – gdy wspinał się po schodach, grzechoczące kostki lodu miło pieściły jego uszy – i wrócił do pokoju. Udało mu się dodzwonić za pierwszym razem, co w przypadku Mariusza nie było takie oczywiste.

Rozmawiali ponad dwadzieścia minut, rozważając wszystkie możliwości, gdy w końcu Mariusz zdecydował, że ma na razie odłożyć Howańskiego i zająć się Skibniewskim. Rafał zaprotestował i po raz kolejny zaczął tłumaczyć, że te sprawy

się ze sobą łączą. Na razie nie było na to zbyt wielu dowodów, ale czuł, że ma rację. Wydawca brutalnie mu przerwał.

– Zaczynasz się powtarzać i zastanawiam się, czy to wiek, czy stres. Nie wykluczam, że masz rację, ale trzeba wyjaśnić trop zaniechania poszukiwań Skibniewskiego przez policję. Jeśli okaże się to prawdą, to zrobimy na ten temat materiał i poruszymy tę kupę gnoju. Masz do dyspozycji Olgę i Cezarego.



Gdy tylko weszli do mieszkania, Borsuk sprawdził drzwi – z aprobatą zauważył, że zostały wzmocnione – i tkwiący w nich wizjer, który zapewniał tylko ograniczoną widoczność. Zapytał Bartka, czy może zainstalować niewielką kamerę pozwalającą widzieć całą klatkę schodową, a Nowicki wzruszył ramionami.

– Aż tak? – zapytał, a Rafał pokiwał głową i sięgnął po dzwoniący właśnie telefon. Wszedł do jednego z pokoi i poinformował Ewę o ostatnich wydarzeniach. Starał się ją uspokoić, ale chyba bez skutku. Zapytała, czy to się kiedyś skończy, w jej głosie słyszał zmęczenie. Nie znał odpowiedzi.

Borsuk zajął pokój przy drzwiach wejściowych, a dziennikarz ulokował się w salonie z wyjściem na balkon. Miał przed sobą kolejną porcję alkoholu, ale postanowił zwolnić. Zamiast tego pochylił się nad kartką papieru i zaczął pisać. Czterdzieści minut później miał gotowy plan i dopiero w tym momencie zamoczył usta w whisky, a później wziął do ręki telefon i wystukał pierwszy numer.

O dziewiętnastej trzydzieści, po obejrzeniu Faktów, wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Chwilę później pojawił się Borsuk.

– Jutro mam dwa spotkania w Wolsztynie, a później jadę do Warszawy. Zamierzasz mi towarzyszyć czy zachowałem jeszcze

trochę wolności? – zapytał i natychmiast pożałował swojego zaczepnego tonu.



Andrzej Janecki miał niewiele ponad czterdzieści lat i niestarannie przyciętą brodę. Ubrany w nieco zbyt obszerną czarną kurtkę i ciemne dżinsy czekał na Terleckiego w parku ukryty za muszlą koncertową. Rozglądał się nerwowo, ale Rafał zastanawiał się, czy zarzucony na głowę nisko opuszczony kaptur rzeczywiście pozwala mu skutecznie lustrować okolicę.

Usiedli na ławce przy placu zabaw. Terlecki poczęstował Andrzeja Janeckiego papierosem. Ręce wyraźnie mu drżały.

– Nie powinienem się z panem spotykać, ale zostałem zmuszony – oświadczył, wydmuchując dym.

Dziennikarz wstał. Nie zamierzał rozmawiać z człowiekiem, który twierdził, że działa pod presją. Chciał się pożegnać, tłumacząc to Janeckiemu, ale ten machnął ręką.

– Nie, nie w sensie dosłownym. Nikt mi przecież pistoletu do głowy nie przyłożył ani mnie nie szantażował. Moja żona mnie do tego namówiła, od lat uważa Skibniewskiego za bandziora. Twierdzi, że mnie wykorzystywał...

Janecki pracował dla biznesmena od dłuższego czasu, a dwa lata temu został kierownikiem strzelnicy, choć ze strzelectwem nie miał nic wspólnego. Patrząc na jego wydatny brzuch, widoczny nawet pod zbyt obszerną kurtką, Rafał pomyślał, że nie miał nic wspólnego z żadnym sportem.

Na początku dwa tysiące szesnastego roku Zdzisław Skibniewski złożył gminie ofertę kupna starej strzelnicy usytuowanej za miejskim stadionem. Teren był mało atrakcyjny, położony przy torach kolejowych, a strzelnicy nikt

nie używał od trzydziestu lat, więc władze szybko wyraziły zgodę. Nabywca deklarował, że strzelnica zostanie przebudowana, a wkrótce ma szansę stać się jeszcze jedną lokalną atrakcją. Na posiedzeniu Rady Gminy Skibniewski mówił, że będzie dobrym uzupełnieniem turystycznej oferty miasta, zwłaszcza podczas tradycyjnego święta parowozów lub zjazdów motocyklowych. Pół roku później, na początku dwa tysiące siedemnastego roku, na wykupiony teren wjechała ekipa budowlana. Po kilku miesiącach inwestycja została ukończona.

– Nie wiem, ile to kosztowało, sprawy finansowe były poza mną, ale na pewno sporo. Powstał specjalny budynek z profesjonalnymi torami strzeleckimi, podobno jego plany ściągnięto ze Szwajcarii. Otwarcie było huczne, sporo było zwłaszcza policjantów, jacyś wojskowi. A już po części oficjalnej pan Zdzisław zaprosił kilkanaście osób „na śledzika”, wie pan, do tej swojej rezydencji. Ale miejscowi na strzelnicę nie przychodzili, zresztą jej otwarcia nie reklamowaliśmy nawet w lokalnych mediach. Nudziłem się tam jak mops – mówił Janecki cicho, niepewnie rozglądając się po okolicy.

Miesiąc po otwarciu strzelnicę zwizytowała komisja z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, a po dwóch tygodniach Skibniewski poinformował Janeckiego, że dostali jakieś specjalne certyfikaty i teraz zacznie się ruch.

– I zaczął. Przyjeżdżały całe grupy.

– Młodzież?

– Taaa, młodzież. Profesjoniści, chyba z policji, najpewniej z jednostek antyterrorystycznych. Z własną bronią, długą i krótką, młodzi, wysportowani. Strzelali tak, że klękajcie narody – w głosie Janeckiego słyszeć było podziw.

– Rozmawiał pan z nimi?

– Próbowałem, ale nie byli wylewni. Większość chyba służyła w Warszawie, ale byli też ludzie z Wrocławia, Krakowa, Gdańska, Szczecina. Nawet z Białegostoku. Tych zresztą łatwo było poznać po tej ich dziwnej gadce. Niektórzy wracali do nas po trzy, cztery razy.

Rozdział 30

OKOLICE WOLSZTYNA, 3 GRUDNIA 1943

Kilka minut po trzeciej w nocy wjechali wreszcie na drogę prowadzącą do Chorzemina, mijając po prawej stronie baraki obozu dla Żydów na Ruchockim Młynie. Wilczur prowadzony na smyczy przez wartownika głośno ujadł i jeden ze strzelców alpejskich kazał go uciszyć.

Zbliżali się do wsi, gdy zaczął padać śnieg. Becker spojrzął w niebo i pomyślał, że szczęście im sprzyja, bo śnieg zasypie ślady płóz, zanim w okolicznych lasach pojawią się Polacy. Ernst słyszał, że niektórzy z nich zakładają wnyki na zwierzynę, zwłaszcza zające. Uważał to za barbarzyństwo, nie przyjmował do wiadomości słów ojca tłumaczącego mu, że ratują Polaków przed wszechobecnym głodem.

Żołnierze siedzieli stłoczeni na saniach z zamkniętymi oczami, próbując złapać trochę snu. Gdy wreszcie minęli wiejskie zabudowania i dojechali do drogi prowadzącej do pałacu i dalej do Wolsztyna, Ernst trącił siedzącego obok niego na koźle Hoffmanna.

– Porozmawiajmy – powiedział cicho i wyskoczył z toczących się powoli sań. Oskar z ociąganiem zrobił to samo.

Gdy minęły ich kolejne sanie, Becker wyciągnął z kieszeni długiego jasnego kozucha butelkę koniaku. Było ciemno, chmury wisały nisko, więc bardziej wyczuł, niż zobaczył, że flaszka jest niemal pusta.

– Musi wystarczyć. Zresztą od bogactwa pałacowych piwnic dzieli nas tylko pół kilometra – stwierdził Oskar i wyciągnął paczkę papierosów. – Co jest takiego ważnego, że postanowiłeś przebyć ten dystans pieszo?

Becker rozejrzał się po okolicy, ale nie dostrzegł żadnych oznak życia. W oddali słyszał tylko powoli milknące ujadanie wiejskich psów podnieconych kawalkadą sań, które przejechały obok ich zagród.

– Trzeba zważyć ryzyko. Planowaliśmy pozbyć się tych gospodarzy, którzy dostarczyli nam konie oraz sanie, ale teraz sądzę, że to zły pomysł. Jeśli to zrobimy, zjawią się tu gestapowcy. Będą węszyć i w końcu coś wywęszą. Trafiają do hrabiny Daum, może nawet przeszukają pałac, znajdą Howańskiego i maszynę drukarską – oznajmił, zapalając papierosa. Od bramy pałacu dzieliło ich niewiele ponad sto metrów. Widzieli już stojące na poboczu sanie i sylwetki uwijających się przy nich dwóch żołnierzy. Domyślili się, w końcu obaj pochodzili ze wsi, że nakrywają konie derkami, aby ogrzać zwierzęta, ochronić przed padającym śniegiem i założyć im na głowy worki z ziarnem.

Oskar pociągnął łyk koniaku i podał butelkę Ernstowi, a ten przyłożył ją do ust.

– Racja. Oszczędźmy ich, przynajmniej na razie – zawyrokował Hoffmann, wyrzucając niedopałek papierosa. – Jutro złożę im wizytę i zobowiązę do zachowania tajemnicy. Gdzie ukryjemy naszą skrzynię?

Stali już w bramie pałacu. Wyglądał imponująco. Ernst Becker nie uważał się za konesera i znawcę architektury, ale połączenie stylu neoklasycystycznego z secesją robiło na nim wrażenie. Może nawet większe niż model hali zgromadzeń projektu Alberta Speera, który jakiś czas temu miał okazję zobaczyć.

Spojrzał na pnące się w górę wieżyczki i okazałe pałacowe schody, wyobrażając sobie, że mógłby po nich stąpać nawet Fryderyk Wielki.

– Tu – odpowiedział Oskarowi, wskazując pałac.

Oficer Abwehry popatrzył na niego zdziwiony, ale Becker wytłumaczył mu, że jest nieprawdopodobne, aby Armia Czerwona umieściła w pałacu swój sztab.

– Splądrują go, a później pewnie spalą albo zburzą. Ale park zostanie. Więc nie konkretnie tu, w samym budynku, ale w tym pięknym, wypielęgnowanym przez hrabinę parku. Mam upatrzone miejsce niedaleko tamtej drogi, więc łatwo będzie później dojechać – powiedział Ernst i zdecydowanym krokiem przekroczył bramę posiadłości Daumów. W oknach na parterze paliło się światło i Becker przypuszczał, że oddział strzelców alpejskich posila się przed snem.

– Na razie weźmiemy trzy sztaby złota. Trzeba będzie je spieniężyć. Najlepiej zrobić to w Warszawie, tam jest ogromny czarny rynek, ale musisz być dyskretny i uzyskać dolary. Przydadzą się bardziej niż marki.

– Czasem żałuję, że w Berlinie nie ma już żadnych Żydów. Ale rzadko – zastrzegł natychmiast.



Dwa dni później, gdy oddział strzelców alpejskich opuścił już Chorzemin, Oskar Hoffmann kazał Bolesławowi Howańskiemu pokazać przygotowane przez niego paszporty. Wyglądały jak prawdziwe. Żaden z nich nie był jednak w tej dziedzinie specjalistą. Zdecydowali, że następnego dnia Hoffmann pojedzie do Berlina i spotka się ze współpracującym z nim

i zatrudnionym w ambasadzie Argentyny agentem tamtejszych służb specjalnych. Agent był człowiekiem Juana Peróna.

– Na moje oko są idealne – oznajmił Oskar. Pili kawę w salonie hrabiny Daum, która wybrała się właśnie do rodziny w pobliskich Kiełpinach.

Ernst Becker czuł, że nadchodzi *grande finale*, najtrudniejsza część pierwszego etapu operacji „Thor”. Jeśli urzędnik argentyńskiego poselstwa w Berlinie potwierdzi, że wykonane przez Bolesława Howańskiego paszporty są na tyle dobre, że fałszerstwa nie da się wykryć, to ruszy ich masowa produkcja. Słowo „masowa” było lekko przesadzone, bo chodziło o pięćset egzemplarzy, choć Becker przewidywał, że ta liczba ostatecznie wzrośnie, być może nawet do tysiąca. Do tego należało wykonać kilka tysięcy nowych dokumentów, które po wojnie pozwolą ich posiadaczom swobodnie poruszać się po Niemczech.

Staął w oknie, ogrzewając w dłoni kieliszek koniaku. Nie był przekonany, czy wpływa to na smak alkoholu, nawet szczerze w to wątpił, jego kubki smakowe zostały wychowane na bimbrze Piszczuna, ale wiedział, że w pewnych sferach jest to dobrze przyjmowane. Spodziewał się – do tego został przeznaczony przez Kaltenbrunnera, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – że w Buenos Aires będzie miał do czynienia z ludźmi nawykłymi do spożywania najlepszych trunków.

Zastanawiał się nad swoją przyszłością. Początkowo planował, że wywiezie do Argentyny zarówno żonę Klarę, jak i dwóch swoich synów, ale ostatnio zaczął się nad tym zastanawiać. Klara nie była miłością jego życia. Ożenił się z nią z rozsądku, jej ojciec był wówczas wysoko postawionym oficerem z piękną kartą zapisaną podczas wojny światowej i dobrze postrzeganym przez nowe hitlerowskie elity.

Wydawało się, że jego przeznaczeniem jest służba na najwyższych stanowiskach, ale okazało się to iluzją. Utknął na niewiele znaczącym stanowisku komendanta jednego z miast w Generalnej Guberni. Daleko było mu do obecnej pozycji zięcia i Ernst myślał o tym z przyjemnością i nie bez dumy.

Zszedł po schodach i wolnym krokiem ruszył na tyły pałacu, po wyjeździe oddziału strzelców alpejskich cichego i sprawiającego wrażenie opuszczonego. Wolnym krokiem okrążył budynek, wsłuchując się w skrzypiący pod butami śnieg. Wczoraj w nocy wraz z Oskarem zakopali w sąsiedztwie starego dębu skrzynię ze złotem i chciał się upewnić, czy nie zostawili jakichś śladów.

Rozejrzał się po okolicy, uważnie lustrując ziemię. Wydało mu się, że wszystko jest w porządku, choć bał się, że świeży śnieg przykrył jakieś ślady, które staną się widoczne po roztopach. W oddali dostrzegł krótki odcinek uszkodzonego przez zwalone drzewo muru. Zamierzał jeszcze sprawdzić polną drogę za nim, ale zdał sobie sprawę, że padający rano intensywnie śnieg przykrył ewentualne ślady. Niepokoiło go to. Gdy nad ranem zmęczony położył się do łóżka, trapiła go myśl, że ktoś mógł ich obserwować podczas kopania dołu, a także później, gdy z wysiłkiem opuszczali do niego skrzynię.



Trzy dni później Ernst Becker siedział w restauracji hotelu przy Rynku, pijąc kawę, która zupełnie mu nie smakowała. Nie dla kawy tu jednak przyjechał. Oczekiwał telefonu z Berlina. Oskar Hoffmann miał mu dać znać, czy Bolesław Howański może zacząć produkcję fałszywych dokumentów. Jeśli tak, Hoffmann miał otrzymać z RSHA specjalną kopertę z listą

nazwisk i innymi informacjami, które należało umieścić w paszportach.

Becker nerwowo postukiwał dłonią w blat stolika. Dochodziła godzina dziesiąta, a Oskar miał zadzwonić o dziewiątej trzydzieści. Półgodzinne opóźnienie nic jeszcze nie oznaczało, zdawał sobie przecież sprawę, że niemiecka telefonia też ostatnio nie funkcjonuje tak, jak przed wojną.

A co funkcjonuje? – pomyślał ponuro.

Opróżnił już filiżankę, ale jakoś nie mógł się przemóc, aby zamówić kolejną. Zdecydował się więc na piwo, lokalne, produkowane w wolsztyńskim browarze położonym niedaleko dworca kolejowego. Może nie dorównywało tym z Monachium i z regionu berlińskiego, ale dla niego miało smak młodości.

Młodość... Gdy chodzili do tutejszej szkoły średniej, obaj, i on, i Oskar, nie wyobrażali sobie wyjazdu z Widzimia Starego. Byli pewni, że przejmą ojcowiznę i będą na niej gospodarowali, tak jak robili to ich rodziciele, i rodziciele ich rodziciele. Nagle jednak otworzyły się nowe możliwości i zarówno on, jak i Oskar zachłysnęli się tym. Do niedawna uznawał, że to była dobra decyzja, że szczęście im sprzyjało. Ostatnio jednak zaczynał mieć wątpliwości. Argentyna... Jakoś nie umiał odnaleźć w sobie dawnego, zawsze mu towarzyszącego ducha przygody.

Wypił już połowę piwa, gdy boy z recepcji poinformował go, że ma telefon z Berlina. Zerwał się z krzesła i szybkim krokiem podszedł do kontuaru.

W słuchawce słychać było głośnie trzaski, więc Ernst podniósł głos. Jakaś kobieta otoczona dwójką dzieci, z woalką spuszczoną na oczy, spojrzała na niego i Becker dostrzegł w jej wzroku dyskretnie maskowaną niechęć, więc zaczął mówić jeszcze głośnie i po chwili przez trzaski i szумы przebił się głos przyjaciela.

– Ernst, to ty? Chciałem cię poinformować, że ciotka czuje się lepiej i jutro przyjadę. Do zobaczenia – usłyszał w słuchawce. Uśmiechnął się zadowolony.

Becker wrócił do stolika i sięgnął po szklankę. Kelner zapytał, czy będzie już opuszczał lokal, czy życzy sobie jeszcze coś zamówić, więc Ernst postanowił wypić jeszcze kieliszek czegoś mocniejszego. Ku jego radości kelner oświadczył, że wczoraj dowieziono im kilka butelek koniaku.

– Trzymamy go tylko dla specjalnych gości, bo nie wiemy, kiedy będzie kolejna dostawa. Jeśli pan pułkownik życzy sobie kieliszeczek... – Kelner w mocno już zaawansowanym wieku, ubrany w uniform, który lata świetności dawno miał za sobą, z kamienną twarzą patrzył ponad jego głowę i Ernst pomyślał, że sposób, w jaki się nosił, predestynuje go do pracy w jakiejś restauracji w centrum Wiednia, a nie w tej zapyziałej dziurze.

– Owszem, życzę sobie. Proszę mi podać podwójny – oznajmił.



Becker wrócił do Chorzemina i natychmiast zszedł do piwnicy, gdzie w jednym z pomieszczeń pilnowany przez wartownika siedział Bolesław Howański. Odsunął taboret i położył na stole zawinięty w papier zwój kiełbasy, a później z kieszeni płaszczka wyciągnął butelkę wódki.

– Dobrze się spisałeś, Bolesławie, naprawdę dobrze. Otrzymałem właśnie sygnał z Berlina, że możemy rozpocząć produkcję. Uwiniesz się w dwa tygodnie?

Polak spojrział na niego zza krzaczastych brwi, a później skierował wzrok na leżącą na stole kiełbasę. Głośno przełknął ślinę. Niemiec to zauważył i przesunął paczkę w jego kierunku,

a później odwinął papier. Howański przełknął ślinę jeszcze głośniej.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony. Ale jeśli rzeczywiście ma pan dla mnie odrobinę wdzięczności, to wolałbym, aby przekazał pan tę kiełbasę mojej żonie i Kazikowi. Im bardziej się przyda, ja jem tu zupełnie nieźle – powiedział, patrząc w oczy niemieckiego oficera.

– Stawiasz warunki... Wy, Polacy, nigdy się niczego nie nauczycie. Ale dobrze, jestem dzisiaj w wyśmienitym nastroju – powiedział, odrywając pęto kiełbasy i podając je fałszerzowi. – Wódka temu twojemu smykowi raczej się nie przyda, więc ciesz się nią.

Wstał od stołu, oznajmiając, że produkcja ma ruszyć jutro rano. Obiecał, że następnego dnia paczka z kiełbasą dotrze do jego żony. Oczywiście nie zamierzał spełniać tej obietnicy. Był oficerem Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS, a nie posłańcem jakiegoś Polaka, nawet tak uzdolnionego jak Bolesław Howański.

A poza tym też lubił dobrą wiejską kiełbasę.

Rozdział 31

CHORZEMIN, 10 GRUDNIA 1943

Walenie do drzwi wyrwało Ernsta Beckera z głębokiego snu, więc wyskoczył z łóżka, chwytając leżącego pod poduszką walthera PPK, i przywarł do ściany przy wejściu. Nasłuchiwał, ale w pałacu panowała cisza. Zaczął się zastanawiać, czy nie obudziły go senne majaki.

– Otwierać, Abwehra! – rozległo się z korytarza i Becker poczuł spływające z niego napięcie, które ustąpiło miejsca wściekłości. Przekręcił klucz w zamku i ujrzał roześmianego Oskara Hoffmanna z rozpostartymi rękoma, w których trzymał dwie butelki koniaku.

– Twój przyjaciel powrócił – oznajmił radosnym głosem, a później wkroczył do pokoju. Jego uśmiechnięta twarz spowodowała, że złość zaczęła z Beckera wyparowywać. Oskar kopniakiem zatrzęsął drzwi i dodał znacznie już ciszej: – Powrócił bogaty!

Hoffman postawił butelki na kawowym stoliku, ściągnął czapkę, a później wydobył z kieszeni płaszcza dwa pękate kieliszki.

– W kalesonach i barchanowej koszuli nie prezentujesz się zbyt pięknie, zwłaszcza kalesony przyćmiewają twoją legendarną urodę i twój urok osobisty. Może Klarę to podnieca, ale ja wolę cię w mundurze. Będziesz tak stał z tą pukawką czy coś na siebie włożysz i dasz się poczęstować tym zacnym

trunkiem? – Z twarzy Oskara nie zniknął uśmiech, choć Ernst dostrzegł na niej również oznaki zmęczenia.

Becker schował walthera i włożył spodnie, a później gruby wełniany sweter. W pokoju było zimno, temperatura z pewnością nie przekraczała dziesięciu stopni, bo w nocy w pałacu nie palono.

Hoffmann rozpieczętował butelkę, a później napełnił kieliszki. Wypili, ale o ile Oskar wlał w siebie całą zawartość, to Ernst zadowolił się mniejszą porcją, przez chwilę zatrzymując alkohol w ustach.

Hoffmann po raz drugi napełnił swój kieliszek i pochylił się w kierunku przyjaciela. Teraz mówił już znacznie ciszej.

– Wszystko załatwione, choć nie obyło się bez przeszkód. Na szczęście Abwehra ma dobre kontakty również na warszawskim czarnym rynku. Mam dolary, ale okazało się, że mojemu kontrahentowi nie udało się zdobyć wystarczającej ich ilości. W zamian wzięłem sporo różnych precjozów: złote omegi, pierścionki i obrączki, bransolety, złote dwudziestodolarówki i pięćorublówki. To dobry towar, kto wie, czy nawet nie lepszy niż dolary – oświadczył. – Tak swoją drogą, czarny rynek w Warszawie kwitnie. Mam wrażenie, że można na nim kupić wszystko, gdyby się uprzeć, to zapewne dostarczyliby nawet messerschmitta Bf sto dziesięć. Może na razie nie odrzutowego Me dwieście sześćdziesiąt dwa, ale pocziwą sto dziesiątkę na pewno. Te dwie flaszki remy martin też od nich kupiłem.

Oficer SD dopił koniak i zapalił papierosa. Zapytał, czy koledzy z warszawskiej Abwehry będą trzymali język za zębami, a Hoffmann zdecydowanie potwierdził.

– Kurier z Berlina dotarł?

Becker pokręcił głową. Wciąż na niego czekał i zaczynał się już trochę niecierpliwić. Howański też. Polak liczył, bardzo

liczył, że gdy tylko skończy pracę, wróci do rodziny. Był naiwny, ale Becker na razie nie wiedział, co z nim zrobić. Najprostszym rozwiązaniem była likwidacja i wrzucenie zwłok pod lód wolsztyńskiego jeziora, ale cały czas w głowie kołatała mu się myśl, że jego umiejętności mogą się jeszcze przydać. Zastanawiał się, czy kurier przywiezie z Berlina jasne polecenie i czy powinien je wykonać.

Gdy wypili drugą kolejkę, Hoffmann zaczął przysypiać. Beckera to nie zdziwiło, eskapada do Generalnej Guberni była męcząca, a na dodatek niebezpieczna. Teraz, gdy dotarł wreszcie na miejsce i wypił alkohol, zmęczenie dawało o sobie znać.

– Idź do siebie, odeśpij. Pojadę do Widzimia Starego i ukryję nasz skarb. W stodole, przygotowałem tam skrytkę, której sam diabeł nie znajdzie – powiedział. Była czwarta nad ranem i Becker chciał złapać jeszcze przynajmniej dwie godziny snu.



Ernst zatrzymał samochód przed stodołą w chwili, gdy z domu wychodził polski parobek, trzymając w ręce dużą kromkę chleba. Becker przełknął ślinę. Był głodny, w Chorzeminie nie zjadł śniadania, zresztą tamtejszy chleb nie smakował mu tak bardzo jak ten wypiekany przez matkę. Chwilę zastanawiał się, czy wziąć ze sobą do domu torbę z dolarami i złotymi precjozami, ale zrezygnował. Tu była bezpieczna, a gdyby wniósł ją do domu, wywołałaby niepotrzebne zainteresowanie matki. Wolał, aby nic nie wiedziała. Dla swojego dobra.

Helga Becker kroїła warzywa na zupę. Uśmiechnęła się na jego widok, a później znowu spojrzała przez okno, obserwując,

jak Alfons chodzi wokół mercedesa, ogląda każdy jego detal i zagląda do środka.

Odłożyła nóż i zabrała się do przygotowania śniadania dla syna.

– Ojciec niedomaga. Wróciło mu lumbago. Śpi jeszcze, ale od trzech dni nie wstaje z łóżka – powiedziała, stawiając przed Ernstem talerz z chlebem z powidłami i kubek gorącego mleka.

Zjadł, a później zajrzał do sypialni. Chwilę rozmawiał z ojcem, ale Erich Becker rzeczywiście czuł się źle, więc syn zaproponował, że przywiezie z Wolsztyna doktora Fischera. Mężczyzna tylko pokręcił głową, twierdząc, że lekarz nic tu nie poradzi.

Ernst zabrał z samochodu torbę z pieniędzmi i złotymi przedmiotami i poszedł do stodoły. Wybrał ten moment z premedytacją, matka właśnie poszła do ojca natrzeć go maścią, której duży słoik kilka miesięcy temu Ernst wysłał im z Berlina.

Odsunął słomę, a później odstawił deski i wrzucił torbę do skrytki. Przez chwilę nasłuchiwał, ale wokół panowała cisza.



Wczesnym wieczorem, zbliżała się godzina osiemnasta, Becker i Hoffmann zaparkowali samochód pod budynkiem parafii. Nie doszli jeszcze do drzwi, gdy stanął w nich ksiądz Arthur Sikora. Patrząc na niego, Ernst pomyślał, że przez krótki czas od ich ostatniej rozmowy nad Jeziorem Berzyńskim twarz kapłana się zaokrągliła, a brzuch jeszcze mocniej napiera na guziki sutanny.

– Przejdźmy się – powiedział rozkazującym tonem. Sikora próbował oponować, tłumacząc, że właśnie wraz z proboszczem

siadają do kolacji, ale spojrzenie oficera SD zgasiło chwilowy bunt.

Ruszyli drogą w kierunku Wolsztyna, brnąc w kopnym śniegu.

– Proszę powiadomić Watykan, że kilka osób planuje wycieczkę do pewnego włoskiego portowego miasta. Mniej więcej za trzy tygodnie, niech wszystko będzie gotowe – oświadczył Oskar.

– Ile osób konkretnie?

– Tego jeszcze nie wiemy. Wkrótce damy znać – odpowiedział Hoffmann, a później uważnie spojrzął na Sikorę. Chciał już odejść, ale nagle zmienił decyzję. Zdecydowanym ruchem zacisnął dłoń na szyi kapłana i pochylił się nad jego uchem.

– Jeszcze jedna rzecz. Dochodzą nas niepokojące wieści o romansie księdza z pewnym bardzo młodym chłopcem, Alojzym. To wstrętne. Czy proboszcz coś o tym wie? A może ojciec Domoter, a zwłaszcza biskup Hudal znają skłonności księdza? Albo może chcieliby je poznać? – Oskar Hoffmann poczuł, że ciało Sikory tężeje. Wiadomość, że ktoś wie o chłopcu gwałconym regularnie od kilku tygodni, była dla księdza szokiem. Dla nich zresztą też.

Wokół panowała ciemność, więc niemieccy oficerowie bardziej wyczuli, niż zobaczyli strach w oczach kapłana. Informację o jego pedofilskich skłonnościach uzyskali kilka tygodni temu od pewnego gestapowca, który przesłuchiwał pracującą na parafii gospodynię. Jej ojciec został właśnie aresztowany za niewywiązywanie się z kontyngentu, więc kobieta była bardzo chętna do współpracy.

Zostawili księdza na drodze i wsiedli do mercedesa. Ernst spojrzął na przyjaciela.

– Odrażający typ – powiedział.

– Masz rację, obleśny. Wracajmy, została nam jeszcze jedna butelka remy martin. Muszę splukać to nieprzyjemne wrażenie, które mam po każdej rozmowie z tym zboczeńcem – odpowiedział Oskar, zdejmując rękawiczki i rzucając je na tylną kanapę mercedesa. – Muszę je odkazić.

Nie dane im jednak było zasiąść do koniaku. Gdy tylko pokonali ostatni zakręt drogi prowadzącej z Wolsztyna do Chorzemina, zauważyli parkujący na przypałacowym podejździe samochód. Okazało się, że czeka na nich kurier z Berlina.

Gdy weszli, major Schneider zasiadał właśnie do kolacji. Przywitał się z nimi, a później podał pułkownikowi Ernstowi Beckerowi niewielką paczkę.

– Proszę jeść. Polecam zwłaszcza ryby w occie, są doskonałe. Czy zanocuje pan major w pałacu? – zapytał Hoffmann, ale okazało się, że Schneider ma już zarezerwowany pokój w wolsztyńskim kasynie oficerskim i że pozostanie w nim do czasu, aż Becker wręczy mu przesyłkę.

– To zajmie dwa, może nawet trzy tygodnie.

– Polecono mi zaczekać tak długo, jak to będzie konieczne – odpowiedział i dopiero wówczas ponownie zasiadł za stołem.

Becker i Hoffmann pożegnali się z majorem i poszli na górę, gdzie natychmiast otworzyli paczkę, a Oskar rozlał koniak do tych samych kieliszków, których używali wczorajszego wieczoru. Nie były nazbyt czyste, ale nie miało to teraz żadnego znaczenia.

List został napisany na maszynie i był niepodpisany. Jego autor – Becker był pewien, że pismo dyktował Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner – żądał

natychmiastowego dostarczenia sześciuset czystych blankietów argentyńskich paszportów oraz bardzo pilnego przygotowania czterdziestu trzech gotowych do użycia paszportów, informując, że wszystkie niezbędne do tego dane i zdjęcia znajdują się w kopercie, która leżała teraz na stole.

Hoffmann wstał z krzesła i uniósł swój kieliszek.

– Drogi przyjacielu, czas zacząć argentyńskie tango. Właśnie wkraczamy w nowy etap naszego życia. Panowie Becker i Hoffmann wyruszają na podbój nowego kontynentu i żegnają tę skundloną starą Europę, która zamyka się w żelaznym uścisku Sowietów. Pierwsza część operacji „Thor” zbliża się do szczęśliwego końca. *Prosit!*

Pół godziny później Hoffmann zszedł do piwnicy z połową butelki bimbru i wędzoną rybą. Bolesław Howański natychmiast zerwał się z łóżka.

– Zaczynamy jutro rano. Ty zaczynasz. Potrzebne będą czterdzieści trzy gotowe paszporty i sześćset pustych. Potrafisz określić, ile czasu ci to zajmie?

– Trzy tygodnie powinny wystarczyć. Ta maszyna jest dobra, ale mało wydajna – odpowiedział fałszerz, a później podniósł głowę i spojrzał w oczy Niemca. – Potem, gdy już to zrobię... Czy potem mnie pan major wypuści? Będę mógł wrócić do rodziny? Tak mi panowie obiecali.

Hoffmann postawił butelkę i talerz na stole. Unikał wzroku więźnia.

– Tak, tak jak obiecaliśmy. Jutro ktoś zawiezie twojej rodzinie paczkę z jedzeniem. Możesz też napisać do żony kilka zdań, oczywiście wyłącznie po niemiecku. Zaczynasz o szóstej rano.

Niemiec położył już rękę na klamce, gdy Howański poprosił, aby codziennie mógł choć na chwilę wyjść do okalającego pałac

parku. Major chwilę się wahał, ale wyraził zgodę.

– Po zmroku, na kwadrans. Będzie cię pilnował jeden z żołnierzy i jeśli uzna, że zamierzasz uciec, zostaniesz zabity. Rozumiesz? Teraz się napij i idź spać. Jutro czeka cię robota – powiedział i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Rozdział 32

WOLSZTYN 26 PAŹDZIERNIKA 2019

Terlecki odebrał po trzecim dzwonku, przełykając ostatni kęs chleba z salcesonem. Z reguły nie jadał kolacji, ale ostatnio spędził w Wolsztynie kilka miesięcy i nabrał słabości do salcesonu od Zyguty.

Dzwonił Andrzej Janecki. Zaskakujące, rozstali się niewiele ponad godzinę temu.

– Przepraszam, ale żona kazała mi powiedzieć coś jeszcze, jej zdaniem to ważne. Chodzi o to otwarcie strzelnicy. Uczestniczył w nim facet, którego tytułowano ministrem. Nie znam nazwiska, taki nalany, dość młody, w okularach – mówił Janecki powoli, zastanawiając się nad każdym słowem. – Widzieliśmy go później w telewizji, okazało się, że jest wiceministrem w MSWiA, ale nie zapamiętaliśmy nazwiska.

Terlecki słyszał w słuchawce jakiś hałas, prawdopodobnie płynący z telewizora, a później dobiegł go głos kobiety. Wydawał mu się znajomy.

– Powiedz mu o fotografii. Andrzej, kurwa, koniecznie powiedz o fotografii, bo inaczej ja mu to powiem! – usłyszał.

Janecki odchrząknął. Terlecki czuł zakłopotanie swojego rozmówcy.

– Żona podpowiada, żebym panu przekazał jeszcze jedno. Moim zdaniem to nieistotne, ale ona zawsze musi postawić na swoim. Na otwarciu strzelnicy, w rezydencji już nie, na samym

otwarciu, był fotograf. Na początku, bo później Skibniewski kazał mu wyjść i z tego, co widziałem, rozmowa była dość burzliwa. To gość z Wolsztyna, Grześkowiak, ma zakład na ulicy Poznańskiej, niedaleko domu pomocy społecznej prowadzonego przez zakonnice – mówił, ale Rafał skupił się na głosie kobiety, która cały czas coś podpowiadała Janeckiemu. Teraz był już pewien, że zna ten głos, ale nie potrafił przypisać go do konkretnej osoby. Już chciał zapytać Janeckiego o żonę, ale ten jakby to wyczuł, bo szybko się pożegnał i przerwał połączenie.

Dziennikarz uległ pokusie i zjadł jeszcze jedną kromkę z salcesonem, a później wyszedł na balkon zapalić papierosa. Zastanawiał się, kim jest żona byłego kierownika strzelnicy.

Wyrzucił niedopałek, gapiąc się, jak spada na trawnik trzy piętra niżej. Nie było to ani mądre, ani eleganckie, ale sprawiło mu perwersyjną radość. Jakby cofnął się o trzydzieści kilka lat, gdy na podobnym balkonie, w podobnym bloku, na tym samym osiedlu rozpoczął swój romans z papierosami, który niestety przerodził się w trwały, choć burzliwy związek.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie wagę słów Janeckiego. Jeśli zdoła przekonać tego fotografa do udostępnienia mu zdjęć z otwarcia strzelnicy, będzie miał niezbity dowód powiązań Skibniewskiego z obecną władzą. Bo był pewien, że wiceministrowie nie otwierają każdej strzelnicy w Polsce, a już na pewno nie takiej oddalonej od Warszawy o blisko czterysta kilometrów.

Natychmiast usiadł przy laptopie i napisał do Olgi prośbę, aby wyciągnęła z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji informacje, ile razy w ostatnim roku przedstawiciele kierownictwa resortu uczestniczyli

w inauguracji działalności strzelnic z programu „Strzelnica w powiecie” i aby to samo pytanie zadała w MON.

A gdy już odpowiedzą, to zapytaj Rakowiecką, czy przedstawiciel ministerstwa był na otwarciu strzelnicy w Wolsztynie. Ale dopiero po ich odpowiedzi!!! – dopisał.

Pomyślał, że powinien ozłocić Janeckiego. Już samo to, że policyjne grupy antyterrorystyczne z całej Polski trenowały na strzelnicy akurat w Wolsztynie, świadczyło, że Zdzisław Skibniewski, ten gangster pracujący dla peerelowskiego wywiadu, ma bardzo dobre kontakty na Rakowieckiej. Albo jeszcze wyżej.



Dwa dni później Terlecki zaparkował na ulicy Kościelnej przed sklepem z odzieżą. Kwota, którą wrzucił do parkometru, wydała mu się śmiesznie niska i potwierdziła, że na prowincji życie jest jednak znacznie tańsze niż w Warszawie. Do otwarcia zakładu fotograficznego miał jeszcze kwadrans, więc przeszedł obok kościoła, zerkając na tablicę upamiętniającą księdza Franciszka Janickiego. Nadal wisiała. Za to tablicy z nazwiskiem prałata Arthura Sikory nie znalazł i wydało mu się to dziwne.

Fotografa nie było. Jego żona zapewniła, że zjawi się mniej więcej za godzinę, a później zauważyła, że dziennikarz przygląda się kolekcji starych aparatów. Robiła naprawdę imponujące wrażenie. Rafał przed laty interesował się fotografią i trochę o niej wiedział. Kobieta, dotąd traktująca go dość opryskliwie, spojrzała na niego przychylniejszym okiem.

– Wszystkie są w pełni sprawne, zresztą niektóre można wypożyczać. Proszę sobie wyobrazić, że w dobie fotografii cyfrowej jest wielu maniaków, którzy chcą robić zdjęcia

przedwojennym sprzętem. Długo nie mogłam tego zrozumieć, ale to jednak coś zupełnie innego. Taka fotografia wymaga skupienia, przygotowania i dużej wiedzy. Zresztą są przecież ludzie lubujący się w jeżdżeniu zabytkowymi samochodami, a to trochę podobne. Mamy klientów z Poznania, Wrocławia, Zielonej Góry, a ostatnio zdarzają się nawet z Berlina – zaznaczyła z dumą, a Terlecki zapytał, jak udało im się zgromadzić tak okazałą kolekcję.

– Musiała sporo kosztować – dodał, przypatrując się aparatom. Był tam zeiss IKON tessar, kodak retina compur i jego prostsza wersja kodak retinette, nawet jeden z modeli Agfy oraz kilka startów, pierwszych aparatów fotograficznych produkowanych w Polsce po drugiej wojnie światowej.

– Nie tak wiele. Większość odziedziczyliśmy po moim teściu, a niektóre podarowali nam mieszkańcy Wolsztyna. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku ojciec mojego męża przejął ten zakład po Niemcu. Pracował w nim zresztą jeszcze przed wojną i później całą okupację. Ten Niemiec nazywał się Helmut Geisler. Nim uciekł, wspólnie z moim teściem ukryli cały sprzęt w stodole jego mieszkającego w Chorzeminie brata.

– Kobieta podeszła do Terleckiego i wskazała leżący na górnej półce zgrabny srebrny aparat w czarnej obudowie z wybitym numerem seryjnym i wypisaną fantazyjną czcionką nazwą. – Tylko tę leicę dwa mąż niedawno kupił w internecie. To legendarny niemiecki aparat, pewnie pan o nim słyszał. Wielu amatorów tradycyjnej fotografii o niego pytało, więc mąż uznał, że kolekcję trzeba wzbogacić o ten model. Zdaje się, że kosztował krocie.

– To dziwne, że ten Niemiec miał amerykańską retinę, a nie miał leiki. Z tego, co wiem, w latach trzydziestych ten aparat był niezwykle popularny. Genialna konstrukcja jak na owe czasy –

zauważył Terlecki, a żona fotografa odpowiedziała, że Geisler był posiadaczem leiki II, ale pod koniec okupacji zaginęła.

– Niemiecka policja prowadziła nawet w tej sprawie śledztwo. I pewnie oskarżyliby teścia, w końcu był jedynym pracownikiem Geislera, a na dodatek Polakiem, ale akurat, gdy aparat zniknął, ojciec mojego męża przechodził zapalenie płuc i leżał w szpitalu. Gdyby nie to... – powiedziała zamyślona.

Czekanie w małym zakładzie nie miało sensu, więc Terlecki oznajmił, że wróci za godzinę, a tymczasem postanowił przespacerować się po centrum miasta. Zrobiło mu się jednak zimno, więc wszedł do Café de Paris. W oszklonej lodówce pyszniły się ciasta, wśród nich tort bezowy, ale zamówił tylko kawę.

Podchodząc do stolika, spojrzął przez oszkloną witrynę na ulicę. Przed kawiarnią powoli przejeżdżał wielki czarny SUV. Przysunął się do szyby. Tak, to był cadillac escalade, taki sam, jakim jeździł Maciej Sworowski, jeden z najbliższych pomagierów Skibniewskiego. Próbował dostrzec, kto siedzi za kierownicą, ale auto miało przyciemniane szyby. Wyteńczył wzrok, aby odczytać, czy na tylnej szybie pojazdu jest naklejka z napisem „I love Hollywood”, ale auto przyspieszyło i wymuszając pierwszeństwo, zniknęło za rogiem.

Zadzwoił do Borsuka.

– Zauważyłem, zresztą trudno było nie zauważyć. Sworowski podobno siedzi, więc wątpię, aby to był on – powiedział komandos.

– Z naciskiem na podobno. Skoro nie szukają Skibniewskiego, to mięśniak także może jest na wolności. W końcu lekarz mógł stwierdzić, że potrzebuje kilku miesięcy urlopu, bo zapadł na zdrowiu – odpowiedział Terlecki.

– Nie bardzo wierzę w przypadki, ale na pewno nikt cię nie śledził. Zauważyłbym. Musisz popytać o Sworowskiego. Na razie nie ma się co denerwować. Nawet jeśli to on, była to tylko demonstracja. Zachowajmy spokój. Poinformuję Wiesława – odpowiedział Borsuk.

Dziennikarz stracił ochotę na kawę. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że do spotkania został mu jeszcze kwadrans. Wysłał maile do Olgi i Cezarego z prośbą, aby w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej sprawdzili, czy Maciej Sworowski jest obecnie za kratkami, czy może jednak z jakichś powodów cieszy się wolnością.



Fotograf Antoni Grześkowiak okazał się wysokim mężczyzną o surowym obliczu, które rozjaśniło się natychmiast, gdy spojrzął na Terleckiego.

– Po pierwsze primo, chodził pan do szkoły z moim młodszym kuzynem Maciejem. Do podstawówki i później do liceum, mam rację? – zapytał, rozkładając ramiona i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Po drugie primo, załatwił pan tego skurwiela, który przez lata trząśł tym miastem. No i po trzecie tertio z przyjemnością oglądam w telewizji pańskie wywiady z politykami. Żądaj, mój luby, wszystkiego, co ci w duszy gra! Oddam ci wszystko z wyjątkiem żony i tej nowo kupionej leiki, bo kosztowała mnie ponad trzy tysiące euro. Zresztą jeśli chodzi o żonę, to możemy negocjować, bo choć to złota kobieta, to bywają chwile, gdy odzywa się w niej lwica. I taka chwila nadchodzi! Jak znam ją od czterdziestu dwóch lat, to zaryczy, gdy tylko jakimiś

niewiadomymi kanałami dotrze do niej informacja, ile za to cacko zapłaciłem.

Rubaszność fotografa, kontrastująca z jego surowym obliczem, zaskoczyła Terleckiego. Przyjechał tu z pesymistycznym założeniem, że jego prośba nie spotka się ze zrozumieniem, ale teraz w jego serce wlała się nadzieja. Strumień był lichutki, ledwie odczuwalny, ale był.

– Co właściwie pana do mnie sprowadza? – zapytał Grześkowiak, gdy znaleźli się na zapleczu zakładu fotograficznego. Mówiąc to, ze stojącej w aneksie kuchennym szafki wyciągnął butelkę calvadosu, co Terleckiego mile zaskoczyło. – Wolisz kawę czy to?

– Nie pytaj.

Antoni Grześkowiak napełnił kieliszki, a później rozsiadł się w wielkim, starym fotelu zupełnie niepasującym do tego ciasnego wnętrza.

– Twoje zdrowie! Mów, co cię do mnie sprowadza.

– Zdjęcia, które zrobiłeś na otwarciu strzelnicy. Nie samego obiektu, tylko oficjeli, którzy uczestniczyli w tej uroczystości – odpowiedział Terlecki, upijając spory łyk alkoholu.

– Jezu kochany, jak tu wszedłeś, byłeś strasznie spięty, więc myślałem, że chodzi ci o coś poważnego. Zaraz ci je zgram. – Fotograf zerwał się z fotela i sięgnął po laptopa. – Chcesz to wykorzystać? Mam prośbę. Nakarm moje ego i podpisz te zdjęcia, bo chcę, aby wszyscy wiedzieli, kto jest ich autorem.

Terlecki odstawił kieliszek, a później zaczął tłumaczyć Grześkowiakowi, że nie wszystkim się to spodoba i że nie ma na myśli wyłącznie Skibniewskiego, ale również przedstawicieli władzy.

– Gównu mnie ci ludzie obchodzą. Gównu! Powiem to tylko tobie: za komuny nie zawsze potrafiłem sprzeciwić się władzy. Bałem się i do dzisiaj to sobie wyrzucam. Ale czwartego czerwca roku pamiętnego obiecałem sobie, że to się już więcej nie powtórzy. Nigdy – powiedział z naciskiem. – Na pohybel!

Antoni Grześkowiak, zajęty wyszukiwaniem folderu zawierającego zdjęcia zrobione na otwarciu strzelnicy, kazał dziennikarzowi nalać kolejną porcję alkoholu, a później zajęli się przeglądaniem fotografii.

Rozdział 33

WOLSZTYN, 5 LISTOPADA 2019

Terlecki z niepokojem spoglądał na zegar umieszczony na samochodowym ekranie. Od zakończenia emisji reportażu minął już kwadrans, a telefon milczał. Po raz kolejny rozświetlił ekran smartfona i po raz kolejny z rozczarowaniem odłożył urządzenie. Z reguły jego materiały wywoływały jakiś rezonans, liczył na to również tym razem, ale nie było żadnego odzewu. Dopiero gdy minął Kuźnicę Zbąską, smartfon zasygnalizował przyjście kilku wiadomości.

Zaraz za wsią, na prostym odcinku drogi, zwolnił i zaczął je przeglądać. Otworzył esemesa od Bartka Nowickiego.

Od dzisiaj oglądaj się za siebie, nawet siedząc na własnym kiblu – przeczytał, a później zauważył nadejście wiadomości od córki.

Nie wiem jak innych, ale mamę przestraszyłeś śmiertelnie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu znowu sięgnęła po alkohol. Mówi, że albo on, albo ty. A ja myślę, że albo on, albo my.

Stracił ochotę na dalszą lekturę wiadomości. Przeszawił tryb na jazdę sportową i wcisnął pedał gazu. Samochód wystrzelił. Zwolnił dopiero na zakręcie przed Barłożnią, gdy z trudem udało mu się wyprowadzić pojazd z poślizgu. Ochłonął.

Anastazja miała rację.

Reportaż zatytułowany „Tajny, specjalnego znaczenia” przypomniawszy historię Zdzisława Skibniewskiego, a później krok po kroku udowadniał, że mimo zapewnień policja nie podjęła

żadnych działań, aby postawić przed sądem człowieka mającego na sumieniu wiele ofiar. Pośrednio także Jolantę Guzikiewicz, nastolatkę z Wolsztyna. Bezpośredni sprawca morderstwa siedział, a ten, który tę zbrodnię inspirował, cieszył się wolnością.

Terlecki wjechał do miasta, ale coś ciągnęło go w kierunku posiadłości Skibniewskiego. Z dużą prędkością pokonał wiadukt nad torami i zwolnił przy skansenie. W tym momencie zadzwonił Borsuk.

– Gdzie ty jedziesz, oszalałeś? – usłyszał w głośniku, ale nie odpowiedział i się rozłączył. Kilka dni temu Borsuk zainstalował w jego samochodzie nadajnik i za pomocą specjalnego programu monitorował jego trasy.

Skreślił w prawo i powoli zaczął sunąć w kierunku jeziora. Gdy wśród drzew dostrzegł zarys budynków, wyłączył światła i pozwolił bmw toczyć się po szutrowej drodze z minimalną prędkością. Widział tę sztuczkę w wielu amerykańskich filmach, ale ich bohaterów zawsze wspierał jasno świecący księżyc. Dzisiaj był schowany za chmurami i Terlecki pomyślał, że najwyraźniej księżyc rozkochał się w Teksasie, Utah i nawet Wyoming, a ziemię wolsztyńską traktował po macoszemu. Wsłuchiwał się w dźwięk wydobywający się spod kół, mając nadzieję, że przy tak minimalnej prędkości zdoła zareagować, gdy samochód zacznie zjeżdżać z drogi.

Z zamyślenia wyrwał go sygnał telefonu. Odrzucił kolejne połączenie Borsuka, ale chwila dekoncentracji spowodowała, że niemal uderzył w bramę posiadłości Skibniewskiego. Nacisnął hamulec, a później cofnął kilka metrów. Wokół panowała cisza.

Rozejrzał się. Teraz nie mógł się już wycofać. Zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma żadnej możliwości ucieczki, bo

wiodąca do posiadłości droga była tak wąska, że nie zdołałby zawrócić.

Albo on, albo ty. A ja myślę, że albo on, albo my.

Zatrąbił.

Gdy dźwięk umilkł, doszedł do wniosku, że zabrzmiało to zbyt nieśmiało. Ponownie nacisnął klakson, tym razem zdecydowanie i na długo. Gdy w końcu przestał, cisza wydała mu się jeszcze bardziej dojmująca niż wcześniej.

Minęło kilka minut. Już zamierzał ponownie nadusić klakson, gdy zauważył otwierającą się ostrożnie furtkę. W jego kierunku szedł mężczyzna skrywający się za mocnym światłem latarki. Gdy skierował ją nieco w bok, Terlecki dostrzegł, że drugi ochroniarz pozostał przy furtce. Dziennikarzowi wydawało się, że w opuszczonej wzdłuż ciała ręce trzyma pistolet maszynowy.

Zbliżający się mężczyzna nie miał broni, a przynajmniej nie w dłoni. Terlecki namacał smartfona i włączył nagrywanie, a później opuścił szybę.

– Muszę się zobaczyć z panem Skibniewskim – oświadczył, gdy ochroniarz zbliżył się do samochodu. Wydawał się zaspany, uniform miał wygnieciony.

– To musi pan szukać gdzie indziej. Tu go nie ma.

– Naprawdę muszę. To dla niego ważne, proszę mu przekazać...

– Panie, tłumaczę, że go tu nie ma! Wyjechał dawno temu. Odjedzie pan czy mam zadzwonić na policję?

W głosie mężczyzny nie było wahania i Terlecki uznał, że ochroniarz mówi prawdę. Nie miał stuprocentowej pewności, ale doszedł do wniosku, że pobyt w wolsztyńskiej posiadłości nawet jak na Skibniewskiego byłby zbyt bezczelny. Był ciekaw, czy w domu nie zapaliły się jakieś światła – dźwięk klaksonu

obudziłyby umarłego – ale budynek był zasłonięty przez wysoki mur i drzewa.

– Otworzyłby pan bramę i pozwolił mi zawrócić na dziedzińcu? Nie wiem, czy dam radę cofnąć taki kawał do asfaltu, droga jest wąska i boję się zakopać na tych podmokłych polach – prośba była naiwna i tak też została potraktowana.

– Proszę odjechać, bo wezwę policję – powtórzył mężczyzna.

– Niech pan przekaże Skibniewskiemu, że był Terlecki. Koniecznie! – krzyknął, wychylając głowę przez okno, i zaczął cofać.



Wiesław zadzwonił w momencie, gdy Terlecki przygotowywał sobie na śniadanie pikantną chińską zupkę kupioną wcześniej w Lidlu.

– Nie krzycz. Musiałem – rzucił w słuchawkę.

– Po tym wszystkim, co ci powiedziałem, zamarzyłeś o spotkaniu ze Skibniewskim?! Sam, w nocy, na jego terenie?! Pogięło cię? Co niby chciałeś osiągnąć? – wysyczał detektyw.

– To był impuls, kilka minut wcześniej...

– Impuls? Impulsami to ty się kieruj, jak chcesz bzyknąć jakąś panienkę, a nie gdy masz do czynienia z gangsterami. Jesteś niewyobrażalnie głupi. – Wiesław znowu podniósł głos.

Podczas pobytu w Warszawie mimo intensywnej pracy nad reportażem Terlecki zdołał się z Wiesławem spotkać. Tym razem jednak detektyw kazał mu przyjechać do parku Skaryszewskiego, a nie do snobistycznej restauracji St Antonio na Senatorską. Nie bardzo miał czas przebijać się na Pragę, ale Wiesław nalegał, a gdy parkował przy alei Zwierzynieckiej,

kazał mu zostawić telefon w samochodzie i podejść do muszli koncertowej.

Gdy się spotkali, detektyw ruszył w bardziej ustronne miejsce, nie odzywając się ani słowem, a później zapytał, czy dziennikarz zostawił telefon w samochodzie. Rafał potwierdził.

Był zniecierpliwiony, za niespełna dwie godziny miał nagranie, do którego musiał się jeszcze przygotować.

– I nie nagrywasz?

– Czy ja cię kiedyś nagrałem?

– Zawsze może być ten pierwszy raz. Ale to nie może być dzisiaj. Mam ci do przekazania bardzo ważne informacje. To wiedza operacyjna, bardzo gorąca, tylko do twojej wiadomości. Rozumiesz? – Wiesław spojrział na niego ponuro. Terlecki skinął głową. Napięcie w głosie detektywa spowodowało, że nagle zbliżające się nagranie przestało być tak ważne.

Wiesław odczekał, aż minie ich kobieta pchająca dziecięcą wózek, a później starszy mężczyzna uprawiający jogging. Mimo zimna biegł w krótkich spodenkach i koszulce, za to na głowie miał czapkę z logo Nike, a dłonie skrywał w rękawiczkach. Poruszał się powoli, ale Rafał pomyślał, że w jego wieku chciałby mieć taką kondycję i tyle samozaparčia.

Alejka była pusta. Dopiero trzysta metrów dalej na ławce siedziała para młodych ludzi. Oboje wpatrywali się w ekrany swoich smartfonów.

Wiesław mówił cicho.

– Na początku października do Polski wjechał Liam Horgan. To oczywiście fałszywe nazwisko, ale pod takim jest znany. To były żołnierz Special Air Service, brytyjskich sił specjalnych. Teraz jest wolnym strzelcem. Raczej wybitnym. Rozumiesz?

Terlecki spojrział na przyjaciela i zaprzeczył ruchem głowy.

– Co to ma wspólnego ze mną i moją sprawą? „Wolny strzelec”? Masz na myśli działającego na zlecenie zabójcę? Takiego jak w *Dniu szakala* grał Edward Fox?

– Podejrzewamy, że to on był wtedy nad jeziorem. Nie Fox naturalnie, ale Horgan. Naszych o jego przyjeździe do Polski poinformowali Brytyjczycy. Przez jakiś czas ci z kontrwywiadu go śledzili, ale im się urwał. Akurat szóstego października, więc mógł być wtedy w Kuźnicy. Monitoring na autostradowej bramce przed Poznaniem zrobił mu zdjęcie, choć nie ma stuprocentowej pewności, że to on, a później taki sam samochód zarejestrowała kamera przed Nowym Tomysłem. I jeszcze jedno. Horgan był motocrossowym wicemistrzem Wielkiej Brytanii.

Dochodzili do ławki, na której siedziała para nastolatków, i Wiesław nakazał Terleckiemu milczenie. Bez słowa przeszli ponad sto metrów.

Dziennikarz odezwał się pierwszy. Wątpił, aby Skibniewski wynajął takiego asa tylko po to, aby się zemścić. Terlecki był dość łatwym celem, do tego wystarczyłby jakiś rodzimy rzezimieszek. Może nie pierwszy lepszy, ale rodzimy.

– Dlatego sądzimy, że wdepnąłeś w jakieś międzynarodowe gównno. Sądzimy, że to nie Skibniewski gra tu pierwsze skrzypce, jest tylko małym, choć pewnie ważnym trybikiem. Na razie nie bardzo wiemy, o co chodzi, ale pracujemy nad tym – odpowiedział Wiesław. – Wywieźliśmy Anastazję i Ewę poza Warszawę. W tej chwili pewnie instalują się w domu na Podlasiu. Nie pytaj o nazwę miejscowości, bo ci jej nie podam. Ale zapewniam, że twoja córka i jej matka będą tam bezpieczne. Chronią ich ludzie nie tylko ode mnie.

Zbliżali się do alei Zwierzynieckiej i Terlecki zapytał, o co w tym wszystkim może chodzić. Wiesław nie umiał

odpowiedzieć.

– Ty mi to powiedz. Nadepnałeś komuś na odcisk i wydaje się, że jest to ktoś większy od Skibniewskiego.

Przeszli kolejnych pięćdziesiąt metrów, gdy Terlecki nagle się zatrzymał. Spojrzał na Wiesława Muszyńskiego.

– Powiedziałeś „sądzimy”. Kogo masz na myśli? Nie współpracuję i nie będę współpracował z ludźmi z MSWiA. Rozumiesz? Nie ufam im.

– Ale mnie wierzysz i ufasz? To dobrze. I dobrze wiesz, że też nie współpracuję z ludźmi ministra Kawińskiego. Zresztą to amatorzy. Harcerze. Ale w służbach uchowało się jeszcze trochę profesjonalistów, którzy też za tą ekipą nie przepadają. Im możemy zaufać.

Rozdział 34

CHORZEMIN, 14 GRUDNIA 1943

Bolesław Howański maszerował wzdłuż muru, stawiając długie, zdecydowane kroki. Było ciemno, ale po czterech wieczornych spacerach dokładnie już wiedział, którądy może iść. Pilnujący go żołnierz stał pod pałacem, paląc papierosa, i nie zwracał na niego uwagi. Howański zastanawiał się, czy zdołałby przeskoczyć mur i uciec, zanim tamten zrozumiałby, co się dzieje. Nie widział jednak sensu ucieczki. Był niemal pewien, że nawet gdyby udało mu się umknąć i znaleźć jakąś kryjówkę, to jego żona i syn trafiliby do obozu koncentracyjnego, a tam czekałaby ich niechybna śmierć.

Rozpoczął drugie okrążenie, gdy usłyszał ciche wołanie. Zwolnił i zerkając na wartownika, zbliżył się do miejsca, z którego dobiegał głos. Próbował poruszać się jak najciszej, ale mróz powodował, że śnieg skrzypiał mu pod butami.

– Jesteś Polakiem, prawda? Masz na imię Bolesław, wiem to od pracującej w pałacu posługaczki. Chcę cię o coś zapytać, możesz tutaj podejść? – usłyszał kobiecy głos.

Ceglany mur został w tym miejscu poważnie uszkodzony przez drzewo zwalone przez wicher lub burzę. Zapewne doszło do tego wczesną jesienią lub nawet latem, ale nikt się nie pofatygował, aby naprawić uszkodzenie. Nie dziwił się, ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie, nawet hrabina Daum.

Zobaczył kobietę, niespełna trzydziestoletnią. Jej włosy skrywała chusta, ale Howańskiemu zdawało się, że jest

brunetką. W świetle księżyca odbijanym przez śnieg dostrzegł duże oczy i zgrabny, mały nos. Kobieta przerzuciła przez mur niewielkie zawiniątko.

– Przyniosłam ci chleb i dwa ugotowane jajka. Jutro mogę przynieść więcej, ale mam pytanie. Był tu oficer, Müller, Alexander Müller. Nagle zniknął. Wiesz, co się z nim stało? – Bolesławowi wydawało się, że szept kobiety dociera aż do pałacu. Spojrzał w tamtym kierunku, ale wartownik czytał list. Howański przypuszczał, że dostał go niedawno od żony lub matki i zapewne zna już jego treść na pamięć.

– Faktycznie zniknął. W nocy. On, kilku żołnierzy oraz jeszcze dwaj oficerowie ponad tydzień temu pojechali gdzieś saniami, widziałem przez okno. Rano Müller już się nie pojawił. Więcej go nie widziałem – odpowiedział i zaraz dodał, że musi chodzić, aby nie wzbudzić podejrzeń wartownika. – Mam jeszcze dwa okrążenia, jak chcesz, to poczekaj.

Czekała. Howański powiedział, że nic więcej nie wie, ale jeśli jutro zjawi się w tym samym miejscu o tej samej porze, to być może będzie miał jej coś do przekazania. Był w dobrych stosunkach z niektórymi z pilnujących go na zmianę żołnierzy. Zakazano im wprawdzie rozmów z więźniem, ale przecież przez kilka tygodni wspólnego pobytu w Chorzeminie zrodziła się między nimi pewna więź.

– Ale chcę coś w zamian. Potrzebuję aparatu fotograficznego i przynajmniej dwóch, a najlepiej trzech rolek filmu. Zdołasz to zdobyć? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, ruszył dalej. Wydawało mu się, że zmarudził zbyt dużo czasu, a to mogło przyciągnąć uwagę pilnującego go żołnierza.

Podejmował wielkie ryzyko. Wątpił, aby dziewczyna była prowokatką wysłaną przez Beckera albo Hoffmanna, ale w każdej chwili mogła – choćby w zamian za jakieś informacje

o Müllerze – poinformować ich o jego prośbie. Mimo to nie wahał się. To była decyzja podjęta pod wpływem impulsu, ale podczas wczorajszej bezsennej nocy zrozumiał, że jest w posiadaniu wyjątkowo ważnych informacji. Dzisiaj były być może bezwartościowe, ale po wojnie mogą okazać się istotne.

Zdjęcia, które były w kopercie od Hoffmanna, nic mu nie mówiły. Patrzył na małe portretowe fotografie, zastanawiając się, czyje to twarze. Tylko jedna przykuła jego uwagę. Miał wrażenie, bardzo niejasne, że widział tego człowieka na zdjęciu w jakiejś gazecie przeglądanej w kantorku drukarni Helmuta Schneidera. Na tamtym zdjęciu mężczyzna stał obok Adolfa Hitlera. Nie miał stuprocentowej pewności, ale jednak sądził, że się nie myli.

Gdy po raz kolejny, i tego wieczoru już ostatni, mijał miejsce tajnej schadzki, usłyszał zapewnienie, że kobieta będzie na niego czekała za dwa dni w tym samym miejscu.

– Jestem Gertruda. Gertruda Geisler. Pomogę ci, ale ty musisz pomóc mnie.

Gdy doszedł do pałacu, szeregowiec Wehrmachtu cały czas z uśmiechem wpatrywał się w list i Howański doszedł do wniosku, że zapewne dostał go nie od matki ani żony, ale od dziewczyny.



Po powrocie do ulokowanego w piwnicy pokoju zaczął uważnie lustrować ściany. Musiał znaleźć miejsce, w którym da się ukryć trzy rolki filmu fotograficznego. Wreszcie wynalazł jakąś obluzowaną cegłę, którą, jak przypuszczał, przy odpowiedniej dozie ostrożności i cierpliwości da się wyciągnąć. Później będzie ją musiał tylko skrócić, umieścić za nią rolki

filmu i jakoś zamaskować to miejsce. Był pewien, że Niemcy tej skrytki nie dostrzegą.

Jeszcze w nocy wszystko dokładnie zaplanował. Zrobi zdjęcia gotowych paszportów z nazwiskami i fotografiami ich przyszłych posiadaczy, a filmy ze zdjęciami ukryje. W stosownym momencie włamie się do piwnicy, aby je wydobyć. Początkowo planował, że schowa rolki podczas spaceru, w skrytce wykopanej w ziemi, ale doszedł do wniosku, że wilgoć mogłaby zniszczyć klisze.

Nie był znawcą sztuki fotograficznej, ale jednak, skoro pracował w drukarni, miał z nią trochę styczności. Kiedyś, jeszcze przed wojną, Schneider pożyczył mu aparat, bo wraz z Józią zapragnęli zrobić zdjęcia małego Kazika. Gdy później wywołał film w zakładzie fotograficznym przy ulicy Poznańskiej, właściciel drukarni śmiał się, że niewiele na tych zdjęciach widać, bo były bardzo ciemne, ale oni i tak byli zachwyceni. Helmut Schneider dobrotliwym głosem wyjaśnił mu wówczas, co powinien był zrobić, aby obraz był wyraźniejszy. Miał nadzieję, że dobrze tę lekcję zapamiętał.

Gdy to wszystko planował, nie miał pojęcia, jak zdobyć aparat fotograficzny, i to przede wszystkim zaprzętało jego myśli. W końcu doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Pojawienie się dziewczyny dawało cię szansy. Tym większy, że akcent Gertrudy – zapamiętał, że miała na imię Gertruda, ale nazwisko mu umknęło – wskazywał, że jest Niemką. To zwiększało szansę na powodzenie jego planu, bo wczesną jesienią trzydziestego dziewiątego wydano Polakom nakaz oddania wszystkich aparatów fotograficznych. Howański przypuszczał, że nie wszyscy się do tego zastosowali, był tego nawet pewien, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Liczył, że Gertruda ma aparat lub będzie mogła go zdobyć.

Mieli się spotkać za dwa dni. Na razie wykonał pięć paszportów, jutro planował zrobić kilka kolejnych, ale teraz postanowił, że odłoży to na później i nazajutrz zajmie się drukowaniem. Tymczasem zaczął się uczyć na pamięć wszystkich informacji z gotowych już dokumentów, bo obawiał się, że rano Becker albo Hoffmann mogą zażądać ich wydania, a wówczas jego kartoteka okaże się niepełna.

Gdy wreszcie się położył, zaczął się zastanawiać, po co właściwie Niemcom te paszporty. Argentyna? Niewiele wiedział o tym kraju. Przez jakiś czas roił sobie, że Niemcy planują przerzucić tam grupę żołnierzy, aby zaatakowali Stany Zjednoczone, ale doszedł do wniosku, że to kompletna bzdura. Z mapy, którą kiedyś drukowali, zapamiętał, że Argentyna leży bardzo daleko od granic USA. W tej ocenie utwierdziły go jeszcze daty urodzenia i zdjęcia osób, dla których sporządzał paszporty. Większość z nich miała ponad czterdzieści lat, a tacy ludzie nie nadają się do brawurowych wojskowych akcji. No i łącznie miał wykonać zaledwie sześćset czterdzieści trzy paszporty. Z tego, co wiedział, Stany Zjednoczone są większe niż Europa, nie da się opanować tak wielkiego kraju przy pomocy sześciuset czterdziestu trzech nawet najlepiej wyszkolonych żołnierzy. Tego był pewien.

Obudziło go walenie do drzwi. Zerwał się z łóżka.

– Bolesław, krzyczysz, jakby cię ze skóry obierali. Co się stało? – usłyszał Kurta, żołnierza Wehrmachtu, tego samego, który pilnował go podczas ostatniego spaceru.

Wymamrotał, że nic, że musiało mu się coś przyśnić, a później powtórzył to głośniej i podszedł do drzwi.

– Obudziłeś mnie – powiedział Niemiec z wyrzutem.

– Przepraszam, widocznie śniło mi się coś strasznego. Dasz papierosa? Zauważyłem, że dostałeś jakiś list, powiesz mi, od

kogo?

– Od Helgi, to moja dziewczyna. Kochamy się. Mieszka w Stummie i jest córką bogatego gospodarza. Spotykaliśmy się, chciałem, nadal chcę, się z nią ożenić. To dobra dziewczyna i bardzo mi się podobała, ale jej rodzice, zwłaszcza ojciec, nie bardzo mnie lubią. No wiesz, oni są bogaci, a ja pochodzę z biednej rodziny. U was w Polsce też tak było?

Howański potwierdził, a później zapytał, gdzie leży Stumm, bo nazwa nic mu nie mówiła.

Rozmawiali tak przez niemal kwadrans, gdy Bolesław usłyszał cichy zgrzyt otwieranego zamka. Kurt uchylił drzwi i podał mu zapalonego już papierosa, a później, z wahaniem, metalowy żołnierski kubek.

– Masz, to miejscowy bimber. Dobry. Nie taki jak nasz, ale da się przełknąć. Wypij i oddaj.

Howański wlał alkohol w usta i zaciągnął się papierosem.

– Dobry, dziękuję.

– Musiałbyś przyjechać do nas i spróbować naszej wódki. Ale to chyba niemożliwe. – Zreflektował się i zatrzasnął drzwi.

Bolesław Howański poczuł, że musi podtrzymać rozmowę. To była szansa, aby dowiedzieć się czegoś o Alexandrze Müllerze. Niestety, Kurt wiedział niewiele. Potwierdził tylko, że nie widuje oficera od kilku dni.

– Miałem wówczas nocną służbę. Zrobiło mi się żal koni, były całe mokre, a w Stummie mamy konie, tylko inne, bo w górach chabeta musi być silniejsza. Więc obudziłem Wilhelma, nakarmiliśmy je i okryliśmy, aby nie zmarniały. Więc wiem, że Müller tej nocy nie wrócił do pałacu. Chcesz jeszcze papierosa i bimbru?

Chciał. Alkohol nie bardzo mu smakował, ale wiedział, że to jedyna możliwość, aby się czegoś dowiedzieć. Niestety, Kurt nie wiedział, dokąd tej nocy wybrali się strzelcy alpejscy i dlaczego Müller z tej wyprawy nie wrócił.



Gertruda czekała. Gdy pierwszy raz mijał wyrwę w murze, zapewniła go, że ma ze sobą aparat, leicę II, oraz aż trzy filmy, ale najpierw Bolesław musi jej opowiedzieć wszystko, czego dowiedział się o Müllerze.

Taką samą leicę pożyczył mu kiedyś właściciel drukarni. Podniecony przyspieszył kroku i potknął się o leżącą na śniegu gałąź. Przewrócił się, zwracając uwagę wartownika, którym dzisiaj był jakiś starszy żołnierz, nieustannie palący papierosy.

– Potknąłem się. To zmęczenie, przepraszam – krzyknął Howański, nieudolnie dźwigając się ze śniegu, czym wywołał śmiech Niemca.

Gdy Bolesław ponownie wrócił w rejon uszkodzonego muru, szeptem zaczął przekazywać całą wiedzę na temat Müllera. Niewiele tego było, więc dla większego efektu dodał, że żołnierze podejrzewają, że oficer został zabity.

– Wiesz, gdzie wtedy pojechali? – zapytała Gertruda i Howański usłyszał w jej głosie napięcie.

Zaprzeczył i szybko ruszył do przodu. Miał przed sobą jeszcze trzy okrążenia i zastanawiał się, czy dziewczyna rzeczywiście ma ze sobą aparat oraz filmy. Nie miał powodu, aby jej nie wierzyć, ale jednak...

Gdy po raz trzeci, przedostatni tego dnia, dotarł do miejsca ich schadzki, panowała tam kompletna cisza. Szeptem próbował wywołać dziewczynę, ale nie odpowiedziała. Nagle zauważył

leżące na śniegu zawiniątko, więc pochylił się nad nim, spoglądając w kierunku wartownika, i błyskawicznym ruchem podniósł niewielki pakunek. Chowając je pod płaszczem, wyczuł jakiś twardy przedmiot. Miał nadzieję, że to rzeczywiście leica.

To była leica. Bolesław Howański zamknął oczy i uniósł głowę. Próbował sobie przypomnieć lekcję udzieloną mu przed laty przez Helmuta Schneidera. Otworzył aparat i wsadził do niego film. Ręce mu drżały, ale uporał się z tym dość sprawnie. Włączył stojącą na stole lampę, która dawała mocne światło niezbędne przy fałszowaniu dokumentów, i krzyknął do pilnującego go Niemca, że zamierza jeszcze pracować, a później zaczął robić zdjęcia gotowych już dokumentów. Wydawało mu się, że w panującej wokół ciszy trzask migawki brzmi jak wystrzał z karabinu, ale najwidoczniej wartownik niczego nie słyszał.

Zrobienie zdjęć pięciu gotowych już argentyńskich paszportów zajęło Bolesławowi Howańskiemu więcej czasu, niż przewidywał, bo ręce drżały mu ze zdenerwowania. Pomyślał, że wypity wczoraj bimber dzisiaj przydałby się bardziej. I papieros, przede wszystkim przydałby mu się papieros...

Rozdział 35

OKOLICE WOLSZTYNA, 27 GRUDNIA 1943

Ernst sprężystym krokiem wbiegł po schodach pałacu w Chorzeminie z dużym bukietem róż i został wprowadzony do salonu. Nie minął nawet kwadrans, gdy w drzwiach stanęła ubrana w długą rubinową suknię hrabina Anna Daum. Ernst wręczył jej kwiaty, zaznaczając, że przywiózł je prosto z Berlina.

Hrabina skinęła głową i wskazała fotel, a chwilę później na niskim stoliku pojawiły się filiżanki, kieliszki do koniaku oraz karafka i dzbanek z kawą.

– Czemuż zawdzięczam ten piękny bukiet? Jestem czuła na kwiaty, zwłaszcza na róże, ale wystarczająco stara, aby zdawać sobie sprawę, że nie jest to dowód uznania dla mojej urody. Kiedyś tak, owszem, ale już nie dzisiaj. – Hrabina pochyliła się nad stołem, aby nalać kawę, a później spojrzała na Beckera.

– Pozwoli pani – powiedział i napełnił kieliszki koniakiem.

– Odrobinę za dużo, pragnę zauważyć. Żałuję, że dzisiaj w szkołach oficerskich nie uczą już kindersztuby. Szkoda, bo to kiedyś wyróżniało niemieckich oficerów – stwierdziła i sięgnęła po papierosa, umieszczając go w długiej czarnej lufce. Becker zerwał się z fotela i podał hrabinie ogień. – A wracając do mojego pytania?

Pułkownik Becker usiadł w fotelu. Miał ochotę sięgnąć po kieliszek – wcale nie uważał, że napełnił go zbyt dużą ilością alkoholu – ale coś mu mówiło, że zasady obowiązujące w tym

dziwnym świecie pruskiej szlachty nakazują, aby poczekać, aż kobieta zrobi to pierwsza. Zamiast tego wsypał do kawy odrobinę cukru i zaczął delikatnie mieszać, uważając, aby nie uderzyć w ścianki naczynia i nie uronić na talerzyk choćby jednej kropli. Gdy odłożył łyżeczkę, oznajmił, że ich misja dobiega końca.

– W ciągu tygodnia opuścimy pałac. Ten bukiet proszę potraktować jako wyraz wdzięczności za pani pomoc. Generał von Finckenstein żałuje, że nie może uczynić tego osobiście, ale prosił, abym przekazał pani wyrazy serdecznych podziękowań za to, że przez tak długi czas poświęcała się pani dla Niemiec.

Hrabina sięgnęła po kieliszek i Becker odetchnął z ulgą. W jej towarzystwie czuł się skrępowany i onieśmielony. Zupełnie jak wtedy, gdy ojciec woził go do Wolsztyna, do emerytowanej guwernantki mieszkającej przy Kirchstrasse, która udzielała mu dodatkowych lekcji matematyki. W jej mieszkaniu pachniało naftaliną, dyscypliną i krępującymi manierami.

Hrabina wstała i podeszła do wysokiego okna wychodzącego na park. W jednej ręce trzymała koniak, w drugiej papierosa w lufce.

– Och, generał von Finckenstein. Kiedyś się w nim kochałam. Nie powinnam się do tego przyznawać, to było wiele lat temu, ale dzisiaj... Jakie to ma dzisiaj znaczenie? Dzisiaj, gdy nasz świat zbliża się do katastrofy. Bo zbliża się, prawda, panie pułkowniku?

Becker wiedział, że powinien zaprzeczyć, że być może hrabina tego zaprzeczenia oczekuje, nawet wymaga. Ale nie potrafił. Milczał.

– Niemcy... Cóż, Niemcy dobiegają swoich dni. Nie dlatego, że przegrywają wojnę, Niemcy przegrywały wiele wojen, ale trwały. Odbudowywały swoją potęgę i znowu wszczynały wojny.

Problem w tym, że teraz Niemcy przegrywają wojnę z Czerwoną Rosją. – Anna Daum postawiła swój kieliszek na stoliku, a potem usiadła w fotelu. Spojrzała na Beckera przenikliwym wzrokiem.

Zaczęła mu opowiadać o rewolucji bolszewickiej, o śmierci rodziny carskiej, palonych dworkach i pałacach, rozczłonkowanym ciałach właścicieli, gwałceniu córek, żon, nawet starych matron. Mówiła, że od tego czasu minęło blisko trzydzieści lat, ale ona nie ma złudzeń, że Czerwona Rosja zarzuciła tamte praktyki. Raczej, że bardziej się w nich zatraciła.

– Tutaj będzie podobnie, tylko gorzej. Gorzej, bo do tego okrucieństwa rosyjskiej tłuszczy zostanie dołożona, zresztą w pełni uzasadniona i zrozumiała, chęć zemsty za te wszystkie straszne rzeczy, które niemiecka armia robiła w Rosji. Więc, panie pułkowniku, mam do pana pytanie. Czy generał von Finckenstein, ten mój niegdysiejszy kochanek, przewidział dla mnie jeszcze jakąś rekompensatę za moje poświęcenie dla Niemiec, czy zamierza poprzestać na tym gównianym, więdnącym bukiecie?

Becker patrzył na hrabinę zszokowany. Jednym haustem opróżnił kieliszek i nalał kolejną porcję. Wymienił kwotę i poczuł na sobie uważne spojrzenie hrabiny.

– Rozmawiamy, mam nadzieję, o dolarach? Wie pan, panie pułkowniku, w tym przyszłym świecie, w którym Niemiec już nie będzie, reichsmarki nie będą jakoś szczególnie pożądaną walutą – powiedziała, przywołując na twarz swój miły uśmiech, który do tego dnia cały czas gościł na jej twarzy.

Gdy schodzili po schodach pałacu, Anna Daum oparła się na ramieniu oficera SD. Podeszli do stojącego na podjeździe samochodu.

– Mam jeszcze jedną, małą prośbę do pana, panie pułkowniku. Ten Polak, Bolesław... To miły człowiek i chciałabym, aby go pan nie zabijał. Mówiąc precyzyjnie, chciałabym, aby przeżył tę straszną wojnę. Proszę mi wierzyć, bardzo mi na tym zależy i jestem gotowa zapłacić za to godziwą cenę – wyszeptała. A później, gdy Becker otworzył drzwi mercedesa, dodała: – Rozmawiałam z nim kiedyś. Nigdy nie słyszałam, aby jakkolwiek mężczyzna, a proszę mi wierzyć, że znałam ich wielu, z taką miłością mówił o swojej rodzinie. Być może dzięki takim ludziom nasza cywilizacja jednak przetrwa.

Becker wszedł do samochodu i przekręcił kluczyk. Chciał stąd jak najszybciej wyjechać, ale hrabina podeszła do drzwi i uśmiechając się, zapukała w okno. Ernst opuścił szybę.

– Mam nadzieję, że doszliśmy do porozumienia, panie pułkowniku – powiedziała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do pałacu. Gdy Becker wyjechał za bramę, dostrzegł jeszcze znikającą za drzwiami rubinową suknię dziedziczki Chorzemina.



Na zakręcie przed zawieszonym nad torami wiaduktem wpadł w poślizg, ale w ostatniej chwili udało mu się zapanować nad samochodem. Zwolnił, ale wściekłość go nie opuszczała, więc gdy tylko dostrzegł prosty odcinek drogi, przyspieszył, zmuszając mercedesa do maksymalnego wysiłku. Skręcając w lewo, ściał zakręt, przejechał most na Dojcy, a później gwałtownie zahamował przed budynkiem Höhere Knabenschule. Wysiadając z mercedesa, sięgnął po papierosy.

Miał te dolary, leżały w torbie umieszczonej w bagażniku. Najwyraźniej stary von Finckenstein dobrze znał swoją dawną

kochankę. Ernst liczył jednak, że jeśli zagra na patriotycznej nucie, zdoła te pieniądze zaoszczędzić dla siebie. Bardzo na to liczył. Tym bardziej że Oskar nic o nich nie wiedział i nigdy nie miał się dowiedzieć.

Oparł się o maskę samochodu, patrząc na wielki szary gmach. Teraz, gdy zapadał zmrok, budynek jego dawnej szkoły wydał mu się ponury, ale przecież lata, gdy się tutaj uczył, należały do najlepszych, a na pewno najbardziej szczęśliwych i najweselszych. Jakie w końcu miał wówczas problemy? Kłopoty z matematyką, z tym kłopoty miał zawsze i dodatkowe lekcje z emerytowaną guwernantką nic tu nie zmieniły, nieodrobione zadania domowe, drwiny kolegów, gdy podczas zajęć wychowania fizycznego źle się ustawiał, więc w efekcie piłka palantowa uderzała w ziemię ledwie kilka metrów przed nim. Wydawało mu się wówczas, był tego pewien, że dorosłość rozwiąże wszystkie jego problemy, a tymczasem to dopiero ona objawiła przed nim całe życiowe okrucieństwo.

Wrócił myślami do niedawnego toastu wzniesionego w chorzemińskim pałacu przez Oskara: „Czas zacząć argentyńskie tango. Panowie Becker i Hoffmann wyruszają na podbój nowego kontynentu i żegnają tę skundloną starą Europę, która zamyka się w żelaznym uścisku Sowietów”. Wtedy te słowa bardzo mu się spodobały, dzisiaj wcale nie był już ich tak pewien.

W Berlinie odbył z Obergruppenführerem Kaltenbrunnerem długą rozmowę, podczas której szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy jeszcze raz przedstawił mu ideę budowy Czwartej Rzeszy. Gdy tego słuchał, wpatrując się w potężnie zbudowanego, mierzącego ponad dwa metry wzrostu szefa RSHA, z twarzą upstrzoną śladami po ospie i biegnącą od lewego ucha aż do wąskich ust blizną, był przekonany, że ten

plan musi się zakończyć sukcesem, a on będzie miał w tym sukcesie bardzo znaczący udział. Małe niebieskie oczy – w Berlinie szeptano, że Obergruppenführer przeszczepił sobie gałki oczne od żmii, bo jego wzrok paraliżował rozmówcę – płonęły takim żarem, że Becker nie miał najmniejszych wątpliwości. Teraz jednak, gdy stał przed swoją dawną szkołą, gdy myślał o swojej matce i ojcu, których będzie musiał zostawić na pastwę najpierw Gestapo, a później, jeśli przeżyją, sowieckiej armii, wcale nie był tego pewien.

Pomyślał o Klarze i swoich dwóch synach. Był czas, gdy rodzina była dla niego najważniejsza, ale w jakiś niezauważalny sposób zaczęło się to zmieniać. Najpierw wygasła miłość do Klary, to stało się dość szybko, ale z czasem wojna przytłumiła również jego ojcowskie uczucia. Zbyt wiele czasu spędzał w pracy, próbując zapewnić Niemcom panowanie nad światem. Od kilku tygodni zastanawiał się, czy powinien zabrać ze sobą rodzinę. Mógł zażądać, by Howański sfalszował trzy dodatkowe paszporty, nie stanowiło to najmniejszego problemu, podobnie jak wymuszenie na współpracownikach biskupa Hudala trzech dodatkowych miejsc na statku. Nie był tylko pewien, czy tego chce. Ale czy mógł ich tutaj zostawić? Jeśli diagnoza Kaltenbrunnera była prawdziwa, w ciągu najbliższych dwóch lat Sowietci zawładną Europą. Jego synowie, nawet jeśli przeżyją, staną się niewolnikami. A Klara, w najlepszym przypadku, zostanie seksualną niewolnicą.

Jeszcze raz spojrzął na budynek swojej dawnej szkoły, a później usiadł za kierownicą i pojechał do kasyna. Musiał podjąć decyzję w sprawie Anny Daum. Musiał znaleźć taki sposób jej zabicia, który nie wzbudzi żadnych podejrzeń. I uwolni go od tej głupiej, wymuszonej obietnicy zachowania Howańskiego przy życiu. Polak musiał zginąć. Zbyt wiele wiedział.

Rozdział 36

BORUJA, 8 LISTOPADA 2019

Rafał Terlecki zaparkował przy plaży i wolnym truchtem zbiegł na brzeg Jeziora Kuźnickiego, w którego drobnych falach odbijało się zimne światło porannego słońca. Jeszcze niedawno, mniej więcej dziesięć lat temu, wraz z kuzynkami oraz Anastazją spacerowali po skutym wówczas mrozem jeziorze, popijając wódkę z zapobiegliwie przygotowanych piersiówek. W tym roku, podobno już po raz kolejny, jezioro nie zamarzło.

Zamoczył dłonie w zimnej wodzie, przetaił twarz, odganiając resztki snu, i zaczął biec, szybko pokonując wzniesienie. Gdy znalazł się na polnej drodze, wyrównał oddech i przyspieszył. Zdawał sobie sprawę, że długo tego tempa nie wytrzyma, ale intensywny bieg najskuteczniej oczyszczał myśli. Zwolnił, dobiegając do domu wczasowego Oaza, i skupił się na planowaniu popołudniowego spotkania. Teraz, gdy zgodnie z poleceniem szefa zrobił reportaż o zaniechaniu poszukiwań Zdzisława Skibniewskiego przez policję i jego dziwnych powiązaniach z MSWiA, chciał się skoncentrować na rozwikłaniu wojennych losów Bolesława Howańskiego i liczył, że dzisiejsza rozmowa trochę go do tego przybliży. W Warszawie trwała wprawdzie burza wywołana ujawnionymi przez nich faktami, ale wymógł na Hallmannie obietnicę, że tym zajmą się Olga i Cezary.

Podczas spotkania w Forni Rossi o to nie zapytał, ale dzięki uprzejmości Zenona Olszańskiego wiedział już, jak nazywała się

rodzina Manfreda Richtera, dawnego kancelisty Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, który w latach sześćdziesiątych przyjechał do Wolsztyna, przywożąc rodzinie najnowsze numery „Burdy”, kawę i używaną marynarkę dla swojego krewniaka. Mężczyzna nie żył, ale jego żona nadal cieszyła się dobrym zdrowiem. Był z nią umówiony na szesnastą.

Minął kemping, na którym nie tak dawno spędził wiele tygodni, tropiąc Zdzisława Skibniewskiego, i znowu przyspieszył. O tej porze roku letniskowe domki stały opuszczone. Cisza była tak dominująca, że chwilami słyszał jedynie własny oddech i plusk fal. Nagle ta sceneria zaczęła mu przypominać amerykańskie filmy grozy i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że od rozpoczęcia joggingu nie spotkał ani jednego człowieka. Zdenerwowany spojrzął za siebie, ale nie dostrzegł Borsuka i to wywołało w nim jeszcze większy niepokój.

Dobiegając do drewnianego kiosku, w którym latem serwowano całkiem przyzwoitą pizzę, zaczął się zastanawiać, czy nie skręcić do Borui, ale postanowił trzymać się planu. Minął kolejne kempingi, potem dziką plażę i wbiegł na drogę prowadzącą przez las. Spojrzął na stoper. Miał przyzwoity czas, ale czuł się na tyle dobrze, że znowu przyspieszył.

Spory obszar lasu po lewej stronie został wycięty i najwyraźniej stało się to niedawno. Zaskoczyło go to, ale dodało otuchy. Po rewelacjach Wiesława naprawdę się bał. Przypomniawszy sobie zimny dotyk noża na gardle na niedalekim cyplu i przeszedł go dreszcz.

Przez chwilę zastanawiał się, gdzie podziewa się Borsuk, a później skupił na biegu, gdy nagle kątem oka dostrzegł jadący równoległe do niego duży ciemny samochód. Poruszał się leśną

drogą oddaloną od niego najwyżej o dwieście metrów. Cadillac escalade, Terlecki nie miał wątpliwości.

Gdzie ten pierdolony Borsuk? – pomyślał, a później gwałtownie skręcił na karczowisko i zaczął biec w kierunku SUV-a. Ziemia była rozmiękła, więc jego stopy zapadały się w błocie, spowalniając ruchy. Przemknęło mu przez myśl, że musi wyglądać komicznie, gdy nagle potknął się i upadł, w ostatniej chwili amortyzując uderzenie o ziemię instynktownie wyciągniętymi przed siebie rękoma. Gdy próbował wstać, pojazd na chwilę się zatrzymał, a później gwałtownie ruszył i zniknął za drzewami.

– Po coś go, kurwa, gonił? Chciałeś być jak Tom Cruise z *Mission Impossible* czy jak Clint Eastwood *Na linii ognia*? – Borsuk stał nad nim, opierając ręce na udach, i ciężko dyszał.

– Będiesz się teraz popisywać znajomością historii filmu czy pomożesz mi wstać? – zapytał Rafał, wycierając twarz z błota i próbując przypomnieć sobie rozmowę z Wiesławem w parku Skaryszewskim. Z informacji uzyskanych przez Olgę w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej wynikało, że Maciej Sworowski cały czas jest ich pensjonariuszem, więc Rafał zastanawiał się, czy w takim razie za kierownicą SUV-a nie siedział Liam Horgan, były żołnierz SAS. Detektyw powiedział mu, że Horgan został sfotografowany w samochodzie, ale chyba nie wymienił jego marki.

Gdyby to od niego zależało, wybrałby Sworowskiego.

Borsuk zdecydował, że zamiast, jak wcześniej planowali, obiegać jezioro, wrócą tą samą drogą. Gdy dotarli do plaży, zauważyli dwa wozy strażackie, karetkę pogotowia i policyjny radiowóz. Terlecki podszedł do policjanta, a ten zażądał od niego dokumentów. Nie mieli ich, więc kazano im czekać. Gdy nad jeziorem zjawił się oficer policji, złożyli wstępne zeznania

i obiecali, że w ciągu dwóch godzin pojawią się na komendzie z dokumentami.

– Co właściwie się stało?

– Znaleźliśmy ciało kobiety, zdaniem lekarza mniej więcej trzydziestoletniej – odpowiedział.

– Jak ktoś mógł się utopić w jeziorze o tej porze roku?

– Nie utopiła się. Ktoś wcześniej odciął jej głowę, a ciało wrzucił do wody.

Rozdział 37

WOLSZTYN, 8 LISTOPADA 2019

Powoli wdrapywał się na drugie piętro bloku przy ulicy Konopnickiej w Wolsztynie. Po porannej pogoni przez karczowisko bolał go staw skokowy. Gdy wreszcie dotarł przed drzwi Zofii Jaworskiej, poprawił celofan na bukietcie pięciu czerwonych róż i nacisnął dzwonek. Rozległo się niemrawe poszczekiwanie psa, a później drzwi się uchyliły i dziennikarz przywołał na twarz swój najlepszy uśmiech.

– Oj, Terlecki, figlarzu jeden. Miło mi cię widzieć żywego. Chciałam powiedzieć „na żywo”, bo przez te wszystkie lata oglądałam cię tylko w telewizji. – Starsza kobieta w eleganckiej granatowej sukni, ze starannie upiętymi siwymi włosami, otworzyła drzwi szerzej i pochyliła się, aby przytrzymać psa. – Tobiś, zostaw naszego gościa. Wejdz szybko, bo ucieknie. Nie rozumiem, dlaczego wiecznie próbuje uciec, bo przecież opiekuję się nim najlepiej, jak umiem. Nie bój się, nie gryzie.

Czarny sznaucer obwąchał mu nogi, a gdy Rafał pochylił się, aby go pogłaskać, poczuł nieprzyjemny zapach z jego pyska.

– Tobiś, idź ty się już połów – powiedziała kobieta, a Terlecki wręczył swojej byłej nauczycielce kwiaty – w szkole podstawowej Jaworska uczyła go zajęć plastycznych – i został wprowadzony do pokoju. Na niskiej ławie, z pewnością pamiętającej jeszcze czasy Gierka, stał sernik i zastawa z duraleksu.

– Sama upiekłam, a teraz już rzadko to robię. Więc, młody człowieku, nie waż się nie spróbować. I żeby czasem nie przyszło ci do głowy się nie zachwycać! Zaraz podam kawę – oświadczyła z uśmiechem i nagle się zatrzymała. – Pewnie nie powinnam ci mówić na ty, przepraszam. Jesteś teraz sławnym człowiekiem, ale to takie belferskie przyzwyczajenie.

Rafał zaprzeczył, unosząc obie ręce.

– Nie, to bardzo miłe. Dzięki temu czuję się młodziej. Może pomogę?

– Ani mi się waż! Jestem już stara, ale nadal na chodzie. Piękne kwiaty. Usiądź, zaraz wracam – powiedziała i podreptała do kuchni. Tobiś pochrapywał na dywanie.

Pierwszy kwadrans wizyty zajęły im rytualne rozmowy o zdrowiu, karierze Terleckiego i wspomnienia zajęć plastycznych w szkole podstawowej. W końcu Rafał postanowił przejść do rzeczy.

Słyszając pytanie o Manfreda Richtera, nauczycielka uniosła głowę i zaczęła intensywnie wpatrywać się w sufit, mrużąc oczy. Przypomniła sobie, że przed laty czasem tak samo robiła podczas lekcji.

– Nie jestem tego już dzisiaj pewna, ale po raz pierwszy Manfred chyba przyjechał w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Wtedy go poznałam. Mąż znał go z czasów wojny, wychowywał się u Richterów, gdy jego rodzina została wywieziona do Generalnej Guberni. Manfred był bardzo miły. No i szczodry, później regularnie przysyłał nam paczki, co jak wiesz, miało wówczas spore znaczenie. Ale o co właściwie chodzi, dlaczego interesuje cię wizyta Manfreda? – zapytała, uważnie mu się przyglądając.

Pochylił się do przodu i spojrzał nauczycielce prosto w oczy. To był najtrudniejszy moment. Od tego zależało, czy podczas

tego spotkania uda mu się coś osiągnąć.

Zaczął tłumaczyć, starannie dobierając słowa. Gdy skończył, Zofia Jaworska znowu wpatrzyła się w sufit, mrużąc oczy.

– Nie chce mi się wierzyć, że Manfred był nazistą. To porządny człowiek, bardzo nam pomagał, pożyczył nawet pieniądze na zakup malucha. Marki, wtedy to były jeszcze marki. Mąż musiał później pojechać do Poznania i sprzedać je konikowi – powiedziała w zamyśleniu.

– Cinkciarzowi. Koniki sprzedawały bilety do kina – poprawił ją.

– No, tak, rzeczywiście. Cinkciarzowi – przyznała. – Baliśmy się, że nas oszukają, to było dużo pieniędzy. Ale okazali się uczciwi.

Zamilkli. Jaworska cały czas w zamyśleniu patrzyła w sufit. Pies się przebudził i głośno sapiąc, podszedł do kanapy. Próbował na nią wskoczyć, ale najwidoczniej był już na to za stary. Kobieta spojrzała na niego ze współczuciem i próbowała mu pomóc, ale Tobiś był zbyt ciężki. Terlecki zerwał się z fotela i uniósł staruszkę, a ten zwinął się w kłębek i natychmiast zasnął. Nauczycielka pogłaskała go z czułością, której u niej nie podejrzewał.

– Lubisz psy? – zapytała, a gdy potwierdził skinieniem głowy, powiedziała, że starość nie udała się Panu Bogu ani w odniesieniu do ludzi, ani do zwierząt.

Nagle wstała z kanapy i wyszła do kuchni. Wróciła z butelką brandy i z wiszącej w pokoju wąskiej szafki wyciągnęła dwa kieliszki.

– Dostałam od zięcia, podobno pomaga na krążenie. Mam nadzieję, że działa też uspokajająco. Nalej – poprosiła, stawiając wszystko przed Terleckim. A później belferskim

zwyczajem stanęła nad nim i unosząc wskazujący palec, oświadczyła stanowczo: – Nazwisko moje i mojego męża musi pozostać tajemnicą. Manfreda też, możesz użyć tylko jego imienia. Czy to jasne?

W pierwszym odruchu Terlecki chciał z nią negocjować, bowiem na nazwisku Niemca bardzo mu zależało, ale widząc determinację w oczach nauczycielki, odłożył to na później. Rozlał alkohol i podał Jaworskiej kieliszek. Ręka jej drżała, a mimo to chwyciła go dość pewnie i nie czekając na toast, uniosła do ust. Wypiła mały łyk i śmiesznie się skrzywiła.

– Wolę drinki – powiedziała usprawiedliwiającym tonem. – A teraz posłuchaj, Terlecki: zjawisz się tu jutro o dziewiątej rano, punktualnie. Wyprowadzisz Tobisia na długi spacer, bo ja radzę sobie z tym z wielkim trudem, a później gdzieś pojedziemy. Niedaleko. Mam nadzieję, że masz jakiś samochód?

Rozdział 38

WOLSZTYN, 9 LISTOPADA 2019

Zofia Jaworska zamieniła wczorajszą wieczorową suknię na wełniany jasny golf, džinsy, sportowe obuwie i krótki jasny kożuszek. Dopiero gdy zatrzasnęła drzwi bmw, a Terlecki ruszył z parkingu, kazała mu jechać w kierunku Nowego Tomyśla.

– Tylko patrz w lusterko, czy nikt nas nie śledzi – powiedziała, obrzucając Rafała surowym spojrzeniem i gasząc tym samym ironiczny uśmiech na jego twarzy. – W drodze powrotnej wysadzisz mnie przy Biedronce na Lipowej. Muszę zrobić zakupy.

Minęli wjazd do parku miejskiego i na rondzie przy stacji BP skręcili na Nowy Tomyśl. Gdy dojeżdżali do Barłóżni, nauczycielka kazała mu zwolnić, a później obejrzała się, lustrując uważnie drogę. W oddali widać było światła tylko jednego samochodu i Rafał był pewien, że jest to jeep Borsuka.

– Skręć w prawo, na Jabłonnę, ale nie włączaj kierunkowskazu. Choć zapewne nawet o tym nie pomyślałeś. Mój wnuk twierdzi, że wy, kierowcy bmw, nie zwykliście używać tego wynalazku – oznajmiła, patrząc na niego z uśmiechem.

– A wnuk czym jeździ?

– Bmw. Większym od twojego, ale już leciwym. Zięć mówi, że to auto niebezpiecznie zbliża się do pełnoletności. Ale mimo to nadal ma kopa. A twoje?

Terlecki nie dał się jednak namówić na korespondencyjny wyścig z jakimś gówniarzem. Przejechali Wolę Dąbrowiecką, a w Jabłonie, zgodnie z poleceniem Jaworskiej skręcili na Rakoniewice. Staruszka jeszcze dwa razy zlustrowała drogę za nimi, ale jeep Borsuka trzymał się w dużej odległości i nie wzbudził jej podejrzeń. Zresztą komandos i tak śledził Terleckiego na ekranie tabletu.

Zbliżali się do Rakoniewic i Terlecki był coraz bardziej zdziwiony. Do miasta mogli pojechać główną drogą, prowadzącą do Poznania trzydziestką dwójką. Była lepsza, szybsza i krótsza. Nauczycielka, Rafał szacował, że musi mieć około osiemdziesięciu lat, wytłumaczyła mu, że wybór tamtej trasy byłby zbyt oczywisty.

– Duży ruch utrudniłby dostrzeżenie ogona – zakończyła.

Tym razem nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Nie śmieć się. Zrozumiesz, gdy zobaczysz to, co zamierzam ci dać. Zaparkuj przy rynku. Zniknę gdzieś na chwilę, a ty pooglądasz sobie sukiennice. Może nie dorównują krakowskim, ale na pewno warto je zobaczyć – powiedziała, a on nie potrafił rozszyfrować, czy mówi poważnie, czy ironizuje.

Gdy zniknęła za rogiem, wysiadł z samochodu i spojrzał w kierunku, w którym zniknęła. Udało mu się dostrzec, że wchodzi do zaniedbanej, szarej kamienicy przy ulicy Pocztowej. Pamiętał, że przed laty mieściła się tam apteka.

Wróciła po trzydziestu minutach i kazała mu natychmiast ruszać. Miał wracać inną trasą.

– Pamiętasz, że masz mnie wysadzić przy Biedronce? – zapytała i wyciągnęła paczkę papierosów. Zapaliła, nie pytając swojego dawnego ucznia o zgodę.

A później zaczęła opowiadać historię, której Terlecki nigdy nie spodziewał się usłyszeć. Owszem, w dzieciństwie czytywał takie rzeczy w komiksach o kapitanie Żbiku, później podczas studiów w archiwalnych dokumentach na Wydziale Historii Uniwersytetu Adama Mickiewicza, ale nigdy nie miał z nimi bezpośredniej styczności.



Pojechał prosto do Prowansji. Zbliżało się południe, ale miał nadzieję wyprosić jeszcze u kelnerki jajecznicę na boczku. Głód tak mu doskwierał, że był nawet gotów błagać o to na klęczkach.

Obyło się bez aktów desperacji, więc zamówił dwie porcje i zaprosił na wystawne śniadanie Borsuka. Nim jedzenie trafiło na stół, położył na nim zeszyt w kratkę w miękkiej kartonowej, szaroniebieskiej okładce. Brzegi miała wyblakłe, co oznaczało, że przez dłuższy czas była narażona na działanie słońca.

Przejechał palcami po szorstkim papierze z wydrukowaną na górze czarną ramką, w którą należało wpisać nazwę przedmiotu, nazwisko, imię, klasę i rok szkolny.

Nie miał wątpliwości, że zeszyt jest autentyczny. W latach osiemdziesiątych, gdy chodził do liceum, nie używał wprawdzie zeszytów w nadmiarze – jeden służył mu do wszystkich przedmiotów – ale przecież tych kolorów i szorstkiej faktury papieru nie dało się zapomnieć. Trzydziestodwukartkowy zeszyt był zapisany starannym pismem, w każdym razie na tyle starannym, że Terlecki mógł czytać bez większego trudu.

Już chciał się zagłębić w lekturze, gdy do kawiarni wszedł Borsuk, a zaraz potem usłyszał dzwonek swojego telefonu. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Olszańskiego. Kusiło go,

aby odrzucić połączenie, bo do stolika zbliżała się właśnie kelnerka z dwoma drewnianymi tacami, ale jednak odebrała.

– „Teraz jem”, że przywołam swoją ulubioną, acz niedocenianą kwestię z *Misia*. Śniadanie jem. Mogę oddzwonić za dwadzieścia minut?

– Nie bardzo. Sprawa jest poważna. Możesz zaraz przyjechać na komendę? Szukają cię. – Głos byłego naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Wolsztynie brzmiał niepokojąco ponuro.

– Co się stało?

– Przyjedź jak najszybciej. To ważne. Jeśli chcesz posłuchać rady starego psa, to nie jedz śniadania. Tak będzie lepiej dla wszystkich – powiedział Olszański i zakończył połączenie.

Terlecki spojrział na tacę, na której pyszniły się jajka, platy smażonego boczku, plastry kiełbasy, sera i posypane drobno pokrojoną cebulą pomidory, a później sięgnął po leżącą na fotelu skórzaną kurtkę.

– Zjedz obie porcje, szkoda, żeby się zmarnowało – powiedział Borsukowi i szybkim krokiem ruszył do samochodu, w ostatniej chwili chwytając zeszyt, który dostał od swojej dawnej nauczycielki plastyki.

Coś mu podpowiadało, że powinien się pospieszyć.



Łzy płynęły mu po policzkach i nie był w stanie ich powstrzymać. Pierwszą porcję whisky wypił, nim jeszcze zdołał wrzucić do niej lód, o przygotowanie drugiej zatroszczył się Bartek Nowicki, który zjawił się natychmiast po jego telefonie.

– Była świetna. Naprawdę była świetna... – Rafał uparcie wpatrywał się w ścianę. – Po kobiecemu dokładna i staranna. Miała nosa. To dzięki niej udało nam się w Austrii namierzyć Bolesława Howańskiego. Doskonale się z nią pracowało.

Borsuk wstał i cicho wyszedł z pokoju. Zostali sami, ale milczeli. Terlecki cały czas miał przed oczami zdjęcia, które policjanci kazali mu oglądać na komendzie. Przedstawiały pozbawiony głowy ludzki korpus i głowę.

Głowę Olgi Morąg.

To jej ciało znaleziono wczoraj w Jeziorze Kuźnickim. A wczesnym rankiem jakiś wracający do domu z nocnej zmiany ochroniarz zauważył głowę przyklejoną taśmą do dębu z wolsztyńskimi diabłami.

– To sygnał dla ciebie. Rozumiesz to oczywiście? – Bartek patrzył mu prosto w oczy.

Rafał odwrócił wzrok.

Teraz myślał tylko o whisky, musiał się napić, aby skutecznie wymazać z pamięci obraz brutalnie zamordowanej Olgi. Tylko był pewien, że to nie może się udać.

– Kilka razy poszliśmy do łóżka, ale nie to nas łączyło. Łączyła nas praca. Seks był obok, pojawił się naturalnie, jako ujście dla wspólnych emocji. Lubiliśmy się. Po prostu, kurwa, się lubiliśmy. Rozumiesz?

Rozumiał. Bartek wszystko rozumiał i właśnie dlatego Rafał zadzwonił do niego natychmiast po wyjściu z komendy. Nim doszedł do samochodu zaparkowanego obok cmentarza żołnierzy radzieckich, dogonił go Olszański. Powiedział, że sprawą zajmie się Komenda Wojewódzka Policji w Poznaniu, a nie miejscowi, mimo wszystko zabójstwo dziennikarki należało w Polsce do wydarzeń niecodziennych. Potem odwiózł

go do domu, bo Terlecki był w stanie, w którym nie powinien siadać za kierownicą. Po drodze poinformował go, że choć ciało jego redakcyjnej koleżanki dopiero wieczorem zostanie zbadane przez przysłanego z Poznania patologa, to zdaniem miejscowego lekarza dekapitacja została wykonana z dużą fachowością.

– Musieli ją zabić w Warszawie. Nie planowaliśmy jej przyjazdu do Wolsztyna, miała robotę na miejscu. Masz rację, to jest wiadomość dla mnie. – Rafał wpatrywał się w pływające w szklance kostki lodu. Czuł, że alkohol coraz mocniej uderza mu do głowy.

Borsuk wszedł do pokoju i, po raz pierwszy, odkąd się poznali, napełnił swoją szklankę alkoholem. Sączył whisky małymi łykami. Milczał.

Bartek zapytał, co Rafał teraz zamierza.

– Wysłali do mnie wiadomość, więc muszą dostać odpowiedź. I nie pierdolcie mi, że mam wziąć urlop, wyjechać, zrelaksować się. Już to słyszałem od Mariusza. Nie wezmę, nie wyjadę i nie będę się relaksował. Chcę im dowalić tak, że już się nie podniosą – odparł, a w jego głosie brzmiała taka złość, że Borsuk aż uniósł głowę.

Godzinę później Terlecki chwiejnym krokiem poszedł do swojej sypialni. Zabrał po drodze butelkę wody i łyknął dwie tabletki aspiryny. Sięgnął po zeszyt przekazany mu przez Jaworską, ale litery skakały mu przed oczami, więc zrezygnował i łyknął jeszcze tabletkę melatoniny. Zasnął, nim lekarstwo mogło zacząć działać.



Obudził się przed szóstą, a chwilę później stanął w kuchni, zastanawiając się, czy rozpocząć dzień od kawy, czy może sięgnąć po stojące w lodówce piwo, które pomogłoby mu zdusić kaca.

Włączył czajnik i wydobył z szafki największy kubek, jaki udało mu się wypatrzeć. Poszedł do pokoju, który od kilku dni pełnił funkcję jego gabinetu. Naczynia zostały uprzątnięte, więc usiadł na kanapie i otworzył zeszyt, który Zofia Jaworska wręczyła mu, gdy mijali pałac w Gościeszynie, a ona akurat skończyła swoją opowieść.

– Nic o tym nie wiedziałam. Możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę nic o tym nie wiedziałam. Okazuje się, że wcale nie znałam swojego męża. Wyjawił mi prawdę dopiero przed śmiercią. Wykryty zbyt późno rak trzustki... Nic nie dało się zrobić – mówiła cicho wpatrzona w mijany po drodze krajobraz.

Ryszard Jaworski pochodził z Widzimia Starego. Był Polakiem, ale wychowywał się w niemieckiej rodzinie. Gdy wojna dobiegła końca, miał siedem lat, a on trafił do domu dziecka. Skończył szkołę powszechną, później technikum w Poznaniu i zatrudnił się w Cegielskim. Po kilku latach pracy jako robotnik podjął zaoczne studia na Politechnice Poznańskiej. Po ślubie z Zofią przeniósł się do Wolsztyna i zaczął pracować w fabryce mebli. Z trudem wiązali koniec z końcem, zwłaszcza gdy Zofia urodziła bliźniaki.

– To musiało być w połowie lat sześćdziesiątych. Mąż i jego koledzy siedzieli wtedy przy piwie w knajpie Pod Kasztanami, była wówczas taka mordownia przy dawnej bazie PKS, niedaleko szpitala. Podszedł do niego jakiś mężczyzna. Powiedział, że jest jego kuzynem. Okazało się, że to syn tych niemieckich gospodarzy, u których Ryszard się wychowywał. I tak to się zaczęło. Resztę wyczytasz z tego zeszytu –

powiedziała i wyszła z samochodu, trzaskając drzwiami odrobinę mocniej, niż nakazywał rozsądek.

Rozdział 39

CHORZEMIN, 28 GRUDNIA 1943

Bolesław Howański po raz kolejny spojrzał na ścianę, lustrując miejsce, w którym ukrył filmy ze zdjęciami fałszywych dokumentów. Wydawało mu się, że jest wyraźnie widoczne, ale rozum podpowiadał mu, że to tylko jego wyobraźnia. I wyraz narastającej paniki.

Zakończył robotę trzy dni temu. Żołnierze, pracując pod okiem majora Oskara Hoffmanna, wynieśli skrzynkę z ostatnią partią fałszywych argentyńskich paszportów, narzędzia i lampy. Teraz w pokoju panował mrok i Howański nie bardzo potrafił się do tego przyzwyczaić.

Bolały go oczy. W ostatnich dniach pracował bardzo intensywnie, aby nie narazić się na gniew Beckera i Hoffmanna. Zwłaszcza Beckera, oficer SD wzbudzał w nim większy strach, ten z Abwehry wydawał się bardziej ludzki.

Filmy, zużył wszystkie rolki dostarczone przez Gertrudę Geisler, ukrył za cegłą pod samym sufitem i zamaskował, używając do tego między innymi ugniecione go chleba. Teraz zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał okazję sięgnąć do skrytki i pokazać jej zawartość światu. Coraz częściej myślał, że jego plan jest naiwny, że niepotrzebnie narażał i siebie, i Gertrudę Geisler. I bał się, że któryś z żołnierzy wałęsających się po posesji znajdzie aparat ukryty w zwałonym drzewie.

Wciąż jednak miał nadzieję, że jego umowa z niemieckimi oficerami nadal obowiązuje. Przecież wykonał swoje zadanie

i miał prawo oczekiwać, że odzyska wolność, wróci do Józefy i Kazika. Helmut Schneider, właściciel drukarni, w której wiele lat przepracował, zawsze dotrzymywał słowa, a i z przedwojennych i nawet wojennych kontaktów z innymi miejscowymi Niemcami też wyniósł dobre doświadczenia. Oczywiście, po tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku wielu z nich zmieniło swój stosunek do Polaków, słyszał wiele opowieści na ten temat, ale on sam nie miał powodów do narzekań.

Choć wierzył w dane mu przez niemieckich oficerów słowo, to coraz bardziej osaczały go wątpliwości. Zwłaszcza w takich chwilach jak ta – wieczorami, gdy w piwnicznym pokoju panował mrok, a on nie miał nic do roboty. Skończył swoje zadanie, a mimo to wciąż tu tkwił. Na dodatek nie pozwalali mu już na wieczorne spacerowanie. Kolejny sygnał.



Pułkownik Ernst Becker i major Oskar Hoffmann zamówili butelkę koniaku. Kasyno przy Königstrasse było niemal puste, ostatnio coraz mniej oficerów przyjeżdżało na urlopy. Dowództwo niemieckiej armii ścigało cugle, likwidowało przywileje, aby tylko osiągnąć jakikolwiek sukces, bo linia frontu coraz bardziej, choć na razie powoli, zbliżała się do granic Trzeciej Rzeszy.

– Co cię trapi? Za miesiąc z niewielkim okładem będziemy już na statku, którym pożeglujemy do innego świata. Wypijmy za to! – Hoffmann mówił coraz głośniejszym głosem, znak, że alkohol uderzył mu do głowy. Becker zauważył, że nieliczni mężczyźni zasiadający przy sąsiednich stolikach zaczynają im się

przyglądać, więc zgrabnie chwycił napełnione właśnie pękate kieliszki i zabrał ze stolika.

– Wyjdźmy do ogrodu. Świeże powietrze dobrze nam zrobi – powiedział, klepiąc przyjaciela w ramię. Ten, choć niechętnie, ruszył za nim.

Zeszli na dół i skierowali się do drzwi prowadzących do ogrodu. Stanęli na wysokich schodach i zapalili papierosy. Wąska, wysypana białym kamieniem ścieżka prowadziła w kierunku jeziora, ale porywisty wiatr odebrał im ochotę na spacer. Ernst podał przyjacielowi kieliszek.

– Za dwa tygodnie, najdalej za dwa tygodnie, już nas tu nie będzie. Ale najpierw musimy po sobie posprzątać. Howański i Daum, ktoś jeszcze? – zapytał Oskara.

Ten spojrział na niego zaskoczony. Los Howańskiego był od początku przesądzony, co do tego żaden z nich nie miał wątpliwości, ale Hoffmann nie zakładał, że to samo spotka hrabinę. Tym bardziej że była znajomą generała von Finckensteina, który – jak rozumiał – był przecież członkiem spisku Kaltenbrunera.

Becker po raz ostatni zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek na trawnik, obserwując jego paraboliczny lot. Nagły podmuch wiatru spowodował jednak, że papieros wylądował na ostatnim stopniu schodów.

– W rzucaniu to ty nigdy nie byłeś mistrzem. – Hoffmann zarechotał.

– Pamiętasz, jak w Höhere Knabenschule rzucałeś piłką palantową? Mieliśmy z ciebie niezły ubaw. A przed wyjazdem muszę się jeszcze raz przespać z tą kelnerką z kasyna. Nie ma jej dzisiaj, a szkoda. Jej piersi przypominają mi katedrę w Kolonii. Byłeś kiedyś w Kolonii?

Ernst spojrział na przyjaciela. Zaczął się zastanawiać, czy dobrze dobrał sobie partnera do tej misji, ale po chwili uśmiechnął się, przypominając sobie słowa Oskara: „Jestem perfekcjonistą. Jak piję, to na umór, jak zabijam, to na śmierć”. Właśnie ktoś taki był mu teraz potrzebny. Pytanie, czy będzie potrzebny również w Buenos Aires. A przynajmniej jak długo będzie potrzebny.

Zostawili puste już kieliszki na schodach, zeszli na ścieżkę i powoli ruszyli w kierunku jeziora. Wiatr nieco przycichł, choć fale uderzały o brzeg z dużą siłą.

– Daum dużo wie. Nie mam pojęcia, czy wie, czym zajmował się Howański, ale nie jest głupia. Poinformowała mnie, że z nim rozmawiała, i mam wrażenie, że w tym jej przyznaniu się do kontaktu z Howańskim była ukryta groźba. Von Finckenstein głównie mnie obchodzi. To ja jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo całej operacji. – Ernst Becker miał ochotę rzucić kilka kamieni do jeziora, od dziecka go to pociągało, ale po uwadze Oskara zrezygnował. Rzeczywiście, rzucanie nie było jego mocną stroną.

– Jak chcesz to zrobić?

Tego właśnie nie wiedział i oczekiwał pomocy Oskara. Był w końcu z wywiadu, dyskretne, niepozostawiające śladów mordowanie wrogów było znakiem firmowym wszystkich wywiadów.

– Wymyśl coś. I hrabina, i Howański muszą zniknąć w dniu naszego wyjazdu. Nie wcześniej. Nawet jeśli te psy z Gestapo nas z nimi połączą, to i tak będziemy już daleko, wyposażeni w fałszywe dokumenty. A przy odrobinie szczęścia połączą nas ze zniknięciem Daum dopiero wtedy, gdy będziemy już pili koniak gdzieś na środku Atlantyku.

Gdy wracali do kasyna, Becker zastanawiał się, co powinni zrobić z księdzem Arthurem Sikorą. On też dużo wiedział, a było oczywiste, że wyjawি wszystko, gdy tylko pierwszy gestapowiec przekroczy próg plebanii. Problem polegał na tym, że jego śmierć prawdopodobnie ściągnie na nich gniew Watykanu, a na to nie mogli sobie pozwolić.

Gdy ponownie zasiedli przy stoliku, sala była już pusta. Kelnerzy sprząтали kieliszki i opróżnione butelki. Becker rozlał ostatnią porcję koniaku i pochylił się w kierunku Hoffmanna.

– Masz już zaufanego człowieka, którego tu zostawimy? Wszystko jest przygotowane? – zapytał.

Oskar uspokajająco pokiwał głową.

– To agent Abwehry od wielu lat, jeszcze sprzed wojny. Cwany, dobrze wyszkolony i zmotywowany. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku trzej Polacy zgwałcili jego ciężarną żonę, a później poderżnęli jej gardło. Mieszkał wtedy w Tłokach, ale po tej tragedii przeniósł się do Albertowska. Kupiliśmy mu tam ziemię, mieszka za wsią, z dala od innych zabudowań. Załatwi tę sprawę – oświadczył Hoffmann i jednym haustem opróżnił kieliszek.



Ernst odwlekał wstanie z łóżka. Wsłuchiwał się w odgłosy rodzinnego domu, czekając, aż rodzice swoim zwyczajem usiądą do śniadania, które z reguły jadali około dziewiątej.

Z pomieszczenia obok docierała kuchenna krzątanina matki, a chwilę później Ernst usłyszał trzask drzwi od chlewika i domyślił się, że ojciec zmierza do kuchni. Włożył spodnie, gruby wełniany sweter i w drewnianych chodakach wyszedł z sypialni.

Matka uśmiechnęła się na jego widok, ale ojciec nawet na niego nie spojrzał, całą uwagę skupiał na smarowaniu chleba margaryną. Ernst usiadł na zydlu i wyciągnął paczkę papierosów.

– Poczekaj z tym paleniem, najpierw coś zjedz – mruknął ojciec.

– Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

– Nie ma nic ważniejszego niż śniadanie.

Słowa Ernsta Beckera utonęły w hałasie. Helga upuściła żeliwny garnek i w kuchni rozległ się najpierw głośny huk, a później jej krzyk. W oczach kobiety pojawiły się łzy. Stała bezradna, zakrywając prawą dłońią usta, a drugą ścisnęła poplamiony fartuch. Ojciec spojrzał na nią, a później przeniósł wzrok na syna.

– Mówiłem, żebyś poczekał. – Jego głos brzmiał ponuro.

Ernst wstał, podniósł garnek i przetarł podłogę wiszącą na wiadrze szmatą, a później poprowadził matkę do stołu i pomógł jej usiąść. Oparła łokcie o stół i schowała twarz w dłoniach.

Przez chwilę panowała cisza.

– Wysyłają cię na front, prawda? – wyszeptała przez łzy.

Stary Becker milczał. Wyglądał, jakby nagle doznał paraliżu, szklistym wzrokiem wpatrywał się w świeżo posmarowaną kromkę chleba. Nagle zerwał się z krzesła i wrócił z komórki z butelką samogonu.

– Przynieś kieliszki. Trzy – rozkazał chrapliwym głosem.

Helga zaczęła się podnosić, ale Erich Becker położył jej ciężką, sękatą dłoń na ramieniu.

– Nie do ciebie mówiłem. Idź. – Spojrzał na syna ponurym wzrokiem.

Gdy Ernst wrócił do kuchni, ojciec delikatnie ocierał łzy żony.

– Nalej. I przestań nas już trzymać w niepewności. – Głos starego bauera odzyskał dawną barwę, choć synowi wydawało się, że nadal było w nim słychać delikatne drżenie.

– Nie, mamó, nie idę na front. Nawet przeciwnie. Wyjeżdżam. Bardzo daleko wyjeżdżam, na inny kontynent. Długo nie będziemy się widzieć. Ale kiedyś wrócę – powiedział, podnosząc kieliszek. Opróżnił go jednym zdecydowanym ruchem. Dłoń ojca zawisła w powietrzu.

– Nie idziesz na front? Naprawdę? Dziecko... – wydukała Helga i na jej twarzy zagościł uśmiech.

A później chwyciła kieliszek i ze zręcznością, której u niej nie podejrzewał, wlała w usta jego zawartość. Skrzywiła się, a później zaczęła się śmiać. Teraz łzy ciurkiem płynęły po jej policzkach.

Gdy się uspokoiła, Ernst pochylił się nad stołem. Mówił cicho, tłumacząc swoją decyzję, ale ani słowem nie wspomniał o Argentynie. Gdy Helga zapytała, dokąd właściwie jedzie, ojciec zgromił ją wzrokiem.

– Będą mnie szukali, będą chcieli z was wyciągnąć, gdzie jestem. Lepiej, żebyście nie wiedzieli – powiedział cicho, a później z tylnej kieszeni spodni wyciągnął dokumenty i położył je na stole.

Erich spojrział zdziwiony i syn zaczął im tłumaczyć.

– Obergruppenführer Kaltenbrunner dał mi gwarancję, że nic wam się nie stanie, że nikt was nie tknie. Ale w tej sprawie mu nie wierzę. Heinrich Himmler może chcieć to wykorzystać przeciwko Kaltenbrunnerowi, jego Gestapo z pewnością będzie was przesłuchiwało. Znam ich. Są brutalni. Możecie tego uniknąć. To są wasze nowe dokumenty, dające wam nową

tożsamość. Wyjedziecie do Austrii, kupiłem wam tam gospodarstwo. Jest mniejsze niż to tutaj, ale bogatsze, lepiej wyposażone, życie tam będzie łatwiejsze – zapewniał ich żarliwie.

Gdy skończył, zapadła cisza. Ojciec patrzył na niego ciężkim wzrokiem, a matka znowu ukryła twarz w dłoniach.

– Dziwne są te twoje Niemcy, w których robisz coś dla jednego, a drugi cię za to ściga. Ale bez względu na wszystko, wiedz jedno. To jest nasz Heimat i nigdzie się stąd nie ruszymy. Mówią, że Austria to piękny kraj, i ja nie przeczę. Twierdzisz, że byłoby nam tam lepiej, i temu też nie przeczę. Ale nasze miejsce jest tutaj i tutaj zostaniemy. Prawda, Helga? – Erich spojrzał na swoją żonę. Pokiwała głową.

– Po Gestapo przyjdą Sowieci.

– Ktokolwiek przyjdzie, to jest moja ziemia. Dlaczego miałbym ją opuszczać? – powiedział Ernst Becker i sięgnął po butelkę bimbrowa.

Helga chwyciła kieliszek i spojrzała na syna.

– Wywieź z tego piekła Klarę i moje wnuki. To jedno musisz dla mnie zrobić – poprosiła cicho.

Rozdział 40

WOLSZTYN, 13 LISTOPADA 2019

W gabinecie naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Wolsztynie było siwo od papierosowego dymu. Terlecki pomyślał, że tak zadymione pomieszczenie widział ostatnio przed piętnastu laty, gdy alkoholowy rajd po Dublinie zawiódł go z browaru Guinnessa do legendarnego pubu The Temple.

Siedzący przed nim mężczyzna, wysoki i żylasty, z nieco zbyt długimi, ciemnymi włosami, wydawał się zmęczony. Dziennikarz zastanawiał się, czy wszyscy oficerowie śledczy na świecie muszą być zawsze zmęczeni. I co powoduje, że są tacy ponurzy.

Terlecki znalazł się w tym pokoju przed dwudziestoma minutami i od tego czasu inspektor Witold Krzywiński wypalił dwa papierosy. Atmosfera była napięta.

– Nie jest pan zbyt rozmowny, co każe mi podejrzewać, że chce pan coś przede mną ukryć. Pytanie co? – Policjant patrzył na niego zmęczonym, jakżeby inaczej, wzrokiem.

– Ostatnio mam dość ograniczone zaufanie do polskiej policji. Za cholerę nie umiem dociec, skąd mi się to wzięło – odpowiedział Rafał drwiąco.

Krzywiński podszedł do okna i wpatrywał się w stojący opodal budynek prywatnej przychodni zdrowia. Musiał go ten widok zafascynować, bo przez dłuższą chwilę milczał.

– Nawet rozumiem. Ale coś sobie wyjaśnijmy. Jestem w policji od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Nie zajmuję się polityką, nie stoję przy słynnych schodach, nie biegam po placu Piłsudskiego i parku Saskim, żeby wyłapywać ludzi z megafonem, nie przechadzam się po pewnej żoliborskiej ulicy i nie pałuję kobiet. Rzygam na to i na tych, którzy wydają policjantom takie rozkazy. Prowadzę sprawę morderstwa młodej kobiety, której jakiś zwyrodnialec odciął głowę. I bardzo chcę go dorwać.

Terlecki sięgnął po papierosa. Już chciał zapytać, czy może zapalić, ale uznał, że wobec ilości dymu w pokoju byłoby to nietaktowne. Zaciągnął się i nie patrząc na niego, powiedział, że nie dane mu będzie to zrobić.

– Dlaczego?

– Bo Oldze Morąg ktoś odciął głowę nie dlatego, że była młodą kobietą. Zrobiono to dlatego, że była dziennikarką. I dlatego, że była współautorką reportażu o Zdzisławie Skibniewskim – mówił cicho, z udawaną obojętnością.

Inspektor wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Nie może pan tego wiedzieć. A nie, zapomniałem, przecież wam, dziennikarzom, wydaje się, że zgłębiliście całą wiedzę i znacie odpowiedzi na każde pytanie. Lubicie ferować wyroki.

– Jak dotąd prawo tego nie zabrania. Ale akurat to wiem z całą pewnością – odpowiedział. Tym razem nie potrafił się opanować, więc niemal wykrzyczał te słowa.

Zaciągnął się papierosem i poprosił, aby policjant obejrzał jego reportaż o Skibniewskim oraz ostatni, zrobiony wspólnie z Olgą i Cezarym, o powiązaniach wolsztyńskiego gangstera ze służbami specjalnymi.

– Widziałem oba.

– To niech pan obejrzy jeszcze raz. Uważniej – powiedział i zaczął wkładać kurtkę. Gdy był już przy drzwiach, zapytał, czy Krzywińskiemu mówi coś nazwisko Liam Horgan. Zaprzeczył.

Terlecki otworzył drzwi dzielące pokój od sekretariatu, ale po chwili je zamknął.

– Mówi pan, że nie interesuje się polityką. To radzę zacząć. Bo przy tej sprawie polityka zainteresuje się panem – dodał ze złością i wyszedł. Miał ochotę trzasnąć drzwiami, opanował się w ostatniej chwili.

Gdy tylko opuścił komendę, wyciągnął z kieszeni kurtki smartfona. Miał kilka nieodebranych połączeń, ale zaniepokoiło go tylko jedno, od dziennikarza śledczego „Gazety Wyborczej”. Znali się od lat i jeśli Wojciech dzwonił, to prawdopodobnie wiedział już o zamordowaniu Olgi. Na prośbę policji stacja Rafała na razie niczego nie ujawniła, a podczas tej rozmowy Krzywiński ponowił swoją prośbę, twierdząc, że utrudniłoby to dochodzenie. Wprawdzie lokalne media pełne już były oczywistych spekulacji łączących bezgłowe ciało wyłowione z Jeziora Kuźnickiego z odciętą głową przyklejoną do dębu z wolsztyńskimi diabłami, ale tożsamość ofiary cały czas pozostawała tajemnicą.

Terlecki już miał odejść, gdy nagle zmienił zdanie. Zdecydowanym krokiem wrócił na komisariat.

– Zapomniał pan czegoś? – Witold Krzywiński stał oparty o parapet i palił kolejnego papierosa.

– Muszę panu coś opowiedzieć...

– Wreszcie się pan zdecydował... – Policjant usiadł przy biurku i sięgnął po długopis.

– To historia przedwojenna, ale ona coś mówi o morderstwie Olgi. Od tysiąc dziewięćset trzynastego do trzydziestego ósmego

pewien miejscowy ksiądz mordował mieszkanki Wolsztyna i okolic. Były to mordy rytualne, ciała pozbawiano oczu, uszu i języka. Sprawcą był ksiądz Franciszek Janicki. Znalazłem jego dziennik, pamiętnik, jak zwał, tak zwał, w którym wszystko to opisał. Ale nie ujawniłem tego w swoim pierwszym reportażu.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, nie miało to bezpośredniego związku z morderstwem tamtej dziewczyny. Po drugie, tego księdza Niemcy zamordowali w obozie koncentracyjnym Mauthausen Gusen. Wydawało mi się wtedy, dzisiaj nie jestem już tego taki pewien, że to zmazuje wszystkie jego winy. Odpuściłem.

– Jak to się wiąże z morderstwem Olgi?

– Ksiądz mordował te kobiety pod dębem...

– Tym samym? Tym, do którego przyklejono głowę pańskiej koleżanki? – Właśnie, tym z kopiami rzeźb Marcina Rożka. Zastanawiał się pan, dlaczego ciało zostało wrzucone do Jeziora Kuźnickiego? Przecież dąb stoi nad Jeziorem Wolsztyńskim, niespełna dwieście metrów od brzegu. Byłoby prościej i bezpieczniej. Ale zadali sobie trud, aby wrzucić ciało do akwenu oddalonego o piętnaście kilometrów. Wie pan dlaczego? Gdy robiłem pierwszy reportaż o Skibniewskim, właśnie nad tamtym jeziorem mieszkałem. Skibniewski to wiedział, jego pomagier, Sworowski, kilka razy mnie tam odwiedził, więc to nie podlega dyskusji. À propos Sworowskiego. Nie pamiętam, czy powiedziałem to podczas przesłuchania, ale tego dnia, gdy znaleźliście ciało Olgi, widziałem w lesie cadillaca escalade. Takiego samego, jakim rok temu przyjeżdżał do mnie Sworowski. To nie jest zbyt popularny samochód. I teraz, uwaga, uwaga, „piękny Zdzisio” wiedział też, że rozszyfrowałem, kto był sprawcą tych rytualnych morderstw

pod dębem. Sam mu to opowiedziałem podczas przyjęcia w jego domu po turnieju tenisowym.

Terlecki zauważył, że policjant nagle zamarł, a później wstał i otworzył metalową szafę, wyciągając charakterystyczną butelkę Stocka 84 i dwie szklanki. Zapytał, czy Terlecki się napije.

– Przyjechałem samochodem. Napiję się, a pan wyśle za mną swoich łapsów...

– Gównu mnie to obchodzi, byle pan nikogo nie zabił – odpowiedział, nalewając po sporej porcji. – Przepraszam, że w szklankach. Olga Morąg grała w tenisa?

Rafał nie wiedział. Próbował znaleźć odpowiedź na to pytanie, ale nie pamiętał, aby kiedykolwiek o tym wspominała. Przypomniały mu się korty w Stummie, przechodzili obok nich pierwszego wieczoru, a ludzie grający w tenisa przy takich okazjach z reguły...

– Chyba nie, ale nie wiem na pewno. Dlaczego to takie ważne?

Witold Krzywiński chwilę milczał, a później spojrzał na Terleckiego. Teraz nie wydawał się już zmęczony i Terlecki zastanawiał się, czy to zbawczy wpływ brandy.

– Nieoficjalnie, bo nie powinienem tego ujawniać. Zwłaszcza panu. We włosach Olgi znaleziono drobinki substancji, która wstępnie została sklasyfikowana jako mączka ceglana i mielona glina. Gdy pan wszedł, zastanawiałem się, skąd mogły pochodzić.



Rafał Terlecki wpatrywał się w niezapisaną kartkę papieru, na której leżał jego czarny waterman. Przed oczami miał Olę

odgrywającą swój spektakl w berlińskim hotelu. Przywiązała go wówczas do łóżka, a później włożyła na siebie kupiony w sex-shopie – składający się z samonośnych pończoch i kusego czarnego fartuszka – strój pokojówki. Prężyła się przed nim, pieszcząc się wibratorem aż do głośnego spełnienia. Później, patrząc mu w oczy pożądliwym wzrokiem, wsadziła jego nabrzmiąły członek między swoje piersi, a on niemal natychmiast eksplodował.

Wcześniej powiedział Bartkowi, że seks nie był dla nich ważny, ale teraz pomyślał, że nie był szczery. Może nie był najważniejszy, ale na pewno był ekscytujący. Na pewno nie mniej ekscytujący niż z Ewą.

Sięgnął po długopis.

Manfred Richter, Bolesław Howański, Zdzisław Skibniewski – zapisał, podkreślając każde słowo. A później zaczął rysować linie. Manfred znał Skibniewskiego, spotkali się w Wolsztynie – zanotował, ale na razie nic z tego nie wynikało. Złoto, o którym mówił stary Balcer? – napisał bez przekonania, a później przypomniał sobie o zeszytce, który dostał od swojej byłej nauczycielki plastyki. Morderstwo Olgi zepchnęło jego lekturę na dalszy plan.

Poszedł do sypialni. Zeszyt leżał na nocnym stoliku. Pamiętał, że przeczytał trzy strony, ale niewiele utkwilo mu w pamięci, więc zaczął od początku.

To jest historia, która rozpoczęła się latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Pewnego popołudnia wybrałem się z kolegami Pod Kasztany. Nie robiłem tego często, ale dzień był akurat upalny, kolega miał imieniny, w fabryce mieliśmy awarię prądu, więc robota skończyła się nieco wcześniej. Tak czy inaczej, poszedłem. Po pewnym czasie niedaleko nas usiadł jakiś mężczyzna. Zapewne nie zwróciłbym na niego uwagi, ale zaczął mi

się intensywnie przyglądać i w końcu do mnie podszedł. Wymienił moje imię, a później przedstawił się jako mój przyszywany brat. Odeszliśmy na bok. Tak zaczynały się wspomnienia męża Zofii Jaworskiej.

„Przyszywany brat” okazał się synem niemieckich gospodarzy, u których Ryszard Jaworski wychowywał się podczas okupacji. Dobrze ten czas wspominał, mimo początkowej nieufności zżyli się z Manfredem. W czterdziestym piątym roku jego rodzina uciekła przed armią sowiecką i zamieszkała pod Hamburgiem. Teraz pracował jako kierowca ciężarówki w firmie przewozowej, a do Wolsztyna przyjechał po transport płaszczy, których szycie jedna z niemieckich firm zleciła zakładom odzieżowym Bojownik. Tłumaczył, że będzie tu bywał regularnie, i bardzo się ucieszył, że spotkał Ryszarda.

Wzięli po piwie i rozmawiali o swoich powojennych losach. Manfred mówił dobrze po polsku, co Ryszarda zaskoczyło, bo nie przypominał sobie, aby w dzieciństwie tak sprawnie posługiwał się tym językiem. Godzinę później Niemiec stwierdził, że musi już wracać, bo wczesnym rankiem jedzie do Hamburga. Gdy opuścili knajpę i minęli budynek szpitala, Niemiec nagle się zatrzymał. Zawstydzony powiedział, że nie spodziewał się spotkać Ryszarda i nie ma żadnego prezentu. Sięgnął po portfel i wręczył Jaworskiemu dwa banknoty, prosząc, aby kupił coś dla żony i córek, a potem szybko się oddalił.

Terlecki pomyślał, że powinien zrobić sobie coś do jedzenia, ostatnio mało jadał, ale nie chciał odrywać się od wspomnień Ryszarda Jaworskiego.

Manfred wrócił trzy miesiące później. Tym razem spotkaliśmy się w domu, żona przygotowała kolację. Przywiózł dziewczynkom

amerykańskie lalki, nazywały się Barbie. Zabawnie było obserwować reakcję córek, które wprost nie mogły uwierzyć w swoje szczęście. Miał też prezent dla Zofii, piękną kolorową spódnicę, nieco zbyt szeroką w pasie, ale to nie był problem, bo żona była świetną krawcową. Dla mnie miał butelkę szkockiej whisky, karton marlboro i włożone w kopertę dwieście marek. Chciałem odmówić, ale potrzebowaliśmy pieniędzy. Żona nie pracowała, zajmowała się dziewczynkami i naprawdę trudno nam było związać koniec z końcem. Wziąłem. Nie powinienem był, ale wziąłem. Wspominaliśmy dzieciństwo, nasze ciągłe ganieanie po polach i lasach, pierwsze próby palenia papierosów, które Manfred podkradał ojcu, dmuchanie żab wyłowionych w pobliskim rowku i podpatrywanie dorosłej już córki sąsiadów, gdy rozbierała się przed pójściem do łóżka. Sporo wtedy wypiliśmy. Kiedy Zofia poszła spać, Manfred zapytał, czy chciałbym zarabiać w markach regularnie, co miesiąc. Potwierdziłem, a on powiedział, że przyjedzie znowu za kilka miesięcy i wtedy się dogadamy.

Z opisu kolejnego spotkania Jaworskiego z Manfredem Richterem wynikało, że był to już klasyczny werbunek. Miał zostać kimś w rodzaju „śpiocha”. Jego pierwszym zadaniem było dostanie się na wyspę położoną na Jeziorze Wolsztyńskim i sprawdzenie, czy w ostatnim roku były tam prowadzone jakieś prace.

Manfred chciał, abym sprawdził, czy na wyspie wycinano drzewa albo kopano. Miałem też rozpytać o to ludzi, którzy mogli coś na ten temat wiedzieć. Nie powiedział, o co chodzi, ale domyśliłem się, że podczas wojny Niemcy coś na wyspie ukryli. Potem kazał mi to samo sprawdzić w parku okalającym pałac w Chorzeminie. W pałacu mieściła się dyrekcja PGR-u, mój sąsiad był tam księgowym. Manfred zapewnił mnie, że nie jest żadnym agentem zachodniemieckiego wywiadu, że po prostu reprezentuje grupę Niemców, dawnych mieszkańców powiatu wolsztyńskiego,

zatroskanych o swój dawny Heimat. Ulżyło mi. Byłem naiwny, ale ulżyło mi, uczepliłem się jego słów. Gazety pełne były wówczas antyniemieckiej propagandy, straszono powrotem Niemców, Czwartą Rzeszą, w mieście widywało się plakaty prezentujące kanclerza Adenauera w krzyżackim płaszczu. Z jednej strony się bałem, ale z drugiej pieniądze, które dostawałem, pozwalały nam żyć.

Jakiś czas później ktoś przypomniał Jaworskiemu o zwłokach starszego mężczyzny znalezionych przed ponad rokiem w Albertowsku, wsi położonej dwadzieścia pięć kilometrów od Wolsztyna.

W okolicy szeptano, że facet mieszkał samotnie, w pewnym oddaleniu od innych zabudowań, z nikim nie utrzymywał kontaktu i któregoś ranka dopadł go zawał. W jego domu odkryto radiostację. Wezwano milicję i zabroniono o tym mówić, ale wieści szybko się rozeszły. Szeptano, że ten mężczyzna był niemieckim szpiegiem.

Gdy to sobie przypominałem, przeraziłem się. Ale później, gdy już ochłonąłem, to pomyślałem, że właściwie to dobra wiadomość. Bo przecież milicja nie wykryła tego agenta i być może gdyby nie jego śmierć, to nigdy by go nie zdemaskowała. Uspokoilem się. Tym bardziej że moim jedynym obowiązkiem było regularne odwiedzanie wyspy oraz przypałacowego parku w Chorzeminie. Aby zamaskować wizyty na wyspie, zostałem nawet wędkarzem, kupiłem i wyremontowałem łódź. A później przyszły lata siedemdziesiąte, antyniemiecka propaganda osłabła. Czułem się bezpieczny, pieniądze płynęły, dzięki markom od Manfreda mogliśmy kupić malucha.

Rafał Terlecki sięgnął po szklanę. Teraz rozumiał zachowanie swojej byłej nauczycielki, która jadąc do Rakoniewic, obawiała się, że jest śledzona. I jej gorzkie słowa, że być może nigdy nie znała swojego męża.

Rozdział 41

WOLSZTYN, 14 LISTOPADA 2019

Rafał przyglądał się, jak Borsuk czyści glocka. Wziął ten pistolet do ręki. Jego waga go zaskoczyła, ale przypomniał sobie o brakującym magazynku. Zapytał, od jak dawna Borsuk go używa.

– No błagam, zaraz zapytasz, czy kogoś z niego zastrzeliłem – odparł, odebrał mu pistolet i wstał, a później wsadził magazynek, sprawdził zabezpieczenie i wsunął broń do kabury na szelkach.

Rok temu, gdy przygotowywał swój pierwszy reportaż z Wolsztyna, Rafał nie wiedział, czy Borsuk jest uzbrojony, pistolet zobaczył u niego dopiero w drodze do Berlina, kiedy pojechali odebrać Anastazję z lotniska.

– Chyba nie sądzisz, że mogą przypuścić szturm na mieszkanie?

– Nie sądzę, ale nie mam pewności. Kłopot ze Skibniewskim polega na tym, że czasem zachowuje się jak zawodowiec, a czasem jak amator. Amatorzy są gorsi, bo trudniej przewidzieć, co im strzeli do głowy – odparł Borsuk, nalewając kawę do kubka.

Terlecki poszedł do swojego gabinetu i znowu sięgnął po zeszyt z zapiskami Ryszarda Jaworskiego. Chciał już zakończyć tę lekturę i pojechać do Bartka. Tematy, które zamierzał z nim omówić, nie nadawały się na rozmowę telefoniczną.

Po raz ostatni zobaczyłem się z Manfredem w lipcu dwa tysiące dziesiątego roku. Zadzwoił miesiąc wcześniej i zaprosił nas do Pogorzelic. Mieliśmy zabrać ze sobą wnuczki, bardzo na to nalegał. Dopiero na miejscu zrozumiałem, o co chodziło – dzięki obecności dziewczynek mieliśmy wolne wieczory, bo Zofia była zajęta dziećmi. Chodziliśmy wówczas na spacer po pustej już plaży i mogliśmy swobodnie rozmawiać. Podczas jednego z tych spacerów Manfred powiedział, że to jego ostatnia wizyta w Polsce.

Stali nad brzegiem morza, wpatrując się w wysokie fale. Manfred oświadczył, że jest już stary, ma siedemdziesiąt cztery lata, a Ryszard jest tylko o rok młodszy, więc przyszedł czas się wycofać i ustąpić miejsca innym. Chwilę milczał, a później zaczął dziękować Polakowi za długoletnią współpracę i Ryszard pomyślał, że mówi tak, jakby występował na pożegnalnym przyjęciu długoletniego magazyniera w swojej firmie logistycznej. Na koniec oznajmił, że przygotował dla Ryszarda grubą kopertę, która ma być czymś w rodzaju odprawy.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu, w końcu Ryszard zaczął wpatrywać się w morze, wydawało mu się, że w oddali widzi płynący na zachód frachtowiec. Nie patrząc na Manfreda, powiedział, że nie jest pewien, czy powinien odwzajemnić podziękowania. Od pewnego czasu nie mógł się pozbyć myśli, że spotkanie Pod Kasztanami wcale nie było przypadkowe, że przez wszystkie te lata robił dla Manfreda złe rzeczy.

Manfred stał obok niego i także wpatrywał się w morze. Zachnął się, oświadczając, że Jaworski po prostu czegoś pilnował i nie było w tym nic zdożnego, ale nie odpowiedział na pytanie, czego właściwie przez te wszystkie lata Ryszard strzegł. „Nie uwierzysz, ale nie wiem. Naprawdę. Byłeś dozorcą, a ja byłem kimś w rodzaju obernadzorcy. Miałem jeszcze trzech takich ludzi jak ty. Nie pytaj gdzie, nie powiem. I tak za dużo

mówię, ale przecież znamy się od dzieciństwa, razem się wychowywaliśmy, jesteście jak bracia. Wiem, że takich jak ja było więcej, znam jeszcze pięciu. Ale czego właściwie pilnujemy, tego nie wiem” – oświadczył.

Ruszyli z powrotem, ale przy zejściu z plaży Jaworski znowu się zatrzymał. Głośno zaczął się zastanawiać, co tak cennego zostało ukryte w okolicach Wolsztyna, że trzeba tego pilnować sześćdziesiąt lat po zakończeniu wojny, ale Manfred nie potrafił albo nie chciał odpowiedzieć na to pytanie. Oświadczył jedynie, że boi się dnia, w którym to wyciągną.

Mężczyźni wspięli się po drewnianych schodach i ulicą Plażową, główną nadmorską promenadą Pogorzeliczy, ruszyli do pensjonatu, w którym wynajmowali pokoje. Z reguły kończyli dzień kieliszkiem wina, siedząc z Zofią na balkonie i leniwie rozmawiając. Tego wieczoru Ryszard chciał jednak o coś jeszcze Manfreda zapytać, więc zaciągnął go do restauracji stylizowanej na rybacką chatę, zaraz przy zejściu na plażę. Zamówili podwójną whisky i usiedli w najodleglejszym kącie zadaszonego tarasu, z dala od innych gości. Za ich plecami były wydmy. Mimo to Niemiec nie był rozmowny. Powiedział tylko, że z tego, co wie, jego szefowie – tak się wyraził, „moi szefowie” – czekają na najbliższe wybory parlamentarne, które mają odsunąć od władzy Angelę Merkel i liberałów z FDP. Jaworski dobrze zapamiętał jego słowa. „Liczą na sukces jakiejś nowej partii, którą dopiero tworzą. Pewnie nie chodzi o to, że ta nowa siła będzie rządziła samodzielnie, to raczej niemożliwe, bo to oznaczałoby rewolucję, a w Niemczech rewolucje dawno umarły. Ale mają nadzieję, że nowa partia uzyska wystarczającą liczbę głosów, aby wejść do koalicji rządowej, zdobyć w Berlinie pierwsze przyczółki. Tyle wiem”. Gwałtowność, z jaką wlał w siebie resztę whisky, spowodowała, że Jaworski mu nie uwierzył.

Rafał Terlecki przetaił bolące oczy i dopił zimną już kawę, a potem otworzył internet. Nie pamiętał, kiedy po dwa tysiące dziesiątym roku odbyły się w Niemczech wybory parlamentarne, i chciał się upewnić, czy neofaszystowska Alternatywa dla Niemiec powstała właśnie w tym czasie. Wiedział jednak, że na pewno nie weszła w skład koalicji rządowej. Nie udało jej się to do dzisiaj.

Gdy wsiedli z Borsukiem do jeepa wranglera, zadzwonił do Bartka. Umówili się na parkingu przy zajeździe U Michała. Przed laty Rafał bywał tam z rodzicami i młodszym bratem na niedzielnych obiadach. Rzadko, ale się zdarzało.

– Przeczytałem spowiedź Jaworskiego. Istna bomba! Oczywiście pod warunkiem, że to prawda. Muszę zweryfikować zawarte tam informacje. Zeszyt jest stary, taki, jakich używaliśmy w liceum, i to sprawia, że ma walor autentyczności. Zresztą nie widzę powodu, dla którego pani Zofia miałaby mnie oszukiwać – powiedział, gdy Bartek wysiadł ze swojego SUV-a.

– Z tym używaniem zeszytów w liceum to bym nie przesadzał. Ja miałem jeden do wszystkich przedmiotów. – Bartek się uśmiechnął.

– Wiadomo, byliśmy ekologiczni, zanim stało się to modne. Ale poczekaj, nim jak zwykle odpłyniemy w przeszłość. Mam prośbę. Jaworski napisał, że na początku lat sześćdziesiątych w Albertowsku, małej wiosce niedaleko Rakoniewic, znaleziono zwłoki starszego mężczyzny. Była tam też radiostacja, więc mówiło się, że to był...

– Niemiecki szpieg. Tak, nie muszę tego sprawdzać. Nie pamiętam, w którym roku to się wydarzyło, ale na pewno za Gomułki. Opowiadało mi to kilka osób. Wątpię, aby lokalna prasa coś na ten temat napisała, ale może warto sprawdzić.

Terlecki czuł rosnącą ekscytację. Coraz więcej wskazywało, że informacje zawarte w zeszycie Jaworskiego mogą być prawdziwe. Jadąc na spotkanie z Bartkiem, zadzwonił do swojego redakcyjnego szefa z prośbą, aby wysłał jednego ze szczecińskich korespondentów stacji do Pogorzelic. Miał sprawdzić, czy w lipcu dwa tysiące dziesiątego Jaworski spędził kilka dni w pensjonacie Willa przy plaży.

Ruszyli w kierunku restauracji, ale Rafał poprosił Bartka, aby zostawił telefon w samochodzie.

– Są jeszcze dwie informacje, które mają siłę bomby atomowej – zaznaczył.

Gdy zajęli miejsce przy stoliku i zamówili jedzenie, Rafał pochylił się w kierunku przyjaciela. Mimo że restauracja była pusta – na sali siedział jeszcze tylko Borsuk – mówił bardzo cicho.

– Jaworski zanotował w swoim zeszycie, że po wyjeździe z Pogorzelic zajrzeli do Szczecina, aby zjeść obiad. Trafili na Bulwary Chrobrego i w jednej z nadbrzeżnych knajp Zofia dostrzegła Manfreda rozmawiającego ze Skibniewskim. Czysty przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności, ale to kolejny element pasujący do obrazka, nie sądzisz?

– Sugerujesz, że Manfred złuzował Jaworskiego, aby zastąpić go Skibniewskim. To prawdopodobne. Niemiec powiedział mu, że niedługo te tajemnicze ładunki ukryte w Chorze minie i na wyspie mają zostać wykopane. To oznacza, że mogli poszukiwać kogoś, kto im to ułatwi, da ludzi, jakiś sprzęt, może nawet przerzuci ładunek przez granicę. Emeryt Jaworski nie mógł tego zapewnić. Skibniewski, właściciel kilku firm budowlanych i firmy logistycznej, z pewnością mógł.

Kelnerka przyniosła im jedzenie i gdy oddaliła się od stolika, Rafał chciał kontynuować swoją relację z lektury zeszytu, ale do

restauracji wszedł starszy mężczyzna z młodą, wyzywająco ubraną dziewczyną. Mimo że sala była pusta, usiedli przy stoliku obok nich i Rafał dostrzegł, że Borsuk odsunął swój talerz, a później lekko się wyprężył. Terlecki miał nadzieję, że nie wyciągnie glocka.

Skończyli jeść w milczeniu i Rafał uregulował rachunek. Gdy tylko wyszli, Bartek przyznał, że początkowo dziewczyna wydawała mu się córką faceta i ich zachowanie lekko go zszokowało. Nic dziwnego, ręka mężczyzny cały czas wspinała się po udzie dziewczyny.

Rafał zapalił papierosa, zatrzymując się z dala od ich samochodów.

– W końcu lipca dwa tysiące piętnastego roku Jaworski dowiedział się, że ma raka trzustki. Za późno się dowiedział, lekarze nie dawali mu więcej niż trzy miesiące życia. Na początku września pojechał z żoną do Poznania. Rano przeszedł badania, które potwierdziły, że jego stan się pogarsza, a gdy wyszli ze szpitala, kazał się zawieźć na ulicę Rolną, do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Powiedział żonie, że ma pojechać na zakupy lub do kawiarni, bo on musi coś ważnego załatwić i że zajmie to około godziny. Zajął trzy. Opowiedział funkcjonariuszom o swojej współpracy z Manfredem. Zmarł miesiąc później. – Rafał skończył papierosa i zgasił niedopałek w metalowym koszu na śmieci.

– Kurwa.

– Celne podsumowanie. Z zeszytowej spowiedzi Jaworskiego wynika, że przynajmniej od początku września dwa tysiące piętnastego roku polskie służby wiedziały o współpracy Skibniewskiego z niemieckim wywiadem.

Bartek trzymał ręce w kieszeniach płaszcza, a później poprawił swój ciemny, elegancki kaszkiet, zsuwając go na oczy.

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście chodziło o wywiad. Przy werbunku Manfred powiedział, że reprezentuje grupę dawnych mieszkańców Wolsztyna i okolic zatroskanych o swoją dawną małą ojczyznę. To wcale nie musiało być kłamstwem. No i mówił o faszystach z AfD, a niektórzy starzy mieszkańcy tych okolic musieli być przecież faszystami. Może przez te wszystkie lata Jaworski wcale nie współpracował z niemieckim wywiadem – powiedział, patrząc na samochody przemykające po oddalonej o niespełna dwieście metrów szosie. – A ten gość z Albertowska może też nie był agentem wywiadu, ale jakiejś grupy, która się pod wywiad podszywała?



Terlecki poprosił, aby Borsuk podrzucił go pod blok Zofii Jaworskiej. Chciał ją zapytać, czy funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zdążyli porozmawiać z mężem przed jego śmiercią i czy ona wiedziała coś o ciągnącej się przez kilka dziesięcioleci tajnej działalności Ryszarda. Niestety, Jaworskiej nie było w domu. Sąsiadka poinformowała go, że rano zjawili się u niej dwóch młodych mężczyzn i gdzieś razem pojechali. Zabrzmiało to niepokojąco, ale sąsiadka uspokoiła Rafała stwierdzeniem, że jednym z mężczyzn był chyba jej zięć.

Po powrocie do mieszkania Terlecki natychmiast wszedł na stronę Biblioteki Publicznej w Wolsztynie, zaczął przeglądać „Głos Wolsztyński” z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku i zadzwonił do Zenona Olszańskiego, prosząc o umówienie spotkania z jego przyjacielem z poznańskiej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Musiał się czegoś dowiedzieć w sprawie zeznań złożonych przez Ryszarda Jaworskiego we wrześniu dwa tysiące piętnastego roku.

Przejrzał kilka numerów „Głosu Wolsztyńskiego”, gdy uświadomił sobie, że jego myśli krążą wokół Anastazji i Ewy siedzących teraz w jakiejś chałupie na Podlasiu. Poczł wyrzuty sumienia i postanowił do nich zadzwonić. Chwycił telefon, ale przypomniał sobie, że nie wpisał do niego ich aktualnych numerów. Podczas spotkania w parku Skaryszewskim Wiesław powiedział, że odebrał im dotychczasowe aparaty, aby nikt nie mógł ich namierzyć, i dał mu kartkę z nowymi numerami. Rafał nie pamiętał, gdzie ją schował.

Jutro zadzwonię, pomyślał.

Kwadrans później wreszcie trafił na interesującą informację. Krótka notatka znajdowała się na dole drugiej strony gazety. „W Albertowsku odnaleziono zwłoki pięćdziesięcioośmioletniego rolnika, który zmarł w swoim domu. Mężczyzna mieszkał samotnie”.

Terlecki przejrzał kolejne numery „Głosu Wolsztyńskiego”, ale niczego więcej nie znalazł. Najwyraźniej początkowo cenzorzy nie dostrzegli w tej śmierci niczego nadzwyczajnego, a po znalezieniu radiostacji sprawę utajniono.

Rozdział 42

POZNAŃ, 16 LISTOPADA 2019

Tym razem funkcjonariusz poznańskiej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego zajął stolik na wysokim podeście w sąsiedztwie baru. To miejsce zapewniało mu dobry widok na całą restaurację.

– Tutejsza whisky nadzwyczajnie mi smakuje – oznajmił, mrugając do Terleckiego, który zamówił deskę wędlin i serów oraz tagliatelle z krewetkami. Grzegorz uznał, że nie jest głodny, tylko spragniony, więc poprosił o jamesona.

– Sprawą z Albertowska zajęto się bardzo dokładnie. Drobiazgowo sprawdzono przeszłość zmarłego mężczyzny i okazało się, że był Niemcem mieszkającym przed wojną w Tłokach, działał w wolsztyńskiej komórce NSDAP, do której zapisał się prawdopodobnie na rok przed wybuchem wojny. Wcześniej, w trzydziestym szóstym, trzech Polaków zgwałciło i zabiło mu ciężarną żonę. Jakiś czas potem przeniósł się do Albertowska. – Grzegorz wypił spory łyk alkoholu i wbił widelec w suszone pomidory, a później wziął spory kawałek szynki parmeńskiej. – Włoskie żarcie w towarzystwie irlandzkiej whisky smakuje wybornie. To musi być mit, że Włosi piją tylko wino – skonstatował.

Terlecki cierpliwie mieszał widelcem w swoim talerzu. Już chciał zamówić swojemu rozmówcy kolejną porcję whisky, ale postanowił go trochę przetrzymać, więc zignorował przechodzącego właśnie kelnera.

– Coś jeszcze o nim wiadomo?

– Całkiem sporo – odpowiedział Grzegorz, patrząc w kierunku baru.

Terlecki zrozumiał sugestię i gestem zamówił dla Grzegorza kolejną porcję. Gdy kelner postawił przed nim szklanę z alkoholem, chwycił ją delikatnie i zaczął powoli obracać w dłoni. Milczał, jakby zastanawiał się, od czego zacząć, i po chwili podjął opowieść.

Okazało się, że w gospodarskich zabudowaniach Ludwika Frejlicha, tak nazywał się ten facet z Albertowska, znaleziono nie tylko radiostację i książkę kodową, ale także sporo zachodniemieckich marek i dolarów, dwa pochodzące z czasów wojny dobrze zakonserwowane MP34 i niemiecki pistolet Luger oraz imponującą kolekcję noży.

– Jeden z nich trochę przez przypadek powiązано z morderstwem, które zdarzyło się zaledwie kilka miesięcy wcześniej. W maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku w wolsztyńskim parku milicja znalazła mocno okaleczone zwłoki młodej kobiety. – Grzegorz odstawił szklanę i sięgnął po widelec, ale Terlecki chwycił go za rękę.

– Gdzie znaleziono te zwłoki, w którym miejscu?

– W parku.

– Ale gdzie dokładnie? Pod dębem z rzeźbami Marcina Rożka?!

Funkcjonariusz ABW spojrział na Rafała zdziwiony. Czytając stare akta, nie zwrócił na to uwagi, bo nie to było w tej zbrodni najdziwniejsze. Grzegorza zszokował opis zwłok, z którego wynikało, że kobiecie obcięto język oraz uszy i próbowano wydłubać oczy.

– Esbecy nie mieli stuprocentowej pewności, czy morderca kobiety posłużył się tym nożem. Dokonano wprawdzie ekshumacji, sprowadzono specjalistów z Warszawy, ale możliwości ówczesnej kryminalistyki były nieporównywalnie mniejsze niż obecnie. – Grzegorz zjadł kawałek sera, a później wypił niewielki łyk alkoholu. Najwyraźniej postanowił zwolnić tempo.

Rafał zapytał, czy prowadzący tamto śledztwo zbadali także powiązania Frejlicha z wcześniejszymi morderstwami kobiet, z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, ale Grzegorz zaprzeczył.

– Coś tam robiono, ale niewiele. Modus operandi był podobny, więc z dziewięćdziesięcioprocentową pewnością uznano, że to też była robota Frejlicha. Ale dla Warszawy nie to było najważniejsze. Podejrzewano, że Niemiec był tylko elementem całej siatki szpiegowskiej działającej na tym terenie i skoncentrowanej na szpiegowaniu pułku lotniczego w niedalekim Babimoście. Za komuny w tym mieście stacjonował...

– Wiem, Czterdziesty Piąty Pułk Lotnictwa Myśliwskiego. Znałem nawet córki jednego z jego dowódców. Mniej więcej w tym czasie włączono go w skład Drugiej Brandenburskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwsko-Szturmowego. Latali na limach, licencyjnej wersji samolotu MiG-17.

– Tak, chyba tak. Teoria wzięła w łeb. Niczego ani nikogo nie znaleźli. Ślęczeli nad tą sprawą aż do początku lat siedemdziesiątych, zainstalowali nawet we wsi swojego człowieka, ale nic z tego nie wynikło. W końcu wpadli na pomysł, aby wykorzystać to propagandowo...

– Niemiecki agent psychopata mordujący niewinne Polki i okaleczający ich ciała. Bomba! Dlaczego tego nie zrobili?

– W siedemdziesiątym drugim, we wrześniu, zamknęli sprawę. Było już po układzie z Willym Brandtem, w Warszawie Gierek zmienił Gomułkę... – odpowiedział Grzegorz, upijając trochę whisky. – Polityka.

Znowu zamilkli. Tagliatelle Rafała było już zimne, ale i tak zjadł je ze smakiem. Grzegorz patrzył na niego, obracając leżącą na stole paczkę marlboro.

– Ten dąb w parku. Skąd pan o tym wiedział?

Terlecki zastanawiał się, czy może odpowiedzieć na to pytanie. Właściwie nie widział przeszkód, ale nie miał do swojego rozmówcy pełnego zaufania. Choć Olszański zapewniał, że Grzegorz jest porządnym człowiekiem, to jednak był pracownikiem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jego koledzy inwigilowali krytycznych wobec obecnej władzy dziennikarzy, co do tego Rafał nie miał wątpliwości. W końcu podjął decyzję i opowiedział mu o księdzu Franciszku Janickim. Miał do załatwienia z Grzegorzem jeszcze jedną sprawę.

– Zachodziłem w głowę, kto kontynuował zbrodnie Janickiego. Teraz już wiem. Ksiądz, który najpewniej był człowiekiem opętanym, stworzył organizację, nazywała się Voluntatem Dei, Wola Boga, niezbyt liczną, ledwie kilku zaufanych ludzi, parobków z okolicznych wiosek. Najbardziej zaufanym był Bogusław Świdorski z Tłok. Tych samych Tłok, w których wcześniej mieszkał Ludwik Frejlich. Wierzy pan w takie przypadki?

Grzegorz popatrzył na niego ponurym wzrokiem, wyłuskując papierosa z paczki.

– Szkołą nas, aby nie wierzyć w przypadki – powiedział i uniósł się z krzesła. – Muszę zapalić. Proszę mi zamówić jeszcze jedną, ale pojedynczą i bez lodu.

Rafał śledził wzrokiem funkcjonariusza ABW schodzącego po schodach. Szedł niezbyt pewnym krokiem i Terlecki pomyślał, że właściciel Forni Rossi powinien nakazać kierownikowi sali, aby amatorów alkoholu sadzać na parterze, a nie kazać im się wspinać na antresolę.

Pół godziny później Rafał Terlecki uregulował rachunek i wsadził mocno już pijanego funkcjonariusza ABW na tylne siedzenie jeepa wranglera. Siedzący za kierownicą Borsuk spojrzął na pasażera z niesmakiem, ale nic nie powiedział. Gdy zatrzymali się na parkingu przed blokiem na osiedlu Zwycięstwa, Grzegorz jeszcze postanowił się upewnić.

– Howański? Chodzi o Bolesława Howańskiego? Zobaczę, czy coś mamy, i dam znać przez Olszańskiego – obiecał. Wysiadł z samochodu i po chwili zniknął w czeluściach klatki schodowej.

Borsuk spojrzął na Rafała uważnie.

– Owocne spotkanie? – zapytał, a Terlecki potwierdził skinieniem głowy.

Przez resztę drogi milczeli. Rafał zasłuchał się w audycji Karoliny Lewickiej, która tym razem rozmawiała z jakimś profesorem o Klemensie von Metternichu, ale po minięciu Rostarzewa radiowy sygnał TOK FM zaczął szwankować. Po raz kolejny pomyślał, że musi wreszcie zainstalować sobie aplikację ulubionego radia. W Rakoniewicach z głośnika dochodziły już tylko strzępki zdań, więc Rafał przełączył na płytę CD i z głośników popłynęła *Korespondencja klasowa* Jacka Kaczmarskiego. Lubił Kaczmarskiego, ale zdziwił się, że Borsuk ma podobny gust.



Olszański zadzwonił trzy dni później. Spotkali się przy muszli koncertowej w parku miejskim i wolnym krokiem ruszyli w kierunku jeziora. Okazało się, że Grzegorz znalazł w elektronicznym archiwum ABW teczkę Bolesława Howańskiego.

– Jest cienka, więcej w niej przypuszczeń niż faktów, ale powinna cię zainteresować. Zajęli się nim na początku lat pięćdziesiątych na podstawie doniesień, że podczas okupacji współpracował z Niemcami. Były jakieś zeznania, które to potwierdzały, ale nic konkretnego. Howański zniknął pod sam koniec wojny, więc nikt się do tego specjalnie nie przykładał, ale w latach sześćdziesiątych sprawę odkopano. Nazwisko pojawiło się w meldunku naszego agenta działającego w Austrii. Twierdził, że Bolesław Howański współpracuje z wywiadem izraelskim w poszukiwaniach zbrodniarzy hitlerowskich.

Weszli właśnie na pomost przy plaży. Rafał pomyślał, że obserwujący ich Borsuk musi się teraz wściekać, bo stanowili idealny cel. Przeszedł go dreszcz i powoli odwrócił się w stronę brzegu, ale w zasięgu jego wzroku nie było żadnych ludzi. Wczesną wiosną w godzinach przedpołudniowych park cieszył się umiarkowanym zainteresowaniem spacerowiczów.

– Mieli jakieś dowody?

Olszański zaprzeczył, wpatrując się w wyspę. Terlecki podążył za jego wzrokiem.

– Dobre miejsce, aby coś ukryć, nie uważasz? – zapytał.

– Tak. Odkąd pamiętam, w Wolsztynie zawsze mówiono, że to świetne miejsce, żeby ukryć jakiś skarb. Cóż, ludzie lubią takie opowieści. Tyle że w Wolsztynie nigdy nie było ani rycerzy Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, ani piratów. – Odwrócił się i zaczął schodzić z pomostu. – Chodźmy, wieje tak, że dosłownie łeb urywa.

Rozdział 43

FLORENCJA, 22 LISTOPADA 2019

Taksówkarz zatrzymał się przy moście przecinającym rzekę Arno, blokując przejazd, więc kierowcy innych samochodów wściekle naciskali klaksony. Starszy otyły mężczyzna w ciemnych okularach nic sobie z tego nie robił.

– *Relax, relax* – krzyknął, wychylając głowę przez okno. Rafał podał mu banknot i czekając na resztę, niespokojnie spoglądał przez tylną szybę. – *Relax* – powtórzył taksówkarz, tym razem adresując te słowa do pasażera.

– *Per favore. Buona giornata* – powiedział Rafał, podając mu banknoty. Trąbienie nie ustawało, więc Włoch wystawił rękę za okno i machnął lekceważąco.

Rafał wysiadł z taksówki i spojrzał w kierunku Ponte Vecchio oblepionego małymi, chyba najśłynniejszymi na świecie zakładami jubilerskimi, mekce wszystkich kobiet odwiedzających stolicę Toskanii. Przebiegł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku Galerii Uffizi.

Wzdłuż budynku muzeum swoje kramiki jak zwykle rozstawili artyści, ale o tej porze roku turystów było niewiele, więc mężczyźni kręcili się wokół swoich stoisk ze znudzonymi minami. Rafał spojrzał na malarza ubranego w obszerną, mocno sfatygowaną zieloną kurtkę i fantazyjny kapelusz. Mógł się mylić, ale wydało mu się, że to on wiele lat temu namalował portret małej jeszcze wówczas Anastazji. Ewa powiesiła później

obraz w swoim gabinecie w banku. Rafał zastanawiał się, czy nadal tam jest. I dlaczego to ona go wzięła.

Minął główne wejście Galerii Uffizi, wyszedł na rozświetlony wiosennym słońcem Piazza della Signoria i zatrzymał się przy kopii posągu Dawida Michała Anioła. Spod Palazzo Vecchio, który kiedyś był siedzibą rady miejskiej, a obecnie pełnił funkcję ratusza, ruszyła właśnie czarna lancia eskortowana przez dwa policyjne samochody, a liczba flag powiewających na budynku wzniesionym w czternastym wieku wskazywała, że we Florencji odbywa się jakaś międzynarodowa konferencja.

Na chwilę zapatrzył się w słynną kopułę katedry Santa Maria del Fiore, a później spojrzął na zegarek. Do spotkania miał jeszcze dwie godziny. Zastanawiał się, czy wypić kawę, wpatrując się w posąg Neptuna, czy od razu pójść do kościoła Santa Croce. Zdecydował się na ten drugi wariant. Zawsze, gdy był we Florencji, odwiedzał tę franciszkańską świątynię, upajając się przebywaniem w miejscu, w którym pochowano Michała Anioła, Dantego, Galileusza i Machiavellego. Liczył, że o tej porze roku nie będzie musiał stać w kolejce i przepychać się przez tłum turystów.

Był umówiony z profesorem Corneliusiem O'Sullivanem, wykładowcą współczesnej historii Europy w Cambridge, autorem kilku książek o powojennych Niemczech, a także wydanej cztery lata temu bestsellerowej pozycji o tropicielach hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Anglik kończył właśnie kolejną książkę i od dwóch miesięcy pracował w wynajętej willi w okolicach Poggibonsi, ale dał się namówić na lunch z dziennikarzem z Polski.

Profesor okazał się wysokim, chudym mężczyzną z ciemnymi, niesfornie układającymi się włosami i mimo młodego wieku – miesiąc wcześniej skończył czterdzieści trzy

lata – lekko przyprószonymi siwizną. Był ubrany w dżinsy, białą koszulę i jak przystało na Anglika, tweedową marynarkę w kratę. Wygłoszone przez Rafała zdanie, że jego książka zrobiła na nim ogromne wrażenie, skwitował skromnym uśmiechem i lekceważącym machnięciem ręki.

– Przekopałem niemieckie, austriackie, brytyjskie, francuskie i amerykańskie archiwa. Z rosyjskimi się nie udało. Tak samo z izraelskimi i watykańskimi, a to one skrywają najciekawsze informacje. Ale Rosjanie, Żydzi i Stolica Apostolska mają obsesję na punkcie tajemnicy. Przyznam się jednak, że ostatnio udało mi się uchylić w Tel Awiwie pewne ważne drzwi. Szczelina jest jeszcze zbyt wąska, abym mógł się przez nią przecisnąć, ale staram się ją poszerzyć. W każdym razie próbuję, co niestety odrywa mnie od bieżących zadań – powiedział, kiwając w kierunku kelnera.

Zgodnie z sugestią profesora zamówili spaghetti aglio e olio, gazowaną wodę i butelkę białego wina. Gdy kelner się oddalił, O’Sullivan zapytał Rafała, w czym może mu pomóc.

– Czy pracując nad książką o tropieniu zbrodniarzy hitlerowskich, trafił pan na nazwisko Bolesław Howański lub Oskar Meyer? To Austriak, mieszkał w Stummie...

Terlecki przerwał, bo przy stoliku pojawił się kelner z butelką schłodzonego białego wina. Zaprezentował ją profesorowi, a później zaczął celebrować jej otwarcie, jakby miał w rękach Cheval Blanc 1947. Anglik skosztował, z aprobatą pokiwał głową i patrząc Rafałowi w oczy, odpowiedział na jego pytanie twierdząco. Wypił trochę wina, a później zaczął mówić.

– Nie, Howański vel Meyer nie jest Austriakiem, właściwie nie był, bo już nie żyje. Był Polakiem. Człowiekiem absolutnie niezwykłym. Spędziłem z nim wiele, wiele godzin, a on opowiedział mi historię, w którą naprawdę trudno uwierzyć. To

właśnie w jego sprawie jeżdżę teraz do Izraela. Chcę mu poświęcić swoją następną książkę.

Terlecki patrzył na niego zdumiony. Siedzieli w ogródku restauracji z widokiem na Santa Croce, w miejscu, które kochał, ale teraz cała jego uwaga była skupiona na profesorze z Cambridge. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Lecąc na spotkanie, miał nadzieję uzyskać trochę interesujących, ale ogólnych informacji o ucieczce hitlerowskich funkcjonariuszy przed sprawiedliwością, pytanie o Howańskiego przyszło mu do głowy dopiero, gdy przechadzał się po Santa Croce.

– Na pewno mówimy o tym samym człowieku? Bolesław Howański, drukarz, przed wojną mieszkał w Wolsztynie, później został aresztowany pod zarzutem fałszowania różnych niemieckich dokumentów. Podobno jakimś cudem wylądował w berlińskim więzieniu RSHA. – Terlecki patrzył na O’Sullivana w napięciu.

– Czy ta miejscowość, którą pan wymienił, a której nazwy jakoś nie potrafię zapamiętać, leży w Wielkopolsce? Bo jeśli nie, to mamy ogromnego pecha i nigdy już nie powinniśmy wydawać pieniędzy na jakąkolwiek loterię. Ilu w końcu mieszkańców tego polskiego miasteczka trafiło pod bezpośredni nadzór SS-Obergruppenführera Ernsta Kaltenbrunnera, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, uciekło i po wojnie zamieszkało w Austrii, w Stummie? – Anglik dolał im wina i w tym momencie przy stoliku pojawił się kelner z dwoma talerzami spaghetti. – Proszę mi opowiedzieć, dlaczego interesuje się pan Howańskim.

Terlecki zrelacjonował całą znaną mu historię ojca Henryka Howańskiego, którą uzupełnił informacjami o Ludwiku Frejlichu i Ryszardzie Jaworskim. Profesor słuchał uważnie,

a później rozlał do kieliszków resztę wina i zamówił dwa espresso.

– O której ma pan samolot?

– O dwudziestej pierwszej.

– Niech pan przebukuje bilet. Musimy porozmawiać, a to miejsce się do tego nie nadaje. Zabiorę pana do siebie. Czeka nas długa noc, ale moja piwniczka z winami zapewne ustępuje tej, którą miał Howański...

– W Stummie?

– Nie wiedział pan? Wino, obok ścigania nazistów, było jego wielką namiętnością. Jeśli obdarzył kogoś zaufaniem, co zdarzało się nadzwyczaj rzadko, to siadał z nim na swoim wysokim tarasie z widokiem na Alpy i snuł wspomnienia. Naprawdę był niezwykłym człowiekiem. To od niego nauczyłem się pić wino na dworze, podziwiając widoki, bo oczywiście w Anglii jest to trudne. Jak pan z całą pewnością wie, w mojej ojczyźnie preferujemy mocniejsze trunki pite raczej w pubach niż na łonie przyrody. Alp z mojego ogrodu nie widać, ale rozciąga się z niego niezgorszy widok na wieże San Gimignano.



Prosto z lotniska Rafał pojechał do redakcji. Była sobota, kilka minut po dwudziestej trzeciej, ale Cezary i Mariusz Hallmann czekali na niego, jedząc pizzę. Nie zadali sobie trudu, aby skorzystać z talerzy i sztuców. Na niebieskiej koszuli Hallmanna widać było dużą tłustą plamę.

– Beata cię zabije. To będzie spektakularne morderstwo, o którym warszawiacy będą sobie opowiadać całymi latami, być może powstaną na ten temat ballady...

– Nasza kochana stacja urządzi mi piękny, transmitowany na żywo pogrzeb, a wy nakręcicie demaskatorski reportaż o prześladowaniach mężczyzn przez coraz bardziej brutalne i bezwzględne kobiety, po którym jak Europa długa i szeroka odbędą się protesty organizacji feministycznych. Może nawet wybuchną zamieszki. – Hallmann wytarł usta papierową serwetką i rzucił karton obok metalowego kosza na śmieci.

Cezary przyniósł trzy puszki piwa. Musiały czekać na nich w lodówce.

– Mów wreszcie – polecił Mariusz, siadając wygodnie w fotelu, i spojrzał na monitor. Właśnie rozpoczął się ostatni dzisiaj program nadawany na żywo.

Terlecki otworzył puszkę i od razu wlał w siebie jedną trzecią jej zawartości. Po nocy spędzonej w towarzystwie O’Sullivana i naznaczonej czterema butelkami wina tego właśnie potrzebował. Miał nadzieję, że Cezary będzie miał w zanadrzu jeszcze kilka piw.

– Stwierdzenie, że życie Bolesława Howańskiego jest gotowym scenariuszem trzech sezonów dla Netflixa, to eufemizm. To jest, kurwa, prawdziwa narodowa epopeja – zaczął, ale Mariusz natychmiast mu przerwał.

– Znakomicie. A jakieś konkrety? Poprosimy skróconą wersję, bo za kilka godzin muszę tu być z powrotem, cały śliczny, pachnący i w czystej koszuli. – Szef działu reportażu krytycznie popatrzył na tłustą plamę.

Terlecki zaczął opowiadać, od czasu do czasu zerkając do notesu.

W czterdziestym trzecim roku Bolesław Howański został aresztowany, zadenuncjował go sąsiad, zdradzając, że podrabia niemieckie dokumenty dla ruchu oporu. Donos był nieprawdziwy, Bolesław podrabiał kartki, dokumenty

i reichsmarki dla zwykłych ludzi, ale i tak było to ciężkim przestępstwem. Po kilku dniach pobytu w areszcie w Wolsztynie Howańskiego przejęło trzech niemieckich oficerów, jeden był z SD, drugi z Abwehry, a trzeci był pancernikiem z Wehrmachtu.

– Zaskakujący sojusz – mruknął Hallmann.

– Owszem, ale tłumaczy go to, że byli kumplami jeszcze sprzed wojny, razem chodzili do szkoły. Osadzili Howańskiego w pałacu w Chorzeminie i kazali podrabiać paszporty. Całą furę paszportów. Argentyńskich.

– O kurwa! Tylko mi nie mów, że to dzięki Howańskiemu Adolf Eichmann, główny koordynator i wykonawca planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, uciekł do Argentyny.

– Tak Bolesław przedstawił to O’Sullivanowi. I to właśnie ten paszport spowodował, że zaczął dokumentować swoje działania. Po prostu, gdy zobaczył zdjęcie Eichmanna, przypomniał sobie fotografię, którą wcześniej widział w jakiejś niemieckiej gazecie. Eichmann stał obok Hitlera i Reinharda Heydricha. Uświadomił sobie wówczas, że został zaprzęgnięty do jakiejś wielkiej sprawy. Udało mu się zdobyć aparat fotograficzny, sfotografował podrabiane paszporty, a rolki ukrył pod sufitem w pałacu w Chorzeminie.

Gdy fałszywe dokumenty były już gotowe, Becker i Hoffmann planowali go oczywiście zabić. Uniknął śmierci, bo w Chorzeminie zjawiał się niemiecki oddział z rozkazem Kaltenbrunnera i Howańskiego przetransportowano do Berlina. Najpewniej szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy miał wobec niego jakieś inne plany.

– Nie wiemy jakie i zapewne tego już się nie dowiemy. O’Sullivan twierdzi, że Howański był ważnym, ale jednak tylko

trybikiem w wielkiej operacji budowy Czwartej Rzeszy. Miała powstać w Argentynie, ideologia nazistowska miała się odrodzić najpierw tam, później opanować całą Amerykę Południową, a następnie rozlać się po Europie. À propos rozlania, mamy jeszcze piwo?

Cezary niechętnie wstał z krzesła. Po chwili wrócił z trzema puszkami, niezgrabnie trzymanymi w ręku. Gdy podawał jedną z nich Hallmannowi, spadła na pokrytą wykładziną podłogę. Gdy chwilę później szef działu reportażu otworzył puszkę, spienione piwo rozlało się na jego koszulę.

– Ożeż kurwa! Dlaczego ciągle spotyka to akurat mnie! – krzyknął, zrywając się z dyrektorskiego fotela. – Beata uzna, że uczestniczyłem w jakiejś dzikiej imprezie, w której alkohol lał się strumieniami, a półnagie dziewczęta tańczyły na rurze.

– Dlaczego półnagie? Wszystkie żony na świecie są przekonane, że ich mężowie spędzają większość czasu w towarzystwie nagich, a nie półnagich kobiet. – Cezary spokojnie otworzył swoją puszkę.

– W końcu kwietnia czterdziestego piątego roku, gdy Rusczy podchodzili już pod Berlin, Howańskiego zapakowano do samochodu i pod silną eskortą wywieziono w głąb Niemiec. Nie wiedział dokąd. W okolicach Osnabrück konwój został ostrzelany przez angielski samolot. Lekko ranny Howański zdołał uciec. Trzy miesiące później dotarł do Bilbao w Hiszpanii, gdzie udało mu się zamustrować na statek płynący do Sierra Leone. Stamtąd dostał się do Australii.

Jak powiedział O'Sullivanowi, wierzył wówczas, że Niemcy zbudują Czwartą Rzeszę, wrócą do Europy, więc chciał być od tego miejsca jak najdalej. Później zrozumiał, że może się temu przeciwstawić. Wrócił do Europy. W jakiś sposób, wówczas nie było to chyba specjalnie trudne, dostał się do rezydującego

w Londynie Augusta Zalewskiego, prezydenta Rzeczypospolitej na Uchodźstwie. Niestety, niczego nie uzyskał. Ale dwa dni później odnalazł go jakiś mężczyzna. Powiedział, że jest urzędnikiem pracującym dla polskiego rządu w Londynie i Żydem. Zapytał, czy Howański chciałby się z kimś spotkać. Z kimś, kto jest bardziej zainteresowany jego opowieścią niż prezydent Zalewski. – Terlecki wyciągnął paczkę marlboro. Chciało mu się palić, ale w budynku obowiązywał zakaz raczenia się nikotyną.

– Izraelski wywiad? Chodziło o Mosad, wtedy nazywany jeszcze Instytutem Koordynacji? – Cezary aż uniósł się z fotela.

Howański tego nie wiedział. W Europie głośno było wówczas o zdobyciu przez Izrael treści referatu wygłoszonego przez Nikitę Chruszczowa, następcę Stalina, na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, ale przybyły z Australii Howański się tym nie interesował, nie wiedział nawet, że powstało państwo żydowskie. Trawiła go jednak chęć działania i skoro Polacy odrzucili jego pomoc, związał się z Izraelem. Dwa lata później grupa izraelskich agentów, którym dokładnie opisał lokalizację skrytki, pojechała do Polski.

Nocą włamali się do pałacu w Chorzeminiu. Nie było to trudne, mieściła się tam siedziba miejscowego PGR-u, w nocy pilnowana przez starego, najczęściej pijanego stróża. Weszli do piwnicy, wydlubali ukryte w ścianie filmy i pojechali do Gdyni, gdzie wsiedli na pokład angielskiego masowca transportującego węgiel. Trzy tygodnie później na biurku premiera Dawida Ben Guriona wylądowały zdjęcia fałszywych paszportów sporządzonych przez Bolesława Howańskiego. Była wśród nich fotografia nowego paszportu Adolfa Eichmanna.

Rozdział 44

WIEDEŃ, 11 STYCZNIA 1944

Oskar Hoffmann siedział przy długim, drewnianym blacie w rogu popularnej wiedeńskiej piwiarni przy Guglgasse. Miał na sobie białą koszulę i wełnianą ciemną marynarkę. Choć podczas podróży posługiwał się dokumentami oficera Abwehry, to jednak jego starannie złożony mundur spoczywał w jednej z walizek w kufrze mercedesa.

– Jak twoja pielgrzymka, grzeszniku? – Ernst Becker był w mundurze, ale nie wzbudzało to żadnego zainteresowania innych amatorów piwa. Od czasu Anschlussu niemieckie mundury w Wiedniu spowszedniały.

Pułkownik SD w przeciwieństwie do Hoffmanna przyjechał do Wiednia najzupełniej oficjalnie, a jutro miała do niego dołączyć podróżująca pociągiem żona Klara i dwóch synów. Dla niemieckich służb mieli zniknąć dopiero po opuszczeniu miasta. Dalej zamierzali podróżować, korzystając ze sfałszowanych dokumentów. Oskar tymczasem jeszcze w Wolsztynie zmienił się w pracownika Ministerstwa Rzeszy do spraw Kościoła. Kamuflaż nie był przypadkowy, tłumaczył obecność w samochodzie księdza Arthura Sikory, a ponadto uprawdopodobniał ich marszrutę. Zadaniem oficera Abwehry było bowiem sprawdzenie, czy biskup Alois Luigi Hudal, rektor watykańskiego Collegio Teutonico di Santa Maria dell'Anima, wywiązał się z umowy i rzeczywiście stworzył na terenie Europy sieć parafii i klasztorów, w których w razie przegranej wojny

funkcjonariusze Trzeciej Rzeszy będą się mogli ukryć w drodze do Genui i dalej, do Ameryki Południowej. Becker wiedział, że osobną siatkę w tym samym celu tworzono również w Hiszpanii, ale tam było to łatwiejsze, bo odbywało się przy akceptacji generała Franco.

– Klasztor w Monachium okazał się całkiem wygodny. Przeor był powiadomiony, przyjął nas bardzo gościnnie, dostałem swoją celę, ale mam nadzieję, że była to pierwsza i ostatnia moja cela. Posiłki jadalіśmy w refektarzu i odniosłem wrażenie, że pozostali zakonnicy nic o nas nie wiedzieli. Nie bardzo też się nami interesowali albo raczej nakazano im się nami nie interesować. – Kufel Hoffmanna był już w połowie pusty, więc kiwnął na kelnerkę. Gdy kobieta ubrana w tradycyjny austriacki strój ludowy ustawiła przed nimi kufle, poprosił jeszcze o dwa schnappsy. Dzisiaj spał w parafii w niewielkiej miejscowości oddalonej od Wiednia o dwanaście kilometrów.

– Przyjemne miejsce, dobre jedzenie. Ksiądz wiekowy, podczas wojny światowej był ranny, przez co do dzisiaj kuleje. Z rozmowy wynika, że bardzo nam sprzyja, a jeszcze bardziej boi się Sowietów. Stalina nazywa antychrystem.

– A jak Sikora? – zapytał Becker i wypił kilka łyków piwa.

– Oślizły jak zawsze. Próbował mnie wypytywać, ale kazałem mu się zamknąć, więc teraz prawie się nie odzywa. Rano zaczął mnie popędzać, twierdząc, że musi dzisiaj odprawić mszę. To prawda? Oni muszą codziennie odprawiać mszę?

Ernst nie znał reguł, jakie obowiązywały katolickich kapłanów, więc tylko wzruszył ramionami. Wsłuchiwał się w gwar panujący w piwiarni i dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo mu tego brakowało. Zwykłego, codziennego niemieckiego życia.

Wpatrywali się w siedzących przy innych stolikach gości, którzy tocząc leniwe rozmowy, popijali piwo, i nagle obu im się wydało, że wojny nie ma, że to tylko iluzja, jakiś koszmar sen, z którego właśnie się przebudzili. Ernst przypomniał sobie takie wypadki na piwo w czasach, gdy studiował w Wiedniu, i jego myśli popłynęły w przeszłość.

Ze wspomnień wyrwała go kelnerka, stawiając przed nimi dwa kieliszki wódki. Ernst przesunął jeden z nich do Oskara, a drugi uniósł do ust, zastanawiając się, czy w Argentynie też są piwiarnie. Wiedział jednak, że nawet jeśli są, to na pewno nie ma w nich tej specyficznej atmosfery właściwej tylko dla południowych Niemiec i Austrii.

– Myślisz, że oni zdają sobie sprawę z tego, co nadchodzi? A może wierzą w ostateczne zwycięstwo? – Oskar wodził wzrokiem po knajpie.

– To wiedeńscy. Nie znam ludzi bardziej zapatrzonych w siebie. Wydaje im się, że wszystko, co ważne, odbywa się tutaj, w ich mieście, a świat to tylko nic nieznaczące tło. Podobno zawsze tak myśleli, ale kongres wiedeński w tysiąc osiemset piętnastym roku jeszcze ich w tym utwierdził. Napoleon już uciekł z Elby, już odzyskał Paryż, już zgromadził armię, a oni cały czas tu radzili, balowali i ucztowali, nie dopuszczając do siebie myśli, że Francuzi wkrótce mogą zająć stolicę cesarstwa.

Ernst chwycił kufel. Miał ochotę na jeszcze jednego schnappsa, ale wolał w tej sprawie oddać inicjatywę Oskarowi. Znał go i wiedział, że się nie zawiedzie. Po dłuższej chwili udało mu się oderwać myśli od bawiących się piwoszy i wrócić do rzeczywistości.

– Niepokoi mnie ta akcja Kaltenbrunnera. Skąd ta zmiana decyzji? – Spojrzał na Hoffmanna, który cały czas wodził

wzrokiem po piwiarni. Dzień przed wyjazdem w Chorzeminie zjawił się niewielki oddział z rozkazem wydania Bolesława Howańskiego. Mieli go zabrać do Berlina.

Oskar spojrział na niego, a potem gestem nakazał kelnerce, aby przyniosła im kolejne dwie wódki, i Ernst z satysfakcją pomyślał, że znakomicie zna swojego przyjaciela.

– Z nas dwóch to ty lepiej znasz Kaltenbrunnera. Oczywiście, w Abwehrze mamy jego charakterystykę, podobno bardzo dokładną i staranną, ale nigdy nie miałem do niej dostępu. To poziom admirała Canarisa. Sądysz, że może nas wystawić do wiatru?

Becker nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Wydawało mu się to niemożliwe, ale przecież nie znał wszystkich rozgrywek odbywających się na szczytach Trzeciej Rzeszy. Jedno za to wiedział na pewno – jeśli szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy będzie zmuszony poświęcić go dla swojej kariery, zrobi to bez wahania. Wzruszył ramionami i zapytał, czy Oskar ma już jakieś informacje na temat hrabiny Daum. Jego agent mieszkający w Albertowsku miał po ich wyjeździe podpalić pałac w Chorzeminie, a arystokratka miała zginąć w płomieniach.

– Ludwig jest człowiekiem dokładnym, sumiennym i karnym – powiedział w momencie, gdy stanęły przed nimi dwa kieliszki schnappsu. – Wracając do poprzedniego wątku. Czy ktoś zna naszą marszrutę? Wie, w których miejscach będziemy się zatrzymywali, zna nazwę statku, na którym się zaokrętujemy? To ważne, pomyśl, nim odpowiesz.

Ernst Becker, pułkownik Sicherheitsdienst des Reichsführers SS zapatrzył się w stojący przed nim kieliszek. Znał odpowiedź, a mimo to zwlekał. Nie potrafił się pogodzić z myślą, że

Kaltenbrunner, człowiek, któremu zawierzył swoje życie i dla którego zdradził Adolfa Hitlera, mógłby teraz się wycofać.

– Za dużo wiem – powiedział, ale nie było w tych słowach jego zwykłej pewności siebie.

– Co czyni ciebie, a właściwie nas, naturalnym celem. Zbyt duża wiedza o planach przełożonych nie jest dobrą polisą na życie. Jest nią natomiast niewiedza naszych przełożonych. Dopóki nie wiedzą, jak zamierzamy dotrzeć do Genui, niewiele mogą nam zrobić.

Atmosfera wiedeńskiej piwiarni, a raczej jego wcześniejsze wspomnienia zaszczerpiły jednak w Beckerze pesymistyczne myśli. Uświadomił sobie, że ich statek może w każdej chwili zostać zatopiony przez jeden z podwodnych okrętów Kriegsmarine, a wówczas jego wiedzę o zdradzie Kaltenbrunnera pochłoną wody Atlantyku. Miał tylko nadzieję, że dowodzona przez admirała Karla Dönitza flotylla jest słabsza, niż to przedstawia propaganda Goebbelsa.



Oskar Hoffmann i Ernst Becker dotarli do Genui bez przeszkód. Oficer Abwehry znalazł się tam z tygodniowym opóźnieniem, bo odwiedził jeszcze klasztory w Brixen, Bolzano i Merano. Zamieszkali u franciszkanów w sanktuarium Nostra Signora del Monte, a po dwóch tygodniach weszli na pokład Admiry i popłynęli do Argentyny, gdzie spodziewali się dotrzeć po dwóch tygodniach podróży. W dniu wyjazdu Ernst Becker zdążył jeszcze wysłać kartę pocztową do Helgi i Ericha Beckerów w Widzimi Starym. Wiedział, że to nieostrożność, ale nie potrafił się powstrzymać.

Admira okazała się masowcem z kilkoma kabinami pasażerskimi. Po drodze zawinęli do Hiszpanii, do Kadyksu, gdzie na pokład weszła młoda kobieta w niebieskiej sukni i kapeluszu, trzymająca na ręku małego, hałaśliwego psa. Ernst i Oskar obserwowali ją, opierając się o burtę.

– Czuję, że zostanie moją nauczycielką hiszpańskiego... – Oskar wyszczerzył zęby w lubieżnym uśmiechu. – Cóż lepszego będzie miała do roboty na środku oceanu?

Becker pokiwał głową. Zastanawiał się, jak w takim momencie jego przyjaciel może myśleć o seksie, bo jego pochłaniały pytania o przyszłość. Wiele miesięcy temu, gdy Kaltenbrunner po raz pierwszy powiedział mu o swoim planie, miał wybór. Mógł zostać w Europie, aby tworzyć podziemną organizację faszystowską, która tu na miejscu miała przygotować odrodzenie się niemieckiego narodu, albo pojechać do Argentyny. Wybrał to drugie. Pociągała go przygoda, a nie bez znaczenia było też to, że zagraniczna misja wydawała mu się bezpieczniejsza. Teraz nie był już tego taki pewien. I nie był pewien, czy podoła. Miał też wtedy trzecie wyjście – mógł po prostu zdradzić SS-Obergruppenführera. Dzisiaj zapewne byłby już generałem.

W Buenos Aires czekała ich ciężka praca. Musiał się skupić na przygotowaniu przyjazdu wielu ważnych urzędników ze szczytów hitlerowskiej maszyny władzy, którzy właśnie w Argentynie zamierzali ukryć się przed Sowietami i zachodnimi aliantami, ale Kaltenbrunner jasno powiedział mu, że najważniejsi będą niemieccy inżynierowie i naukowcy. To oni natychmiast po przyjeździe mieli wziąć się za rozbudowę argentyńskiego przemysłu, aby w niedalekiej przyszłości można tam było produkować najnowocześniejszą broń. Bazą nowej, nazistowskiej rewolucji przemysłowej w Ameryce

Południowej, miały się stać filie niemieckich firm już działające w Argentynie, a centralne miejsce w tym wielkim dziele miała odgrywać funkcjonująca w Argentynie od wielu lat fabryka Mercedesa.

Admira oddała cumy i prowadzona przez dwa holowniki wychodziła z hiszpańskiego portu. Niebawem minie Gibraltar i znajdzie się na Oceanie Atlantyckim. Pierwsza część operacji „Thor” dobiegała końca, jej druga część miała się odbywać już w bezpiecznej i oddalonej od okrucieństwa wojny Argentynie.

Nadchodził moment, w którym pułkownik Sicherheitsdienst des Reichsführers SS Ernst Becker stanie się inżynierem Ernstem Beckerem.

Rozdział 45

WOLSZTYN, 25 LISTOPADA 2019

Wyszedł z redakcji o pierwszej w nocy i po trzech godzinach snu wsiadł do samochodu, aby uniknąć porannych warszawskich korków. Błyskawicznie dojechał do autostrady i bez przeszkód dotarł do Wolsztyna.

Panująca w budynku cisza zaskoczyła Rafała. Spojrzał w kierunku tablicy upamiętniającej patronkę szkoły Marię Skłodowską-Curie, a później przyjrzał się zdjęciom rozwieszonym na tablicach, ale nie znalazł niczego, co mogłoby go zainteresować. Obok dawnego gabinetu biologicznego, miejsca stresu kilku pokoleń uczniów, wszedł na szerokie schody. Choć od jego matury minęło już ponad trzydzieści pięć lat, wyglądały dokładnie tak samo jak w czasach, gdy był uczniem Liceum Ogólnokształcącego w Wolsztynie, i w tym momencie uderzyła go myśl, że wewnątrz budynku zapewne niewiele zmieniło się od czasów, gdy mieściła się tutaj niemiecka Höhere Knabenschule, w której naukę pobierali Ernst Becker, Oskar Hoffmann i Alexander Müller.

Minął klasy, w których kiedyś odbywały się lekcje fizyki, i wszedł na trzecie piętro, wprost do auli. Po prawej stronie były drzwi, za którymi kryły się strome schody kończące się wygospodarowaną w czasach wyżu demograficznego salą lekcyjną, zwaną jaskółką. Pamiętał, że czasem odbywały się tam lekcje łaciny i wychowania w rodzinie. Z łaciny pozostało mu

w głowie kilka przysłów, a życia w rodzinie najwyraźniej nigdy się nie nauczył.

Dotarł do klasy numer czterdzieści trzy, gabinetu historycznego, ulubionego miejsca i jego, i Bartka. Zza drzwi słyszał głos nauczyciela i Rafał wywnioskował, że lekcja dotyczyła wojen polsko-tureckich w siedemnastym wieku. Gdy zszedł piętro niżej, rozległ się dzwonek, a chwilę później na długi korytarz wylała się ciżba uczniów.

Profesor Henryk Howański spojrzał na niego zaskoczony i Terleckiemu wydało się, że na jego twarzy pojawił się strach. Coś do niego powiedział, ale panujący na korytarzu hałas zagłuszył słowa, więc otworzył klasę i gestem zaprosił Rafała do środka.

– Ma pan jakieś nowe informacje? – zapytał drżącym głosem i oparł się o biurko.

– Tak. Są ważne, nie chciałem czekać. Właśnie wróciłem i postanowiłem natychmiast się z panem profesorem spotkać.

– Ale ja mam teraz lekcję – odpowiedział bezradnym głosem i Terlecki dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że Henryk Howański boi się prawdy o swoim dziadku.

Poczuł złość, że tego nie przewidział. Nie było to przecież trudne. Przez całe lata Howański pragnął poznać prawdę o losach Bolesława, ale jednocześnie podświadomie obawiał się jej potencjalnego, trudnego do zniesienia okrucieństwa. Wiele wskazywało na to, że jego dziadek okaże się zdrajcą współpracującym z niemieckim okupantem. Rafał nie wziął tego pod uwagę.

– Przepraszam, powinienem był zadzwonić. Nie zajmę panu profesorowi wiele czasu, możemy się spotkać później i wówczas zdam panu dokładną relację. Ale chcę, aby pan wiedział, że Bolesław Howański był bohaterem. Takim przez duże „b”.

Zajmował się ściganiem zbrodniarzy hitlerowskich i miał na tym polu ogromne zasługi – powiedział, patrząc mu w oczy.

Nauczyciel opadł na krzesło, a później zdjął okulary i ukrył twarz w dłoniach. Cisza się przedłużała, więc Rafał skierował się do drzwi. Położył rękę na klamce, gdy dobiegły go słowa nauczyciela.

– Na pewno? Jest pan najzupełniej pewien?

Rafał przytaknął bez wahania.

– Musi mi pan wszystko opowiedzieć. Pójdę do dyrektorki i poproszę, aby na następnej lekcji ktoś mnie zastąpił. Znajdę jakiś kąt, w którym będziemy mogli swobodnie pomówić.

Wszystkie klasy były zajęte, więc poszli do auli. Howański opadł na jedno ze stojących w pierwszym rzędzie krzeseł, a Rafał usadowił się na stopniach prowadzących na scenę, tuż przy fortepianie.

– Proszę mówić. Od początku, wszystko, czego się pan dowiedział.

Rafał streścił wojenne losy Bolesława Howańskiego, przetransportowanie go do Berlina i ucieczkę z konwoju, zbombardowanego przez angielski samolot, a później pobyt w Australii i powrót do Europy.

– Rewelacje pańskiego dziadka nie zainteresowały rządu emigracyjnego. Może dobrze się stało, bo w drugiej połowie lat pięćdziesiątych możliwości tego rządu były niewielkie, żeby nie powiedzieć żadne. Na szczęście jego opowieść zainteresowała Żydów i Bolesław podjął z nimi współpracę.

Gdy w pięćdziesiątym siódmym roku grupie izraelskich agentów udało się odnaleźć w Chorzeminie ukryte przez pańskiego dziadka filmy i dostarczyć je do Jerozolimy, premier

Ben Gurion zażądał spotkania z autorem zdjęć, więc pańskiego dziadka przetransportowano do Izraela.

Rafałowi chciało się palić. Z kieszeni kurtki wyciągnął papierosy i spojrzał pytająco na Howańskiego. Nauczyciel otworzył okno. Rafał zauważył, że były nowe, plastikowe, ale najwidoczniej zrobione na zamówienie. Za sceną znalazł stary kubek z resztkami pokrytych pleśnią fusów po kawie i uznał, że dobrze zastąpi popielniczkę.

– Mój dziadek spotkał się z Ben Gurionem?

– Nie tylko z nim. W rozmowie uczestniczył też szef Mosadu, czy właściwie Instytutu Koordynacji, bo nazwy Mosad zaczęto używać kilka lat później, a także dowódca wywiadu wojskowego Aman i Szin Bet, czyli Służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po tym spotkaniu Bolesław zgodził się na współpracę z Izraelczykami, a później na kilka miesięcy zniknął w jednym z kibuców. Szkolili go, a elementem tego szkolenia były spotkania z Ocalonymi, tymi, którzy przeżyli Holocaust. Jak sądzę, chodziło o większe zmotywowanie pańskiego dziadka. I to się udało, zaangażował się bardzo mocno, również na poziomie emocjonalnym.

– Mieszkał wówczas w Izraelu? Listy przysyłał z różnych europejskich stolic...

– Nie, pod koniec lat pięćdziesiątych przeniósł się do Austrii. Wywiad izraelski kupił mu dom i ziemię w Stummie. Jeszcze w kibucu wyuczył się stolarki i był w tym naprawdę dobry. Rozmawiałem z ludźmi, którzy go znali, cieszył się naprawdę doskonałą opinią...

– Tak, rzeczywiście, już mi pan to mówił. Ale dlaczego ukrywał się przed nami? Dlaczego do nas nie wrócił? Zostawił w Wolsztynie rodzinę i na dodatek naraził ją na te wszystkie straszne podejrzenia. Dzisiaj wydaje się to bez znaczenia, ale

w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych byliśmy tu właściwie pariasami. Moją babkę i ojca bardzo to bolało. Ludzie wierzyli tym wszystkim plotkom o Bolesławie...

Howański podszedł do okna i oparł się o wysoki parapet. Spoglądał w dal, a później zaczął coś mówić. Słowa nie docierały do Rafała, więc podszedł bliżej.

– Może zresztą nie to było najgorsze. Może najgorsza była niepewność. Szukałem go, wierząc, że zginął jak bohater, ale wewnątrz byłem przekonany, że przeżył. Czasem wydawało mi się, że po prostu skorzystał z okazji pozostania na Zachodzie, bo wolał wieść wygodne życie tam, niż zмагаć się z tym komunistycznym syfem. A czasem myślałem, że to niemożliwe, że zbyt kochał swoją żonę i syna, więc jeśli tam został, to dlatego że nie mógł wrócić tutaj. A jeśli nie mógł, to dlaczego? Odpowiedź wydawała się oczywista.

– Podejrzewał pan, że podczas wojny splamił się kolaboracją z okupantem – stwierdził Rafał.

– Delikatnie pan to ujął. Po prostu sądziłem, że był zbrodniarzem, człowiekiem złym do szpiku kości. Właściwie to miałem taką pewność. A pan przychodzi z taką informacją! Powinienem skakać z radości, ale nie potrafię. Nadal nie rozumiem, dlaczego do nas nie wrócił. Jeśli nie wcześniej, to przynajmniej po upadku komuny.

Rafał popatrzył na nauczyciela, który siedział teraz na krześle z rękoma splecionymi na piersi, a jego prawa noga wyraźnie drżała. Chciał odpowiedzieć na to pytanie, ale uznał, że nie powinien. Nie w tej chwili.

– Początki były trudne. Mieli oczywiście numery paszportów, mieli fotografie, znali kraj, do którego zbrodniarze hitlerowscy zamierzali się udać. Dzisiaj, w cyfrowym świecie, do stworzenia całego obrazu i wytropienia tych złoczyńców wystarczyłoby

kilku utalentowanych hackerów. Wtedy nie było to takie proste. Zwłaszcza że wielu poszukiwanych trafiło pod skrzydła Amerykanów, Anglików i Francuzów. Świat się zmienił, opadła żelazna kurtyna, Zachód bardzo bał się Sowietów, potrzebował ludzi, którzy ich znali i umieli sobie z nimi radzić.

Podczas nocy, gdy pili wino, patrząc na oświetlone wieże San Gimignano, profesor Cornelius O'Sullivan powiedział Rafałowi, że poszukiwanie zbrodniarzy nazistowskich szybko przestało być priorytetem grupy działającej pod dowództwem Bolesława Howańskiego. Dla władz Izraela ważniejsze stało się zniszczenie przyczółków przyszłej Czwartej Rzeszy, które Kaltenbrunner zostawił w Europie.

– W różnych państwach ukryli ogromne ilości złota, tą częścią operacji kierował Obersturmbannführer SS Arthur Scheidler, adiutant Kaltenbrunnera, i ustanowili tam swoich rezydentów, którzy mieli tego pilnować i czekać na odpowiedni moment. Ale to były płotki. Sympatycy nazistów zostali rozlokowani w różnych instytucjach Niemiec Zachodnich, ale nie tylko tam, również w NRD, Austrii, we Francji, Włoszech, w Skandynawii, na Węgrzech, nawet w Wielkiej Brytanii, nie mówiąc już o Irlandii, która przecież podczas wojny sympatyzowała z Hitlerem. To była naprawdę imponująca siatka, której wpływy osiągnęły apogeum na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kto wie, co byłoby dalej, gdyby nie pański dziadek. – Terlecki zapalił kolejnego papierosa.

Opowiedział Howańskiemu prawdziwą historię wytropienia SS-Obersturmbannführera Adolfa Eichmanna, głównego koordynatora i wykonawcy planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej.

– Od niego wszystko się zaczęło. Siedząc w piwnicy pałacu w Chorzeminie, pański dziadek na zdjęciu rozpoznał Eichmanna. To pchnęło go do działania.

W podrobionym przez Howańskiego argentyńskim paszporcie zbrodniarza figurowało nazwisko Ricardo Klement. Wytropiono go już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku. Bolesław przekonał jednak Ben Guriona, aby go tylko obserwować i zidentyfikować jego powiązania z innymi nazistami przebywającymi w Argentynie. Niewiele to dało. Wbrew rachubom Eichmann nie odgrywał znaczącej roli w planie budowy Czwartej Rzeszy. Dwa lata później Izraelczycy stracili cierpliwość i nazista został porwany, wsadzony do samolotu i przetransportowany do Jerozolimy.

– Resztę pan zna. Proces rozpoczął się wiosną sześćdziesiątego roku, dwa lata później Eichmann został stracony w więzieniu w Ramli.

– Tak, wiem. Czy... Czy dziadek przy tym był?

– Nie, oczywiście nie. W Izraelu był tylko raz, po szkoleniu nigdy już tam nie pojechał. W tym czasie pochłaniało go co innego. Trwające wiele lat bardzo drobiazgowe śledztwo zaczęło wreszcie przynosić efekty. Aresztowano wielu zbrodniarzy, część z nich odnaleziono w Ameryce Południowej, część na Bliskim Wschodzie, wielu w Europie. Większość stanęła przed sądem, ale profesor O'Sullivan zasugerował, że niektórych po prostu zlikwidowano – odparł Terlecki. – Ostatni głośny proces, do którego doprowadził pański dziadek, odbył się w osiemdziesiątym siódmym roku. Skazano w nim SS-Hauptsturmführera Klausea Barbiego. Wiele wskazuje na to, że to właśnie jego ludzie zabili później pańskiego austriackiego kuzyna – dodał Rafał i w tym momencie rozległ się dzwonek.

Profesor Henryk Howański jakby się otrząsnął, wrócił do rzeczywistości. Powiedział, że musi iść na lekcje, więc zamknęli okno, a Rafał odniósł za kulisy kubek z niedopałkami. Gdy wrócił na salę, nauczyciel stał oparty o drzwi.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie wrócił. Oczywiście, za czasów komuny nie mógł. Ale po osiemdziesiątym dziewiątym? Albo mógł się ujawnić choćby przede mną i moim ojcem, spotkać się z nami. Wie pan, dlaczego tego nie zrobił?

Zza drzwi dochodził gwar uczniowskich rozmów. Rafał uznał, że nie są to dobre warunki do kontynuowania rozmowy.

– Pański ojciec wiedział, że on żyje, choć nie wiedział, czym się zajmuje. A z panem nie skontaktował się dlatego, że starał się pana chronić. Proszę mi wybaczyć, profesorze, ale pan zupełnie nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów i siły faszystowskiego spisku.

– Teraz, siedemdziesiąt lat po wojnie? – Nauczyciel prychnął lekceważąco.

– Czytuje pan czasem gazety czy tylko periodyki traktujące o eksperymentach chemicznych? Radzę się przestawić, zdziwi się pan. Ale dopowiem panu resztę, gdy spotkamy się następnym razem. Usłyszy pan o ludziach, którym jeszcze w latach dziewięćdziesiątych podkładano bomby, bo starali się doprowadzić do procesu zbrodniarzy hitlerowskich. Ten spisek wcale nie jest daleko, on się czai tuż obok. Nawet za tymi drzwiami.

Henryk Howański spojrział na drzwi, a później przeniósł wzrok na dziennikarza. Jego ręka sięgająca już wysoko umieszczonej klamki nagle opadła.

– Może nie dosłownie. Ale tu, w Wolsztynie. Mówię to z całą odpowiedzialnością. Proszę być ostrożnym. Jest pan teraz

ostatnim wnukiem największego wroga faszystów – powiedział Rafał i wyszedł z auli Liceum Ogólnokształcącego w Wolsztynie.



Rafał dojeżdżał do przejazdu kolejowego w chwili, gdy szlabany zaczęły opadać. Zaklął. Ostatnie dni i noce były intensywne i teraz gwałtownie potrzebował snu.

Z zamyślenia wyrwał go sygnał telefonu. Numer nic mu nie mówił, więc przez chwilę wahał się, czy odebrać.

– Krzywiński, inspektor Witold Krzywiński. Chciałbym porozmawiać.

– Jestem sto pięćdziesiąt metrów od komendy. Mogę być u pana za kilka minut.

– Proszę nie przyjeżdżać. Chcę pogadać nieoficjalnie, w miejscu, w którym nikt nas nie zobaczy. Może pan wybrać coś ustronnego?

Terlecki milczał. Nie dlatego, że zastanawiał się nad miejscem spotkania. Nie był pewien, czy taka formuła kontaktu z policjantem mu odpowiada.

– W Wolsztynie tak trudno o dyskretne miejsce? – Krzywiński wyraźnie się niecierpliwił.

– Za pół godziny na plaży w Karpicku, na tak zwanym Kaffenbergu. Niech pan pojedzie drogą na Nowy Tomyśl, na pierwszym skrzyżowaniu za rondem skęci w lewo i zaparkuje przed Leśną. Dalej pieszo – powiedział i przerwał połączenie.

Szynobus do Zbąszynka właśnie przejechał i szlabany zaczęły się podnosić, ale dziennikarz nerwowo uderzał ręką o kierownicę. Spieszyło mu się, chciał sprawdzić, czy

Krzywiński opuści komisariat sam, czy będzie miał ogon. Parkując przed budką z frytkami, zadzwonił do Borsuka.



Inspektor czekał na pomoście wpatrzony w wodę. Rafał pomyślał, że musi być człowiekiem o niezwykle refleksyjnej naturze.

Ruszyli zalesioną ścieżką, mijając schowany za starymi drzewami niedokończony budynek rozmiarami niewiele ustępujący zamkowi w Carcassonne. Przed laty zaczął go wznosić jeden z najbogatszych wówczas Polaków, ale później biznesowa karta się odwróciła i budowę zarzucono.

– Olga nie grała w tenisa, tak przynajmniej twierdzi jej mąż. Nie chodziła też na korty, wcale nie interesowała się tym sportem. Może więc ma pan rację, może Skibniewski miał z tym morderstwem coś wspólnego. – Krzywiński sięgnął po papierosy, ale potem się rozmyślił. – Jest tu jakaś ławka? Nie jestem typem sportowca.

– Panie inspektorze, przeszliśmy sto metrów...

– Licząc od samochodu, trzysta. Nie lubię spacerów, a muszę się skupić.

Zawrócili i usiedli na ławce stojącej na skraju plaży. Policjant natychmiast zapalił papierosa.

– To, że Olga miała we włosach drobinki mączki tenisowej, nie znaczy jeszcze, że Skibniewski ma z tym morderstwem coś wspólnego.

– Nie znaczy, ma pan oczywiście rację. Obejrzałem jeszcze raz oba pana reportaże. Nie znam się na dziennikarstwie, ale

przypuszczam, że zgromadził pan więcej materiału, niż wykorzystał. Opowie mi pan o tym?

Terlecki też zapalił papierosa. Patrzył w kierunku jeziora, a później podniósł patyk i na rozmokłej ziemi zaczął rysować jakieś wzory.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo być może zrewanżuję się tym samym. Skibniewski byłby zdolny do dekapitacji?

Dziennikarz spojrział na policjanta. W pytaniu zawarta była wątpliwość, która Rafała zaskoczyła.

– Myślałem, że człowiek z pańskim stażem w sprawach kryminalnych ma złą opinię o ludzkiej naturze i w każdym widzi mordercę. Myśli pan, że ktoś, kto wywoził kobiety do domów publicznych, zabił przynajmniej kilku ludzi, handlował narkotykami, a później wciągnął gówniarzy do jakiejś pokręconej sekty i próbował doprowadzić do wielokrotnego morderstwa, miałby opory przed odcięciem głowy dziennikarce, która mu się naraziła?

Krzywiński rzucił papierosa w zarośla i sięgnął po następnego. Milczał, udając, że rozważa słowa Terleckiego.

– Prowokowanie do przestępstwa, handel narkotykami, uprowadzenie, a nawet zastrzelenie kogoś to nie to samo, co odcięcie głowy.

Rafał spojrział na niego uważnie. Pomyślał, że policjant rozpoczął grę, która ma usprawiedliwić Skibniewskiego, przekonać go, że to nie on stoi za morderstwem Olgi. Wydało mu się to topornym posunięciem.

– A więc polityka pana dopadła. Jak to się odbywa? Zadzwoił minister, komendant główny policji czy zadowolili się pan rozmową z komendantem wojewódzkim? Obiecali panu premię,

awans do Warszawy, wyższy dodatek emerytalny? A może posadę szefa ochrony w Orlenie? Niech pan opowie, pierdolić Olgę Morąg – mówił cichym, zmęczonym głosem. Miał nadzieję, że spoczywający w kieszeni skórzanej kurtki dyktafon zdołał uchwycić jego głos.

Krzywiński wyprostował się i uniósł głowę. Patrzył teraz w niebo, a potem z energią, której Rafał u niego nie podejrzewał, zerwał się z ławki.

– Prymitywne oskarżenie.

– Dokładnie to samo pomyślałem, gdy kwestionowałem pan zdolność Skibniewskiego do dekapitacji ciała Olgi.

– Ma pan do tego bardzo osobisty stosunek.

– Mam. Pana to dziwi?

Krzywiński przeszedł kilka metrów, a później zawrócił, wyciągając kolejnego papierosa. Rafał pomyślał, że ten facet zapewne wkrótce skończy na oddziale kardiologicznym. W najlepszym razie.

Inspektor znowu usiadł na ławce i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Rafał pomyślał, że wygląda w niej jak radomski cinkciarz, ale zachował to dla siebie. Policjant podał mu piersiówkę w czarnej okładzinie mającej imitować skórę krokodyla. Plaża nadal była pusta, do brzegu podpłynęły dwa łabędzie, które podobno gniazdowały na pobliskiej wyspie.

– Źle mnie pan ocenia, ale zostawmy to. Przeczytałem akta Skibniewskiego. Takie, do których nie ma pan dostępu, i nie mam wątpliwości, że wszystko to jest jego sprawką. Tyle tylko, że muszę znaleźć na to dowody. Proszę pamiętać, że moja robota zaczyna się tam, gdzie pana się kończy. Więc niech mi pan opowie wszystko, co pan o nim wie.

Terlecki zaczął się zastanawiać, czym właściwie ryzykuje. Podjęcie decyzji zajęło mu czas niezbędny do wypalenia papierosa.

– Najpierw pan.

W opowieści inspektora o Zdzisławie Skibniewskim nie było rewelacji, ale dla Terleckiego miała ona wielką wartość. Potwierdzała to, co przekazał mu funkcjonariusz poznańskiej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po raz kolejny okazało się, że za komuny „piękny Zdzisio” współpracował z SB, potem przez dwa lata figurował w kartotekach Urzędu Ochrony Państwa, ale na początku lat dziewięćdziesiątych dano mu spokój. Jakimś dziwnym trafem jego teczkę odkurzono na samym początku dwa tysiące szesnastego roku za sprawą Ryszarda Jaworskiego.

– Kilka miesięcy wcześniej ten gość zgłosił się do ABW i poinformował, że przez kilka dziesięcioleci był niemieckim agentem...

– Tak, znam tę historię – przerwał Terlecki. Był zmęczony. I przekonany, że o Jaworskim wie więcej niż Krzywiński. Tylko on czytał jego spowiedź.

Rafał zobaczył w oczach inspektora podziw, który jednak szybko zniknął. Policjant wypił łyk z piersiówki i z ociąganiem podał ją Terleckiemu.

– Choć po zeznaniach Jaworskiego nasz milusiński powinien zostać aresztowany, a w każdym razie znaleźć się pod obserwacją służb, to stało się coś zupełnie przeciwnego. Zaczął robić z władzą interesy. Dobre interesy. Jedna z jego firm została znaczącym podwykonawcą budowy elektrowni w Ostrołęce, szkolił funkcjonariuszy jednostek specjalnych policji na tutejszej strzelnicy.

– Mówiłem, że przy tej sprawie polityka pana dopadnie – powiedział Terlecki. Miał ochotę wstać i przespacerować się kilka kroków, bo ławka była niewygodna, ale obawiał się, że zburzy nastrój Krzywińskiego.

Inspektor zapatrzył się w parę łabędzi, które właśnie wyszły z wody i szukały jedzenia na pustej o tej porze roku plaży.

– To wszystko. Reszta akt jest utajniona, odmówiono mi do nich dostępu. Nieoficjalnie wiem, że Skibniewski realizuje jakieś działania na „kierunku niemieckim”. Superważne zadania, dlatego po pańskim reportażu nie wysłano za nim listu gończego. Podobno, to też tylko wiedza nieoficjalna, żyje wygodnie w Barcelonie, a jego firmy w Polsce cały czas trzepią kasę. – Krzywiński pociągnął spory łyk alkoholu.

Rafał zapytał, skąd biorą się wątpliwości policjanta dotyczące sprawcy odcięcia głowy Oldze i utopienia jej korpusu w Jeziorze Kuźnickim.

– Patolog twierdzi, że dekapitacja została wykonana z niezwykłą fachowością.

Rafał wstał i oparł czoło o pień drzewa. Krzywiński miał zapewne rację – szybka śmierć jest uważana za lepszą niż długie konanie – ale on nadal nie potrafił się pogodzić ze stratą Olgi.

– Zdaniem patologa Oldze Morąg podcięto gardło, a dopiero kilka godzin później ciało zostało pozbawione głowy. Niewykluczone, że zrobiły to dwie różne osoby, więc nie wiemy, kiedy do włosów dziewczyny dostały się drobinki mączki z kortu tenisowego. Byłoby chichotem Temidy, gdybym zdołał oskarżyć Skibniewskiego tylko o zbezczeszczenie zwłok.

Zapadło milczenie. Minęło kilkadziesiąt sekund, nim Rafał oderwał wreszcie czoło od porowatego pnia. Miał ochotę na

duży łyk alkoholu i żałował, że piersiówka inspektora jest już pusta.

Krzywiński zerwał się z ławki, chwycił leżący obok kosza na śmieci kamień i rzucił go w kierunku łabędzi. Nie trafił, zresztą Rafałowi wydało się, że wcale nie chciał. Ale pozazdrościł mu tego aktu uzasadnionej, choć źle nakierowanej agresji.

Ruszyli w kierunku parkingu i Rafał zapytał, czy Krzywiński będzie w stanie zatrzymać Zdzisława Skibniewskiego, zwłaszcza gdy ten mieszka w Barcelonie.

– Potrafi pan kojarzyć fakty? Jeśli mój tok myślenia jest prawidłowy, to znaczy, że Skibniewski może mieszkać w Barcelonie, ale musi bywać w Polsce, bo nie mam wątpliwości, że uczestniczył w morderstwie Olgi. Jestem, kurwa, tego tak samo pewien jak tego, że potrzebuję teraz więcej brandy. Trzeba tylko udowodnić, że przylatuje bądź przyjeżdża do kraju. Liczę, że mi pan w tym pomoże – stwierdził Rafał.

Zatrzymali się przy bmw i uścisnęli sobie dłonie. Terlecki wszedł do auta i patrzył na idącego policjanta. Mimo wypitego alkoholu szedł dziarskim krokiem i Rafałowi przyszło do głowy, że jego deklarowana niechęć do sportu była tylko pozą.

Rozdział 46

WOLSZTYN, 26 LISTOPADA 2019

Profesor Dawid Lewandowski nerwowo dreptał korytarzem, prowadząc Terleckiego do pokoju gościnnego, a później posadził go przy stole i podszedł do meblościanki. Zdecydowanym ruchem otworzył barek.

– Zostało niewiele ponad ćwierć butelki. Niedużo, ale raczyłem się tym calvadosem przy poprawianiu prac klasowych. Czasem tak trzeba, inaczej człowiek popadłby w depresję. W latach osiemdziesiątych, gdy wódka była na kartki, zgłosiłem postulat zwiększenia przydziału dla nauczycieli, ale nie potraktowano tego poważnie. – Postawił butelkę na stole i wrócił do barku po kieliszki. – Moja koleżanka, polonistka, pokazała mi kiedyś sprawdziany. Potrafi pan sobie wyobrazić, że uczniowie szóstej klasy pisali „że” przez „rz”, „już” przez „sz”, a „bohater” przez „ch”?

Drżącą ręką napełnił kieliszki i usiadł, ale zaraz zerwał się od stołu.

– Nie po to pana tu wezwałem. To znaczy, proszę wybaczyć, zaprosiłem. Otóż przeglądałem stare papiery, żona wiecznie zmusza mnie do ich porządkowania, i proszę zobaczyć, co znalazłem. – Nauczyciel znowu podszedł do barku, wyciągnął kopertę i podał ją Terleckiemu. – Niech pan otworzy.

List został napisany w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku w Erfurcie, mieście leżącym wówczas w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Zajmował blisko trzy

strony i był podpisany przez Gertrudę Geisler. Rafał spojrział na nauczyciela pytającym wzrokiem, a ten z nadspodziewaną stanowczością wyrwał mu go z ręki, a drugą chwycił kieliszek.

– Zaraz to panu przetłumaczę, ale najpierw wypijmy, bo ten list będzie bardzo interesujący. Nie wiem, czy coś wniesie do pańskiego reportażu, ale sam niewiele już w tej sprawie działałam, a to może być istotny przyczynek do okupacyjnej historii Wolsztyna. Tym się pan przecież zajmuje, prawda? Dostałem ten list przed kilku laty, ale zupełnie o nim zapomniałem. Teraz wpadł mi w ręce i uznałem, że muszę go panu pokazać. Wypijmy za zdrowie żon, których zamięłowanie do porządku bywa czasem błogosławione. Rzadko, ale jednak!

Rafał patrzył na nauczyciela nic nierozumiejącym wzrokiem, ale jego zainteresowanie wzrosło. Z przyjemnością wypił mały łyk alkoholu.

Profesor zrobił to samo i zdjął okulary. Już chciał zacząć tłumaczyć napisany po niemiecku list, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła żona nauczyciela z drewnianą tacą, na której niosła dwie filiżanki kawy, cukiernicę i niewielki dzbanek z mlekiem. Uśmiechnęła się do dziennikarza i rozstawiła naczynia.

– Czasem bywa błogosławione! Gdyby nie żony, utonęlibyście w tych swoich papierach. Dawid przypisuje sobie wszystkie sukcesy, ale proszę temu nie wierzyć, bo to ja znalazłam ten list – powiedziała i znowu uśmiechnęła się do Rafała.

Gdy wyszła, profesor napełnił kieliszki i wreszcie zaczął tłumaczyć list. Okazało się, że jego autorką jest córka sołtysa Chorzemina podczas okupacji, Gertruda Geisler.

W przeciwieństwie do mojego ojca zawsze byłam przeciwniczką Hitlera i jego obłąkańczej ideologii. Moja niechęć do nazizmu

i nazistów pogłębiła się jeszcze, gdy zamordowano Alexandra Müllera, mężczyznę, którego kochałam. Alexander był porządnym człowiekiem, trochę zagubionym, ale w gruncie rzeczy porządnym i łagodnym, którego Hitler wplątał w wojnę. Gdyby nie to, zapewne wzięlibyśmy ślub i szczęśliwie żyli w Chorzeminie, gospodarząc na naszej ziemi. Nie dane nam to jednak było, bo Alexandra zabili jego dawni szkolni koledzy. Jeden z nich, Ernst Becker, był oficerem SD, a drugi, Oskar Hoffmann, służył chyba w Abwehrze. Nie wiem, czy to oni nacisnęli spust, ale na pewno stało się to za ich przyzwoleniem. Po wojnie starałam się ich odnaleźć i postawić przed sądem, ale nigdy mi się to nie udało. Teraz, gdy jestem już stara, zapewne też mi się nie uda.

Rafał wyciągnął z torby swojego olympusa i zapytał, czy może nagrywać. Profesor wyraził zgodę, więc dziennikarz poprosił o powtórzenie fragmentu, który już przeczytał, a później sięgnął po notatnik i długopis. Nauczycielowi najwyraźniej zaschło w gardle, bo wypił alkohol i wrócił do tłumaczenia.

Wielkie wydarzenia nas omijały. Jak pan zapewne wie, Chorzemin to była mała wieś żyjąca w cieniu pałacu Daumów. Wojna była daleko i nie bardzo nas obchodziła, choć wielu młodych mężczyzn z naszej wsi zostało powołanych do wojska, a niektórzy z nich stracili życie. Niedaleko nas był obóz dla Żydów, którzy pracowali przy melioracji rzeki, ale niewiele o tym wiedzieliśmy. Nie mordowano ich tam, choć naturalnie z racji ciężkich warunków bytowych najprawdopodobniej wielu z nich zmarło. Wszystko zmieniło się zimą czterdziestego trzeciego roku. Od jednej z kobiet pracujących w pałacu dowiedziałam się, że hrabinę Daum zaczęli odwiedzać oficerowie z Berlina, a w piwnicy umieścili jakiegoś Polaka i dużą maszynę, która nie wiadomo do czego służyła. Nigdy nie dowiedziałam się, jak ten Polak się nazywał, ale zapamiętałam,

że nosił imię Bolesław. Pewnego dnia spotkałam się z nim potajemnie i poprosiłam o ustalenie, co się stało z Alexandrem, który nagle zniknął. Powiedziano mi wprawdzie, że wyjechał na front, ale nie wierzyłam w to, nie wierzyłam, że mógł wyjechać bez pożegnania. Bolesław zgodził się, ale zażądał, abym dostarczyła mu aparat fotograficzny. Na szczęście nie było to dla mnie trudne, brat mojego ojca miał w Wolsztynie zakład fotograficzny, więc ukradłam mu leicę. Bolesław jednak niewiele się dowiedział. Ustaliłam za to, że w noc po wizycie Alexandra w naszym domu oddział żołnierzy ubranych w dziwne mundury pojechał trzema saniami na wyspę na Jeziorze Wolsztyńskim. Zawieźli tam jakieś skrzynie i to tam prawdopodobnie zabili Alexandra.

– Jeśli ta historia jest prawdziwa, to zapewne nie pojechali na wyspę po to, a przynajmniej nie tylko po to, aby zabić Müllera. Do tego nie był potrzebny cały oddział i sanie. Domyśla się pan profesor, co autorka miała na myśli, pisząc o „dziwnych mundurach”?

Terlecki sprawdził, czy dyktafon nagrywa, bo przypomniał sobie, że już dawno nie zmieniał w nim baterii.

Lewandowski zganił go za brak cierpliwości i wypił mały łyk calvadosu, a później kontynuował tłumaczenie listu. Rafał podziwiał jego znajomość niemieckiego.

Dowiedziałam się tego wszystkiego, rozpytując ludzi. Wielu z nich twierdziło, że na saniach jadących na wyspę było kilka dużych ciemnozielonych skrzyń. Można więc zakładać, że te skrzynie zostały albo zatopione w jeziorze, albo zakopane na wyspie. Ta druga ewentualność wydaje mi się bardziej prawdopodobna, skoro jeden z gospodarzy powiedział mi, że żołnierze mieli ze sobą łopaty i oskardy. Sądzę więc, że skrzynie zakopano, a w tym samym dole spoczął także Alexander Müller, bo wartownik z obozu dla Żydów

powiedział mi, że tej nocy słychać było nad jeziorem strzały. Komendant obozu ujął to nawet w swoim raporcie i przekazał do miejscowej placówki policji.

Nauczyciel odłożył list i chwycił butelkę. Ponieważ kieliszek Rafała nadal był niemal pełen, wlał alkohol tylko do swojego.

– Jacyś Müllerowie na pewno we Wroniawach mieszkali. Czy mieli syna Alexandra, nie wiem, ale to możliwe. Na pewno jednak w czasie okupacji, chyba od czterdziestego pierwszego roku Burgermeisterem Chorzemina był Geisler, miał na imię Wilderich. Należał do NSDAP, ale zapisał się do partii dopiero po tym, jak został sołtysem.

Niestety, profesor Lewandowski nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy Geisler miał córkę. Autorka listu informowała jednak, że zimą czterdziestego piątego roku rodzina Geislerów zapakowała swój dobytek i uciekła na Zachód. Osiedli we wsi pod Erfurtem. Gertruda już w czterdziestym siódmym roku zapisała się do Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, a wkrótce potem została jej kadrową funkcjonariuszką. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku wyszła za mąż.

Nie wiem, czy wierzyłam w komunizm, ale chciałam innych Niemiec, a wydawało mi się, że Wilhelm Pieck to gwarantuje. Jednak sprawa śmierci Alexandra i tajemniczych skrzyń być może zakopanych na wyspie na Jeziorze Wolsztyńskim nie dawała mi spokoju. Na początku lat pięćdziesiątych, nie pamiętam już dokładnie, ale na pewno jeszcze przed śmiercią Stalina, zostałam delegatką na zjazd partii. Pojechałam do Berlina z zamiarem przedstawienia tej sprawy któremuś z wyższych działaczy partyjnych. Udało mi się dostać do Ericha Honeckera, który był wtedy przewodniczącym Wolnej Młodzieży Niemieckiej. Wysłuchał mnie i obiecał pomóc. Zamiast tego wkrótce po tej rozmowie

wyrzucono mnie z partii i skierowano do pracy na wsi. Dopiero na początku lat osiemdziesiątych pozwolono mi wrócić do Erfurtu, gdzie znalazłam zatrudnienie w jednym ze sklepów odzieżowych.

– Geisler twierdzi, że ten Polak, którego trzymano w pałacu Daumów, na kilka dni przed ich ucieczką z Chorzemina został wywieziony do Berlina.

– To był Bolesław Howański. Jestem tego pewien – powiedział Rafał, opróżniając kieliszek.

Lewandowski, który zamierzał pójść w jego ślady, nagle zamarł, a później powoli opuścił rękę i ostrożnie postawił kieliszek na stole, cały czas wpatrując się w Terleckiego.

– Dlaczego pan tak sądzi? Na jakiej podstawie? – wydukał.



Rafał wsiadł do jeepa, w którym czekał na niego Borsuk, i poprosił, żeby pojechali do Chorzemina.

Pałac Daumów nie robił najlepszego wrażenia. Teren był ogrodzony, ale budynek – dawno już przez nikogo nieużytkowany – coraz bardziej popadał w ruinę. Z tego, co Rafał wiedział, po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku kilka razy zmieniał właściciela, ale najwyraźniej żaden z nich nie miał dość pieniędzy, a przede wszystkim pomysłu na jego zagospodarowanie.

Skęcili w prawo, w drogę wiodącą do Karpicka, i dalej do Wolsztyna, ale Rafał poprosił, aby na rozwidleniu Borsuk skęcił w prawo. To najpewniej tędy zimą czterdziestego czwartego jechały sanie z tajemniczymi skrzyniami.

Terlecki wybrał numer wydawcy. Mariusz Hallmann odebrał po drugim dzwonku.

– Mam potwierdzenie, że Niemcy zakopali na wyspie jakieś skrzynie. Musimy to sprawdzić, ale nie bardzo wiem jak. Trzeba się dowiedzieć, czy do prowadzenia takich prac konieczne są jakieś pozwolenia, zgody, czego tam jeszcze w tym zbiurokratyzowanym kraju wymagają.

Rozdział 47

OKOLICE WOLSZTYNA, 27 LISTOPADA 2019

Rafał zignorował dzwoniący telefon, bo chciał tego wieczoru skończyć książkę profesora Corneliusa O'Sullivana o powojennych losach zbrodniarzy hitlerowskich, ale na niewiele się to zdało.

– Dzwonił Wiesław. Musimy się zbierać, za godzinę mamy być nad jeziorem. – Borsuk stanął w drzwiach jego pokoju, zapinając kaburę.

Niespełna pół godziny później zatrzymali się przy plaży nad Jeziorem Kuźnickim, w miejscu, gdzie strażacy wyłowili okaleczone ciało Olgi. Obaj bez słowa patrzyli na jezioro, a później wysiedli z samochodu. Do spotkania pozostawało jeszcze sporo czasu, więc Rafał zszedł nad brzeg i zamoczył dłonie w wodzie. Chmury zasłaniały księżyc, jedynym źródłem światła była mocna lampa na jakimś budynku po drugiej stronie. Patrzył w nią, zastanawiając się, jak dopaść Skibniewskiego.

Rozmowa z inspektorem Krzywińskim utwierdziła go w przekonaniu, że będzie to niezwykle trudne. Jego reportaż skompromituje biznesmena, ale to już mu nie wystarczało. Po śmierci Olgi chciał czegoś więcej. Zobaczyć go za kratkami? Wcale nie był tego pewien. Prawdę mówiąc, pragnął jego krwi. Nie był to dobry odruch, bardzo nieprofesjonalny, ale naprawdę marzył o poderżnięciu gardła temu staruchowi, choć zdawał sobie sprawę, że nie potrafiłby tego zrobić. Ale wieczorami koił

swoją wściekłość i poczucie bezradności wyobrażeniem rozplątanej szyi Skibniewskiego.

Usłyszał cichy szum silnika i dostrzegł, że przy jeepie zatrzymał się jakiś poruszający się bez świateł czarny SUV. Szybko wrócił do samochodu. Obok Borsuka stał Wiesław, jego długie kręcone włosy niemal sięgały ramion. Przywitali się serdecznie, a później detektyw otworzył klapę bagażnika i wskazał niewielką walizkę, w której kazał im umieścić telefony.

– Specjalny ekran. Nie namierzają – wyjaśnił i poprosił, aby pojechali za nim. Dopiero gdy kłapa zaczęła opadać, Rafał dostrzegł w samochodzie jeszcze jednego mężczyznę. Zapytał, kto to, ale Wiesław zbył go machnięciem ręki.

Ruszyli w kierunku Wolsztyna, ale w Barłożni odbili w lewo. Gdy wjechali do Woli Dąbrowieckiej, Wiesław nagle skręcił na podwórko dawnej szkoły podstawowej i zatrzymał się dopiero w stodole. Borsuk zrobił to samo, a jakiś mężczyzna w sportowym ubraniu natychmiast zamknął wielkie drewniane drzwi.

Weszli do domu. Przed wielu laty przyjeżdżał tu z harcerzami, ale wewnątrz budynku zostało przebudowane. Na szerokiej kanapie siedział starszy, siwiejący mężczyzna w garniturze i białej koszuli.

– To John. Przyleciał z Waszyngtonu – powiedział Wiesław.

– Spod Waszyngtonu, jeśli wie pan, co mam na myśli – odpowiedział mężczyzna, patrząc Rafałowi w oczy. Dziennikarz nie był pewien, ale przypuszczał, że facet ma na myśli Langley, siedzibę Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Zostawiam was, będę obok – powiedział Wiesław i cicho zamknął drzwi.

„John”, dziennikarz domyślał się, że jeśli facet przyleciał z Langley, to po urodzeniu nadano mu zupełnie inne imię, pchnął w jego kierunku szklanę z whisky.

– Myślałem, że CIA wie wszystko, a pan serwuje mi whisky bez lodu. Lubię z lodem.

– To profanacja dobrej whisky. Jeśli ma pan ochotę, proszę zapalić. Nie, tego, że pan pali, nie wiem z nasłuchu radiowego, ze śledzenia pana przez zespół Agencji ani nawet nie od Wiesława. Sam nie palę od siedmiu miesięcy, więc jako neofita po prostu wyczuwam palaczy.

Rafał usiadł i umoczył usta w alkoholu. Nie rozpoznał smaku i zastanawiał się, czy funkcjonariusz CIA targał tę butelkę specjalnie z Langley, czy po prostu kupił ją na stacji benzynowej.

– Wziąłem z ambasady. Mają tam nieprzebrany skład dobrej amerykańskiej whisky – powiedział, odczytując myśli Rafała, i pochylił się do przodu. Jego bordowy krawat dotykał blatu niskiej ławy, a biała koszula wydawała się nieco wymięta. Z twarzy zniknął mu lekko ironiczny uśmiech.

Popatrzył w oczy dziennikarza i zaczął mówić. Nie minęło trzydzieści sekund i Rafał przypomniał sobie słowa Wiesława wypowiedziane nie tak dawno temu w parku Skaryszewskim: „Sądzimy, że wdepnąłeś w jakieś międzynarodowe gówno”.



Kryształowa popielniczka – zaskakująco niepasująca do wnętrza domu – była wypełniona petami.

– To może się wydawać nieco kabaretowym przedsięwzięciem, ale wcale nie musi takie być. Zresztą w naszej ocenie nie jest. Trzeba brać pod uwagę nastroje we

wschodnich landach Niemiec. A one pokazują, że ludzie są rozczarowani. Nie chodzi o to, że mieszkańcy Turyngii czy Brandenburgii są faszystami, ale rozczarowanie powoduje, że ulegają radykalnym nastrojom. Jak mówiłem, nie chcemy powtórki z przeszłości, choćby w kabaretowej formie. A z pewnością pan wie, że Turyngia była pierwszym regionem, w którym naziści w wyniku lokalnych wyborów zdobyli władzę, to było w lipcu trzydziestego drugiego roku. Później lawina ruszyła.

Rafał Terlecki wypił spory łyk whisky i sięgnął po papierosy. Oto usłyszał najbardziej fantastyczną historię w swojej dziennikarskiej karierze i zastanawiał się, jak powinien zareagować.

– Kiedy zamierzają to zrobić?

Amerykanie nie znali dokładnego terminu, w którym Reichsbürger, czyli Obywatele Rzeszy, zamierzali przeprowadzić w Niemczech zamach stanu, ale przypuszczano, że może do tego dojść w ciągu kilku najbliższych miesięcy. CIA udało się jednak ustalić, że w szeregach organizacji jest wielu posłów faszystowskiej AfD, urzędnicy kilku ministerstw, ale także kilkunastu oficerów armii oraz część żołnierzy elitarnego Kommando Spezialkräfte, jednostki wchodzącej w skład Dywizji Operacji Specjalnych i Sił Reagowania Kryzysowego Bundeswehry.

– Na czele Obywateli Rzeszy stoi Heinrich Trzynasty von Reuss, siedemdziesięciolatek, przedstawiciel starego niemieckiego rodu, którego udokumentowane drzewo genealogiczne sięga początku czternastego wieku. Przez wiele lat Heinrich Trzynasty starał się odzyskać rodowy majątek znacjonalizowany przez komunistyczne władze. Bez skutku, więc w końcu wykupuje pałac w Bad Lobenstein, miejscowości

niedaleko Erfurtu liczącej sześć tysięcy mieszkańców – powiedział John i odstawił szklanę. Rafał zauważył, że Amerykanin pije bardzo oszczędnie.

Terlecki wstał z fotela i podszedł do okna. Widok nie zapierał tchu w piersiach, ale nie miało to znaczenia. Przypomniał sobie list, który dzisiejszego popołudnia przetłumaczył mu profesor Dawid Lewandowski. Gertruda Geisler nadała go z Erfurtu, stolicy Turyngii. Zastanawiał się, czy to przypadek.

– Dlaczego pan mi to opowiada? Co ja mam z tym wspólnego? – zapytał, obserwując ciemne podwórko. Widział mężczyznę wpatrzonego w zaczynający się tuż za ogrodzeniem las i wydawało mu się, że trzyma w ręku pistolet maszynowy.

Amerykanin milczał, więc Rafał odwrócił się w jego kierunku. Agent siedział wpatrzony w swoją szklanę whisky, a później podniósł wzrok.

– Pałac w Bad Lobenstein to duża posiadłość. Rozległe piwnice, w których zgromadzono naprawdę imponujący arsenał. Do tego rozciągający się na przestrzeni wielu hektarów park, w którym odbywa się szkolenie Obywateli Rzeszy. Wojskowe szkolenie, rzecz jasna. Kończą tam coś budować, podejrzewamy, że będzie to kopia, pomniejszona naturalnie, Urzędu Kanclerskiego, tego słynnego budynku przy Willy-Brandt-Strasse numer jeden w Berlinie, i że będą tam ćwiczili atak terrorystyczny. Ale w naszej ocenie Obywatelom Rzeszy zaczyna brakować...

– Pieniądzy. A pan wie, że jestem na tropie złota, które naziści ukryli gdzieś w Wolsztynie.

Amerykanin pokiwał głową i przyznał, że skierował go do niego profesor Cornelius O'Sullivan.

– Mógł mnie uprzedzić. – W głosie Rafała słychać było wyrzut.

– Prosiliśmy, aby tego nie robił. Nim opowie mi pan o Zdzisławie Skibniewskim, dam panu coś jeszcze.

Amerykanin cofnął się do początków ostatnich miesięcy wojny. W lutym czterdziestego piątego alianckie lotnictwo dokonało kolejnego rajdu na Berlin. Bomby spadły między innymi na Reichsbank, niszcząc cały potężny budynek, ale piwnice, w których znajdował się skarbiec, ocalały. W tej sytuacji Hitler kazał przetransportować znajdujące się tam złoto i inne kosztowności oraz cenne obrazy w jakieś bezpieczne miejsce. Kryjówka była już przygotowana, znajdowała się w Merkers, dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Berlina, w kopalni soli potasowych Kaiseroda. Rozładunek skarbu trwał trzy dni i zatrudniono do tego wszystkich mieszkańców Merkers, robotników przymusowych i żołnierzy.

– Niemcy byli pewni, że kryjówka jest bezpieczna, ale gdy do miasta wkroczyły jednostki Trzeciej Armii generała Pattona, tajemnica natychmiast wyszła na jaw. Dość przypadkowo, ale to teraz nieistotne. Okazało się, że w kopalni było dwieście ton złota, masa papierowych pieniędzy, obrazy Maneta, Rafaela, Rembrandta, Tycjana... Dzisiaj wartość samego tylko złota przekroczyłaby jedenaście miliardów dolarów.

Terlecki pomyślał, że gdyby ludzie Pattona nie odnaleźli tego złota, historia Niemiec mogłaby się potoczyć inaczej.

– Ale wiemy, że w wielu krajach Niemcy ukryli spore ilości złota. Problem w tym, że teraz muszą po nie sięgnąć. Nie zamierzamy im na to pozwolić – dodał John, wypijając odrobinę whisky.

Rafał wyciągnął papierosa, z trwogą konstatując, że paczka jest już niemal pusta. Jadąc nad Jezioro Kuźnickie, nie sądził, że rozmowa będzie tak długa i tak emocjonująca.

Zastanawiał się, czy powinien ujawnić informacje, w których posiadaniu był. W końcu miał przed sobą funkcjonariusza wywiadu, na dodatek funkcjonariusza wywiadu obcego państwa. Chętnie zadzwoniłby teraz do Mariusza Hallmanna i zapytał go o radę, ale jego telefon spoczywał w jakiejś specjalnie ekranizowanej walizce.

Zauważył, że John zanurzył dłonie we włosach, i pomyślał, że ten gest jest starannie wystudiowany i że za chwilę Amerykanin zacznie go przekonywać do ujawnienia posiadanych informacji, ale ten milczał. Nawet na niego nie patrzył.

– Heinrich Trzynasty jest agentem nieruchomości we Frankfurcie. Duże, korporacyjne zlecenia, głównie banków, bo Niemcy mają ambicję, aby Frankfurt zastąpił londyńskie City. Gigantyczne zarobki, no i spory rodzinny majątek. Podejrzewamy też, nie mamy pewności, ale podejrzewamy, że na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych miał jakieś kontakty z braćmi Janoszami. Czy ze Skibniewskim, tego nie wiemy.

– Zna pan przeszłość Skibniewskiego?

– Równie dobrze jak pan. Przynajmniej równie dobrze jak pan. Ale ta wiedza dotyczy przeszłości. Uprzedzę pańskie kolejne pytanie. Tak, rodzina von Reussa, a konkretnie część tego starego niemieckiego rodu, miała powiązania z nazistami. Nie wszyscy ulegli urokowi Hitlera i jego ideologii, ale niektórzy, owszem, tak. Może to nie jest w tej chwili najważniejsze, ale Wilhelm Dziewiąty von Reuss był blisko związany z Ernstem Kaltenbrunnerem, szefem...

– Wiem, kim był Kaltenbrunner.

– Nie jestem znawcą historii Niemiec, a już zwłaszcza dziejów niemieckich rodów szlacheckich, ale z kolei brat Wilhelma Dziewiątego, Thomas Siódmy, przyjaźnił się

z hrabiną Daum, której siedziba była niedaleko stąd, w Chorzeminie, co też pan zapewne wie. Mówiono, że miał jakieś powiązania z pułkownikiem von Stauffenbergiem. Ale to historia, choć sądzę, że ona w tej sprawie odgrywa niebagatelną rolę. Teraz coś jak najbardziej współczesnego: kochanką Heinricha Trzynastego jest niejaka Witalija Szujka, Rosjanka, piękna trzydziestopięciolatka, która ostatnio zajmuje się głównie organizowaniem swojemu księciu spotkań z rosyjskimi, nazwijmy to oględnie, dyplomatami. Bądźmy precyzyjni: również z dyplomatami.

Rafał popatrzył na Amerykanina. Pomyślał, że próbując narzucić ulubioną nad Wisłą narrację o rosyjsko-niemieckim sojuszu wymierzonym w Polskę, agent dobrze odrobił lekcję. Mężczyzna schylił się i ze stojącej obok niego teczki wyciągnął plik zdjęć. Przedstawiły elegancką kobietę w towarzystwie starszych, nalanych i nie najlepiej ubranych mężczyzn.

– To Witalija Szujka, a to rosyjski ambasador w Niemczech, Wiaczesław Tatiszczew. Mam wymieniać nazwiska innych? Nic to panu nie powie, ale proszę mi wierzyć, że są to funkcjonariusze rosyjskiego wywiadu. Z tego, co wiemy, niektórzy są z FSB, ale jeden z całą pewnością z GRU.

Terlecki nie mógł tego sprawdzić, ale poprosił Amerykanina o odpalenie internetu i znalezienie oficjalnego zdjęcia rosyjskiego ambasadora w Berlinie. Nie zajęło to wiele czasu. John mówił prawdę.

Zapytał, czy Obywatele Rzeszy są inspirowani przez Moskwę, a choćby tylko z nią współpracują, ale Amerykanin nie udzielił mu jednoznacznej odpowiedzi. Wzbudziło to zaufanie dziennikarza. Nie powiedział też, że Obywateli Rzeszy da się jednoznacznie uznać za pogrobowców Hitlera. Zamiast tego podał mu tablet, na którym odtwarzał się film z wykładu

wy ogłoszonego kilka tygodni wcześniej przez Heinricha XIII w Zurychu. Terlecki nie znał niemieckiego – znowu pomyślał o Oldze i o tym, jak znakomicie posługiwała się tym językiem – ale na ekranie zamieszczono angielskie tłumaczenie słów niemieckiego arystokraty. „Odkąd Niemcy poddały się ósmego maja, nigdy już nie były suwerenne. Zrobiono z nich strukturę administracyjną aliantów, przedsiębiorstwo zwane Republiką Federalną Niemiec. Innymi słowy, placówkę handlową”.

– Jak pan widzi, na razie są delikatni. Nie wszystko ujawniają. Ale wiemy, że mają bogate plany. Napiłbym się kawy, reflektuje pan?

Rafał przytaknął. Opowieść funkcjonariusza CIA go przerażała, ale wciąż nie bardzo wiedział, czego właściwie John od niego chce.

Amerykanin wrócił po kilku minutach z dwoma parującymi kubkami kawy i dziennikarz pomyślał, że dawna szkoła podstawowa musi być jedynym budynkiem w Woli Dąbrowieckiej, który jest wyposażony w ekspres do kawy.

– Cukier, mleko?

– Nie. „Czarna jak rozpacz i gorzka jak życie”. – Rafał przytoczył cytaty z jakiegoś polskiego serialu, który ostatnio obejrzał. Zapytał, po co właściwie opowiada mu to wszystko.

– Profesor O’Sullivan wiele mi o panu mówił. Wiem, że ma pan swoje porachunki ze Skibniewskim, i chcę to wykorzystać. No i wiem, że jest pan na tropie jednej z największych hitlerowskich operacji wywiadowczych, w których jedną z centralnych postaci był Bolesław Howański. Proponuję więc wymianę informacji. Powiedziałem panu bardzo dużo i tego samego oczekuję od pana. – Funkcjonariusz Centralnej Agencji Wywiadowczej patrzył Terleckiemu w oczy.

Dziennikarz spuścił wzrok. Zastanawiał się, a później sięgnął po przedostatniego papierosa w swojej paczce. Nie potrafił pić kawy, nie zaciągając się tytoniem.

– Wie pan, że Skibniewski współpracuje z polskimi władzami? Nie myślę o przeszłości, myślę o teraźniejszości. Dowiedziałem się, choć to informacja jednoźródłowa, że obecnie realizuje jakieś wywiadowcze zadanie „na kierunku niemieckim” – powiedział Terlecki.

– Wiem. I to właśnie w całej tej sprawie niepokoi nas najbardziej. Warszawa, chcąc doprowadzić do osłabienia niemieckiej dominacji w Unii Europejskiej, dyskretnie wspiera Obywateli Rzeszy. Pańscy rodacy igrają z ogniem.

Terlecki udawał, że jeszcze się zastanawia. Chciał w ten sposób wzmocnić swoją pozycję negocjacyjną, choć patrząc na Johna, wiedział, że na niewiele się to zda. Obawiał się jednego – że Amerykanie wyłapią wszystkich Reichsbürgerów, może nawet podadzą to do publicznej wiadomości, ale będą chcieli zrobić z tego lokalną historię bez większego znaczenia. Zdyscyplinują polskie władze, ale Skibniewskiemu się upiecze. Nie mógł do tego dopuścić. Znowu wyobraził sobie rozplątane nożem gardło tego starucha.

– Co czeka Skibniewskiego? – zapytał i dostrzegł blady uśmiech na ustach Amerykanina.

– Pójdzie siedzieć. Na pewno. Życzyłby pan sobie dla niego innego losu? Wiem, co zrobił z pańską koleżanką...

Tak, życzyłby Skibniewskiemu innego losu, ale przecież nie mógł tego powiedzieć na głos.

Rozdział 48

WARSZAWA, 28 LISTOPADA 2019

Pogrzeb Olgi miał rodzinny charakter i odbył się na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Tego samego dnia w wieczornych wiadomościach jego stacja podała informację o zamordowaniu dziennikarki, oszczędzając jednak widzom szczegółów.

Rafał wrócił do swojego apartamentu przy ulicy Grzybowskiej, po drodze wstąpił do ulubionego sklepu z alkoholami. Kupił dwie butelki chianti i przez aplikację zamówił dużą porcję sushi. W mieszkaniu było zimno, więc włączył ogrzewanie i od razu otworzył obie butelki wina, a po wypiciu jednego kieliszka – zrobił to zbyt szybko jak na tak dobre wino – wziął krótki prysznic.

Gdy wszedł do pokoju, miał kilka nieodebranych połączeń i kilkanaście wiadomości tekstowych. Wszystkie od dziennikarzy, informacja o śmierci Olgi Morąg wywołała spore poruszenie. Zignorował je, nie miał sił rozmawiać o morderstwie, nie dzisiaj.

Napełnił kieliszek. Był głodny, ale przełknął tylko kilka kawałków sashimi, długo maczając je w sosie sojowym, w którym rozpuścił sporo wasabi. Zapalił papierosa, a później, choć nie bez wahania, zadzwonił do Ewy. Rozmawiali ponad dwadzieścia minut. Jego dawna partnerka wydała mu się zaskakująco wyciszona i zastanawiał się, czy wyczuła jego

nastrój, czy to efekt długiej już izolacji w jakimś odludnym miejscu na Podlasiu. Zapytał o Anastazję.

– Ostatnio, co zaskakujące, ślęczy nad podręcznikami. Tak przynajmniej twierdzi, a ja staram się jej wierzyć i nie kontrolować, bo atmosfera i tak jest tu wybuchowa. Żadna z nas nie została stworzona do życia na odludziu. Ale nie wiem, czy ten rok szkolny uda się uratować.

Gdzieś w okolicach serca Rafał poczuł ukłucie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Anastazja zawali szkołę, będzie to wyłącznie jego wina.

– To już się kończy. Definitywnie. Jeśli będziecie miały ochotę, to później pojedziemy na długie wspólne wakacje – powiedział, aby trochę zmienić temat.

– Obiecywałeś to wiele razy. Naprawdę w to wierzysz?

Zamilkł. Ewa miała rację. Rok temu przyrzekał jej i Anastazji dokładnie to samo.

Najwidoczniej jednak Ewa nie miała nastroju do kłótni i zapytała, dokąd planuje zabrać „swoje najukochańsze kobiety”. Zaczął mówić o Andaluzji lub Toskanii.

– Toskania tym razem na pewno nie. Andaluzja brzmi obiecująco, ale stawiam na Wyspy Kanaryjskie. Konkretnie na Lanzarote. Żadna tam Gran Canaria, Teneryfa, a już tym bardziej Gomera – powiedziała i Rafałowi wydało się, że słyszy dawną Ewę.

– Dlaczego nie Gran Canaria? Myślałem, że zachowałeś miłe wspomnienia z naszego wspólnego pobytu na tej puste, skalistej plaży, gdzie pieprzyliśmy się pewnego upalnego poranka. Nadal mam tę niebieską koszulkę, w której wtedy byłaś, i nadal widzę twoje ukryte pod nią sterczące piersi.

– Jasne, że tak. Tylko chcę wyjechać gdzieś, gdzie nie ma ani jednego drzewa. Przynajmniej przez dwa tygodnie nie chcę, kurwa, oglądać żadnego drzewa. Gdybyś spędził tyle czasu w Puszczy Białowieskiej, wiedziałbyś, o czym mówię. Nienawidzę drzew!

Rafał pomyślał, że Ewa nie powinna wymieniać tej nazwy, ale było już za późno. Nie korzystał wprawdzie ze swojego telefonu, ale nie miał żadnej pewności, że nie założono mu podsłuchu w apartamencie. Od kilku tygodni stał pusty, nie byłoby to zbyt trudne.

– Będę o tym pamiętał, ucałuj naszą córkę i pilnuj, aby się uczyła – powiedział i zakończył połączenie. Zastanawiał się, czy poinformować Wiesława o błędzie Ewy, ale przypomniał sobie, że tylko w Polsce Puszcza Białowieska zajmuje powierzchnię 600 kilometrów kwadratowych, i odpuścił. Zresztą kolejny łyk chianti skierował jego myśli na inne tory.



Było kilka minut po dziesiątej rano, gdy Terlecki zjechał windą do podziemnego garażu i wsiadł do bmw. Odpalił silnik i już chciał ruszyć – za czterdzieści minut był umówiony w redakcji, a o tej porze Warszawa nadal była całkowicie zakorkowana – gdy w lusterku zamajaczyła mu jakaś ciemna plama. Skupił wzrok. Do szyby przyklejona była brązowa koperta. Zgasił silnik i podszedł do tylnej klapy samochodu. Już chciał chwycić pakunek, ale przypomniał sobie niedawno przeczytany fragment książki O’Sullivana. „Późną nocą z siódmego na ósmego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku w podziemnym garażu budynku mieszkalnego mieszczącego się przy Avenue de

Versailles w południowo-wschodniej części Paryża wybuchł niebieski citroën. Ładunek był tak potężny, że samochód zmienił się w kupę złomu, ale zniszczył także dziewięć innych stojących w pobliżu aut, a na parkingu wybuchł pożar. Dzień później właściciel citroëna, Serge Klarsfeld, otrzymał ozdobioną swastyką kopertę. W środku znajdował się napisany na maszynie list z podpisem O.D.E.S.S.A. Organizacja przyznała się do podłożenia bomby i oświadczyła, że było to tylko ostrzeżenie. Domagała się również, aby »Żydzi zaprzestali prześladowań niemieckich bohaterów wojennych, którzy bohatercko bronili cywilizacji łacińskiej przed sowiecko-żydowskimi barbarzyńcami «”.

Kilka dni później okazało się, że autorzy detonacji kłamali – to nie było ostrzeżenie. Policijni pirotechnicy stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że bomba miała wybuchnąć rano, gdy jak zawsze Klarsfeld miał odwozić swoją dziesięcioletnią córkę do szkoły, ale na skutek błędu w mechanizmie zegarowym została zdetonowana kilka godzin wcześniej. Miesiąc później Serge Klarsfeld miał zeznawać jako świadek w odbywającym się w Kolonii procesie Kurta Lischki, Ernsta Heinrichsohna oraz Herberta Hagena, funkcjonariuszy niemieckich władz okupacyjnych we Francji odpowiedzialnych za deportację do obozów koncentracyjnych osiemdziesięciu tysięcy Żydów.

Rafał cofnął rękę, a później przeciągnął dłonią po włosach. Zastanawiał się, co zrobić. W końcu wyciągnął smartfona i zadzwonił do Wiesława. W podziemnym garażu nie było zasięgu. Zamknął samochód i ruszył do windy, ale nim do niej dotarł, zawrócił. Jeszcze raz przyjrzał się kopercie. Niewiele wiedział o ładunkach wybuchowych, ale doszedł do wniosku, że gdyby ktoś naprawdę chciał go wysadzić w powietrze, umieściłby ładunek w niewidocznym miejscu. Chwycił kopertę

i dopiero gdy zerwał taśmę klejącą, zdał sobie sprawę, że bezwiednie zamknął oczy.

– Kurwa, ale jestem głupi.

Usiadł za kierownicą, czując spływającą po plecach strużkę potu. Jego oddech był nierówny, a mimo to zapalił papierosa i wyjechał z garażu, co chwila spoglądając na kopertę, leżącą na fotelu pasażera. Po głowie krążyły mu słowa z książki profesora O’Sullivana: „Ładunek był tak silny, że samochód zmienił się w kupę złomu, zniszczył także dziewięć innych stojących w pobliżu aut, a na parkingu wybuchł pożar”. Zatrzymał się na placu Grzybowskim przy kościele Wszystkich Świętych i drżącymi rękoma rozerwał bąbelkową kopertę.

W środku znajdował się pendrive. Obejrzał go dokładnie i zaczął się zastanawiać, czy nie wrócić do apartamentu po laptopa, ale spojrzął na zegarek i zrezygnował. Włączył światła awaryjne i modląc się, aby na ulicy nie znalazł się zagubiony radiowóz, pobiegł po kawę do Green Caffè Nero. Z doświadczenia wiedział, że podwójne espresso potrafi złagodzić trawiącego go kaca.



Na pendrivie był film. Czarno-biały, najwyraźniej nagrany przez umieszczoną wysoko nad ulicą kamerę. Przedstawiał Olgę podchodzącą do swojego sportowego mercedesa. Ani on, ani Mariusz Hallmann, z którym wpatrywali się w wielki monitor, nie umieli rozpoznać ulicy. Gdy ich koleżanka wrzuciła eleganckie torby z zakupami do bagażnika, od tyłu podbiegł do niej wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w czapce i kilka sekund później wciągnął ją do czarnego SUV-a bmw. Ciało Olgi wydawało się bezwładne, co mogło oznaczać, że napastnik

przyłożył jej do nosa coś nasączonego silnym środkiem usypiającym albo zwiotczającym. Samochód ruszył, jeszcze nim mężczyzna zdążył zatrzaskać drzwi.

– Skąd to masz?

– Ktoś przykleił kopertę do tylnej szyby. W garażu w moim apartamencie.

Mariusz spojrział na niego znad okularów, a potem zatopił dłonie w bujnych, lekko już przyprószonych siwizną włosach. Westchnął głęboko.

– Rafał, czy ty za każdym razem musisz podkreślać, że mieszkasz w apartamencie?! Dobrze choć, że tym razem nie dodałeś, że samochód trzymasz w podziemnym garażu. Ale nie o to chodzi. Ty sobie tę kopertę tak po prostu zerwałeś?! Nie znam zbyt wielu równie nieodpowiedzialnych ludzi, a na pewno żadnego pojecha nie znam równie długo.

Rafał uniósł rękę, nie odrywając wzroku od ekranu, i wskazał na drzwi.

– Musisz częściej wychodzić ze swojej fortecy. Zajrzyj czasem tam, gdzie pracują nasi dziennikarze śledczy, poznasz ludzi dużo bardziej pojebanych ode mnie.



Było kilka minut po piętnastej, gdy wreszcie ruszył do Wolsztyna. Puścił płytę Dżemu, rozważając, co zrobić z filmem na pendrivie. Musiał go oczywiście przekazać policji, ale zastanawiał się, czy zrobić to oficjalnie, czy najpierw porozmawiać z inspektorem Krzywińskim. Już wcześniej, korzystając z anonimowej skrzynki, wysłał film Wiesławowi, ale detektyw na razie się nie odezwał.

Mijając Konin, wybrał na panelu nazwisko inspektora i nacisnął klawisz. Policjant odebrał po drugim sygnale. Gdy przedstawił sprawę, głos Krzywińskiego się zmienił. Zapytał, o której mogą się spotkać, a gdy dziennikarz poinformował go, że właśnie wraca z Warszawy, policjant kazał mu podjechać do Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu.

– Ktoś będzie na pana czekał. Zyskamy kilka godzin, bo od razu zajmą się tym technicy. Mam nadzieję, że ma pan ze sobą również kopertę. Rozpoznał pan na filmie, gdzie to porwanie miało miejsce?

Terlecki zaprzeczył. Jak większość mężczyzn nie znosił zakupów, a już lokalizacja luksusowych butików – a na to wskazywały napisy na torbach z nazwami marek odzieżowych, które Olga wrzuciła do bagażnika – była mu zupełnie obca. Kojarzył tylko plac Trzech Krzyży.

– Na drugim filmie, nagrany dwadzieścia pięć minut później, widać mężczyznę, który podchodzi do mercedesa Olgi i nim odjeżdża.

– To ten sam, który wciągnął ją do SUV-a?

– Nie, zdecydowanie nie. Jest dużo starszy, elegancko ubrany i na pewno znacznie niższy od tego pierwszego. Ma kluczyk do mercedesa Olgi i zachowuje się tak, jakby podchodził do swojego auta. Wszystko wygląda bardzo profesjonalnie.

– Niech pan pojedzie w Poznaniu na Kochanowskiego i zgłosi się do oficera dyżurnego. Będzie znał sprawę – powiedział Krzywiński i przerwał połączenie.



Rafał wyciągał właśnie walizkę z samochodu, gdy zadzwonił Wiesław.

– To Horgan. Mężczyzna, który wepchnął Olgę do SUV-a bmw, to Liam Horgan. Jankesi właśnie to potwierdzili. Jeszcze sprawdzają, na razie mają dziewięćdziesięcioprocentową pewność, więc nie sędzę, aby ich ocena się zmieniła. I raczej się nie mylą. A Horgan...

– A Horgan, to już wiemy, działa na zlecenie Skibniewskiego.

– Nie, Rafał, nie masz racji. Zleceniodawcą dla Horgana są raczej Reichsbürgerzy, Obywatele Rzeszy. Nie wykluczam, że Olgę zabił Skibniewski. Ale porwał ją Horgan.

Rozdział 49

WOLSZTYN, 29 LISTOPADA 2019

Deszcz zaczął lać niespodziewanie i był tak obfity, że na polnej drodze natychmiast utworzyły się kałuże. Rafał czuł, że strumienie wody wdzierają mu się do butów, więc nawet nie próbował szukać suchego gruntu. Przyspieszył, aby szybciej dotrzeć do samochodu.

Zerknął na swój kupiony kilka tygodni wcześniej sportowy zegarek. Zapłacił za niego krocie i była to jedna z jego wielu bezsensownych inwestycji, bo urządzenie miało dziesiątki funkcji, z których i tak nie umiał korzystać. Przypomniał sobie wostoka z niebieską tarczą, którego przed wielu laty – na mapie świata widniały wówczas jeszcze i Związek Radziecki, i Polska Ludowa – kupił w reprezentacyjnym, kilkupiętrowym uniwersytecie przy jednej z głównych ulic Witebska. Sprzedawczyni z dumą poinformowała go, że *czasami są wodoodporne*, a on nieopatrznie jej uwierzył i wieczorem nie zdjął go przed wejściem pod prysznic. Gdy się obudził, jedna czwarta tarczy miała rdzawy kolor. Miał nadzieję, że jego obecny zegarek rzeczywiście okaże się wodoodporny.

Dobiegł do samochodu zaparkowanego na poboczu drogi w momencie, gdy deszcz przestał padać. Z trudem łapał oddech. Borsuk z uznaniem poklepał go po plecach.

– Najwyraźniej deszcz cię motywuje, bo dawno tak nie gnałeś
– stwierdził złośliwie.

Rafał był rad, że na poranny jogging wokół Jeziora Kuźnickiego przyjechali jeepem, a Borsuk włączył podgrzewanie siedzeń.

Terlecki sięgnął po smartfona. Miał nieodebrane połączenie od Wiesława.

– Dzwonił John. Masz trochę ponad miesiąc. Na początku stycznia przyszłego roku Obywatele Rzeszy planują wielką naradę i wtedy mają zdjąć tych faszystowskich pomyleńców, którzy chcą przejąć władzę w Niemczech. Zdążysz? – Wiesław mówił spokojnie, ale dziennikarz wyczuwał w jego głosie napięcie.

– Muszę – powiedział, choć wcale nie był tego pewien. Miał wrażenie, że nadal wszystko jest w rozsypce, ale lubił pracować pod presją.

Pokonując rozmiękłą leśną drogę, wyjechali wreszcie na równy asfalt. Wtedy zadzwonił do Hallmanna.

– Miesiąc. Musimy się sprężyć.

– Rafałku, ty musisz. Powtarzam to od kilku tygodni, ale ty wiecznie wchodzisz w nowe wątki, jakbyś zamierzał nakręcić trzy sezony dla Netflixa.

– Dobra, dobra. Przyślij do Wolsztyna ekipę, jedziemy z tym koksem.

Mariusz Hallmann przytaknął, ale zażądał ostatecznej wersji scenariusza. Rafał miał go przesłać w ciągu dwóch dni.

Gdy tylko się rozłączyli, wydzwaniał dalej. To zawsze był najtrudniejszy moment. Wielu ludzi chętnie dzieliło się informacjami z dziennikarzem, dopóki rozmowa była nierejestrowana, ale gdy mieli stanąć przed kamerą, wszystko stawało się trudniejsze. Niektórzy się wycofywali. Spodziewał się, że najłatwiej będzie przekonać do nagrania osoby mające

wypowiedzieć się na tematy związane z historią, bo żaden z jego wolsztyńskich rozmówców nie zdawał sobie sprawy, że mają one bardzo współczesne powiązania. Był to pewien rodzaj nadużycia, Rafał zdawał sobie z tego sprawę, ale nie widział innego wyjścia.

Z czterech osób, do których zadzwonił w drodze z Kuźnicy Zbąskiej do Wolsztyna, trzy się zgodziły, a Cornelius O'Sullivan nie odebrał telefonu. Tym akurat się nie przejął, nie miał wątpliwości, że profesor chętnie opowie o Bolesławie Howańskim i powojennych losach zbrodniarzy hitlerowskich. Zdawał sobie sprawę, że najtrudniej będzie przekonać Zofię Jaworską. Przyrzekł wprawdzie, że nie ujawni nazwiska jej męża, ale postanowił spróbować jeszcze raz. Tymczasem jednak odłożył tę rozmowę. Podobnie jak telefon do inspektora Witolda Krzywińskiego.

Gdy dojechali do Karpicka, poprosił Borsuka, aby zatrzymał się przy sklepie.

– Dzisiaj na kolację kuchnia zaserwuje bułczankę i tullamore'a. Z okazji wejścia w ostatni etap, co zawsze wymaga podkreślenia, będzie do bólu elegancko – zapowiedział i uśmiechnął się do byłego oficera GROM-u. Ten spojrzał na niego ponuro.

– To się daje zjeść?

– Kurwa, wy, warszawiacy...

– Pochodzę spod Białegostoku, konkretnie z Wielkiej Wsi Kościelnej.

– Ty się, Borsuk, chwalisz czy narzekasz na trudne dzieciństwo? Nie wypłakuj mi się tutaj, że mama karmiła cię kiszka ziemniaczaną. Bułczanka nie jest robiona z ziemniaków – podkreślił i sięgnął do klamki. – Ale rozumiem, ruskie żołdacy

tyle razy przechodziły przez Podlasie, że musieliście nauczyć się robić kielbasę z pyr.

Po powrocie do domu Rafał wziął prysznic, przebrał się i wrzucił sportowe ciuchy do pralki. Później zrobił sobie dużą kawę i zajął się pracą nad scenariuszem. Pił oszczędnie. Kilka minut po szesnastej pierwsza wersja była gotowa. Miał poczucie, że jest daleka od ideału, brakowało jej ognia, ale i tak był zadowolony.

Postanowił się trochę zdrzemnąć, gdy kątem oka dostrzegł rozświetlony ekran wyciszonego smartfona. Dzwoniła Anastazja.

– Witam cię, władco kobiecych dusz. Po wczorajszym telefonie moja matka jest nie tylko zadowolona, ale wręcz rozanielona. „Cóżeś jej uczynił”, że sparafrazuję Pismo Święte...

Rafał westchnął z ulgą. Słowa Anastazji świadczyły, że jest w dobrej formie.

– Powiedziałabym nawet, że Ewa jest chyba na powrót w tobie zakochana. Nie rozumiem tego, ale czuję, że tak jest. Nie rozpiardol tego, ojciec...

– Miarkuj się, młoda damo – warknął, ale córka go nie posłuchała.

– Nie rozpiardol ze względu na nią, na siebie i na mnie – powiedziała i przerwała połączenie. Rafał wybrał jej numer, ale usłyszał komunikat, że telefon jest albo wyłączony, albo znajduje się poza zasięgiem sieci. Był pewien, nieźle znał swoje dziecko, że Anastazja przekazała, co miała do powiedzenia, a później wyłączyła smartfona.

Wiedział, że powinien przemyśleć jej słowa, ale na razie miał na głowie coś pilniejszego. Z emfazą podlaną wypitym alkoholem pomyślał, że to coś, co może zmienić losy świata.

Rozciągnął się na kanapie. Musiał to wszystko poskładać do kupy. Uznał, że efektywniej zrobi to, mając przy sobie inteligentnego interlokutora, którego nie trzeba będzie wprowadzać we wszystkie szczegóły. Zadzwoił po Bartka.

– Weź coś ze sobą – poprosił na zakończenie rozmowy. Bartkowi nie musiał tłumaczyć, co miał na myśli.



Przyjaciel zjawił się trzy kwadranse później. Miał ze sobą nie tylko butelkę burbona, ale także siatkę wędlin.

– Znajomy rolnik zrobił świniobicie. Wszystko świeżutkie – oświadczył, podając Rafałowi papierową torbę. Ten nalał tullamore'a i usadził przyjaciela w fotelu. Woń swojskiej kiełbasy rozeszła się po mieszkaniu, walcząc o prymat ze smrodem wypalonych papierosów.

Rafał cichym głosem zrelacjonował mu ostatnie wydarzenia. Opowiedział o spotkaniu z agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej i amerykańskich ustaleniach dotyczących Obywateli Rzeszy.

– I my w tym uczestniczymy? W sensie polski rząd wspiera pogrobowców Hitlera? Bo można to ubierać w różne kostiumy, ale istota rzeczy pozostaje ta sama. Z tego, co mówisz, Reichsbürgerzy to zakamuflowani spadkobiercy Adolfa Hitlera.
– Bartek nie krył zdziwienia.

– Rząd może o tym nie wiedzieć. Niewykluczone, że to operacja służb. Intencją jest osłabienie pozycji Niemiec w Unii Europejskiej, pokazanie, jak słaba jest niemiecka demokracja. Ale to jest jazda brzytwą po jajach.

– Celne określenie, ale w reportażu ci tego nie puszczą. A szkoda. Co z tymi skrzyniami zakopanymi na wyspie?

Wszystko wskazywało na to – list Gertrudy Geisler do profesora Dawida Lewandowskiego to potwierdzał – że pod koniec wojny Niemcy ukryli na wyspie skrzynie ze złotem. W przyszłości miało posłużyć do budowy Czwartej Rzeszy. Ich pilnowaniem zajął się Ludwig Frejlich, po wojnie zmienił imię na Ludwik, a po jego śmierci Manfred Richter powierzył to zadanie Ryszardowi Jaworskiemu. Od niego funkcję strażnika przejął Zdzisław Skibniewski.

– Znając jego dotychczasową drogę życiową, przypuszczam, że zrobił to dla pieniędzy. Kilka sztabek złota byłoby dla niego wystarczającą motywacją. Niewykluczone jednak, że dostrzegł w tym coś więcej. – Whisky w ich szklankach właśnie się skończyła, więc Rafał poszedł do kuchni. Wziął burbona przywiezionego przez Bartka, ale nim wrócił do pokoju, pokroił kilka kiełbas. Ich aromat był oszałamiający.

Ustawił wszystko na stole, a później zapukał do pokoju Borsuka. Poprosił, aby do nich dołączył, a ten, choć z ociąganiem, spełnił jego prośbę.

– Tak jak obiecywałem: jest do bólu elegancko, ale bułczanka została podana na zimno. Nie mam teraz głowy do kucharzenia – powiedział, stawiając na ławie talerz, a później usiadł i zapalił papierosa. Przez chwilę przyglądał się, jak Bartek rozlewa alkohol.

– Jesienią dwa tysiące piętnastego roku Ryszard Jaworski poszedł do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i złożył zeznanie, że przez wiele lat współpracował z jakimś Niemcem, przy czym podał o nim bardzo dokładne informacje. I nic. Jaworskiego nie wezwano na kolejne przesłuchanie, nie przeszukano jego mieszkania.

– Nie wiesz, czy nic. Być może był obserwowany, może weryfikowano jego zeznania. Tyle, że kilka miesięcy później

zmarł – stwierdził Borsuk i zamoczył usta w alkoholu.

To była słuszna uwaga, ale miała kilka luk. Śmierć Jaworskiego powinna zmusić służby, żeby przynajmniej przeszukać jego mieszkanie. No i z całą pewnością agenci powinni przesłuchać jego żonę.

– Tu jak diabeł z pudełka znowu wyskakuje Zdzisław Skibniewski, który w dwa tysiące dziesiątym spotkał się z Manfredem. To nie mógł być przypadek. A Grzegorz i inspektor Krzywiński stwierdzili, że Skibniewski jest pod ochroną służb, bo realizuje jakieś ważne zadanie „na kierunku niemieckim”. On, człowiek, który od końca lat sześćdziesiątych w obawie przed aresztowaniem bał się wyjeżdżać na Zachód. – Rafał stał przy oknie, bezmyślnie wpatrując się w przejeżdżające trzy piętra niżej samochody.

Bartek sięgnął po swoją szklanę. Zaczął mówić o Manfredzie Richterze, który był ważnym ogniwem całej układanki.

– Podczas wojny pracował w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Zgoda, był niskiej rangi kancelistą, jednakże w RSHA nawet kanceliści musieli być ludźmi zaufanymi. W tym samym miejscu pracował Ernst Becker. Po wojnie Richter często jeździł do Argentyny, a tak się przypadkowo złożyło, że akurat do tego kraju pod koniec wojny uciekł Ernst Becker.

– Becker i Oskar Hoffmann zakopali skrzynie na wyspie. Ich pilnowanie nadzorował Richter. I to on w dwa tysiące dziesiątym powierzył to zadanie „pięknemu Zdzisiowi”. Masz rację. Manfred Richter jest bardzo ważnym elementem tej układanki. – Rafał zapisał coś w leżącym przy laptopie notesie.

Teraz miał wrażenie, że wiedział o tym Niemcu stanowczo zbyt mało. Musiał jutro rano poprosić Wiesława, aby dowiedział się od Johna, czy Richter kręci się wokół Obywateli Rzeszy.

Sięgnął po szklanę, ale zmienił zdanie i otworzył laptopa. Doszedł do wniosku, że nie warto czekać, w Waszyngtonie było teraz południe.

Zaczęli rozmawiać o Odessie. Teorię o istnieniu potężnej zakonspirowanej organizacji grupującej funkcjonariuszy Trzeciej Rzeczy rozstawił Frederick Forsyth w swojej słynnej książce *Akta Odessy*, sprzedanej w milionach egzemplarzy. Ale zdaniem naukowców zawarte tam tezy były mocno naciągane. O'Sullivan twierdził, że choć ta nazwa rzeczywiście po wojnie kilka razy się pojawiła – naukowiec znalazł ją w aktach amerykańskich, brytyjskich i francuskich służb wywiadowczych – to jednak nie było dowodów na istnienie zintegrowanej organizacji.

– Być może próbowano taką powołać, ale bez powodzenia. Było kilka inicjatyw, raczej luźno ze sobą powiązanych, które pomagały zbrodniarzom uniknąć kary. W tym kontekście pojawiało się między innymi nazwisko Ottona Skorzenego, zwanego ulubionym komandosem Hitlera. Był Austriakiem, ale jego rodzina pochodziła z podpoznańskiego Skorzęcina. We wrześniu czterdziestego trzeciego roku w ramach operacji „Dąb” Skorzeny uwolnił Mussoliniego i wywiózł go z Włoch. Później, ponieważ porwał syna dyktatora Węgier, aż do końca wojny zatrzymał ten kraj w niemieckiej strefie wpływów. No i wreszcie odegrał niemałą rolę w kontrofensywie w Ardenach.

– Wśród niemieckich żołnierzy był legendą, ucieleśnieniem skuteczności, więc idealnie nadałby się do roli szefa Odessy – wtrącił Bartek Nowicki.

– Profesor O'Sullivan, który przeczytał jego akta znajdujące się w Narodowym Archiwum Rządowym Stanów Zjednoczonych, twierdzi, że choć pretendował do takiej roli, to po wojnie był pod ścisłą kontrolą amerykańskich służb.

Borsuk milczał. Jego szklanka nadal była pełna.

– Powiedziałeś, że po wojnie nie było jednej zintegrowanej posthitlerowskiej organizacji, że był to raczej konglomerat kilku luźno ze sobą powiązanych. Przypomina Al-Kaidę – powiedział komandos i sięgnął po kolejny plaster kiełbasy. Najwyraźniej smakowała mu bardziej niż kiszka ziemniaczana z jego rodzinnego Podlasia.

Rafał i Bartek spojrzeli najpierw na siebie, a później na komandosa. Dziennikarz nie był tego pewien, Borsuk oszczędnie wypowiadał się o swojej przeszłości, ale wiedział z całą pewnością, że miał za sobą kilka tur w Afganistanie. Znał organizację islamskich terrorystów.

– Na tym właśnie zasadał się sukces Al-Kaidy. Na małych, pozornie kompletnie ze sobą niepowiązanych grupach. Nawet jeśli amerykańskie służby trafiały na ich ślad, to po prostu je ignorowały, bo w ich ocenie nie stanowiły one realnego zagrożenia. Aż przyszedł jedenasty września... – Borsuk mówił cicho, ale w jego głosie słychać było pewność. Rafał pomyślał, że dotychczas go nie doceniał.

– Na pozór może się to wydawać niezgodne z niemieckim charakterem. Polacy o tym nie pamiętają, tymczasem przez kilka stuleci Niemcy trwali w państwie federacyjnym, bo taka była przecież Pierwsza Rzesza, czyli Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Później, od tysiąc osiemset szóstego do siedemdziesiątego pierwszego roku, czyli zjednoczenia przez Bismarcka, było jeszcze gorzej – mówił Bartek, popijając whisky małymi łykami. Dopiero teraz Rafał zauważył, że tym razem jego przyjaciel obywa się bez coli. – Jakkolwiek by na to patrzeć, do powstania tej „hitlerowskiej Al-Kaidy” walczył, choć niezamierzenie, przyczynił się Howański. – Bartek w tym

momencie zdał sobie sprawę z motywacji, którymi kierował się wolsztyński drukarz.

Gdy Bolesław zrozumiał, jaką rolę odegrał w planie Beckera i Hoffmanna, a właściwie Ernsta Kaltenbrunnera, poświęcił się naprawie swojego życiowego błędu i pozostał na Zachodzie, odcinając się od rodziny. Nie chciał narażać swoich najbliższych. Po powrocie do Europy uznał, że skutecznych sprzymierzeńców w tej swojej na poły prywatnej wojnie znajdzie przede wszystkim w państwie żydowskim, i historia przyznała mu rację. Jego wnuk tego nie rozumiał i Rafał pomyślał, że będzie musiał mu to wytłumaczyć jeszcze przed emisją reportażu.

Poczuł, że kamień spadł mu z serca, że otworzyła się przed nim furтка, którą do tej pory próbował po omacku znaleźć. Często tak było, ale zawsze z niepokojem czekał na ten moment, obawiając się, że tym razem nie nadejdzie.

– Dobra, wszystko wiem. Nalewam po naparsteczku i idę spać z dwoma tabletkami aspiryny, bo jutro mam masę roboty. Wasze zdrowie! Parafrazując pana Onufrego Zagłobę: wlaście mi dzisiaj do łba sporo oleum – oświadczył Rafał, wznosząc szklanę.



Scenariusz był gotowy kilka minut po ósmej rano. Terlecki wysłał go Mariuszowi, a później zajrzał do swojej skrzynki mailowej. Znalazł w niej mail od Wiesława z potwierdzeniem, że Manfred Richter nie tylko działa w ruchu Obywateli Rzeszy, ale jest przez Amerykanów i współpracujący z nimi niemiecki Federalny Urząd Ochrony Konstytucji zaliczany do ścisłego

kierownictwa organizacji. Niestety, John nie przekazał żadnych dokładniejszych informacji o Richterze.

O szesnastej w towarzystwie Borsuka pojechał do Fala Parku, gdzie telewizja wynajęła pokoje dla Cezarego i Jurka, operatora, który był z nim w Wiedniu i Berlinie. Obaj chcieli odpocząć po podróży, ale Rafał tylko się uśmiechnął i wsadził ich do jeepa. Najpierw pojechali do Chorzemina zobaczyć pałac, w którym Bolesław Howański podrabiał argentyńskie paszporty, potem obejrzelili drogę prowadzącą z Chorzemina na brzeg Jeziora Wolsztyńskiego, wreszcie zaparkowali przy plaży w Kuźnicy Zbąskiej. Stojąc na brzegu, Rafał opowiedział, jak został zwabiony na cypel, a Liam Horgan przyłożył mu nóż do gardła.

– Która wtedy była godzina? – zapytał Jurek, a Terlecki spojrzał na Borsuka.

– Około czwartej. Trochę po czwartej nad ranem – powiedział komandos.

– Ktoś będzie tu musiał w nocy ze mną przyjechać. Tymczasem chciałbym to miejsce teraz zobaczyć. Musisz mi pokazać, gdzie wtedy stałeś, i jeszcze raz wszystko opowiedzieć.

Skończyli rekonesans po dwudziestej i pojechali na kolację do Galerii Europejskich Przysmaków. Rafał miał jeszcze sporo do omówienia z Cezarym.

Rozdział 50

WARSZAWA, 2 STYCZNIA 2020

Dochodziła czwarta rano, gdy wreszcie uznali, że reportaż jest gotowy. Mariusz Hallmann dopił trzeci tej nocy kubek kawy – troszcząca się o jego serce pani Anita wyszła dwanaście godzin wcześniej – i wstał z niewygodnego fotela. Wydawał się zadowolony, co było raczej rzadkie.

– Idźcie się przespać. Spotykamy się o siedemnastej – powiedział i ruszył do wyjścia.

– Mogę się trochę spóźnić, pamiętasz? – Rafał spojrzał na swojego szefa, a ten przyzwalająco kiwnął ręką.

– Jasne, ale jak tylko dostaniesz informację z Niemiec, to daj znać. I bądź w redakcji najdalej przed dwudziestą.

Rafał zbierał swoje rzeczy, gdy drzwi do pokoju montażystów się zamknęły, ale po chwili znowu się uchylły.

– Świetna robota. Wszystkim bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że go dopadniemy. Dla Olgi – powiedział Mariusz i zniknął.

Terlecki chwycił swoją torbę, napełnił termiczny kubek kawą i obmył twarz nad kuchennym zlewem. Był zmęczony, a czekała go czterystukilometrowa trasa do Wolsztyna, później powrót do Warszawy i udział w dyskusji przed kamerami. Zapowiadał się morderczy dzień.

Usiadł za kierownicą swojego bmw, nastawił muzykę – wybrał *The Wall* Pink Floydów – i ruszył do rodzinnego miasta. Warszawa jeszcze spała, więc dojazd do autostrady zajął mu

niewiele czasu. Ustawił tempomat na sto siedemdziesiąt kilometrów.



Zaparkował na tyłach wolsztyńskiego Liceum Ogólnokształcącego kilka minut po ósmej. Lekcje już się rozpoczęły, w budynku panowała cisza. W sekretariacie dowiedział się, że profesor Henryk Howański po dwóch pierwszych lekcjach kolejną godzinę ma wolną. Chwilę się zastanawiał, ale w końcu wrócił do samochodu, nastawił budzik w telefonie i zasnął.

Gdy o dziewiątej czterdzieści wdrapywał się na pierwsze piętro budynku z dużą puszką red bulla w dłoni, nie wyglądał na telewizyjnego gwiazdora i miał tego świadomość. Mijani na schodach uczniowie przyglądali mu się ze skrywaną ciekawością. Machinalnie poprawił włosy, a później zapukał do pokoju nauczycielskiego i poprosił profesora Howańskiego.

Chemik wyszedł po kilkudziesięciu sekundach. Spojrzał na Terleckiego krytycznie.

– O co chodzi tym razem?

– Chciałbym z panem profesorem porozmawiać. Reportaż o pańskim dziadku jest gotowy, emisja jest zaplanowana dzisiaj o dwudziestej pierwszej, ale wszystko zależy od pewnych wydarzeń w Niemczech.

– W Niemczech? Jakich wydarzeń?

Wokół panował hałas i nie były to dobre warunki do rozmowy. Rafał zapytał, czy nauczyciel może znaleźć jakieś ustronne miejsce. Howański zreflektował się i zaprosił gościa do gabinetu chemicznego, który przez najbliższe czterdzieści pięć minut miał być wolny.

– Jakich wydarzeń? – powtórzył, gdy tylko zamknął za sobą drzwi klasy.

– Nie mogę powiedzieć. Proszę mi wierzyć, że nie mogę, ale wszystko rozstrzygnie się w najbliższych godzinach. Przyjechałem, aby podziękować, że zainteresował mnie pan tym tematem. Gdyby nie to...

Profesor patrzył na niego zdumiony.

– Podziękować? Sądziłem, że jest pan na mnie wściekły. Gdybym cztery miesiące temu do pana nie zadzwonił, gdybyśmy nie spotkali się wtedy w kaplicy, pańska koleżanka zapewne nadal by żyła – powiedział, zdejmując okulary. Wbił wzrok w stojące przed nim biurko.

Rafał zamarł. Nie postrzegał śmierci Olgi w ten sposób. Teraz dotarło do niego, że w słowach Henryka Howańskiego było wiele racji, ale Terlecki miał wrażenie, że to on ponosi winę za jej śmierć.

Wiele razy prosił Olgę, aby miała się na baczności, przekonywał, że Skibniewski jest pozbawionym skrupułów gangsterem, ale może powinien był zrobić więcej. Zlekceważył to. Sądził, że Olga w Warszawie jest bezpieczna.

Wciąż nie potrafił pogodzić się z jej śmiercią.

– Mam wrażenie... Nie, jestem tego pewien, że rozwiązanie jakiegokolwiek zagadki z przeszłości nie jest warte ludzkiego życia, i to tak młodego życia... – Profesor włożył okulary i spojrzał na Terleckiego.

Rafał pomyślał, że nauczyciel nie ma racji. Mógłby podać wiele przeczących tej tezie przykładów, ale nie przyjechał do Wolsztyna, aby toczyć akademicki spór.

– Zostawmy to. Gdy obejrzy pan reportaż, będziemy mogli do tego wrócić. Proszę mi wierzyć, zmieni pan zdanie.

– Szczerze w to wątpię. Ale proszę mi powiedzieć, czy ustalił pan, kto jest sprawcą tego morderstwa, i czy poniesie on karę za swoją zbrodnię?

Rafał odsunął krzesło i usiadł w szkolnej ławce. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Policyjne śledztwo nadal trwało, ale inspektor Witold Krzywiński został od niego odsunięty. Rafał wierzył jednak zapewnieniom agenta CIA, że Skibniewski trafi za kratki.

Dziennikarz wypił kilka łyków red bulla. Miał ochotę na kawę, ale najwidoczniej profesorowi nie przyszło do głowy, żeby mu ją zaproponować. Rafał jeszcze raz opowiedział wszystko, czego dowiedział się o wojennych i powojennych losach Bolesława Howańskiego.

– W pewnym momencie pański dziadek zrozumiał, że współpracując z Ernstem Beckerem i Oskarem Hoffmannem, przyłożył rękę nie tylko do uciezki wielu zbrodniarzy hitlerowskich przed sprawiedliwością, ale również do stworzenia tajnej organizacji nazistowskiej, której celem jest odzyskanie władzy w Niemczech. Może dotarło to do niego w Australii, tamtejsza prasa poświęcała niemieckim zbrodniom wojennym dużo miejsca, australijscy żołnierze walczyli przeciw od Wielkiej Brytanii po Pacyfik, a może dopiero podczas kilkumiesięcznego pobytu w Izraelu, gdy spotykał się z Ocalonymi. Resztę swojego życia poświęcił naprawianiu tego błędu.

– To nie był żaden błąd. Przecież współpracował z Niemcami pod przymusem, więc to nie była jego wina! – Ostatnie zdanie Henryk Howański wypowiedział podniesionym głosem, ale zaraz się zreflektował i uniósł ręce w przeproszającym geście.

Miał oczywiście rację. Ale Bolesław rozumiał to inaczej. I bał się skutków tego, co robił w piwnicy chorzemińskiego pałacu.

– Ostatnio pytał pan, dlaczego Bolesław niemal zerwał kontakt z rodziną. Niemal, bo przecież listy i pieniądze przysyłał. Nie bardzo umiałem to wtedy wytłumaczyć. Teraz już wiem. Chciał was chronić. Wiele razy próbowano go zabić, na początku lat siedemdziesiątych w jego domu w Stummie podłożono bombę. Uniknął śmierci przez przypadek, ładunek po prostu nie wybuchł. Od tego dnia był chroniony przez dwóch, a czasem czterech komandosów z Sajjeret Matkal, jednostki specjalnej Sił Obrony Izraela. Musi pan zrozumieć, że listy, które dostawała od niego pańska babcia, a później pana ojciec, przedstawiały inne życie niż to, które naprawdę wiódł w Austrii.

Mógłby opowiedzieć nauczycielowi o innych zamachach na życie ludzi tropiących zbrodniarzy hitlerowskich, choćby o wybuchu niebieskiego Citroëna w podziemnym garażu przy paryskiej Avenue de Versailles albo próbie zabicia Szymona Wiesenthala w Wiedniu, ale nie miał na to czasu. Zresztą profesor dowie się tego z reportażu.

Henryk Howański pokiwał głową, a później zaczął skubać swój starannie ufryzowany siwy wąs.

– Co mogło nam grozić ze strony byłych hitlerowców w Peerelu? Przecież nie mieli tutaj wstępu – zapytał i tym razem w tonie jego głosu Rafał nie wyczuł agresji.

– Pańska babcia, Józefa, jeśli dobrze zapamiętałem, zginęła w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Potracił ją dostawczy żuk, sam mi pan to opowiadał. Potracił i uciekł, sprawcy wypadku nie odnaleziono. Nigdy to pana nie zastanawiało? Ile takich samochodów jeździło wówczas po wolsztyńskich drogach? Przecież żuka nie można było kupić, później tak, ale w końcu lat sześćdziesiątych był dostępny wyłącznie dla państwowych przedsiębiorstw, spółdzielni, może jakieś egzemplarze trafiały

do PGR-ów. Roczna produkcja tego cudu socjalistycznej techniki nie przekraczała ośmiu tysięcy egzemplarzy, a na dodatek część szła na eksport. Myśli pan, że tak trudno było sprawdzić wszystkie samochody z okolicy?

– Pańskim zdaniem śmierć babci Józefy nie była przypadkowa?

– Nie wiem, dzisiaj już nie sposób tego dowieść, minęło pół wieku. Ale to nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne – odpowiedział i wstał z niewygodnego krzesła. Po czterech godzinach jazdy i drzemce w samochodzie musiał koniecznie rozprostować nogi.

Rozmawiali jeszcze kwadrans i w końcu Rafał zaczął się zbierać. Dopił red bulla i wrzucił zgniecioną puszkę do stojącego przy drzwiach kosza na śmieci.

– Jestem panu niewymownie wdzięczny. Sprawa Bolesława zaciążyła na losie mojej rodziny, już to panu mówiłem. Chciałbym powiedzieć, że byłem wnukiem „dziadka z Wehrmachtu”, ale było gorzej. Może nie w moim wypadku, ale mojego ojca na pewno. Więc mam satysfakcję, nie zamierzam tego ukrywać. – Profesor wstał i mocno ścisnął jego dłoń.

Rafałowi wydawało się, że widzi w jego oczach łzy. Właściwie był tego pewien.

Wyszedł, cicho zamykając drzwi gabinetu chemicznego, i natychmiast wyciągnął z kieszeni kurtki smartfona. Zbliżała się jedenasta czterdzieści, a on zastanawiał się, o której uzbrojeni agenci Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji wkroczą do Bad Lobenstein. Zaczynał się niecierpliwić.

Dochodził już do prowadzących na parking drzwi, gdy usłyszał wołanie.

– A Hans Schulz, mój kuzyn, którego w Stummie potrącił samochód? To był wypadek czy morderstwo?

Terlecki wyciągnął paczkę marlboro. Nauczyciel sięgnął po papierosa. Rafał opowiedział mu o ustaleniach austriackiej i niemieckiej policji, o porzuceniu przez sprawców dwóch samochodów, wreszcie o opublikowanym przed dwoma tygodniami przez niemiecką policję komunikacie o zatrzymaniu jednego z podejrzanych. Był nim Oskar Weber, osiemdziesięcioletni mieszkaniec Norymbergi po kilkuletnim wyroku, który odsiedział w latach sześćdziesiątych.

– Webera nie było wtedy w samochodzie, używał go wcześniej i nie dość starannie wytarto ślady. W ten sposób znaleziono jednego ze sprawców. Okazał się nim wnuk Webera, byłego żołnierza SS. Ale to stary był tu najważniejszy. Po wojnie należał do gangu Klausa Barbiego. Zajmowali się okradaniem bogatych Niemców, działali na południu Republiki Federalnej, podobno też w Austrii. Notabene jedną z ich ofiar była hrabina Anna Daum, właścicielka pałacu w Chorzeminie. Udało jej się uciec przed sowiecką armią, ale nie przed swoimi zwyrodniałymi rodakami – dodał, gasząc papierosa w koszu na śmieci.

Ruszył w kierunku parkingu, ale nagle się zatrzymał. Podszedł do Howańskiego i spojrzał mu w oczy.

– Śmierć austriackiego kuzyna jest najlepszym dowodem, że Bolesław Howański miał rację, kiedy zdecydował się zerwać całkowicie kontakt ze swoją rodziną. Gdyby tego nie zrobił, pański ojciec zapewne nie dożyłby sędziwego wieku. A kto wie, co byłoby z panem.



Rafał zatankował samochód na stacji w Karpicku, kupił dużą kawę, którą niezgrabnie przelał do kubka termicznego. Zjadł także dużego hot doga, obiecując sobie, że od jutra zacznie się normalnie odżywiać. Zamarzył o kotlecie schabowym z ziemniakami i mizerią.

W Kuźnicy Zbąskiej, kierowany nagłym impulsem, skręcił nad jezioro i zatrzymał się przy plaży. Powinien był kupić różę i wrzucić ją do wody w hołdzie dla Olgi. Tani gest, ale teraz wydawał mu się na miejscu. Zastanawiał się, czy nie wrócić do Wolsztyna, ale nie miał już na to czasu, więc tylko stanął na brzegu, wpatrując się w jezioro.

Inspektor Witold Krzywiński przekazał mu, że według na razie niepotwierdzonych informacji Olgę zabił Liam Horgan, płatny morderca w przeszłości związany z brytyjską jednostką specjalną SAS. Podczas spotkania w Woli Dąbrowieckiej John powiedział, że według ustaleń brytyjskiego wywiadu w ostatnich miesiącach Horgan pracował dla Obywateli Rzeszy. Amerykanie przypuszczali, że śmierć Olgi miała być ostrzeżeniem dla dziennikarza, i nie byli w tym odosobnieni. Nie mogli dorwać Ewy ani Anastazji, więc zabili Olgę. Policja potwierdziła obecność w jej włosach mączki z kortu tenisowego, więc Rafał był przekonany, że nawet jeśli to Horgan odciął dziewczynie głowę, to Skibniewski w tym uczestniczył. Trudno było sobie wyobrazić, że płatny morderca działający w obcym kraju relaksuje się, biegając po korcie tenisowym. We włosach odciętej głowy Olgi znaleziono obcy materiał genetyczny, ale dopóki Skibniewski był nieosiągalny, trudno było go porównać z jego DNA.

Rafał stał i z rękoma w kieszeni bezmyślnie patrzył na jezioro, gdy poczuł wibrację telefonu. Nerwowo wyszarpnął aparat i próbował odczytać wiadomość. Wreszcie mu się udało.

Zamiast wiadomości od Wiesława zobaczył informację o niezapłaconym rachunku za prąd. Zaklął i ruszył do samochodu.

Gdy wyjeżdżał na asfalt, pomyślał, że źle zakończył swoją wizytę nad jeziorem. Powinien był coś powiedzieć, może wykrzyknąć, jakoś swoją koleżankę i kochankę pożegnać, ale jego myśli nieustannie krążyły wokół wciąż nienadchodzącej wiadomości z Niemiec. Zdawał sobie sprawę, że źle to wyszło, i był na siebie wściekły.

Wiesław zadzwonił, akurat gdy pobierał bilet na autostradowej bramce.

– Mają ich, możesz dawać! Go! – powiedział Mariusz i dodał, że jeszcze zadzwoni. Był podniecony i Rafał zaczął się zastanawiać, jaką rolę w tej sprawie naprawdę odegrał Wiesław. Przypomniawszy sobie jego słowa wypowiedziane podczas spotkania w parku Skaryszewskim: „Dobrze wiesz, że nie współpracuję z ludźmi ministra Kawińskiego. Zresztą to amatorzy. Harcerze. Ale w służbach uchowało się jeszcze trochę profesjonalistów, którzy też za tą ekipą nie przepadają. Im możemy zaufać”.

Wjechał na autostradę i wybrał numer Mariusza Hallmanna. Wydawca odebrał po pierwszym dzwonku.

– Zatrzymali Obywateli Rzeszy. Możesz pogonić maszynownię – powiedział, sięgając po kubek z kawą.

– Jesteś pewien?

– Kurwa, Mariusz. Przed chwilą rozmawiałem z Wie... Z moim kontaktem. Tak, jestem pewien – powiedział. Starał się, aby jego głos brzmiał stanowczo, ale wizyta nad Jeziorem Kuźnickim trochę go rozkleiła. Wziął głęboki oddech. – Zresztą za chwilę niemieckie media muszą zacząć podawać informacje na ten temat.

„Pogonienie maszynowni” oznaczało, że stacja zacznie promować jego wieczorny reportaż we wszystkich swoich kanałach telewizyjnych, w internecie oraz w mediach społecznościowych. Zdawał sobie sprawę, że uruchamiając całą marketingową machinę, Mariusz musi być pewien, że akcja Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji działającego we współpracy z Centralną Agencją Wywiadowczą rzeczywiście ruszyła. Inaczej mogli zawalić cały misternie utkany plan. A tego nie chcieli.

– Poczekam kilka minut na doniesienia agencyjne. Na razie nic nie ma. Dam znać, żeby wszyscy byli gotowi. Zadzwoń – powiedział Rafał i przerwał połączenie.

Ledwie się rozłączył, gdy telefon znów zadzwonił. Na panelu wyświetlił się numer Wiesława.

– To cię ucieszy. Wśród zatrzymanych w Bad Lobenstein jest twój przyjaciel.

– Skibniewski?!

– Rafałku, kurwa, starajmy się, aby pewne nazwiska nie fruwały w telekomunikacyjnej przestrzeni. Prosiłem cię o to dziesiątki razy. – Wiesław rugał przyjaciela, ale jego głos brzmiał dobrotliwie. Detektyw był wyraźnie zadowolony.

To rzeczywiście była dobra informacja. Terlecki nie miał pojęcia, po ilu latach przedawniają się w Niemczech morderstwa – z tego, co udało mu się ustalić, Zdzisław Skibniewski popełnił ich w Europie Zachodniej kilka – ale już sama informacja, że „piękny Zdzisio” został zatrzymany, wprawiała go w dobry humor.

Przed Poznaniem zapłacił za przejazd pierwszego odcinka autostrady i już chciał zadzwonić do Mariusza, gdy zobaczył, że jego nazwisko wyświetla się na panelu bmw.

– DPA, niemiecka agencja informacyjna...
– Wiem, czym jest DPA!
– Twoje szerokie horyzonty nie przestają mnie zadziwiać. Więc DPA, niemiecka agencja informacyjna, podała właśnie, że Federalny Urząd Ochrony Konstytucji dokonał aresztowań w Bad Lobenstein. Na razie nie ma żadnych szczegółów, ale to mi wystarczy. Wprawiam maszynownię w ruch. O której będziesz?

Spojrzał na nawigację. Do redakcji miał niewiele ponad trzysta kilometrów, więc powinien tam dotrzeć w ciągu trzech godzin. Ale zamierzał być wcześniej. Rozłączył się bez pożegnania i natychmiast wybrał numer Cezarego. Teraz wszystko było w jego rękach.

Wcześniej założyli, że w pierwszych scenach wykorzystają materiały niemieckich stacji telewizyjnych, wmontowując je na początku reportażu. Rafałowi ten pomysł nie bardzo się podobał, ale nie było innego wyjścia, bo John nie zgodził się na obecność polskiej ekipy w posiadłości Heinricha XIII. Problem polegał na tym, że nie wiedzieli, czy niemieckie władze dopuszczą do Bad Lobenstein jakiegokolwiek kamery telewizyjne. Znając jednak wymogi współczesnej cywilizacji obrazkowej, mieli nadzieję, że tak się stanie.

Teraz mogli tylko czekać.

Rafał minął obwodnicę Poznania i pobrał na bramce kolejny bilet. Kawa w termicznym kubku już się kończyła, ale miał jeszcze dwie puszki red bulla i paczkę papierosów. To powinno utrzymać go przy życiu.



Gdy na autostradzie pojawiły się tablice oznajmiające o zbliżającym się zjeździe do Łęczycy, zadzwonił Cezary. Poinformował Rafała, że mają już pierwsze obrazki, czyli sceny z akcji niemieckich agentów w posiadłości Heinricha XIII von Reussa.

– Na razie słabe, tylko ogólne plany, więc czekamy na kolejne – powiedział. W jego głosie dawało się wyczuć podniecenie.

– W Bad Lobenstein zatrzymano Zdzisława Skibniewskiego. Bardzo mi zależy, aby znalazł się w kadrze, więc do ostatniej chwili czekaj na odpowiedni obrazek. To ważne – polecił.

– Rozumiem, ale pamiętaj, że zegar tyka.

Ruch na autostradzie zmałał, więc Terlecki przyspieszył do stu osiemdziesięciu kilometrów, a później spojrzął na wskaźnik paliwa. Położenie strzałki wskazywało, że wkrótce będzie musiał zatankować. Miał nadzieję, że na kolejnej stacji nie będzie kolejki.

Zaczął rozmyślać o Skibniewskim, a raczej o obietnicy Johna przyrzekającego solennie, że bandyta trafi za kratki. Uwierzył mu, ale teraz nie był już tego taki pewien. Dawne morderstwa „pięknego Zdzisia”, których dokonał w latach sześćdziesiątych, z pewnością uległy przedawnieniu, od tego czasu minęło przecież pięćdziesiąt lat. Zastanawiał się, ile wolsztyński gangster może dostać za udział w spisku, którego celem było przejęcie władzy w Niemczech. Nie odgrywał w nim pierwszoplanowej roli, więc miał szansę wyłgać się wyrokiem w zawieszeniu, a w najgorszym razie dwoma latami nie nazbyt ciężkiego więzienia. Na dodatek Warszawa zapewne zażąda jego ekstradycji, a później wypuszczą go ze względu na zły stan zdrowia. W wypadku osiemdziesięciolatka nietrudno będzie znaleźć kilka wiarygodnie brzmiących schorzeń.

John obiecał, że Skibniewski trafi za kratki, ale zapewne wówczas był w stanie obiecać wszystko. Być może zresztą składał to przyrzeczenie w dobrej wierze, ale za kilka dni sprawa trafi do gabinetów polityków, a oni nie będą się przejmowali przyrzeczeniami Johna. Tym bardziej nie będą się przejmowali zdekapitowanym ciałem Olgi.

Zapalił kolejnego papierosa, lekko uchylając szybę. Hałas zagłuszył muzykę, ale przez całą drogę słuchał tej samej płyty, więc mu to nie przeszkadzało. Powędrował myślami w przeszłość, do lat tużpowojennych, gdy służby specjalne wszystkich państw koalicji antyhitlerowskiej na wypródki rekrutowały niemieckich zbrodniarzy, choć piece krematoryjne w obozach koncentracyjnych jeszcze na dobre nie ostygły. Podczas procesu w Norymberdze dwunastu oskarżonych zostało skazanych na karę śmierci, trzech trafiło do więzienia z karą dożywocia, dwóch dostało dwudziestoletnie wyroki, jeden trafił za kraty na piętnaście lat, jeden na dziesięć, a trzech uniewinniono. Nawet jeśli doliczyć do tego siedmiu kolejnych, którzy ze względu na wcześniejszą śmierć lub stan zdrowia nie byli sądzeni, był to tylko wierzchołek góry lodowej hitlerowskiej maszyny ludobójstwa. Oczywiście, później odbyły się kolejne procesy, ale i tak wielu zbrodniarzy nie poniosło żadnej kary. Nie mała część dlatego, że schroniła się pod skrzydłami obcych wywiadów. Ze Skibniewskim mogło być podobnie. Rafał zastanawiał się, czy biznesmen ma coś do zaoferowania Amerykanom. Wątpił, ale nie wiedział tego na pewno.

Terlecki zatankował, zapłacił i w pośpiechu ruszył spod dystrybutora, niemal potrącając jakąś młodą kobietę. Uniósł rękę w przeproszającym geście, ale nie był pewien, czy niedoszła ofiara jego brawury to dostrzegła. Poczucie winy towarzyszyło mu przez kolejnych dziesięć kilometrów, a później zaczął myśleć o biskupie Aloisie Luigim Hudalu.

W reportażu opowiadał o nim profesor Cornelius O'Sullivan. „Biskup Hudal, syn szewca z Grazu, uzyskał sakrę biskupią w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku, a już trzy lata później opublikował książkę wychwalającą narodowy socjalizm. Zadedykował ją Hitlerowi, używając do tego wiernopoddańczych słów: *Führerowi niemieckiego odrodzenia, Zygfrydowi niemieckiej nadziei i wielkości*. W końcówce lat trzydziestych biskup Hudal został niemieckim agentem, inkasując sowite wynagrodzenie wypłacane z budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych Trzeciej Rzeszy. Widziałem i miałem w rękach potwierdzające to dokumenty. Ale nie to zrobiło na mnie największe wrażenie. Największe wrażenie zrobiła na mnie, a zapewne na każdym, kto się o tym dowiaduje, lista zbrodniarzy hitlerowskich uratowanych przez Hudala. Ta lista jest długa, ale co ważniejsze, ona jest, proszę wybaczyć określenie, krwawa. Figuruje na niej między innymi Adolf Eichmann, główny architekt ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, figuruje przeprowadzający eksperymenty medyczne w Auschwitz Josef Mengele, figuruje Franz Stangl, komendant obozów w Sobiborze i Treblince. Jest tam też Kurt Christmann, dowódca Sonderkommando 10A mordującego Żydów zamieszkujących Związek Sowiecki, a wreszcie Ante Pavelić, niezwykle brutalny i bezwzględny przywódca chorwackich faszystów”.

Rafał nagrał rozmowę z profesorem O'Sullivanem w gaju oliwnym z widokiem na wieże San Gimignano. W kadrze widać było zachodzące, czerwone słońce. Beznamiętny głos Anglika wyliczającego największych hitlerowskich zbrodniarzy uratowanych przez watykańskiego hierarchę, robił wrażenie. Nawet Mariusz Hallmann przyznał, że O'Sullivan ma duży talent dramaturgiczny.

Biskup Hudal uniknął odpowiedzialności. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku został zmuszony do rezygnacji z aktywnego uczestnictwa w życiu Kościoła, ale resztę swoich dni przeżył w opłacanej przez Watykan pięknej rezydencji w Lacjum.

Gdy Rafał wjechał do Warszawy, zbliżała się dziewiętnasta. Stojąc na światłach, wysłał Mariuszowi esemesa z informacją, że będzie w redakcji w ciągu najbliższych dwudziestu minut, a później zadzwonił do Czarka.

– Masz coś?

– Tak, śliczny obrazek ze Skibniewskim w kajdankach. Akurat przechodzi obok pilnowanego przez policjantów Heinricha Trzynastego von coś tam, coś tam...

– Von Reussa. Jesteś super! Będę za kwadrans, tylko niech chłopaki to dobrze zmontują.

– Już to zrobili. Zapewniam, że wspięli się na piąty level.

Gdy Rafał Terlecki wszedł do redakcji, do emisji reportażu zostało niewiele ponad dziewięćdziesiąt minut. Chciał jeszcze raz zobaczyć całość, ale Mariusz się sprzeciwił. W jego gabinecie czekał na Rafała duży box sushi z mieszczącego się na parterze baru. Smak potrawy nie oddawał całej maestrii japońskiej kuchni, nazywali tutejsze dania „idzie zjeść”, ale nie była to tak do końca sprawiedliwa ocena. Gdy Terlecki skonsumował połowę porcji, Hallmann wyciągnął z biurka dwa kieliszki i mocno już naruszoną butelkę martella.

– Po naparstku, na ożywienie. Podczas dyskusji bądź do bólu profesjonalny, nie wyrywaj się, daj się wygadać naszym gościom. Nawet jeśli nie piśniesz przed kamerami jednego słowa, i tak będziesz gwiazdą wieczoru – powiedział i szybko schował kieliszki. – Pod warunkiem że weźmiesz prysznic, uczeszysz się i zmienisz te poplamione dzinsy. Zbliża się twoja

wielka chwila, a głupio witać ją w brudnych spodniach i z wiechciem na łbie.



Rafał przebrał się w przygotowany wcześniej garnitur. Gdy zastanawiał się nad założeniem krawata, usłyszał sygnał swojego telefonu. Dzwonił Henryk Howański. Nie miał teraz czasu na rozmowę, czekała go jeszcze wizyta u makijażystki.

Przywitał się z zaproszonymi do studia gośćmi – dwoma profesorami zajmującymi się historią najnowszą oraz młodą politolożką z Uniwersytetu Toruńskiego – i mającym prowadzić dyskusję Konradem Bromskim, a później usiadł na wyznaczonym miejscu. Emisja programu już się rozpoczynała, ale dźwiękowcy poprawiali jeszcze mikrofony. Były jakieś kłopoty z uzyskaniem połączenia z przebywającym w Londynie Corneliusiem O’Sullivanem, ale w końcu technicy i z tym się uporali.

Terlecki skupił się na pierwszych scenach, tych z aresztowań w posiadłości szefa Obywateli Rzeszy. Zobaczył ubranego w wełnianą oliwkową marynarkę, ciemną koszulę i spodnie w kolorze musztardowym Heinricha XIII von Reussa. Szedł w towarzystwie trzech policjantów. Jego twarz skrywał czerwony szalik obwiązany wokół szyi, ale widać było zaczesane za uszy długie siwe włosy. Choć nie dało się dostrzec, czy arystokrata ma założone kajdanki, to jednak charakterystyczne ułożenie rąk wskazywało, że został skuty i starał się to ukryć. Chwilę później policjanci przeprowadzili obok niego Zdzisława Skibniewskiego, którego kajdanki były wyraźnie widoczne.

Rafał poczuł satysfakcję.

– Dobrze poznaję, że przed chwilą mignął nam na ekranie bohater pańskich reportaży? Co on tam robi? – zapytał profesor Antoni Szpak, a dziennikarz pokiwał głową. Uświadomił sobie, że nie było to zbyt grzeczne zachowanie, więc uśmiechnął się do historyka przepraszająco. – Tak, to Skibniewski. Za chwilę wszystko się wyjaśni.

– Ten materiał o jego współczesnych powiązaniach z MSW był dla mnie niezwykle interesujący. Świetna robota.

Rafał ponownie się uśmiechnął, ale zaraz znowu pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. W Bad Lobenstein agenci Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji zatrzymali dwadzieścia pięć osób, ale fala aresztowań niczym huragan przetoczyła się przez całe Niemcy.

Gdy na ekranie pojawiła się wolsztyńska kaplica Miłosierdzia pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny – miejsce, w którym po raz pierwszy spotkał się z Henrykiem Howańskim – Terlecki sięgnął po szklanke wody, a później pogрузzył się w myślach.

Żałował, że nie poleciał do Buenos Aires, aby ustalić, co się stało z Ernstem Beckerem i Oskarem Hoffmannem. Zabrakło czasu. Udało mu się jednak zlecić to zadanie korespondentowi jednej z hiszpańskich stacji telewizyjnych.

Okazało się, że Becker stał się ważną postacią argentyńskiego establishmentu epoki Juana Peróna. Choć nie pełnił żadnych oficjalnych funkcji, to miał stały dostęp do dyktatora i doradzał mu w wielu kwestiach politycznych i wojskowych. Niektórzy rozmówcy hiszpańskiego dziennikarza twierdzili nawet, że to on był twórcą strategii państwa opiekuńczego i to on przekonał Peróna do znacjonalizowania kolei, zagranicznych banków, sieci telefonicznych, znacznej części przedsiębiorstw przemysłowych i floty handlowej, a także skokowego

podniesienia wynagrodzeń robotników i uruchomienia wielkiego programu robót publicznych. Zapewnił tym Perónowi szerokie poparcie rozmaitych grup społecznych, za co został obdarowany wielkim pałacem w centrum Buenos Aires.

Przez kilka lat Becker żył w Argentynie po królewsku, ciesząc się opinią najbliższego i najważniejszego przyjaciela Juana Peróna, po cichu nazywano go nawet „pierwszym wiceprezydentem”. Ale na początku lat pięćdziesiątych ich stosunki się popsły, a zaraz potem były pułkownik SD zniknął, zostawiając w stolicy żonę i dwoje dzieci. Przyczyn jego zniknięcia nie znano, jedni mówili o włoskiej kochance, inni o złości dyktatora, bo po kilku latach prosperity sytuacja ekonomiczna kraju zaczęła się gwałtownie pogarszać.

Dalszą część losów dawnego mieszkańca Widzimia Starego opowiedział Rafałowi O’Sullivan, znający to z relacji Bolesława Howańskiego. Okazało się, że drukarz wytropił Beckera na północy Hiszpanii, a kilka miesięcy później Niemiec wypadł swoim rozpędzonym mercedesem z drogi w Pirenejach. Policja nie znalazła śladów hamowania, więc jego śmierć uznano za samobójstwo, choć jeden ze świadków zeznał, że widział inny samochód szybko oddalający się z miejsca wypadku.

Jeszcze gorzej potoczyły się losy Oskara Hoffmanna. Już rok po przybyciu do Argentyny major Abwehry poróżnił się z dawnym szkolnym przyjacielem, a zaraz później w towarzystwie młodej kobiety wyprowadził się z Buenos Aires i kupił estancję – liczące szesnaście tysięcy hektarów gospodarstwo rolne – na północy kraju. Hodował bydło i owce. Szybko jednak wpadł w sidła alkoholu, więc jego partnerka wróciła do stolicy, a tydzień później Hoffmanna znaleziono powieszzonego w oborze.

Reportaż dobiegał końca. W studiu panowała pełna napięcia cisza, co oznaczało, że goście są pod wrażeniem wyemitowanego właśnie materiału.

– Wchodzimy za trzy minuty. Proszę się przygotować – rozległo się z głośnika i wszyscy zaczęli poprawiać się w swoich fotelach. Makijażystka przypudrowała twarz Konradowi Bromskiemu i niemal biegiem uciekła sprzed kamery.

Rozdział 51

KARPACZ, 6 STYCZNIA 2020

Plany wzięły w łeb. Długa nieobecność Ewy w banku i nasilający się kryzys z kredytami frankowymi spowodowały, że postanowili odłożyć urlop na sierpień. Rafał był z tego rozwiązania zadowolony, bo nie chciał, żeby Anastazja opuściła kolejne dwa tygodnie w szkole. Wciąż miał nadzieję, że mimo niemal dwumiesięcznej nieobecności uda jej się nadrobić zaległości. Spędził dwa dni w szkole na rozmowach z jej nauczycielami. Wychowawczyni Anastazji poinformowała go, że tydzień po zniknięciu córki w szkole zjawiała się starsza kobieta, która przedstawiła się jako ciotka uczennicy, i koniecznie chciała się dowiedzieć, gdzie znajdzie Anastazję. Rafał był przekonany, że był to ktoś nasłany przez Skibniewskiego.

– Mieliśmy też włamanie na szkolny serwer. Nie wiązałam ze sobą tych faktów, ale po obejrzeniu pańskiego reportażu nie jestem już tego taka pewna.

Wcześniej Rafał chciał zrzucić przykry obowiązek wizyty w szkole na Ewę, ale stanowczo się sprzeciwiła.

– Ty zawiniłeś, ty sprzątaj. Poza tym ja będę tam tylko błagającą o litość matką, ty będziesz telewizyjną gwiazdą. Nawet dość przystojną. – Uśmiechnęła się i szybko cmoknęła go w policzek.

Ich stosunki w niespodziewany i nie do końca dla Rafała zrozumiały sposób się zmieniły. Ewa była wyciszona, mniej

zadziorna niż w przeszłości. Wydawało się, że Ignęta do niego, a on zaczął o niej myśleć nie tylko w kontekście dobrego seksu.

Chyba się starzeję, pomyślał, wsiadając do samochodu.

Dwa dni po przywiezieniu Ewy i Anastazji z Podlasia – dopiero na miejscu dowiedział się, że mieszkały w stojącym w sporym oddaleniu od innych gospodarstw dużym domu w Teremiskach – umówili się na kolację. Spotkali się w Ceviche na Twardej, blisko jego apartamentu, ale skończyło się na jedzeniu, rozmowie i jednej butelce białego wina.

– Następnym razem. Wybacz – powiedziała, wsiadając do taksówki.

Żałował, ale nie nalegał.

Następnego dnia zapakował plecak i pojechał do Karpacza. Po drodze wstąpił do jakiegoś miasteczka i w restauracji przy rynku zjadł schabowego z ziemniakami. Nie mieli mizerii, ale i tak mu smakowało.

Pakując się, wyłączył telefon i wrzucił go na dno plecaka. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów postanowił z nikim nie rozmawiać, nie sprawdzać maili, nie zaglądać do mediów społecznościowych. I nie pić.

Reset i detoks.

Następnego ranka wbił się w sportowe ciuchy, podjechał na parking przy wejściu na Kopę i pobiegł do schroniska nad Łomniczką. Kolejny dzień spędził w łóżku z *Czarnym obeliskiem* Remarque'a, racząc się tylko wodą i butelką izotoniku, a kolejnego dnia z parkingu przy Świątyni Wang pobiegł do Strzechy Akademickiej.

Kochał to schronisko. Na studiach wybrał się tu ze swoją grupą i był to jeden z jego najlepszych wyjazdów w góry. Nie dlatego, że zrobili jakieś wyjątkowo spektakularne wejście,

chyba nawet nie wdrapali się na Śnieżkę, ale podczas tego wyjazdu przekonał się, że mimo wszystkich swoich małomiasteczkowych nawyków wcale nie jest gorszy od koleżanek i kolegów w większości pochodzących z zamożnych rzemieślniczych lub inteligenckich domów. To on był w stanie późnym wieczorem zejść do Karpacza po chleb i wódkę, to on wiedział, że nie da się wędrować w trampkach po górach pokrytych topniejącym śniegiem, to on miał sporo do powiedzenia w ich wieczornych dyskusjach o historii.

Usiadł na ławce przy schronisku, z trudem łapiąc oddech. Nogi lekko mu drżały, ale czuł moc. Przez chwilę rozważał, czy nie pobiec wyżej. Znał tę trasę i wiedział, że po kilkuset metrach ostrego podbiegu droga się wypłaszcza i spokojnie można dotrzeć do Domu Śląskiego.

Odpuścił.

Zaczął zbiegać do Karpacza, a po drodze natknął się na grupę młodych ludzi. Wspinali się, dysząc ciężko, i Rafał poczuł jeszcze większą satysfakcję ze swojego wyczynu. Młodzi utworzyli szpaler, klaszcząc i wiwatując na jego cześć, więc w poczuciu, że jest prawdziwym ironmanem, przyspieszył, odwzajemniając się uśmiechem i życząc im powodzenia.

Gdy dotarł do samochodu, przyszło mu do głowy, że powinien jednak na chwilę odpalić telefon i sprawdzić, czy są jakieś informacje o Skibniewskim. Reset musiał mieć w końcu jakieś granice. Zaczął się zastanawiać, czy nie czas zakończyć również detoks. Butelka schłodzonego chardonnay, po kilku dniach alkoholowej abstynencji, wydała mu się bardzo na miejscu. Ale nie podjął ostatecznej decyzji.

Zmęczony podszedł do drzwi swojego pokoju w pensjonacie. Już miał zamiar włożyć klucz do zamka, gdy w szczelinie nad

klamką dostrzegł kartkę papieru. Cofnął się o krok. Poczłł niepokój, a później strach.

Pomyślał o Serge'u Klarsfeldzie, który we wrzeźniu tysiąć dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku wraz z córką omal nie wyleciał w powietrze w swoim niebieskim citroënie. Nie było powodu przypuszczać, że w kartce papieru znajduje się bomba, wiedział to, ale strach najczęściej jest przecież irracjonalny. Rozejrzał się po wąskim korytarzu, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Niewielki ósmiopokojowy pensjonat był o tej porze roku pusty.

Rozglądając się na boki, podszedł do drzwi i wyciągnął rękę. Już chciał chwycić kartkę, gdy drzwi za nim się otworzyły, więc błyskawicznie się odwrócił.

W progu stała Ewa.

Stała? To słowo w najmniejszym stopniu nie oddawało widoku, który się przed nim roztaczał. Czarne koronkowe body opinało jej wysportowaną szczupłą sylwetkę, która w tym momencie wydawała mu się wręcz idealna. Wysoko uniesione piersi wylewały się ze stanika, a nogi w czarnych podtrzymywanych koronkowym pasem pończochach – później zobaczył, że są ze szwem – kończyły się idealnie czerwonymi wysokimi szpilkami. Rafał poczuł przyplływ pożądania i miał wrażenie, że jego sportowe spodnie do biegania tylko to uwydatniają. Wypowiedziane zmysłowym głosem słowa – Ewa potrafiła to robić jak nikt inny – to potwierdzały.

– Widzę, że jesteś gotowy – wyszeptala mu do ucha, kładąc dłoń na jego kroczu. – Chcę cię takiego spoconego i śmierdzącego. Wejdzimy czy zamierzasz się pieprzyć na korytarzu?

Weszli, właściwiej byłoby powiedzieć „wtargnęli”, do jej pokoju. Po raz pierwszy Rafał wziął ją jeszcze w małym

kuchennym aneksie, między elektrycznym czajnikiem a dwupalnikową kuchenką. Było niewygodnie, ale namiętnie. Po raz drugi zrobili to na parapecie, bo Ewie od zawsze łóżko wydawało się nazbyt tradycyjne. Jej orgazm był tak głośny, że zapewne usłyszeli go w obserwatorium astronomicznym na Śnieżce.

Rano Rafał dotarł wreszcie do kabiny prysznicowej w swoim pokoju. Owinięty dużym białym ręcznikiem – zastanawiał się, czy w tych okolicznościach ubieranie się nie będzie niepotrzebną stratą energii – usiadł na łóżku i odpalił smartfona.

Jako pierwsza pojawiła się informacja na WhatsAppie. Pochodziła z nieznanego mu numeru i była napisana po angielsku.

Z.S. został brutalnie pobity przez współwięźniów. Trafił na oddział intensywnej opieki medycznej. Na razie trudno ocenić jego szanse na przeżycie. To nie jest młody, silny organizm. Lekarze twierdzą, że w najlepszym wypadku S. do końca życia będzie się poruszał na wózku.

Rafał nie musiał się domyślać, o kogo chodzi.

Podszedł do okna z widokiem na parking. Stało na nim jego bmw i biały volkswagen passat Ewy oraz czerwony, mocno odrapany golf należący zapewne do kogoś z obsługi.

Myślał o Skibniewskim. Nie, właściwie analizował własne uczucia do gangstera. Chciałby powiedzieć, że mu współczuje, ale byłby wobec siebie nieszczerzy, bo naprawdę się cieszył. Bardzo.

Miał poczucie, że to nieprofesjonalne. Na początku myślał, że cieszy się za Olgę, ale doszedł do wniosku, że to też nie było prawdą. Oczywiście myślał w tej chwili o Oldze, o Jolancie

Guzikiewicz, tej zamordowanej wolsztyńskiej nastolatce, nawet o Patryku Sosnowskim, pracowniku nastawni kolejowej w Wolsztynie, którego Skibniewski wpędził w głęboką depresję. Ale przede wszystkim myślał o Anastazji, Ewie i o sobie.

Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna myśli o całej ich trójce.

Konspiracyjnie rozglądając się po korytarzu, przemknął do pokoju Ewy. Była pod prysznicem, więc zrzucił ręcznik i wskoczył do łóżka, przykrywając się kołdrą. Jedną rękę podłożył pod głowę, a palcami drugiej, udając zniecierpliwienie, bębnił po kołdrze, odtwarzając scenę z *Czterdziestolatka*. Gdy Ewa weszła do pokoju, roześmiała się natychmiast, rozpoznając ten greps.

– Nie możemy się wiecznie pieprzyć – powiedziała, a w tonie jej głosu było raczej przyzwolenie niż przygana.

– Dlaczego nie?

– Bo nie po to jechałam pięćset kilometrów!

– Naprawdę nie po to? Bo wczoraj, kiedy prężyłaś się w drzwiach w tych szpilkach i pończochach, miałem wrażenie, że właśnie po to.

Ewa zrzuciła biały płaszcz kąpielowy i naga, z mokrymi włosami powtórzyła swój wczorajszy gest. Prezentowała się niemal równie ponętnie.

– Jeden szybki numerek i wbijamy na szczyt – powiedziała, zrzucając z niego kołdrę. Spojrzała i zamruczała zmysłowo, a potem usiadła na nim okrakiem. – Znaczy ja już wbijam.

Chciał ją zapytać, czy zamierza iść na Śnieżkę w tych swoich cudownych szpilkach, ale zamknęła mu usta namiętym pocałunkiem.

Telefon zadzwonił, gdy płacił za fasolkę po bretońsku i herbatę. Dom Śląski był pełen turystów, przy czym większość z nich najwyraźniej dotarła do schroniska wyciągiem krzesełkowym. Niektórzy siedzieli na ławkach przed budynkiem, racząc się piwem i przyniesioną w plecakach wódką. Nie znosił takiego zachowania w górach.

Dzwonił Henryk Howański. Rafał zastanawiał się, czy chce z nim rozmawiać, ale w końcu odebrał.

– Dzwoniłem wcześniej, ale pan nie odpowiadał. Muszę pana przeprosić i do czegoś się przyznać. Na początku panu nie wierzyłem, więc zatrudniłem detektywa, aby pana śledził. „Zatrudniłem detektywa” to trochę złe określenie. To mój szwagier. Postać nieco groteskowa, jak mi się wydaje, ale żona nalegała.

Terleckiemu udało się przecisnąć przez stojący w kolejce tłum. Postawił tacę na ławie przed Ewą i uśmiechnął się, przewracając oczami.

– Ten w skórze?

– Tak, jak mówiłem, to trochę groteskowa postać. Udaje Raymonda Chandlera, wie pan, tego z *Siostrzyczki*.

– Wiem. Zostawmy to. I proszę szwagra ode mnie pozdrowić. Mam nadzieję, że już naprawił swoją czerwoną corse, bo jeśli nie, to poznałem w Wolsztynie dobrego fachowca...

– Wiedział pan...

– Trudno było nie wiedzieć – odparł.

Po zjedzeniu fasolki zaczęli się zbierać. Gdy Ewa poszła do toalety, telefon Rafała zawibrował. Nadawcą wiadomości była Anastazja.

I jak moje gotąbeczki? – przeczytał.

Chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił Mariusz Hallmann. Poinformował Rafała, że za trzy dni na wyspie na Jeziorze Wolsztyńskim rozpoczną się poszukiwania zakopanych przez Niemców skrzyń.

– Przyjedziesz?

Rafał odmówił. Wolał pochodzić po górach, a wieczorem kochać się z Ewą.

Gdy trzymając się łańcuchów, dotarli na Śnieżkę, zaświeciło słońce. Popatrzył na Karpacz, a później zobaczył zabudowania jakichś wiosek i przysiółków. Pomyślał, że z pewnością kryje się tam wiele nierozwiązanych, ponurych tajemnic, zapewne ciekawszych i ważniejszych niż bieżąca polityka, którą na co dzień się zajmował.

Choć ostatnio trochę już do niej zatęsknił...

Podziękowania

Błażewi Nadobnikowi składam hołd za wiele mądrych rad i podpowiedzi, weryfikację historycznych faktów i niemal codzienne poranne telefony, które miały i tę zaletę, że mobilizowały mnie do pracy, odrywając od słodkiego, acz denerwująco destrukcyjnego lenistwa.

Za opowieść z historii własnej rodziny, która zainspirowała mnie do sięgnięcia po okupacyjny wątek przeszłości wielkie podziękowania winienem **Krzysztofowi Bocerowi**.

Byłbym skrajnym niewdzięcznikiem, gdybym za codzienne wsparcie i czasem siłowe odrywanie od pracy (składanie szafy, koszenie trawy itp.) nie podziękował **żonie, córce, synowi i synowej**. Było to irytujące, ale pozwalało przewietrzyć głowę i docenić, że przed laty los pchnął mnie w objęcia historii i pisania, a nie ślusarstwa, hydrauliki lub ogrodnictwa.

Synowi **Jakubowi** w tym miejscu gratuluję (już on najlepiej wie czego).

Zespołowi wydawnictwa Muza – ze szczególnym podkreśleniem wielkiej roli redaktor **Małgorzaty Burakiewicz** – dziękuję za wręcz modelową (przynajmniej z mojej perspektywy) współpracę i cierpliwość.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz